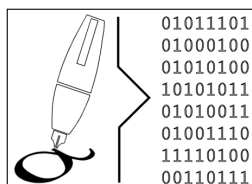


MERCEDES LACKEY

WIATR PRZEZNACZENIA

Pierwszy tom z cyklu
„Trylogia Magicznych Wiatrów”

Tłumaczyła: Joanna Wołyńska



Tytuł oryginału:

WINDS OF FATE

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

*Dedykowane pamięci
Donalda A. Wollheima,
dżentelmena i mistrza*

PROLOG

LEGENDA

Dawno temu król, którego imieniem ochrzczono królestwo Valdemar, zrozumiał, że się starzeje. Valdemar wyswobodził swój lud spod władzy tyrana i nie chciał, aby w przyszłości doświadczyli podobnego losu. Wiedział, że jego syn i następca był prawym, szlachetnym człowiekiem, ale jacy będą jego synowie i ich potomkowie?

Pragnął znaleźć sposób wybierania godnego następcy, aby Valdemar zawsze był wolny. Udał się więc samotnie do ogrodów pałacowych i tam, na poły modlitwą, na poły zaklęciem błagał wszystkie siły o pomoc w urzeczywistnieniu pragnienia.

O zachodzie słońca powiał potężny wiatr, zatrzęsała się ziemia, a z zagajnika przed królem wynurzył się biały koń. I przemówił do jego umysłu. . .

Nadszedł drugi i trzeci, i zanim Valdemar zapytał dlaczego, jakby odpowiadając na wezwanie przybyli jego syn i główny herold. Dwa konie powiedziały w ich myślach „Wybieram cię”. Tak król dowiedział się, że Towarzysze wybierają tylko godnych tego, na całe życie — i ci ludzie będą odtąd strzegli sprawiedliwości i honoru w królestwie. Nazwał wybranych przez Towarzyszy heroldami, bo choć król i następca mógł być tylko jeden, heroldami mogli zostać wszyscy. Nosili oni ubrania białe jak ich Towarzysze, aby rozpoznawać ich z daleka albo w tłumie; postanowiono też, że tylko herold zostanie następcą tronu i władcą. Dekretem królewskim jeden herold był doradcą i przyjacielem władcy, wspierał go i oceniał jego decyzje; tego herolda zwano osobistym.

Tak było. Tak powstał Valdemar. Wielu było heroldów i sprawiedliwość królewska docierała wszędzie.

KRONIKI

W pierwszym roku po nadaniu heroldowi Talii tytułu osobistego herolda królowej, księżę Ancar z Hardornu krwawo przejął tron, zabijając swego ojca i jego ludzi. Zamordował herolda Krisa, ambasadora królowej Selenay, uwięził i torturował herolda Talię. Ocalono ją, gdy herold Dirk, dziedziczka tronu Elspeth i wszyscy Towarzysze zjednoczyli swe siły; po raz pierwszy zdarzyło się, że wszyscy Towarzysze wspomogli heroldów. Ancar najechał Valdemar, ale został odparty.

Dwa lata później znów zaatakowano granice. Tym razem pokonano go połączonymi siłami najemnej kompanii Piorunów Nieba, dowodzonej przez kapitana Kerowyn, armii Valdemaru i armii Rethwellanu pod dowództwem lorda wojny księcia Darena, przybyłego dotrzymać dawno zapomnianej obietnicy. W zamęcie bitewnym księżę i kapitan stracili swe wierzchowce i oboje zostali wybrani, a księcia i królową połączyła więź życia, co wielu jednocześnie uradowało i poruszyło.

Nasz odwieczny wróg, Kars, nie stwarza problemów, rozdarty wewnętrznymi walkami. Ancar od czasu do czasu czyni wypadki ku granicom, nic szczególnego. Tak było aż do dziś, siedem lat od ostatniej bitwy, kiedy zaszły wydarzenia, które tu opisuję...

Myste, herold kronikarz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ELSPETH

— Ale... — słabo zaprotestowała Elspeth, a pusta sala odbiła echem jej słowa. Wpatrywała się w herolda Kerowyn i próbowała znaleźć sens w usłyszonym rozkazie. „Naprawić zbroję? A niby dlaczego? Nie mam o tym zielonego pojęcia! Co to ma wspólnego z czymkolwiek?” Usiadła, przytłoczona ciężarem znoszonego, skórzanego pancerza używanego do treningów, który lata świetności miał już dawno za sobą i cuchnął potem, kurzem i oliwą.

— Znasz się na tym, prawda? — zapytała Kerowyn, a jej usta drgnęły, jakby powstrzymywała uśmiech. Elspeth wierciła się na ławeczce jak myszka złapana przez znudzonego kocura. — Tak, ale...

— Widziałas, jak ja i Alberich naprawiamy zbroje, prawda? — Herold, a dawniej kapitan najemników, ciągnęła swój wywód z nieubłaganą logiką, krzyżując ramiona na piersi.

Elspeth odwróciła wzrok od jej opalonej twarzy, szukając odpowiedzi w rozświetlonym pyle i białych ścianach sali. Nie znalazła. Zamiast wykonywać zwykłe obowiązki herolda, została w tym tygodniu oddana w ręce Kerowyn. Te zwykłe obowiązki: objazd wyznaczonego obwodu, prawodawstwo, czasami sędziowanie, doradzanie w sprawach obrony i likwidowanie kłopotów, wystawiały herolda na potencjalne niebezpieczeństwo, na które Rada nie mogła sobie pozwolić w przypadku następczyni tronu.

Jej obowiązkiem stało się robienie tego, co chciała Kerowyn. Myślała, że chodziło o asystowanie przy treningach, naukę taktyki, a może nawet pośredniczenie między najemną kompanią a Radą. Szczególnie że członkowie tej ostatniej nadal mieli trudności z zaakceptowaniem herolda i kapitana najemników w jednej osobie. Wiedziałyby, jak to robić, a przynajmniej, od czego zacząć; w końcu takie było zadanie herolda. Nie naprawianie skórzanych pancerzy.

— Tak, ale... — powtórzyła, nie bardzo wiedząc, co dodać.

— Nie myślisz chyba, że jesteś do tego za dobra... — Sarkazm w głosie Kerowyn był dla Elspeth dowodem, że ktoś jej co nieco opowiedział o wrednym

Bachorze. Oczywiście, dawno z Bachora wyrosła, ale niektórzy nie potrafili o tym zapomnieć.

— Nie! — rzuciła. — Ale...

— Ale dlaczego masz to robić, skoro to należy do obowiązków kogoś innego? — Kerowyn uśmiechnęła się i przeniosła ciężar ciała na prawą nogę. — Pobawmy się przez chwilę w gdybanie. Jesteś na pustkowiu, może nawet nie sama, tylko jak ja, miecz do wynajęcia, może nawet dowódca, a dookoła żadnych płatnerzy. — Wskazała zbroję na kolanach Elspeth. — Twój sprzęt się psuje, a nikt go nie może naprawić. I co, będziesz nosić coś, co może zawieść, i liczyć na to, że nikt nie zauważy? Szukała kogoś, kto ci to naprawi przed kolejnym zaciągiem?

— A czy ty musiałaś naprawiać swoją zbroję? — zripostowała Elspeth, która bardzo liczyła na wolne popołudnie.

— Chodzi ci o czas po awansie na kapitana? Dziecko, pierwszy rok był tak podły dla Piorunów Nieba, że pomagałam robić pancerze, strzały, lance i rząd koński. Nie, nie wywiniesz się z tego. Naprawa skórzanej zbroi nie jest trudna, tylko czasochłonna. Radzę ci się przyzwyczaić. Na początek usuń wszystkie słabe części i zastąp je nowymi. — Przywódczyni Piorunów Nieba Kerowyn pokiwała głową i odwróciła się w stronę sterty pancerzy do reperacji.

Zrezygnowana Elspeth obserwowała, jak Kerowyn odrzuca swój blond warokoch na ramię, myślała o swoich brązowych włosach i wzdychała z zazdrością. „Gdybym nie była dziedziczką tronu, nikt by na mnie nie spojrział. Matka jest piękna, bliźnięta prześliczne, ojczym najprzystojniejszy na dworze, a ja jestem szara mysz. Dlaczego nie mogę wyglądać jak ona?”

Kerowyn istotnie zadziwiła. Szczupła, mocna, z twarzą nawet przez wrogów określaną jako porywająca, miałyby dziesiątki adoratorów, gdyby nie to, że herold Eldan skutecznie wszystkich odstraszał. Kapitan miała włosy jak złocista końska grzywa, które pomimo wieku — mogłyby być matką Elspeth — nie zdradzały śladu siwizny. Przeszłość nie zostawiła na niej żadnych śladów, a wnioskując z opowieści, przeszła tyle, że cztery by posiwiały. Teraźniejszość, równie burzliwa, też się na niej nie odbijała. Była heroldem i kapitanem, a i jedno, i drugie wymagało poświęcenia i pracy.

„Wielu ludzi myśli że powinna wybrać jedno albo drugie...” Elspeth uśmiechnęła się do siebie. Ci sami ludzie byli oburzeni tym, że Kerowyn nie chodzi w biele, chyba że na rozkaz królowej. Poszła na kompromis, nosząc taki sam szary strój jak zbrojmistrz, co królowa zaakceptowała, bo i Alberich, i Kerowyn sami o sobie stanowili.

— Poza tym, masz do dyspozycji całą zbrojownię — rzuciła przez ramię, wyciągając ze stosu kolejny naramiennik; jeden z tych metalowych, których naprawa mogła się przyśnić. — Tego w polu nie będzie. Ciesz się, że ci nie każe używać tego, czym się ludzie posługują w takich wypadkach.

Elspeth ugryzła się w język i rozpoczęła staranne oględziny zbroi. „Nie jest

aż tak źle”, stwierdziła, kiedy przekonała się, że najgorsze dziury już ktoś załatał. Widocznie kapitan się zlitowała. . . Skupiła się na pracy, zdecydowana poradzić sobie równie dobrze jak Kerowyn. Jej skupienie potrwało ledwie kilka chwil.

Ktoś przerwał jej, kiedy zabrała się do wyjątkowo opornego szwu. Ostrzegł ją szum powietrza, ale to wystarczyło. Czego nie nauczył jej Alberich, wpoił w szybkim tempie Kerowyn, stosując metody dalekie od konwencjonalnych.

Gwena! — krzyknęła w myśli, działając odruchowo. Spadła z ławki, uderzyła ramieniem o podłogę i przeokoziółkowała. Wstała natychmiast, gotowa do walki, ciągle trzymając nożyk, którym cięła szwy. Serce waliło jej, ale nie ze strachu.

Stała naprzeciw kogoś, kto działał tak szybko, jak ona; prawie identyczna pozycja po drugiej stronie ławki. Oceniała go szybko; wyższy i cięższy, mężczyzna, w zwykłym ubraniu, twarz owinięta chustą, kaptur na głowie; widziała tylko czujne oczy.

Tysiące myśli przebiegło jej przez głowę, a główną było drugie wezwanie Gwenu, jej Towarzysza. Następną: „Dlaczego Kero nic nie robi?” Rzuciła okiem w jej stronę i zobaczyła, że kapitan stoi z założonymi rękami i nieodgadnionym wyrazem twarzy. Odpowiedź sama się nasunęła: „Bo na to czekała”. Ponieważ Kerowyn była heroldem i jej Towarzysz Sayvil nigdy nie dopuściłaby do zdrady, a Gwena nie waliła kopytami w drzwi, morderca nie był żadnym mordercą.

Uspokoila się trochę i odważyła na dotknięcie myślą. Nic; bariera ochronna, a to znaczyło, że obcy wie, jak chronić swe myśli, co potrafili jedynie myślómwiący.

Kolejne spojrzenie w lśniące, brązowe oczy, dodatkowa poszlaka w postaci czarnego loka wystającego spod kaptura i Elspeth wiedziała, z kim ma do czynienia.

— Skif — powiedziała, odprężając się.

Nieźle — usłyszała w myślach. — *Mówiłam Sayvil, że ta przebieranka nie ma sensu, ale nie chciała mi wierzyć.*

Rzuciła okiem na Kerowyn, nie spuszczać wzroku ze Skifa:

— Wrobiłaś mnie, tak? Nie chodziło ci o naprawianie zbroi!

Kero wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, że tak, do diabła. Jutro ją skończysz. Teraz już wiesz, że będziesz potrafiła to zrobić, gdybyś się kiedyś znalazła w opisywanej przeze mnie sytuacji. Jeśli nie będziesz zdawała sobie sprawy ze swoich umiejętności, nie weźmiesz ich pod uwagę przy rozwiązywaniu problemu. Ale, ale. . . — jej głos stwardniał, kiedy Skif zaczął się chyłkiem wymykać, a Elspeth miała zamiar pójść w jego ślady. — To, że go rozpoznałaś, nie znaczy, że odwołuję ćwiczenia. Dalej, zaczynajcie tam, gdzie skończyliście.

— Tym? — zważyła Elspeth, patrząc na nożyk.

— Tym i czymkolwiek, co ci wpadnie w ręce. Można użyć setek rzeczy, łącznie z ławką. Bronią może być wszystko, dziecko, czas, żebyś się nauczyła impro-

wizować.

Kerowyn nie potrzebowała podawać powodów swego stwierdzenia; nawet jeśli w królestwie żyło się cicho i spokojnie, zawsze mógł się znaleźć ktoś urażony, żądny zemsty albo po prostu wariat, kto zaryzykowałby życie, aby zabić następcę tronu. A z dwoma wrogimi sąsiadami, Hardornem i Karsem, nie żyło się cicho i spokojnie.

„Bronią może być wszystko? O czym ona mówi?” Elspeth nie miała jednak czasu na zastanowienie, bo Skif na nią ruszył. Obeszła go, odwróciła nóż, nie chcąc go naprawdę zranić, i machnęła mu przed oczami ręką. Zignorował to, próbując ją złapać; jak na razie nie pokazał żadnej broni. „Czyli ma za zadanie schwytać, nie zabić. Ja mam łatwiej, on ma trudniej...” Względnie łatwiej. Skif nauczył się walczyć w podłych dzielnicach Haven. Nawet w stolicy Valdemaru istniało ubóstwo i przestępczość, a Skifa wychowało i jedno, i drugie. Wcześniej osierocony praktykował u wujka złodzieja, a kiedy wujka złapano, sam zaczął kraść. Prawdopodobnie tylko wybór ocalił go od stryczka albo śmierci z rąk konkurencji. Jego styl walki był mieszaniną wszystkiego: zapasów i brudnych sztuczek, śmiertelną kombinacją skuteczności i zdradliwości. Talia, osobisty herold królowej, nieco się od niego nauczyła, ale nikt nie chciał się zgodzić, aby udzielał też lekcji Elspeth. A przynajmniej nie takich. Uczył ją rzucania nożem, co ocaliło życie jej i Talii, ale Selenay nie chciała się zgodzić, aby dziedziczka znała sposób walki ulicy i była głucha na błagania córki.

Wiele się jednak zmieniło. Po pierwsze, przybyła Kerowyn, która wysłała jednego ze swych skrytobójców, aby udowodnić Selenay, że ona i jej córka potrzebowały ochrony, jaką może dać tylko najbrudniejszy styl walki. Alberich szkolił królową, Skif i Kero uczyli Elspeth, a lekcje były bolesne.

„Dirk nauczył mnie takich rzeczy”, powiedziała sobie, okrążając go i śledząc jego oczy, „których żadne z nich nie zna”. Wyczuła za sobą stertę pancerzy i próbowała sobie przypomnieć, co leży na wierzchu. Coś, czym można rzucić i oślepić przeciwnika?

— No dalej, chłopcze — rzuciła Kerowyn — Zanim ona wezwie pomoc w myślomwie albo jej Towarzysz sprowadzi kawalerię.

Skif odetchnął, kiedy wyciągnęła rękę po skórzany napierśnik. Ruszył jak wąż i złapał ją, gdy się schylała, przelecieli przez stertę i wylądowali na podłodze. Wypuściła nóż z ręki, a zderzenie z podłogą pozbawiło ją tchu. Szarpnęła się w jego uścisku, schwyciła krawędź kaptura i spróbowała ściągnąć go na oczy napastnika, lecz był zbyt mocno zawiązany. Chciała kopnąć Skifa w żołądek, szarpała chustę i kopała go po nogach, bez widocznych efektów. Przygwoździł ją do ziemi, trzepnął w ucho i zawołał:

— Wyliminowana!

„Cholera”. Posłusznie przestała się rzucać. Skif wstał, przerzucił ją sobie przez ramię jak worek zboża i skierował się ku drzwiom. Gapiła się na podłogę i jego

buty, zastanawiając się, co robi jej Towarzysz, kiedy ona jest wynoszona przez swego „zabójcę”.

Tędy nie wyjdzie — odezwała się Gwena. — *Ja blokuję drzwi frontowe, Sayvil tylne. Jedyne dostępne drogi to dach.*

— Nie najlepiej, Skif — powiedziała Elspeth do paska — Towarzysze cię uwięzili.

— No cóż, przerwę — odparł. — Przykro mi, mała, jesteś trupem. Postawił ją na ziemi i Elspeth otrzepała się z kurzu.

— A niech to — rzuciła gorzko. — Mogło mi pójść lepiej. Gdybym miała swoje noże... — Oskarżycielsko popatrzyła na Kero, która kazała jej zostawić je poza salą.

— Nie było tak źle, jak się obawiałam. A kazałam ci się ich pozbyć, bo wszyscy wiedzą, że je nosisz, i za bardzo na nich polegasz. Przeoczyłaś tuzin rzeczy, które mogły posłużyć jako broń. — Skif potwierdził, a pod Elspeth ugięły się nogi.

— Na przykład? — zapytała. Ironią było, że miejsce, w którym się walczyło, całkowicie ogołocoło z broni: nie znalazła niczego nadającego się do użycia przeciw napastnikowi. Na podłodze stała ławeczka i leżała sterta pancerzy; z przyległego pomieszczenia przyniosła narzędzia do reperacji zbroi. Żadnych okien w jej zasięgu; ściany wyczyszczone z broni ćwiczebnej, tylko haki na jednej i lustra na drugiej.

— Ławka — rzucił Skif. — Mogłaś mi ją wkopać pod nogi.

— Kiedy z niej spadałaś, mogłaś chwycić ten skórzany naramiennik — dodała Kero.

— Którekolwiek z luster: rozbijasz i masz ostrza.

— Słońce: zmusić go, by stanął pod światło.

— Lustra: zdezorientować mnie moim odbiciem.

— Igły do skóry.

— Dzbaneł z oliwą.

— Twój pasek... .

— Dobrze! — krzyknęła Elspeth pokonana ich logiką. — O co w tym chodzi?

— O coś, czego się można nauczyć, ale nie na lekcji — powiedziała Kerowyn.

— O podejście. Świadomość, traktowanie wszystkich jak potencjalnych wrogów, wszystkiego jako potencjalnej broni. Wszystkich i wszystkiego, poczynając od obcego i halabardy na ścianie, a kończąc na twojej matce i bieliźnie.

— Nie mogę tak żyć! — zaprotestowała. — Nikt nie może! — A gdy Kero podniosła brew, dodała wąpiąco: — Może?

— Według mnie, żadna koronowana głowa nie może sobie pozwolić na brak takiego podejścia. A mnie też się jakoś udało.

— Mnie też — dorzucił Skif. — To nie ma cię zatruć, tylko uczynić bardziej świadomą tego, co się dzieje wokół.

— Dlatego tutaj zaczynamy naukę. Sala jest w miarę pusta, nawet gdy w niej leżą rzeczy do naprawy. To bardzo ułatwia sprawę. — Zmierzyła Elspeth zielono-niebieskimi oczami. — Zanim stąd wyjdiesz, wymyślisz zastosowanie dla wszystkiego, co się tutaj znajduje.

Elspeth westchnęła, pożegnała się z wizją wolnego popołudnia i zaczęła łamać sobie głowę.

W końcu Kero wyszła do innych zajęć i przekazała Skifowi prowadzenie lekcji. Elspeth odetchnęła z ulgą; Skif nie umywał się nawet do łagodnej Kerowyn, a co dopiero do srogiej. Młodzi heroldowie narzekali na lekcje Albericha, teraz jęczeli, bo wzięła się za nich Kerowyn, i otwartą kwestią pozostawało, kto z tej dwójki był gorszy. Elspeth usłyszała kiedyś, jak młoda dziewczyna twierdziła, że sam fakt, iż zbrojmistrz się nie starzał, był wystarczającym przekleństwem, a dodanie mu zmiennika po prostu wołało o pomstę do nieba. „Chociaż właściwie”, pomyślała wtedy, „co nie woła?”

Skif jeszcze chwilę ją męczył, a potem się zlitował i zrezygnowawszy z lekcji o podejściu do życia, przeszedł do normalnej, twardej walki na noże, co uspokoiło nieco nerwy Elspeth, choć nie jej ciało. Skif mógł być łagodnym wykładowcą abstrakcyjnych problemów, ale kiedy dochodziło do walki, był bezlitosny. W końcu, kiedy oboje tak się zmęczyli, że popełniali podstawowe błędy, postanowił przestać. „Teraz każdy nowicjusz mógłby mnie wykończyć”, przeszło jej przez głowę.

— Wystarczy — wydyszał Skif, osuwając się na podłogę, a Elspeth opadła na ławkę, a potem wyciągnęła się na niej, spychając pancerz na ziemię. Słońce wpadało przez okna pod innym kątem; nie kładło się plamami na podłogę, tylko na ścianach. Jeszcze nie był to czas na kolację, ale na pewno późne popołudnie.

— Muszę jeszcze poćwiczyć maleństwa — ciągnął — a poza tym, jeśli będę się z tobą spotykał bez przyzwotki, znów zaczną się plotki, a na wysłuchiwanie takowych nie mam ochoty.

Wykrzywiła się i otarła pot z czoła. Ostatnim razem, kiedy ktoś rozpuścił pogłoski o jej romansie ze Skifem, musiała się usprawiedliwiać przed połową Rady i znosić porozumiewawcze spojrzenia heroldów. Nie wiedziała, co było gorsze.

„Wiem przynajmniej, jak się czuli matka i ojczym, kiedy byli w moim wieku. Za każdym razem, kiedy ktoś był interesujący — albo zainteresowany — odstraszały go stada swatek. Myślałam, że ludzie mają poważniejsze problemy”. Niedobrze tylko, że za jej pozycję musiał płacić Skif; na pewno mogła coś na to poradzić, lecz była zbyt zmęczona, aby się nad tym zastanawiać.

— W takim razie do zobaczenia — powiedziała. — Mam jeszcze coś do zrobienia przed kolacją, jeśli, oczywiście, zadowolili cię poczynione przeze mnie postępy.

— Owszem. — Wstał z trudem. — Pod koniec ja robiłem więcej błędów. Broń

najbliżej twojej prawej ręki?

— Ławka — odparła bez namysłu. — Spadam z niej i kopię w twoją stronę.

— Myślałem o nożycach na podłodze, ale w porządku. Zobaczymy się na kolacji?

— Nie dzisiaj. Do ojca przybyło poselstwo z Rethwellanu, czyli będę jadać z Radą, dopóki nie wyjedzie. — Uniosła się na łokciach i uśmiechnęła przepraszająco: — Jeśli nie zobaczą całej rodziny razem, będą podejrzewać, że spiskuje za ich plecami.

Skif był zbyt dobrze wychowany, aby odpowiedzieć, ale oboje wiedzieli, dlaczego posłowie mogli tak myśleć. Ojciec Elspeth, książę Rethwellanu, spiskował przeciw swej żonie, królowej Selenay i próbował ją zabić. „Nie najlepsza polityka zagraniczna...” W Rethwellanie nikt nie popierał jego dążeń, a dwaj bracia nie kochali go zbyt, więc śmierć księcia nie pociągnęła za sobą konsekwencji. Królowa przyjęła przeprosiny przerażonego króla i zapomniano o całej sprawie.

Ale po latach wojna i dotrzymanie obietnicy danej dziadowi Selenay przywiodły jednego z braci, księcia Darena, na pomoc królowej i nieoczekiwanym wynikiem spotkania była nie tylko miłość, ale też więź życia. Rethwellan utracił lorda wojny, a Valdemar zyskał współwładcę, gdyż Darena, jak Kerowyn, Towarzysz wybrał dosłownie na polu bitwy. Czy noc poślubna nastąpiła po czy przed ślubem, było kwestią sporną; bliźnięta przyszyły na świat dokładnie dziewięć miesięcy po zaślubinach. A to sprawiało, że dziedziczka tronu, Elspeth, miała niespodziewanych rywali. Elspeth, której ojciec chciał krwawo przejąć tron... Gdzieniedzie szeptano o „złej krwi”. Faram, król Rethwellanu i brat jej ojca i ojczyma, nie miał co do niej takich wątpliwości, ale niektórym trzeba było od czasu do czasu przypominać, że zdrada nie jest chorobą dziedziczną.

Elspeth wstała i rozprostowała obolałe nogi.

— Chciałabym... — przerwała w połowie.

— Czego, kotku?

— Nieważne. Naprawdę. Zobaczę się z tobą jutro po naradzie, o ile Kerowyn nie zagoni mnie do czyszczenia stajni czy jakiegoś równie bohaterskiego zajęcia.

Roześmiał się i wyszedł z sali, zostawiając Elspeth z jej myślami. Pozbierała rozrzucone przedmioty i opuściła pomieszczenie, zanim Kerowyn mogła wrócić i przyłapać ją na „nieróbstwie”.

Ciepły letni wiatr rozwiął jej włosy i osuszył pot. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo i puściła się biegiem w stronę ogrodów. Ścieżka, którą wybrała, prowadziła do warzywnika i używali jej tylko służący; docierało się nią do budynków gospodarczych. Nie zdziwiło jej, że nikt też nie spodziewał się znaleźć tam następczyni. Skierowała się ku małej garncami. Budynek wyróżniał się spośród innych tylko kominem i małym okienkiem, ale nawet to nie czyniło go niezwykłym; od lat wypalano tam garnki i suszono zioła, co tym bardziej doceniała Elspeth.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, poczuła się tak, jakby ktoś zdjął jej z ramion wielki ciężar. Tutaj było jej królestwo, tylko jej; tak długo, jak nie zaniedbywała swych obowiązków, nikt jej tu nie przeszkadzał. Małe królestwo; ława i stołek pośrodku, zlew, koło garncarskie, glina, półki i piec do wypalania ceramiki; nic nie przypominało jej o powinnościach i Elspeth mogła być tylko Elspeth. Całkiem niezłe królestwo; nie miała ochoty rządzić niczym większym. Na najwyższej półce stały jej dzieła, te, które uznała za godne przechowywania. Były wśród nich pierwsze poprawnie zrobione garnki, rzeczy bardziej skomplikowane i wreszcie ostatnio wykonane odlewy.

Bliźnięta przechodziły przez etap rywalizacji: kiedy jedno coś dostało, drugie musiało mieć dokładnie to samo, ale inne. Jeśli Kris dostał konika, Lyra musiała dostać konika — dokładnie tej samej wielkości, kształtu i długości ogona. Ale jeśli konik Krisa był kasztanowy, ona chciała bułanka, izabelowatego albo deresza; gdy Kris dostał fort, ona musiała mieć wioskę — tej samej wielkości, o tej samej ilości budynków, z tyłoma samymi lalkami w środku, i tak dalej. Zgadzały się tylko co do Towarzyszy, bliźniaczych jak one same.

„Nie, żeby potrzebowali Towarzyszy — zabawek”, pomyślała Elspeth. „Już teraz, kiedy matka zabiera je ze sobą na łąkę, któryś chodzi za nimi krok w krok. Bez wątplenia zostaną wybrane!” Gwena twierdziła, że pozostawała tylko kwestia, przez którego, a najwidoczniej wiele Towarzyszy chciało tego dokonać. *Zapamiętaj moje słowa, powtarzała radośnie, za parę lat będą się o nie bić!*

Utrudniało to bardzo kwestię prezentów. Identyczne rzeczy w różnym kolorze doprowadzały ludzi do szału; dzieci z drobnych szczegółów czyniły argumenty na rzecz „moje jest lepsze”. Na szczęście wpadła na pomysł robienia odlewów i jej pierwszym prezentem były nocne lampki w kształcie ludzików, w których otwartych ustach paliła się lampka oliwna. Spodobały się tak bardzo, że postanowiła zrobić lalki, które byłyby tak podobne do bliźniąt, jak tylko jej mierny talent rzeźbiarski pozwoli. „Całe szczęście, że są jeszcze na etapie dziecinnych kształtów. Na nic więcej nie byłoby mnie stać”, pomyślała, patrząc na rząd główek z zielonej gliny. Resztę załatwi ubranie laleczek w miniaturowe ulubionych strojów bliźniąt, będzie jednak musiała poprosić o pomoc; może Talię, przekupi ją laleczką dla jej syna Jemmiego. Elspeth umiała zszywać, ale z jej haftów „koń by się uśmieł”, jak sama stwierdzała. Podobnego zdania była Keren. Lyra szalała na punkcie koni, może trochę za wcześnie, ale i bliźnięta, i Jemie, rozwijały się szybciej od innych dzieci. Kris zwariował na punkcie straży; twierdził, że gdy dorośnie, zostanie jej kapitanem (na co Towarzysze parskały z irytacją). Elspeth nie potrafiła zrobić miniaturowego miecza czy butów do konnej jazdy, ale Keren lub Sherrill powinny sobie z tym poradzić.

Pierwsze trzy główki były do wyrzucenia, czwarta doskonała, piąta możliwa, a szósta...

Położenie drzwi i okna wymagało, żeby siedziała do nich plecami, wobec

czego nie oliwiła zawiasów, aby skrzypiały za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi.

Zamarła, gdy usłyszała za sobą cichutkie skrzypnięcie, a potem wróciła do oglądania główki. Dotknęła szybko myślą przybysza i przekonała się, że to znowu Skif, który sądził, iż wyrzuciła już lekcję z pamięci, a na terenie chronionym przez straż pałacową pozwoli sobie na beztróskę.

„Nawet o tym nie myśl, kolego”. Kiedy skradał się za jej plecami, zsunęła się ze stołka i zahaczyła stopą o jedną z jego nóg. Gdy się poruszył, pociągnęła stołek, obróciła się i jednym płynnym ruchem kopnęła go pod nogi intruza.

Nie spodziewał się oporu ani tego, że to on się będzie bronił. Stracił równowagę, zaplątał stopy w stołek i nie mógł się podnieść. Upadł, pociągając stołek za sobą, trzasnęło łamane drewno, a Skif wylądował na plecach. Stała nad nim, potrząsając głową w odpowiedzi na szeroki uśmiech.

— Eee...

— Nie wiesz, że należy zapukać? — zapytała. Podniosła stołek, który miał połamane wszystkie cztery nogi i nadawał się tylko do wyrzucenia. — Nowe krzesło poproszę. To nie było głupie, Skif, ale niebezpieczne. Mogłeś uszkodzić moje najlepsze rzeczy.

— O moich najlepszych rzeczach nie wspominając — mruknął. — Nie przepraszę cię, nawet na to nie licz. Dobrze wiesz, że zaplanowaliśmy takie zasadzki.

„Ale nie tutaj, gdzie mogę odpocząć; nie w tym jedynym miejscu, w którym mam spokój”.

— To nie zmienia faktu, że chcę zadośćuczynienia. — Wypróbowała stabilność stołka i ostrożnie na nim usiadła, krzyżując ramiona, aby Skif nie dostrzegł jej zdenerwowania. — Mogłeś coś potłuc. Nie proszę o wiele, tylko chciałabym mieć spokój, kiedy tu jestem.

Nie powiedział „Powiedz to napastnikowi” ani nie wygłosił wykładu, tylko uśmiechnął się i wstał z podłogi, otrzepując biały mundur.

— Gratuluje — rzekł. — Poradziłaś sobie lepiej, niż oczekiwałem. Przyszedłem tu za tobą, bo wiedziałem, że będziesz zmęczona i roztargniona.

— Wiem — warknęła patrząc, jak podnosi brwi, gdy zrozumiał, co powiedziała. Po pierwsze, że odkryła jego obecność wystarczająco szybko, aby odczytać myśli, i po drugie, że odczytała je, wiedząc już, kim jest. To było nieetyczne; heraldowie nie powinni odczytywać cudzych myśli bez zgody tej osoby. Ale jeśli on naruszał jej prywatność, odpłacała pięknym za nadobne. „Niech się zastanawia, co jeszcze udało mi się odczytać”.

— Och! — Nie zamierzał wygłaszać teraz wykładu o dobroczynnych skutkach złamania prywatności. — Do zobaczenia.

— I przynieś ze sobą nowy stołek — poradziła, odwracając się do niego plecami. W ręce nadal ścisnęła lalczyną główkę, a raczej to, co z niej zostało. Wyrzuciła ją do śmieci.

Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy na ławie leżało pół tuzina główek zdalnych do użytku, a kosz na śmieci zapełniały niedoskonałe. Oczyszczenie ich było nudne, pracochłonne i bardzo pożądane; nie miała ochoty nikogo oglądać, dopóki się nie uspokoi.

Kiedy poczuła za sobą powiew powietrza, który oznaczał, że drzwi znów otworzono, wcale jej to nie rozbawiło. „Zabiję go”. Przygotowała się, żeby wrzasnąć mu w myślach do ucha, gdy pierwszy kontakt myślowy przyniósł nieoczekiwany wynik. To nie był ani Skif, ani Kerowyn, ani nikt znajomy.

Pochyliła się instynktownie, a coś przeleciało jej nad głową i utkwilo w ścianie naprzeciwko; nóż myśliwski, zwykły i nie do wykrycia. Zamarła patrząc, jak lekko drży, a potem, zanim przeciwnik zorientował się, że spudłował, do głosu doszły długie lata treningu. Kopnęła w jego stronę stołek, przekoziołkowała pod ławą i wynurzyła się po drugiej stronie. Odrzucił stołek, zatrzaskał drzwi i zarygłował je; chwilę później zadrżały pod kopytami Gwenty. „Gdyby to miejsce było bardziej umeblowane...”

Obcy trzymał w ręce drugi nóż. Zignorował rzenie Gwenty i jej atak na drzwi, ruszył w stronę Elspeth. Schwyciła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w ręce: na wpół oczyszczoną głowę lalki. Nie zraniła go, ale rozproszyła jego uwagę na tyle, że zdołała wyskoczyć zza ławy i dopaść stołka; używając go jako tarczy i piki jednocześnie, spróbowała przygwoździć napastnika do drzwi. Niestety, stołek za dużo przeszedł i jedno szarpnięcie połamało jego nogi do reszty. Rzuciła w obcego siedzeniem, które zostało jej w ręce, a gdy się uchylił, zdołała złapać to, co było najbliższe.

Tym czymś okazało się jej ulubione naczynie, smukła waza o dwóch uszach... Trzasnęła nią o ścianę, a w rękę został jej długi, ostry odłamek: nóż z rękojeścią.

Rzuciła się na napastnika, zdeorientowanego trzaskiem tłuczonej wazy i kompletnie bezbronego; schwycił ją, a ona wykorzystała szansę, jaką dawał jej kawałek ceramiki. Zanim zorientował się, co chce zrobić, przejechała mu nim po gardle, a Gwena w tym samym momencie wpadła do środka.

— W porządku? — zapytała Kerowyn, ocierając czoło Elspeth mokrą szmatką. Dziewczyna przestała się trząść, oblizwała usta i skinęła głową.

— Tak myślę. — Oparła się o ścianę garncami i zamknęła oczy. Znalaziono ją w trawie, pokrytą krwią i wymiotującą, ze stojącą tuż obok Gwena na straży. Ciągle czuła mdłości, mimo że już się zetknęła ze śmiercią i zabiła lorda Orthallena jednym z noży od Skifa. „Ale nie byłam blisko, tak blisko... Strzelałam z łuku, rzuciłam nożem przez pokój... Nie tak, jak teraz, kiedy całą mnie okrwawił i patrzył...” Znów zrobiło jej się niedobrze.

— Kto to był? — spytała. — Skąd wiedział, gdzie jestem? Jak minął strażę?

— Nie znam odpowiedzi na drugie i trzecie pytanie — odparła Kero. — Nato-

miast co do pierwszego, ma na ręce wytatuowaną pajęczynę, był wyznawcą Zimnego Boga. Wynajmują się jako mordercy i są kosztowni, bo nie obchodzi ich, czy zginą. Albo spłacał dług rodzinny, albo pokutował. Gdybyś ty go nie zabiła, sam by to zrobił.

Elsbeth otworzyła oczy i spojrzała na Kerowyn.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałam!

— Niewielu słyszało; wyznawcy Zimnego pochodzą z bardziej odległego południa niż Geyr. To on mi o nich powiedział po ostatniej próbie zabicia twojej matki i pokazał, czego szukać. Twierdził, że naprawdę zdesperowany Ancar będzie próbował ich wynająć. Nie brałam tego poważnie, a powinnam. To się już nie zdarzy, obiecuję. Miałaś szczęście, zazwyczaj są bardziej ostrożni, a nie ma nic, uwierz mi, nic gorszego od samobójczego fanatyka.

— Ale jak on się dostał do ogrodów? Jak mógł? Wszędzie są strażę!

Kero zmarszczyła brwi.

— Jeśli wierzyć Geyrowi, dzięki m-m-m-magii — wyrzuciła z siebie ostatnie słowo, jakby heroldowi przez usta nie mogło przejść nic poza darami umysłu i zaklęciem prawdy. — Tam jest pełno m-magów Zimnego Boga, którzy zapewniają jego wyznawcom niewidzialność. Moja babka to umiała: ludzie brali ją za kogoś znajomego, kogo spodziewali się zobaczyć. Rzecz rozgrywa się w umyśle, jak myślmowa, lecz działa poprzez zaklęcie. Wielce to niebezpieczne, strażę będą musiały teraz dwa razy sprawdzać swoich znajomych. Niektórym się to nie spodoba...

„Albo mnie nie docenił, albo był niedoświadczony”, pomyślała trzeźwo, podczas gdy Kero rozmawiała ze strażnikiem. „I wydaje mi się, że się nie dowiemy, jak Ancar go znalazł, bo czuję w tym magię”.

Wstała, ciągle drżąc. Jej Biel była zniszczona — choć i tak nigdy nie włożyłaby tego munduru. Znów magia. Cokolwiek chroniło kiedyś Valdemar, już przestało być przeszkodą dla Ancara.

ROZDZIAŁ DRUGI

MROCZNY WIATR

Mroczny Wiatr k'Sheyna przytrzymał swego więź-ptaka Vree na ramieniu i rozejrzał się po otaczającym go morzu trawy. . . Z żalem? Z zazdrością? Jednym i drugim, zapewne. Stał na skraju wysokiego urwiska, u stóp którego rozciągała się Równina Dhorisha; doskonałej bariery dla wszystkich, którzy źle życzyli Shin'a'in. Aby zejść na Równinę, należało znać drogę, a intruzów widziano z daleka nad wysoką trawą.

Więź-ptak rozłożył skrzydła w ciepłym wietrze. Żer — usłyszał jego myśl, proste pojęcie, nie tyle myśl, co potok obrazów: króliki, myszy, przepiórki, wszystkie z punktu widzenia myszołowa, zanim uderzy. Doprawdy, żer. Jakikolwiek myśliwy na Równinie bez pomocy magii zmieniłby się szybko w zwierzyne łowną. Samo miejsce by go pokonało, dostrzegłoby go nawet dziecko; nie znając źródeł ani znaków pomagających orientować się w terenie, natychmiast zgubiłby się pośród traw i łagodnych wzgórz. Połowę pracy strażników i zwiadowców patrolujących granicę wykonywała Równina.

Mroczny Wiatr westchnął i wrócił do swojego cichego, chłodnego lasu. Wschodnią granicę terytorium k'Sheyna stanowiła Równina, ale na zachód i południe ciągnęły się lasy, niebezpieczne jak wszyscy diabli.

Chory — poskarżył się Vree, a Mroczny Wiatr zgodził się z nim. Magia zatrzała tę krainę, zwaną przez obcych Wzgórzami Pelagir. Magia rozplynęła się po ziemi, zmieniając wszystko, co napotkała na swojej drodze, czasami na lepsze, znacznie częściej na gorsze. Posadził Vree na swym okrytym skórzaną rękawicą nadgarstku i wyrzucił w powietrze. Myszołów wzleciał z radością; w odróżnieniu od towarzysza, lubił patrolować lasy. W bezpiecznej Dolinie k'Sheyna mógł tylko polować, a to go nie zadowalało; Vree stworzono do patrolowania i strzeżenia, a najszczęśliwszy był, lecąc przed Mrocznym Wiatrem na zwiad.

Mroczny Wiatr nie miał nic przeciwko patrolom, chociaż zwiadowców k'Sheyna było zastraszająco niewiele. Został przecież vayshe'druvon: zwiadowcą, strażnikiem, obrońcą. „To przez magię”, tłumaczył sobie nie po raz pierwszy,

„gdyby nie magia...” Za każdym razem, gdy napotkane zagrożenie miało coś wspólnego z magią i usiłował znaleźć na pokonanie go sposób inny niż używanie zaklęć, bolało go serce. A jeszcze gorsze było nastawienie jego ojca, przeklinającego syna za to, że nie chce używać magii, uparcie odmawiającego zrozumienia powodów, które przywiodły go do tej decyzji...

„Gdybym mógł się przenieść w czasie i pozabijać tych głupców, którym wymknęło się to spod kontroli, zrobiłbym to i zamordował ich gołymi rękami”, pomyślał z wściekłością. Kiedy wybierał drzewo, na które chciał się wspiąć, nadal był zły. Tym razem zdecydował się na masywny dąb, wyjął zza pasa rękawice do wspinania i wsunął je na dłonie. Małe kolce na wewnętrznych stronach pozwalały mu się wspiąć bez zostawiania śladów na drzewie, tak jak buty pokryte shakras. Po chwili był już wśród gałęzi i obserwował teren. Jeśli pojawiali się intruzi, szli po ziemi; zwiadowcy najczęściej przebywali w koronach drzew, skąd widzieli wszystko nie będąc widzianymi.

Przystąpił oczy i wybrał drogę po gałęziach drzew. Z plecaka wydobyl kij, przeszedł po gałęzi jak po ścieżce, inną przyciągnął bliżej hakiem trzymany w rękę i przeskoczył na świerk. Przeszedł obok jego pnia, wybrał kolejne drzewo i przewiesił się na jego gałąź, podciągając się wyżej. Kiedy tak się przemieszczał, powrócił myślami do dzikiej magii: „To, co zrobiła z tą ziemią, z nami, jest niewybaczalne. A co mogłaby zrobić, jest znacznie gorsze”. Nieważne, że Tayledras ją zatrzymali, oczyścili zniekształcone przez nią miejsca i uczynili bezpiecznymi dla ludzi i zwierząt. Chodziło o to, że czasami ich potomkowie zmieniali się w coś nierozpoznawalnego.

„Ale to nie jest nasze zadanie. Nasze zadanie jest stokroć bardziej niebezpieczne, a mój ojciec o nim zapomniał, opętany władzą i mocą”. Mroczny Wiatr spojrział ku bezdrzewnej Równinie. Shin’a’in nie mieli takich problemów, bo nie zadawali się z magią. „Dziwne, że kiedyś sami nią byli...” Bardzo dziwne, szczególnie że Tayledras i Shin’a’in byli swymi lustrzanymi odbiciami. Kaled’a’in, najbardziej zaufani sprzymierzeńcy zapomnianego maga sprzed stuleci. Tayledras znali go jako „milczącego maga”, a Shin’a’in zachowali jego prawdziwe imię w wyplatanych kobiercach, ale jakoś nie mieli ochoty go zdradzać.

„Ojciec zapomniał, że obowiązkiem Sokolich Braci jest uleczyć kraj z ran zadanych magią, nawet jeśli Bogini zaopiekowała się Równiną”. Czasami czuł się bardziej związany ze swymi „krewnymi” z Shin’a’in niż z własnym klanem. „Prawdę mówiąc, ich zadanie jest bardziej niebezpieczne”, pomyślał, otrząsając się. Sokoli Bracia wyczyścili, ale Shin’a’in strzegli. A to, czego strzegli... „Gdzieś pod ziemią, na Równinie, ukryta jest broń, od której się to wszystko zaczęło. A nie wszystko potrzebuje adepta...” Przeszkodą byli tylko Shin’a’in. „Nie zazdroszczę im”

Ludzie — podniósł alarm Vree, krzyząc głośno. Mroczny Wiatr zamarł i dotknął myśli Vree na tyle długo, żeby widzieć przez oczy więź-ptaka. Złapał się

pnia i wbił w niego paznokcie, bo bezpośredni kontakt z umysłem myszołowa zawsze powodował dezorientację. Dojrzał obcych z góry, przez gałęzie, jak podnoszą głowy, zaniepokojeni krzykiem ptaka, a potem spiralny lot myszołowa nadał ich twarzom obcy, płaski wyraz. Ta dziwność pozwalała mu pamiętać, że nie patrzy własnymi oczami: wszystko było bardziej czerwone, bo Vree dostrzegał inne kolory niż człowiek. Podróżował w jego mózgu, nie mógł nim sterować; Vree ufał mu na tyle, że czasami pozwalał sobą kierować, a Mroczny Wiatr nigdy nie nadużył tego zaufania, poza tym wolał obserwować. Vree dostrzegł, że jeden z obcych podnosi coś, co było prawdopodobnie bronią, i zanurkował między gałęzie, zanim Mroczny Wiatr zauważył coś oprócz ruchu ramienia.

Zwolnił połączenie, puścił pień i pobiegł po gałęziach, używając kija do balansowania. Na początku bardzo długo musiał przychodzić do siebie po łączności z Vree... Niektórym nigdy się to nie udało, szczególnie po pierwszym razie. Lot i polowanie oszałamiały ich i nie potrafili się uwolnić. Jeśli nikt ich nie znalazł, mogli umrzeć: ciała pograżone w śpiączce, umysł zlewający się z ptasim, kurczący się, aż w końcu nic z nich nie zostawało.

Coś takiego nie zdarzyło się od dawna, chociaż kiedy Mroczny Wiatr był mały, jeden ze zwiadowców został przywalony przez drzewo. Daleko od uzdrowiciela, zlał swój umysł z ptasim, nie chcąc powrotu do okaleczonego ciała. Powoli zniknął, aż w końcu pewnego dnia ptak odleciał i nigdy go nie znaleziono. „Wolniejsza śmierć, ale śmierć”, pomyślał, przeskakując na rozdwojony konar sosny. Wolałby uniknąć takiego parszywego wyboru.

Zwolnił w pobliżu obcych, opadł na ręce i przesunął się po drzewie jak kot, nie poruszając liści. Intruzi i tak nie zwróciliby na to uwagi, bo choć znajdowali się na zakazanym terenie, wykrzykiwali do siebie i śmiali się głośno.

Zagryzł usta. „Będę miał dla nich niespodziankę. Szczęście, że natknęli się na mnie. Każdy inny, z ojcem na czele, naszpikowałby ich strzałami albo spopielił bez zwracania sobie głowy tym, czy to głupcy, ignoranci czy wrogowie. Co nie znaczy, że to docenią, bo i tak ich stąd wyrzucę”.

Było ich siedmiu, on jeden, a to, że przeżył będąc zwiadowcą, zawdzięczał ostrożności. Wezwał Vree, bo nie mógł porozumieć się w myślomwie z dwoma najbliższymi zwiadowcami.

Ogłoś alarm — rozkazał, a Vree wiedział, co to znaczy. Przez inne więź-ptaki dotrze do zwiadowców; jeśli Mroczny Wiatr nie będzie potrzebował ich pomocy, da im znać tą samą drogą i zawrócą. Ale jeśli będzie ich potrzebował, wyruszą natychmiast.

Posuwał się za intruzami, którzy swą niezdarnością wystraszyli wszystkie zwierzęta wokół i zostawiali za sobą ślad w postaci zniszczonych roślin i mocnego zapachu stratowanych igieł sosnowych. Dwóch nie nosiło broni; reszta była uzbrojona i w pancerzach. Vree ocenił ich krótko: *Szczenięta*, przesyłając obrazy włochatych miśków i wilczków z wielkimi łapami. Mroczny Wiatr zaśmiał się.

Śledzenie nie przyniosło rezultatów; nic, co powiedzieli obcy, nie odstąpiło ich zamierzeń. Westchnął i zdecydował, że trzeba stanąć z nimi oko w oko. Zsunął się po gałęziach, schował kij, naciągnął łuk i czekał.

Wpadli na niego; pierwszy zauważył go jadący na przodzie — zwykły człowiek w brązowym, skórzanym pancerzu, wojownik, nie znający lasu. Krzyknął i podskoczył, choć Mroczny Wiatr się nie ruszył; oczywiście, kamuflujący ubiór i włosy ufarbowane na brązowo były prawie doskonałym zamaskowaniem, ale nie czyniły go niewidzialnym. „Miastowi”, parsknął, „powinny się nimi zająć lodowe smoki...” Niestety, nie było ich na ziemiach k’Sheyna, ani niczego innego mogącego zagrozić człowiekowi, oprócz gryfów i ptaków ognistych, ale równie dobrze mogły być one celem tych mężczyzn. Mroczny Wiatr nie chciał, aby jego przyjaciele i podopieczni stali się zdobyczą tych tutaj.

Przemówił, zanim otrząsnęli się z szoku, w kupieckim języku używanym przez Shin’a’in w kontaktach z obcymi:

— Wkroczyliście na ziemie k’Sheyna — warknął. „Blef, ale nie wiedzą, mam nadzieję, że jest nas tu tak mało. Niech się zastanawiają, czy mówi do nich Tayledras, czy ktoś inny”. — Odejdźcie drogą, którą przyszlście. Już.

Na pewno nie przeoczyli łuku w jego rękach ani zakończonego hakiem kija na plecach, o groźbie w głosie nie wspominając. Jeden zaczął się stawiać; ktoś go natychmiast uciszył. Prowadzący zmarszczył brwi i ocenił go powoli.

— Jest tylko jeden — szepnął oponent, nie zdając sobie sprawy z wyczulenia słuchu Tayledras; ten drugi odwarknął:

— Tylko jednego widzimy, głupcze. Zajmę się tym.

Wysunął się naprzód, przed Skórzany Pancerz.

— Przepraszamy, panie — powiedział z fałszywą uprzejmością — ale skąd mieliśmy wiedzieć? Żadnych znaków, posterunków granicznych...

— Tayledras nie potrzebują znaków — przerwał mu Mroczny Wiatr — a ja jestem strażnikiem. Nakazuję wam odjechać, albo wasze życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. — „Czy to zabrzmiało tak głupio, jak myślę? Czy też przekonałem ich, że nie jestem taki miłutki, na jakiego wyglądam?”

— Nie pozwolę wam przejść — ostrzegł, widząc ich wahanie.

Oponent pociągnął Mówcę za rękaw, a Skórzany Pancerz odwrócił lekko głowę, aby posłuchać toczonyj szeptem narady, lecz nie spuścić Mrocznego Wiatru z oczu. Mówili za cicho, żeby ich usłyszał, a kiedy skończyli, Mówca uśmiechnął się bardzo szeroko i bardzo nieszczerze. „Do diabła, przejrżeli mnie. Wyglądam jak chłopczek i nie naszpikowałem jednego z nich strzałami, zanim ich zatrzymałem. Mój błąd”.

— Oczywiście, że odjedziemy, panie — usłyszał. — Przykro nam, że naruszyliśmy wasze granice.

Mroczny Wiatr milczał. Mówca wzruszył ramionami.

— Doskonale. Panowie...? — dodał, wskazując ścieżkę. Odwrócili się...

„Już to widziałem. Odgadli, że jestem sam i myślą, że mnie przyłapią na nieostrożności. Idioci”. Wezwał Vree i dał nura w krzaki przy ścieżce. Tak hałasowali, że nawet tego nie usłyszeli.

Odwrócili się z dobytą bronią i bardzo zaskoczyło ich to, że zniknął. Zanim zdążyli go zlokalizować, wychylił się z krzaków i przeszył gardło Mówcy strzałą. Zapadł znów w paprocie, gdy Vree spikował i zaatakował odsłoniętą głowę Oponenta. Ten wrzasnął przenikliwie i chwycił się za skalp, a Vree odleciał pomiędzy drzewa. „Jeden z głowy i jeden trafiony. Myślę, że jeśli mieli ze sobą maga, właśnie go wykluczaliśmy”. Z resztą jednak nie pójdzie tak łatwo: Skórzany Pancierz wykrzykiwał rozkazy w nieznanym Mrocznemu Wiatrowi języku, ale kiedy ludzie rozbiegli się i zaczęli go okrążyć, zyskał o nich jakieś pojęcie. „Chcą żywego Sokolego Brata czy martwego strażnika?” Odpowiedź miała duże znaczenie, bo jeśli żywego, to mógł sobie z nimi poradzić; jeśli trupa, będzie mu gorąco. I przyszła chwilę później, razem ze strzałą przelatującą mu tuż przy uchu i milczeniem Skórzanego Pancierza. „Martwego strażnika. Cholera. Coś nie mam dziś szczęścia. . .”

Przynajmniej dwóch ludzi miało łuki, a nie chciał posyłać ptaka pod strzały. Kazał myszołowowi zostać wśród gałęzi, a sam zaszył się głębiej w krzaki. I to był błąd, bo po chwili stwierdził, że jest otoczony. „Trzeba być mną, żeby się władować prosto na doświadczonego dowódcę”. Mógł spróbować znaleźć lepszą kryjówkę albo usunąć tego, kto był najbliżej. „Lepsza kryjówka strzały nie powstrzyma”. To go przekonało: odłożył łuk i wyjął swój kij.

Wyskoczył z kryjówki z krzykiem zadziwiająco podobnym do głosu Vree; człowiek najbliżej niego padł w tył z przekleństwem, ale było za późno: źle obliczył długość kija i hak, który złatwością chwycił grube gałęzie, przepołowił mu twarz i utkwiał w oku. Mroczny Wiatr wyrwał hak i znów zapadł w chaszczę, a wystrzelona w jego kierunku strzała minęła cel.

„Zostaje czterech”.

Bracia idą — oznajmił Vree i dodał z nadzieją: — Vree poluje?

Nie, do diabła, kupo pierza, zostań tam, gdzie jesteś!

? — zapytał ptak. Mroczny Wiatr przeklął swą głupotę. „Znów za bardzo skomplikowałem”. — *Strzały!*

! — przyszła odpowiedź, a szelest w liściach oznaczał, że zaraz go ktoś dopadnie. Delikatnie dotknął myślą napastnika, gotów się wycofać, gdyby tamten miał jakieś dary. Nie, zwykły, nieobdarzony, ale to był Skórzany Pancierz. Na niego sztuczka z krzykiem i kijem nie podziała. Wycofał się, zastanawiając się, gdzie byli wezwani przez Vree dwaj strażnicy; nie mógł z nimi myślmówić, dopóki nie byli naprawdę blisko, ale więź-ptaki pozostawały ze sobą w ciągłym kontakcie, szkolone, aby służyć za pomost.

Szelest ustał. Pozostawali tak w bezruchu, aż noga Mrocznego Wiatru zaczęła cierpnąć.

Vree, udaj rannego. Znajdź człowieka bez strzał i sprowadź go do Braci — wymyślił w końcu. Stara sztuczka, ale miastowi mogli dać się nabrać. Chwilę później usłyszał krzyk Vree, cichnący w oddali. Szelest ustał, ktoś cicho przeklął i znów zaszeleścił.

„Czterech”. Poruszył się, ale ścierpnięta noga sprawiła, że stracił równowagę; nie upadł, jednak wyciągnięte ręce trafiły na suchą gałąź, która pękła z trzaskiem. Ponieważ krzaki nie pozwalały na dobry strzał, Skórzany Pancierz dążył do zwarcia. Pech znów dał o sobie znać, bo gdy dobiegł do kamieni, z cienia wystrzeliło bolas i owinęło się wokół jego kostek. Przekoziołkował padając, a gdy podniósł głowę, miał przed sobą ostrze miecza trzymanego przez Skórzany Pancierz. Po chwili dołączył do niego mężczyzna z okrwawioną czaszką.

— Żaden chudy gnojek nie będzie nam mówił, dokąd możemy pójść — wyszczał Skórzany Pancierz. — Szczeniak bawi się w strażnika, co? Ach, wy źli i straszni Sokoli Bra. . .

Przerwały mu dwa okrzyki. Obcy rozejrzeli się, co dało Mrocznemu Wiatrowi czas na dobiecie sztyletu, a Vree na понижение lotu.

— Kto ci powiedział, że jestem sam? — zapytał łagodnie. Szybki ruch nadgarstka i nóż utkwiał w oku Skórzanego Pancierza; Vree zaskoczył drugiego od tyłu uderzeniem szponów w plecy, a gdy ten upadł, wbił mu dziób w kark i przerwał kręgosłup, potem otrzepał skrzydła i wrzasnął triumfalnie. Mroczny Wiatr zlizął krew z wargi, którą przygryzł padając, i podniósł się powoli. Otrzepał ubranie i czekał, aż Vree się trochę uspokoi, zanim nawiąże z nim kontakt. Jak wszystkie drapieżniki, więź-ptaki były najbardziej niebezpieczne w chwili, gdy już zabiły, bo krew ciągle się w nich gotowała i zapominały o wszystkim z wyjątkiem pościgu.

Gdy już się obaj uspokoiłi, wezwał Vree na rękawicę. Protestował, więc Mroczny Wiatr dotknął go myślą — delikatnie, żeby nie dać się wciągnąć w umysł drapieżcy — i uspokoił. Wyprostował ramię i ponownie poklepał rękawicę; tym razem Vree posłusznie wzbil się w powietrze i ciężko wylądował na pokrytym skórą nadgarstku.

Mroczny Wiatr zignorował ofiarę więź-ptaka i wyciągnął z ciała drugiego nastnika swój nóż. Co prawda nie zadawał śmierci w sposób ładniejszy, niż to czynił myszołów, ale czasami zapominał, że nosi ze sobą urodzonego mordercę. Myszołowy hodowane przez Tayledras, największe z ich więź-ptaków, z łatwością mogły zabić człowieka.

„Przynajmniej ich nie zjada”, pocieszył się. Vree czyścił swe szpony, jakby same ślady krwi wzbudzały w nim obrzydzenie. Nagle poruszył się, a Mroczny Wiatr zmartwiał. *Bracia idą* — przekazał więź-ptak i wrócił do czyszczenia szponów.

Nawet dla Mrocznego Wiatru pojawienie się Sokolich Braci przypominało nagłe ożywienie fragmentu lasu. Kiedy zobaczył przed sobą Ognistą Burzę, po

raz kolejny docenił kamuflaż zwiadowców. Słyszał, że obcy opowiadają, iż tak naprawdę wszyscy Tayledras to kopia jednego człowieka. „Rzeczywiście, obcy mogą tak myśleć...”

Ubrania zwiadowców przypominały swą jednorodnością mundury: tunika i spodnie ufarbowane na zielono, szaro i brązowo. Oczywiście, wzory były odmienne, ale dla obcych musiały wyglądać na identyczne; a już na pewno ich włosy różniły się tylko długością. Sokoli Bracia mieli białe włosy; w Dolinach, w otoczeniu magii, ich włosy bieleły a oczy stawały się stalowoniebieskie w wieku dwudziestu lat: szybciej, jeśli byli magami. Zwiadowcy farbowali się na brązowo, aby dopasować się do otoczenia — reszta klanu pozostawała białowłosa.

Nigdzie nie było widać więź-ptaka Ognistej Burzy, ale gdy młody zwiadowca się zbliżył, Kreel wylądował na jego wyciągniętym ramieniu. Kreel różnił się od Vree: był mniejszy i miał szersze skrzydła. Żaden jeszcze nie wyblakł; Mroczny Wiatr porzucił magię, a Ognista Burza nigdy jej nie używał, więc zanim więź-ptaki staną się ti'aeva'leshy'a, „leśnymi duchami”, śnieżnobiałymi „upiornymi ptakami”, upłynie sporo czasu. „Trochę szkoda. Białe ptaki zazwyczaj budzą śmiertelny lęk u obcych, moglibyśmy to wykorzystać, Vree i ja — gdyby ta banda najpierw jego zobaczyła, nie mieliby ochoty zadawać się ze mną”. Vree miał naturalne białe upierzenie tylko w pewnych miejscach: na brązowo nakrapianej piersi i wewnętrznej stronie skrzydeł, plecy i skrzydła pokrywały brązowe pióra z czarnym wzorem. Kreel był o połowę mniejszy od Vree, czarno-niebieski na karku i rudy na piersi. Oczy zjaśniały mu do różu, a oczy Vree już dawno zatraciły młodzieńczy błękit i lśniły jasną szarością.

— Jeden z tych drani wpadł na mnie, drugi na Podniebny Taniec, a trzeci na Raan — powiedział Ognista Burza, gładząc swego więź-ptaka i podziwiając myszolowa na nadgarstku Mrocznego Wiatru. — Czasami chciałbym mieć takiego więź-ptaka, jak ty. To maleństwo jest szybkie, ale nie potrafi zabić człowieka.

— Więź-ptak nie musi zabić człowieka, żeby go wyeliminować. Kreel jest w porządku, to ty jesteś cholernie spragniony krwi.

Ognista Burza parsknął, sięgnął do woreczka przy pasie i dał Kreelowi kawałek mięsa. Vree niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę przypominając, że jemu też należy się nagroda. Mroczny Wiatr podrapał go po głowie, a potem poczęstował kawałkiem królika.

— Śmieszne, wiesz — rzucił Ognista Burza. — Możemy nadać im taki kształt, jaki chcemy, sprawić, że będą inteligentne i wspaniale latać, ale nie umiemy zmienić ich natury. To drapieżcy do szpiku kości. Kim byli ci durnie?

— Nie wiem. Słuchałem ich przez chwilę, ale niczego się nie dowiedziałem. Dwaj magowie, jak sądzę, a reszta to ich obstawa, ale to tylko przypuszczenie. Nie wiem, czego chcieli. Pewnie tego samego, co zwykle — odsunął się nieco, bo nad ciałami latały już muchy — wpaść, ukraść skarby mitycznych Sokolich Braci i wyjść bez szwanku. Chciwe dranie.

— Nigdy się nie nauczą, co?
— Nie — przyznał Mroczny Wiatr — nigdy.
Coś w jego głosie sprawiło, że Ognista Burza spojrział na niego baczniej.
— Z tobą wszystko w porządku? Jeśli cię zranili, a nie chcesz stracić twarzy, zapomnij o tym. Odpocznij, a my się zajmiemy twoim terenem i pošlemy po pomoc.
Mroczny Wiatr odrzucił włosy z oczu.
— Nic mi nie jest, po prostu męczy mnie ta cała sytuacja. Tutaj nie powinniśmy być sami; co najmniej patrolować w trójkę każdy sektor. K'Sheyna mają kłopoty, powie ci to każdy rozsądny człowiek. Większość magów nie opuszcza Doliny, a z najlepszymi wojownikami nie mamy kontaktu. Nie wiem, dlaczego Rada nie poprosi o pomoc innych klanów albo nawet Shin'a'in...
— Jakoś potrafiłiśmy poradzić sobie ze wszystkim, co przechodziło dotychczas przez granice — odparł Ognista Burza. — A poza tym, oczyściliśmy ten teren. Dlatego dzieci, pomniejsi magowie i połowa wojowników odeszła, kiedy...
— zarumienił się i przerwał — przepraszam, zapomniałem, że tam byłeś, gdy...
— Kiedy kamień-serce się rozpadł — skończył za niego Mroczny Wiatr beznamyślnym głosem. „Nie dziwię się, że nie pamięta”. Wtedy Mroczny Wiatr był Wietrzną Pieśnią, dumnym młodym magiem o białych włosach, wystrojonym jak paw... Nie Mrocznym Wiatrem, który odmawiał używania magii oprócz barier, nosił tylko mundur zwiadowcy i nawet dla ratowania samego siebie nie użyłby sił, które nadal potrafił kontrolować. Był adeptem, wystarczająco potężnym w wieku dziewiętnastu lat, by stanowić jedną z kotwic kamienia-serca...
Nie miało to znaczenia. Patrzył na przełykającego Vree i podjął spokojnie rozmowę, aby Ognista Burza nie pomyślał, że go czymś uraził:
— Pewnie nie wiesz, że obserwowałem budowę Bramy, którą miano ich stąd odesłać.
— Dlaczego wszystkich odesłano?
— Zawsze tak robimy. To część zabezpieczenia: odsyłamy wszystkich, którzy nie są bezpośrednio związani z mocą albo chronimy pozostałych w Dolinie, by byli bezpieczni, gdyby wydarzyło się coś złego.
— Co też się stało — westchnął Ognista Burza. — To dobry pomysł, myślę. Tylko bogowie wiedzą, gdzie oni teraz są. Gdzieś na zachodzie. — Gdzieś na zachodzie. Za daleko, by móc tam powędrować, kiedy połowa ludzi to dzieci.
— A nie ma wśród nich adepta, który zbudowałby nową Bramę — dodał Mroczny Wiatr. — To był błąd taktyczny. Powinniśmy wysłać z nimi połowę adeptów; nie mam pojęcia, dlaczego Rada nakazała im zostać, dopóki nie wysuszemy kamienia-serca i nie przeniesiemy mocy.
— Nikt nie ma pojęcia. — Ognista Burza odprężył się i pogładził Kreela.
— Mroczny Wietrze, dlaczego nie zbudujemy nowej Bramy i nie ściągniemy ich z powrotem?

„Cholernie dobre pytanie”. — Mroczny Wiatr zacisnął mocno wargi. — Ojciec mówi, że to, co zostało z kamienia-serca jest zbyt niestabilne, aby zostać bez nadzoru, zbyt niebezpieczne, by obok zbudować Bramę i zdecydowanie zbyt groźne, by narazić dzieci na kontakt.

— Nie wierzysz mu?

— Nie wiem, w co wierzyć — popatrzył nad ramieniem towarzysza. — Chyba ci tego nie powinienem mówić, bo takie rzeczy wie tylko Rada i magowie. Jest jeszcze coś; ojciec zachowywał się dziwnie nawet przed katastrofą, właściwie odkąd przeżył ten pożar lasu. Albo mi się tak wydaje, bo nikt inny nic nie zauważył.

— Ja w każdym razie nie, a przynajmniej nie więcej niż cała Rada. — W głosie Ognistej Burzy zabrzmiał sarkazm. — Starcy, zbyt dumni, żeby poprosić o pomoc, i zbyt niezdarni, by sobie bez niej poradzić. Pewnie dlatego nie jestem w Radzie: powiedziałem zbyt wiele rzeczy zbyt wiele razy przy zbyt wielu osobach.

Podrzucił swego jastrzębia w powietrze i odwrócił się. Kreel wzleciał ponad drzewa, a inne ptaki zamarły. Wszystko, co fruwa, zna kształt krogulca i wie, że kiedy jest głodny, nie ma przed nim ucieczki.

— Jeśli nic ci nie jest, wracam do siebie. Sprzątamy czy zostawiamy mrówkom to przemiłe zadanie?

— Zostawiamy mrówkom — zdecydował Mroczny Wiatr. — Parę kości tu i tam powinno odstraszyć innych. — Może. A może powinniśmy na granicach powbić głowy na palach! — I zostawiając Mrocznemu Wiatrowi tę kwestię pod rozwagę, zwiadowca bezszelestnie zniknął w lesie. Vree skończył swego królika i wzleciał, aby dokończyć przerwany patrol.

Wszystko, co powiedział Ognistej Burzy, było prawdą, każde gorzkie słowo. „Nie poznaję teraz ojca. Był twórczy, elastyczny, przyznawał się do błędów, a teraz jest okropny. Kiedy inny klan przysyła swoich ludzi, aby zapytali, czy nie trzeba nam pomocy, odsyła ich. Jak możemy nie potrzebować pomocy? Mamy niestabilny kamień-serce, za mało zwiadowców na granicy i powinniśmy to jak najszybciej zmienić. Nie ma naszych dzieci i nie możemy ich sprowadzić z powrotem, a nie odważymy się odejść. I on udaje, że sobie z tym radzi”. Dlatego tak mało czasu spędzał w Dolinie: było tam za pusto, za cicho. Dzieci Tayledras nie robiły tyle zamieszania, co dzieci obcych, ale ich obecność się czuło. Tak jak nieobecność. Bez nich Dolina była jak martwa.

Drugim powodem, dla którego unikał Doliny, był ojciec. Im mniej okazji do spotkań ze starcem, tym lepiej. Jednak po patrolu będzie musiał tam pójść i ta myśl napawała go odrazą. Trzeba zgłosić wtargnięcie. Jak zawsze, Rada będzie chciała wiedzieć, dlaczego nie podszedł do sprawy inaczej, dlaczego nie spalił albo zastrzelił intruzów od razu, gdy ich dostrzegł. A ponieważ był Starszym, pytania będą bardzo dociekliwe.

„Nie zabiłem ich, bo, niech to piorun spali, mogli być zupełnie niewinni!”

A Gwiazdne Ostrze będzie chciał wiedzieć, dlaczego nie użył magii. I jak zwykle, odpowiedzi Mrocznego Wiatru nie będą go satysfakcjonować. „Samo stwierdzenie, że nie chcę, jakoś mu nie starcza. Chce wiedzieć, dlaczego”. Wyciągnął kij, zarzucił go na konar i podciągnął się, próbując nie jęczeć, kiedy odkrywał nowe odbicia i skaleczenia. „Chce wiedzieć, dlaczego, tak mówi. Nie słucha jednak moich wyjaśnień, bo adept Gwiazdne Ostrze nie może mieć syna, który rzucił magię dla patrolowania granic. Nawet jeżeli magia na jego oczach zabiła mu matkę, zrujnowała mu życie. Jeżeli nawet widzi, że magia to nie odpowiedź, tylko narzędzie, a bez narzędzi można się obejść”.

Rozejrzał się po lesie i nawiązał kontakt z Vree. Wszędzie spokój: nawet ptaki wystraszone zgiełkiem walki i obecnością krogulca znów zaczęły śpiewać.

„Cóż, będzie musiał się zmienić, bo ja mam dość. Pójdę z tym do Rady jak zwykle, ale zrobię z tego poważny problem. Nie obchodzi mnie, czy mu się spodoba to, co usłyszy, wiecznie nie możemy tak żyć. A jak chce kłótni, proszę bardzo”.

ROZDZIAŁ TRZECI

ELSPETH

Elspeth zagryzła wargi, aby nerwy jej nie poniosły. Królowa Selenay, zazwyczaj spokojnie przyjmująca złe wieści, na atak na swe najstarsze dziecko zareagowała histerycznie. „W każdym razie dla mnie to histeria”. Ledwo zdążyła się umyć i przebrać, kiedy przyszedł po nią służący w towarzystwie strażnika, a to już dało jej niejaki wyobrażenie o tym, co ją czeka. Widok matki, bladej jak ściana i z zaciśniętymi zębami, potwierdził te obawy. Wygłoszona przez matkę tyrada była jeszcze gorsza: Selenay chciała ograniczyć przestrzeń życiową Elspeth do pałacu oraz dać co najmniej dwóch strażników do ochrony, a tego nie można było zaakceptować. Nie odezwała się jednak ani słowem, dopóki matka nie uspokoiła się na tyle, by przestać chodzić po pokoju i zacząć słuchać. Na szczęście Talia, która cały czas stała dyskretnie w rogu, nie powiedziała ani słowa. „Jeśli ona zgodzi się z mamą, to ja wpadnę w histerię”.

— Nie mogę uwierzyć, że podchodzisz do tego tak... tak... zwyczajnie! — zakończyła Selenay, kładąc drżące ręce na blacie biurka.

— Wcale nie podchodzę do tego zwyczajnie. — Elspeth miała nadzieję, że nie widać, jak bardzo jest zła. — To nie był jakiś głupi dowcip. Ale moim życiem nie będzie rządził strach. — Przerwała i czekała na odpowiedź matki. Nie doczekała się. — Żadnych strażników, mamó. Nikogo, kto będzie za mną ciągle chodził. I nie dam się zamknąć w pałacu jak jakaś mniszka.

— Prawie cię zabito i mówisz coś takiego? Ja... .

— Mamó — przerwała jej — każdy władca tak żyje. Tutaj mamy cieplarniane warunki, żaden mag nie przedarł się przez granice, a dary heroldów, szczególnie osobistego, pozwalały w porę wykryć zabójców. A teraz już tak nie jest. Nie mam zamiaru ograniczyć mojego życia i obstawić się strażą z powodu jednego zdarzenia. I snu mi to nie zakłóci. — Selenay zabrakło słów. — Co nie znaczy, że będę lekkomyślna, podporządkuję się wszystkim zaleceniom Kerowyn. Nie jestem głupią ryzykantką, ale nie będę żyła w strachu.

Talia w końcu postanowiła się odezwać. — Nie ma większego niebezpieczeń-

stwa niż normalnie — powiedziała łagodnie. — Po prostu jesteśmy bardziej lekomyślni niż, powiedzmy, władcy za czasów Vanyela. Mamy naprawdę cieplarniane warunki; myśleliśmy, że jesteśmy odporni na zagrożenia, że magia zniknęła, a z ostatnich dwóch wojen nie wyciągnęliśmy wniosków. Musimy naprawdę się napracować, żeby znaleźć sposoby na pokonanie tego niebezpieczeństwa, czy też przypomnieć je sobie. . .

„To już przesada. Nikt nie ma problemów z magią, która istniała dawno temu, za Vanyela, na przykład. Kiedy jednak dochodzi do rozmów o terażniejszości, coś nas blokuje”. Ale zanim mogła to rozważyć, musiała jakoś przekonać matkę.

— Mamo, jestem w pierwszym rzędzie heroldem, a dopiero potem twoją dziewczką. Nie mogę pracować z kimś na karku przez cały czas. Mam obowiązki wobec miasta, tak? I obowiązki przy Kerowyn. A jeśli zechce, żebym się gdzieś wyprawiła z Piorunami Nieba? I co powiedzą twoi sprzymierzeńcy, kiedy mnie zobaczą z oddziałem ochrony osobistej? Powiedzą, że nawet własnym ludziom nie ufasz. — „Pomijając fakt, że dwóch osiłeków za plecami nie przyczyni się do rozwoju mego życia uczuciowego”, pomyślała. „I tak nie ma go za wiele, ale jakoś nie wyobrażam sobie randki z pół tuzinem gwardzistów na karku”.

Zawsze możesz zainteresować się gwardzistami — zasugerowała złośliwie Gwena.

Wielkie dzięki, cudny pomysł, na pewno wezmę to pod rozwagę — odparła, próbując nie przesadzić z sarkazmem.

— Nagłe pojawienie się ochrony nie zwiększy mojej dostępności. Ludzie przychodzą do następcy, gdy z jakiegoś powodu boją się zwrócić do króla, tak było od wieków. Jeśli chcesz coś zrobić, nie mieszając w to korony, zlecasz to mnie. Talia zawsze kojarzy się z tobą, więc nie możesz się nią posłużyć. Chcesz się tego pozbawić? To nic nie da, zmniejszy jedynie moją przydatność.

Mądre dziecko, w ten sposób wygrasz. Zgadzam się z tobą, tak między nami. Ochrona to nie jest wyjście, chyba że złożona z heroldów, a tych na zbyciu nie mamy.

Poparcie Gwenty nieco uspokoiło Elspeth. — *Dzięki. Przynajmniej raz to nie jest mój głupi upór.*

Och, to jest twój głupi upór, ale w dobrej sprawie, a poza tym nie ma nic złego w upieraniu się przy słusznych rzeczach. — Elspeth wyczuła dobry humor swego Towarzysza i tylko to powstrzymało ją od ciętej riposty.

Selenay nie wyglądała na przekonaną. — To nie jest warte ryzyka. . . — zaczęła, ale przerwała jej Talia.

— Obawiam się, że Elspeth ma rację. To jest warte ryzyka. Kiedy wyjdzie poza mury pałacu, możesz jej przydzielić dyskretnych opiekunów, ale poza tym wystarczy wzmożona czujność. Jeśli Kero ma rację, strażnicy zatrzymujący każdego zachowującego się podejrzanie człowieka wystarczą.

Szczęki Selenay zacisnęły się w sposób aż za dobrze znany im obu. — Uważasz, że przesadzam, tak?

„Tak”, pomyślała Elspeth, dobrze chroniąc swój umysł.

— Nie — odparła Talia. — Postępujesz jak normalna matka. Gdyby chodziło o Jemie’ego, wywozłabym go do rodziny mieszkającej na tak głębokiej wsi, że każdy obcy jest tam tematem plotek przez miesiąc.

— Może... — Selenay zaczęła się zastanawiać i Elspeth wiedziała aż za dobrze, o czym matka myśli.

— Obawiam się, że Elspeth to się nie uda. — Talia знаła królową równie dobrze. — Jest za duża, nawet gdyby zgodziła się na takie wygnanie. Jednakże dwór jej wuja jest bardzo dobrze strzeżony...

„Pomysł niezły”, przyznała Elspeth. „Nawet jeśli to nie w porządku”.

— To jest myśl — zgodziła się królowa. — Nie wiem. Muszę to przemyśleć.

— Przynajmniej nie zamkniesz mnie w skarbcu jak klejnoty koronne!

— Nie w tej chwili.

— W porządku — przeczesła włosy i uśmiechnęła się. — Zgodzę się na obstawę w mieście; zresztą, każdy z nas powinien ją mieć. Jeśli po tym, jak Kero obsobaczy gwardię, nie będę bezpieczna w pałacu, nigdzie nie będę bezpieczna. Wiem coś o tym, bo mnie się już dzisiaj dostało. Dwa razy. Kiedy tylko się zorientowała, że nic mi nie jest, wytknęła wszystkie moje błędy.

— Mogę sobie wyobrazić. — Talia roześmiała się. — Kero nigdy nie odpuści, jest taka, jak Alberich. Im bardziej człowiek zmęczony, tym bardziej go przyciśnię.

— Mnie to mówisz? A wracając do, no, tego tematu... mogłabym zjeść kolację w moim pokoju? — Usiłowała wyglądać na zmęczoną, ale nie wyczerpaną, bo to znów mogłoby skończyć się matczyną histerią. — Nie sądzę, abym była w stanie znieść postów od wuja.

— Nikt tego od ciebie nie oczekuje — powiedziała Selenay. — Przepraszam ich i mam nadzieję, że po dzisiejszych wydarzeniach plotki ustaną.

— Przyślę kogoś z kolacją — obiecała Talia. — I pierniczkami — dodała, puszczając perskie oko.

— Dzięki — westchnęła Elspeth z wdzięcznością. — Gdyby ktoś mnie szukał, moczę się w łaźni. Nie bójcie się, nie utonę. Marzę o kąpieli, kolacji i łóżku.

Wyszła, zanim się czymkolwiek zdradziła. W końcu, powiedziała prawdę, częściowo. Naprawdę była zmęczona po podwójnym treningu, nie mówiąc o napadzie. I naprawdę chciała się wykapać i zjeść kolację u siebie. Ale o wczesnym pójściu spać nie było mowy; musiała przemyśleć wiele rzeczy.

O jedną miarkę świecy później, otulona w ciepły szlafrok, patrzyła na ogrody, niezdolna do wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków. Coś było nie tak; czuła się

rozbita i nieszczęśliwa, a nie wiedziała dlaczego. Ograniczenie swobody poruszania przyczyniło się do tego w niewielkim stopniu. „Zupełnie, jakbym powinna coś robić. Jakbym gdzieś miała klucz do tej zagadki, ale nie mogę go znaleźć”.

Jednego była pewna: Ancar znów spróbuje zamachu albo czegoś w tym stylu. Ancar chciał Valdemaru; nie mógł uderzyć na wschód, Imperium Aurinaleńskie było wystarczająco silne, aby zmieść go z powierzchni ziemi, gdyby zaatakował jedno z jego królestw. Na północy Iftel, izolacjonistyczny, władany przez bóstwa Iftel, który wypaliłby Ancarowi oczy, gdyby zwrócił się przeciw niemu; a na południu Kars. Jeśli plotki nie kłamały, ruszył już w tamtym kierunku. Jednak wojny z Karsem toczono od wieków i Valdemar był do nich przygotowany. Gdyby Ancar zajął Valdemar, ochroniłby swą północną granicę, nie musiałby się martwić o zachód i atakiem na Kars podwoiłby swój stan posiadania. Pewnie myślał, że zabicie władców i następców tronu pograży kraj w chaosie i ułatwi przejście władzy. Nie był jeszcze przygotowany do następnej wojny, ale za jakiś czas odbuduje swą siłę.

„I mimo wszystko będzie kolejna wojna. Ja o tym wiem, Kero o tym wie, również ojczym i matka, choć w życiu się do tego nie przyzna”, pomyślała, odsuwając niedojedzoną kolację i siadając na parapecie. Odbyła wiele rozmów z Kero i Darinem na ten temat, a ojczym nie traktował jej jak dziecko. Ale w końcu poznał ją dorosłą i noszącą Biel heroldów, a przysłowie mówi, że dzieckiem dla rodziców jest się zawsze... ale miała myśleć o wojnie, a nie o problemach z matką. Problemy osobiste mogą zaczekać.

„Następnym razem Ancar użyje magii, magii wojennej, takiej, jakiej używają na południe od Rethwellan, jakiej używali Pioruny Nieba. Tak twierdzi Kero i ja się z nią zgadzam. My obie możemy rozmawiać o prawdziwej magii... i może o to w tym wszystkim chodzi”.

Valdemar w swoich granicach nie dawał sobie rady z magią. Mimo wysiłków to, co podobno znaleziono w archiwach, nie imponowało objętością. Oczywiście, mieli ballady o Vanyelu, ale wszyscy, z którymi Elspeth rozmawiała, uważali, że „to się już nie zdarzy”. Kero też to zauważyła i martwiło ją to.

Elspeth przygryzła wargę. „Kero opowiadała mi rzeczy, o których matka nie ma pojęcia. To, co robili Pioruny Nieba, a były to proste zaklęcia”. Nie używano wyższej magii, bo wyżsi magowie pozabijali się wzajemnie, a adepci woleli angażować się w mniej niebezpieczne zajęcia związane z ich profesją, na przykład w nauczanie. Nie mieli ochoty podejmować ryzyka dla byle jakich pracodawców. Kiedy jednak władca sam był magiem, albo mag go wspierał, sprawy przyjmowały inny obrót. Magów można było przeciągnąć na swoją stronę, zaszantażować, przekupić odpowiednio wysoką sumą. To się już zdarzało. A jeśli ktoś pragnął tylko i wyłącznie władzy, gotów był zapłacić za nią każdą cenę.

Valdemaru nic by już nie chroniło, gdyby komuś wynagrodzono trud za przełamanie ich barier.

„Dobrze. Kiedy zawodziła ochrona granic, co się działo?” Potarła czoło. „Nie zatrzymała Huldy, lecz ona nie używała magii. Nie zatrzymały kilku zaklęć Ancara, ale rzucił je poprzez granicę; nie powstrzymały zabójcy, lecz i na niego rzucono zaklęcia, kiedy był z Ancarem. Nie zatrzymały Potrzeby, ale Potrzeba nie zrobiła nic, odkąd Kero tu jest”. Jeśli nie działała aktywna magia, nie mogli liczyć na ochronę, a poza granicami mogli się znajdować magowie silniejsi niż bariery.

I Ancar też na to wpadł. . .

Niezależnie od potęgi zaklęć, chyba że rzucił je jakiś bóg, w co Elspeth wątpiła, można je było wszystkie zniszczyć. A kiedy — nie jeśli, a kiedy — Ancar to zrobi, będą bezbronni jak mysz w łapach kota. Jakby na potwierdzenie tego gdzieś w ogrodach zahukała sowa. Trzeba będzie znaleźć potężnego maga, który nie załamie się, tak jak czarodzieje Piorunów Nieba, i przywieźć go do Valdemaru, co będzie wymagać pieniędzy, siły perswazji albo i tego, i tego. Pieniądze mieli albo mogli mieć, perswazja wymagała odpowiedniej osoby, doświadczonej w dyplomacji i negocjacjach. A jeśli nie znajdą maga, herold będzie musiał sam się nauczyć magii.

„To jest to, o co mi chodziło, znaleźć maga i przywieźć go tutaj. Jestem doskonała do tego zadania. Do nauki też; Kero mówi, że to wymaga silnej woli. Tę mam na pewno. A poza tym chyba wiem, gdzie kogoś znaleźć. . .”

Tym razem Elspeth zjawiła się w komnacie swej matki wcześniej rano, bo zazwyczaj o tej porze dnia Selenay była do zniesienia. Nie, żeby jej córce chciało się tak wcześnie wstawać, szczerze mówiąc, nie przepadała za wschodami słońca, ale ta sprawa była warta poświęcenia.

Wyłożyła swoje poglądy tak logicznie i jasno, jak tylko mogła, między bułeczkami i herbatą. Przemyślała całe wystąpienie, powody, dla których należy znaleźć maga i dlaczego jednym z poszukiwaczy ma być ona. Usiadła i czekała na odpowiedź.

„Musi się zgodzić. Nie mamy wyboru”.

— Nie — powiedziała krótko Selenay. — To niemożliwe.

Elspeth na chwilę zamarła, ale szybko odzyskała równowagę.

— Mamo, nie mamy wyboru. To są fakty. Kero myśli tak samo, a jest naszym najlepszym taktykiem. Alberich się z nią zgadza. Rozmawialiśmy o tym tysiące razy.

— Ja nie. . . — Selenay zamilkła, stropiona, a Elspeth wykorzystała sytuację. „Nie mogę dać jej dojść do słowa; wiem, że trudno pogodzić powinności władcy z matczynymi uczuciami, ale zanim przekonam Radę, muszę pokonać jej opór.”

— Nie poradzimy sobie sami, potrzebujemy pomocy. Musimy mieć maga, adepta, tak twierdzi Kero. Kogoś, kto zatroszczy się o nasze zabezpieczenia; kogoś, kto będzie uczył heroldów.

— Nie wiem, dlaczego, jakoś sobie przecież radzimy. Dlaczego dary nie zapewnią ochrony? Do tej pory wystarczały.

— Bo nigdy nie musieliśmy ich naprawdę używać, mamó. Z opowieści Kero wnioskuję, że nie wytrzymają ataku kilku magów. Wydaje mi się, że są wśród nas ludzie, którzy mogą nimi zostać. Wszystkie Kroniki mówią o darze magii jak o... o... piromancji; to rzadkie, ale nie niezwykle. Nie sądzę, abyśmy go utracili, zapomnieliśmy jedynie, jak go wykryć i wyćwiczyć. A do tego trzeba naprawdę dobrego maga, a według Kero dobrymi nauczycielami są adepci.

— Nawet jeśli to prawda — przemówiła Selenay, zaciskając dłoń na kubku — dlaczego to ty masz jechać?

— Z jednej strony reprezentuję koronę. Jeśli znajdę kogoś zaufanego, zaofertuję mu rozsądne warunki. Kero dużo mnie nauczyła na temat rozsądnych warunków. Po drugie, nie jestem niezastąpiona, jest dwoje innych dziedziców, a tak naprawdę, to nie jestem pewna, czy to ja będę nosić koronę. Za często się zacinam, aby Rada mogła sobie z tym poradzić.

Selenay uśmiechnęła się blado.

— Myślę, że bliźnięta będą lepszymi władcami niż ja — ciągnęła Elspeth. — Rada nie będzie się sprzeciwiać mojemu wyjazdowi; jestem heroldem, wiem, czego nam trzeba. Kero pomoże mi nawiązać kontakty, a poza tym mam autorytet korony. Jestem do tego zadania najlepsza.

Selenay otworzyła usta, ale nic nie powiedziała, zupełnie, jakby coś jej przetrwało, zanim wydobyła z siebie głos. „Dziwne”.

— Inny powód: chcesz, żebym była bezpieczna, tak? Bliźnięta otoczą koronem straży i nie zwrócą na to uwagi, ale wiesz, że mnie to będzie przeszkadzać. Jeśli pošlesz mnie do wuja Farama, Ancar mnie nie znajdzie, a jeśli nawet, nie będzie niczego próbował w Rethwellanie. Nie chce wojny z wujem, który ma potężną armię i swoich magów — wysunęła wojowniczo podbródek. — Nie wyjadę na długo, poszukam maga Kero, Quentena, który prowadzi szkołę. Tam będę otoczona magami i zupełnie bezpieczna.

Selenay westchnęła i puściła kubek.

— Przestałam chyba myśleć logicznie, bo nic z tego nie rozumiem — wyznała z nieszczęśliwą miną.

Elspeth spojrzała na Talię. Ta zagryzła wargi i patrzyła w podłogę. „Jakby częściowo przyznawała mi rację, a częściowo nie”.

— Nie podoba mi się to — podsumowała Selenay. — Jesteś zdecydowanie zbyt narażona na niebezpieczeństwo. Nawet w Valdemarze wolałabym, żeby jechała z tobą cała armia. A przeprawa przez Grzebień, nawet latem, nie jest bezpieczna. Czyhają tam burze i dzikie zwierzęta. . . a jedyny szlak biegnie za blisko Karsu! Nie, na to się nie zgodzę. Znalezienie maga nie jest złym pomysłem, ale nie ciebie wyślę z tą misją.

W głosie królowej zabrzmiała stal i Elspeth zrozumiała, że nie wygra. Mogła

się zwrócić do ojczyzna albo Albericha, miała Kero po swojej stronie, ale nie teraz. Przekonanie Selenay zajęłoby tygodnie, a nawet miesiące, mogłoby to potrwać do jesieni albo zimy, i wtedy pogoda byłaby kolejną wymówką, aby zatrzymać Elspeth w Valdemarze.

Zamknęła oczy. Dziwny wewnętrzny przymus, iż musi wykonać to zadanie, był i tak niemiły, a odmowa czyniła go czymś nie do zniesienia. Musiała jechać i nie mogła. Chciało jej się wyć, ale jedno słowo sprawiłoby, że matka nigdy by się nie zgodziła, a bez jej zgody nie miała z czym iść do Rady. „A gdybym po prostu uciekła i to zrobiła...” Nie, to bez sensu. Musiała mieć za sobą koronę i Radę, aby misja się powiodła, więc zamiast wybuchnąć, zamknęła usta. Wstała, zostawiła nie tknięte śniadanie i wyszła. Dotarła do swoich komnat i tam dała upust swej złości, trzaskając drzwiami i niemal wyrywając z zawiasów drzwiczki szafy. Klamka została jej w rękę, wyciągnęła z szafy stare ubranie i przebrała się z furją, rozrzucając po całym pokoju części garderoby. Parę szwów trzasnęło.

Kotku? — odezwała się Gwena. — *Kochanie, nie zniechęcaj się. Czasami rzeczy zmieniają się w mgnieniu oka. Nikt nie wie, co się dzieje za granicami, a to może zmusić twoją matkę do zmiany zdania.*

Nie pouczaj mnie! — parsknęła Elspeth. — *Dawno już mam za sobą lata, kiedy można mi było powiedzieć, że wszystko się ułoży. Mamy kłopoty, nikt nie chce tego przyznać ani pozwolić mi działać. Daj mi spokój, dobrze? Muszę ochłonąć.*

Och... - odparła Gwena, zaskoczona gniewem w myśl-mowie Elspeth. Nie odezwała się więcej, ale dziewczyna czuła jej obecność.

Wybiegła, trzaskając drzwiami, i skierowała się do swojej garncami; nikt jej nie zatrzymywał. Minęła paru ludzi, ale nikt się do niej nie odezwał.

Większość śladów zamachu już uprzątnięto, a podłogę wymieciono. Przy ławie stał nowy stołek, piec zastąpiono nowym, dano mocniejsze półki, oczyszczono ściany i wyczyszczono wszystko z pedantyczną troskliwością. Urażona Elspeth rozglądała się po garncami; nie dość, że ją tu zaatakowano, ktoś musiał to miejsce „poprawić”. Naruszono jej ustronie, co prawda w dobrej wierze, ale zawsze. Przestało już być wyłącznie jej własnością... Ale nie miała nic innego.

W końcu podeszła do pudła z gliną i wzięła jej wystarczająco dużo na nową wazę. „Lepszą niż poprzednia”.

„Uparta, bezrozumna kobieta”, parsknęła, ugniatając glinę. „Zupełnie jak jej córka”, szepnęło sumienie. „I co z tego? Wiem, co ma sens, nawet jeśli przyznanie tego kosztuje. Nawet nie zastanowiła się, co by było, gdyby mi się powiodło, ani co to znaczy odmowa. Nie wiadomo, czy pośle kogoś innego. Może zdecydować, że tego nie robi. Może nawet zapomnieć o wszystkim”.

Sumienie zaprotestowało. „Nigdy nie byłaś matką, nie wiesz, ile kosztowałoby ją, gdyby ci pozwoliła jechać. Talia, najbardziej rozsądna osoba na świecie, stwierdziła, że gdyby chodziło o jej syna, działałaby irracjonalnie. A poza tym nie jesteś jedyną osobą, która może się podjąć tej misji”.

„Ach, nie? A kto jeszcze?”

„Kerowyn, to raz. W końcu jej wuj to adept Białych Wiatrów. Quenten był magiem Piorunów Nieba. Przekonałaby kogoś, by służył swą pomocą”.

„A jeśli nie?”

„Jeśli nie, Faram ma magów na dworze. Zatrudnia ich, prawda? Kero to dobra przyjaciółka Farama i Darena, przekonałaby Farama, aby się nimi podzielił”.

„Ja jestem jego krewną, to powinno działać podwójnie”.

Sumienie milczało, a sama nie umiała znaleźć odpowiedzi. Nawet jeśli nie była jedyna, była najlepsza. Selenay musiała to przyznać.

Glina była gotowa, ale Elspeth nadal ją miesiła, jakby chciała wycisnąć argument przeciwko pomysłowi zastąpienia jej w tej misji przez Kerowyn.

„Jest kapitanem Piorunów Nieba. . .”

„Na żołdzie Valdemaru. Ma zastępców”.

„Nie ma poparcia korony, gdyby musiała negocjować z kimś nieznanym”.

„Zawsze są listy uwierzytelniające”.

„Jest za stara”. To było głupie.

„Za stara, jasne, wygrywa dziewiętnaście starć na dwadzieścia. Nie tą drogą, dziewczyno”.

„Nie wie, czego potrzebujemy”.

To mógł być powód. Potrzeby najemnika i potrzeby królestwa różniły się drastycznie, kompania mogła użyć kogoś, kto im nie odpowiadał, ale dla Valdemaru konieczna się stała pomoc kogoś specjalnego.

„Po pierwsze, bardzo moralnego. Po drugie, umiejącego porozumieć się z ludźmi. Będzie musiał wiedzieć, kiedy nie używać mocy. A poza tym nigdy, przenigdy nie nadużyje swego stanowiska czy władzy”.

Innymi słowy, musiał być heroldem w każdym calu. A najlepiej, gdyby został wybrany po swym przybyciu do Valdemaru. A to uczyniłoby go pierwszym magiem heroldów od czasów Vanyela. . .

Potrząsnęła głową. Liczył się fakt, że gdyby posłano Kero, wyboru dokonałaby kapitan, nie herold. I to mógł być błąd.

„Mogłaby wybrać pierwszego lepszego, kogoś, kto się z nią dogada. Kogoś, kto mógłby być w zмовie z Ancarem, kto przejrzy jej motywy i intencje”.

Kero była sprytna, ale niedawno została heroldem, jej przyzwyczajenia nadal odstraszały ludzi. W Valdemarze to było zabawne, ale kiedy zależało od niej dobro kraju. . . A poza tym istniało ryzyko, że wybierze kogoś, kto nie przejdzie granic. I co wtedy? Stwierdzi, że łowy na magów to strata czasu i wróci? Elspeth by nie wróciła, ale Kero. . .

„Mój upór może się przydać. Nie poddam się, dopóki kogoś nie znajdę, a Kero mogłaby; a jeśli przyjdzie jej wypuścić się za Rethwellan, jej najemnicza przeszłość może się odwrócić przeciw niej. Moralni magowie mogliby uznać, że współpraca z najemnikiem jest nieetyczna, niezależnie od godnej sprawy”.

Kero całe życie starała się nie mieszać emocji do negocjacji, a brak emocji mógł przynieść niepowodzenie. Elspeth natomiast była wystarczająco przekonująca...

„Mam wszystko, czego trzeba, ale ktoś musi mnie wysłuchać”, pomyślała chmurnie, ugniatając glinę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MROCZNY WIATR

— Tak więc znów miałaś kłopoty — powiedział zimno Gwiazdne Ostrze k'Sheyna, wpatrując się w syna. Ekele kołysało się lekko i Mroczny Wiatr starał się nie poruszać, bo ojciec mógłby to wziąć za okazanie zniecierpliwienia, a pod jego spojrzeniem trudno było zachować spokój. Ptak Gwiazdnego Ostrza, ogromny kruk, patrzył na niego tak samo, bardziej podobny do kamiennej rzeźby niż żywego zwierzęcia.

„Co się stało z ojcem, którego znałem? Zniknął tak, jak Wietrzna Pieśń”.

— Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem. Patrolowałeś granicę, twój ptak zlokalizował siedmiu intruzów, dwóch spośród nich mogło być magami, a reszta na ich usługach.

— Tak, Starszy — odpowiedział bezosobowo Mroczny Wiatr. „Niech wie, jak to przyjemnie...”

Gwiazdne Ostrze schylił głowę, a kolorowe paciorki w jego białych, długich do pasa włosach zadźwięczały cicho.

— Jednak nie jesteś tego pewien.

— Nie, Starszy. — Mroczny Wiatr wiedział doskonale, o co chodzi, i nie dał się sprowokować. „Chce, żebym wpadł w złość, ale ja tego nie zrobię. Przyznałbym się do słabości i braku kontroli nad sobą”.

— Dlaczego nie? — Oczy Gwiazdnego Ostrza zwężyły się. — Co zrobiłeś, żeby to sprawdzić?

„Jakby nie wiedział”.

— Szedłem za nimi jakiś czas, zanim nie osądziłem, że zapuścili się zbyt daleko na terytorium k'Sheyna. Nic w ich rozmowie nie naprowadziło mnie na trop ich tożsamości.

Nie było właściwie powodu dla tej rozmowy. Już kilkakrotnie tłumaczył się ze swojego postępowania, przed całą Radą, raz przed trzema Starszymi, a teraz ponownie, miał to powtórzyć samemu ojcu. Rada nie dała mu wyrazić zdania na temat braku ludzi na granicy; problem ten zostawili Gwiazdnemu Ostrzu, jako

najstarszemu adeptowi, który mógł podjąć decyzję. „Pewnie wyczaruje rozwiązanie”, pomyślał gorzko.

— Słuchałem ich rozmowy i obserwowałem zachowanie. Uzbrojeni traktowali nieuzbrojonych z pewnym dystansem, ale nic nie wskazywało na to, że nie są, powiedzmy, przygodnymi handlarzami. Mogli być magami, gdyż nie mieli broni, więc ich pierwszych unieszkodliwiłem.

— Nie rzuciłeś zaklęcia, aby się upewnić, że nie używają magii? — Gwiazdne Ostrze poprawił się na krześle. W przeciwieństwie do uniformu syna, jego ubiór był wyszukany i sprawiał, że mężczyzna przypominał srebrno-niebieskiego ptaka.

— Nie. Nie rzuciłem.

— A dlaczego nie?

— Bo nie używam tego rodzaju mocy, ojcze. — Mroczny Wiatr starał się powściągnąć gniew. — Wiesz o tym i znasz powody.

— Znam wymówki, a nie powody — parsknął Gwiazdne Ostrze. — K’Sheyna znaleźli się w niebezpieczeństwie, gdyż nie chciałeś użyć magii.

— Nieprawda! Zapobiegłem niebezpieczeństwu, bo wyeliminowałem intruzów, bez głupich zaklęć, które mogły ściągnąć kłopoty tak blisko granicy. I zrobiłem to pomimo braku ludzi!

— Bez magii.

— Bez magii. Nie potrzebowałem jej, mogła przyciągnąć stworzenia, z którymi nie poradziłibyśmy sobie, mając tylko trzech strażników i ich ptaki. — Spojrzał na ojca. — Jak ci tak zależy na magach chroniących granicę, może sam się tam wybierzesz? — „A my cię oprowadzimy po co ciekawszych miejscach”.

On i Gwiazdne Ostrze różnili się we wszystkim. Mag nosił włosy do pasa, przybrane paciorkami, piórami i wstążkami oraz błękitną, jedwabną szatę, bogato ozdobioną i równie imponującą, co niepraktyczną. Mroczny Wiatr chodził w prostych, brązowych tunikach, a włosy miał ledwie do ramion; większość magów ubierała się tak jak Gwiazdne Ostrze, a jedynym ukłonem w stronę kamuflażu była biel w zimie i zieleń latem. Nie tak dawno on też tak wyglądał. „To się robi nudne”.

— Ojcze, rozmawialiśmy już na ten temat. Spełniłem swój obowiązek, pozbyłem się intruzów. Tu nie chodzi o to, w jaki sposób to zrobiłem, tylko o to, że jest nas za mało. W ogóle nie powinniśmy tu być, połowa k’Sheyna jest gdzie indziej. Co się z nami dzieje? Dlaczego czegoś nie zrobimy?

— To nie powinno cię interesować... — zaczął Gwiazdne Ostrze, podnosząc się z krzesła.

— Właśnie, że powinno — przerwał Mroczny Wiatr. — Jestem w Radzie, reprezentuję zwiadowców, należę do Starszych klanu, a ty o tym zapominasz. Jako reprezentant zwiadowców chciałbym wiedzieć, co dokładnie robicie, żeby osuszyć czy ustabilizować kamień-serce i dołączyć do reszty naszego klanu. — Spojrzał wyzywająco w oczy ojca, co ten zniósł bez trudu.

— To należy do magów. Chcesz się dowiedzieć, przywołaj swoją moc. Dołącz do nich, a znajdziesz odpowiedź.

Mroczny Wiatr poczuł, jak ogarnia go gniew.

— To, co zrobię z moją mocą, nie ma nic do rzeczy. Ci, którzy nie są magami, mają prawo decydować o przyszłości k'Sheyna. To tradycja, czyż nie? Każdy głos jest brany pod uwagę.

Gwiazdne Ostrze wziął głęboki oddech i spojrzał na syna.

— To, co zrobisz ze swoją mocą, ma wiele do rzeczy. Twoja odmowa używania magii wystawia zwiadowców na ryzyko, potrzebujemy twoich zdolności na granicach, a ty ich nie wykorzystujesz. Twoich powodów nie przyjmuję do wiadomości.

Mroczny Wiatr zamknął oczy, ale nie powstrzymał wspomnień.

* * *

Kamień-serce, ogromny głaz zatopiony w kryształach, pulsował całą mocą Doliny. Jego powierzchnia lśniła złotem i czerwienią, kiedy adepci ustawieni w kręgu wysuszali nadmiar energii magicznej otaczającego ich terenu, opróżniali wszystkie węzły, aby nie zostało nic, co mogłoby zaszkodzić.

Tak Tayledras opuścili to miejsce, koncentrując całą energię w kamieniu-sercu, a potem przerzucając ją do nowego, w nowej Dolinie.

Moc gotowała się w kamieniu, a Wietrzna Pieśń ubezpieczał zachód, stojąc za kręgiem adeptów, w którym znajdowali się jego rodzice. Przetaczanie energii było niebezpiecznym zadaniem i wymagało wielu ochraniających główny krąg; miał wśród nich ważne miejsce. Wietrzna Pieśń k'Sheyna, najmłodszy adept klanu, zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, która na nim spoczywała.

Bez ostrzeżenia, bez żadnego strumienia brudnej energii, kamień nagle rozbłysnął i wówczas poczuł, jakby uderzyła w niego błyskawica. . .

Przed nim otwarło się piekło, wybuch oślepiającej bieli, przeszywający ból, sylwetka matki wśród płomieni. . .

— Nie ufam moim zdolnościom, ojciec — powiedział wolno, odpędzając wspomnienia. — Nikt nie wie, dlaczego kamień-serce się rozpadł, a moc wymknęła się spod kontroli. — Czy to było złudzenie, czy ojciec naprawdę drgnął? — Byłem tam najmłodszym adeptem, tylko ja nigdy nie uczestniczyłem w przetaczaniu mocy. A jeśli to była moja wina i wszystko, co zrobię, będzie w ten sposób skażone? Nie zaryzykuje, jeśli stanowiłoby to zagrożenie dla klanu.

Gwiazdne Ostrze nie patrzył w oczy syna, a głos miał beznamiętny.

— Powtarzałem ci, że to, co zrobiłeś lub czego nie zrobiłeś, nie miało żadnego wpływu na wydarzenia. To nie miało nic wspólnego z tobą.

— Jesteś pewien? Znam zdolności moich rąk i zmysłów, na nie mogę liczyć, a nie na magię.

— Nie jesteś pewny siebie — powiedział pogardliwie Starszy. — Twoja magia jest skażona, jeśli ty tak o niej myślisz. Wietrzna Pieśń nie był tchórzem, kochałem go i pamiętam, że był dumny z magii, a klan z niego. Nasze dzieci i starcy odeszli, a ty odmawiasz swych zdolności do obrony tych, co pozostali. Za to cię nie szanuję, Mroczny Wietrze.

Mroczny Wiatr poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

— Gwiazdne Ostrze, Starszy, nie jest już ojcem, którego znałem — odparł. — Może też powinieneś zmienić imię, na Lodowe albo Złamane Ostrze, bo straciłeś całą odwagę i współczucie. Boisz się przyznać, że sytuacja się zmieniła. Myślę, iż to cię tak przeraża. Nie wiem, ale mam wrażenie, jakbyś pogardzał tymi, którzy nie korzystają z magii. Jeśli nie chcesz udzielić pomocy zwiadowcom, będziemy musieli poradzić sobie inaczej, nawet jeśli oznacza to proszenie o nią hertasi, dyheli i innych żyjących na Wzgórzach, których obraziła twoja arogancja.

Obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom, kiedy zatrzymał go głos ojca.

— Arogancja? Ciekawy dobór słów, zwłaszcza u ciebie. Wietrzna Pieśń był najmłodszym adeptem w klanie, może to mu nie starczało?

— A to niby co znaczy? — rzucił wściekle Mroczny Wiatr.

— Wietrzna Pieśń był tylko adeptem, a Mroczny Wiatr jest Starszym w Radzie. Wietrzna Pieśń nie miałby takiej możliwości jeszcze przez jakiś czas, ale osłabieni zwiadowcy z biednym, osieroconym, charyzmatycznym Mrocznym Wiatrem na czele...

— Jeśli sugerujesz, że porzuciłem magię dla innego rodzaju władzy... — Czuję, że blednie i czerwienieje na przemian, ale powstrzymał wybuch, który nie prowadziłby do niczego.

— Niczego nie sugeruję, tylko zwracam uwagę na pewien zbieg okoliczności.

Przez głowę Mrocznego Wiatru przebiegły setki odpowiedzi, ale ugryzł się w język i zachował przynajmniej pozór spokoju.

— Jeśli taki byłby rzeczywisty powód, Starszy — powiedział cicho — to chyba powinienem dalej dać się prowadzić ambicji. Na przykład gromadzić władzę, manipulować słabszymi magami i tymi, którzy są magii pozbawieni, a dobrze wiesz, że niczego takiego nie robię. Wykonuję swoją pracę, jak każdy zwiadowca. Jak każdy odpowiedzialny przywódca. Nie chciałem być Starszym czy dowódcą.

Gwiazdne Ostrze uśmiechnął się.

— Delikatnie zasugerowałem, że gdybyś powrócił do magii, musiałbyś z tej pozycji zrezygnować, a prawdopodobnie byłbyś uczniem, nie adeptem, bo wyszedłeś z wprawy. Być może podświadomie nie chcesz, aby ktoś tobą rządził.

— To już słyszałem i wówczas było to równie obraźliwe, jak teraz. Znam samego siebie i na pewno ten śmieszny powód nie ma nic wspólnego z moim wyborem. Gdyby ktoś inny ze zwiadowców chciał przejąć dowództwo, chętnie bym ustąpił. — „A gdybyśmy byli mniej cywilizowani, wyzwiałbym cię na pojedynek”.

— Powiedziałem, że nie znam człowieka, jakim się stałeś... — zaczął Gwiazdne Ostrze, ale Mroczny Wiatr mu przerwał.

— Jeśli tak nisko mnie oceniasz, rzeczywiście mnie nie znasz, Starszy — odwrócił się i wyszedł z ekele. Nie było to takie wyjście, o jakie mu chodziło: żadnych drzwi, którymi można trzasnąć, a tupanie byłoby dobre dla rozszlęzionego dzieciaka. „A on chce ze mnie zrobić rozszlęzionego dzieciaka”. Gdyby zbiegł po drabinie, mógłby sobie coś uszkodzić, pomimo tego, że ekele jego ojca zawieszono dosyć nisko nad ziemią; otaczało pień drzewa i miało kilka pokoi, a wiodły do niego bardziej schody niż drabina. Zdecydował się na zeskoczenie z kilku ostatnich szczebli, jakby obecność w pobliżu ojca była nie do zniesienia i odszedł tak szybko, jak mógł, bez oglądania się za siebie, wybierając taką ścieżkę, która wyprowadziłaby go poza Dolinę.

Zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest tak spokojny, jakby chciał, ale przynajmniej stwarzał pozory. Część gniewu uleciała, kiedy przedzierał się przez gęste, prawie tropikalne poszycie porastające ścieżkę. Takie rośliny zawsze rosły w Dolinach Tayledras, ale nie w takiej obfitości. Sokoli Bracia na swe siedziby wybierali takie doliny, które mogli „zadaszyć” polem energii magicznej i ochronić ze wszystkich stron, kontrolować wewnątrz klimat, a niepożądane stworzenia wyrzucać. Jeśli nie było gorących źródeł, tworzyli je, a drzewa powiększali, aby utrzymały ekele. Kończyło się to zawsze czymś w rodzaju dżungli, ze ścieżkami wytyczonymi tak, by mieszkańcy mogli czuć się swobodnie, lecz dolina sprawiała wrażenie niezamieszkanego, nawet gdy przebywał w niej cały klan i służący mu hertasi — oczywiście, dla przybysza z zewnątrz. Dla Tayledras zawsze rozbrzmiewała odgłosami życia i uczuć niczym cichą, ciągłą pieśnią.

Tutaj, w Dolinie k’Sheyna, ta pieśń się urwała, teraz słychać było tylko fałszywe dźwięki. Mroczny Wiatr napotykał na swej drodze głównie hertasi, podobnych do jaszczurek, którzy zajmowali się naprawianiem, czyszczeniem i gotowaniem dla klanu. To nie było normalne. Nigdzie nie wyczuwał obecności dzieci, tylko dorosłych, garstki w porównaniu z normalną liczebnością klanu. „Każdy Tayledras wiedziałby, że coś jest nie w porządku, gdyby tu tylko wszedł”.

Cisza; Tayledras, którzy nie byli magami, zajmowali się zawsze tym, z czym hertasi sobie nie radzili, tym, co wymagało uzdolnień: muzyką i sztuką. Towarzyszyły temu odmienne dźwięki, a w Dolinie słychać było tylko szelest liści, kapanie wody i kroki nieśmiałyh hertasi, przemykających w krzakach. Drobne ślady zaniedbania: rozpadające się ekele, źródła pokryte spadłymi liśćmi, zarosnięte ścieżki, więdnące rośliny, które wymagały pielęgnacji, mówiły o pustce i bólu.

Połowa klanu przeniosła się do innej Doliny i nie można było do nich dotrzeć, dopóki nie zbudują nowej Bramy. Wśród tamtych nie było magów wystarczająco silnych, a nawet zdesperowani nie naraziliby dzieci na długą i niebezpieczną podróż. Ci, którzy pozostali, w większości nie zaliczali się do adeptów: w kręgu osuszającym kamień-serce znaleźli się najsilniejsi i przyjęli na siebie całe uderzenie. Dokładnie połowa z nich zginęła, wśród nich matka Mrocznego Wiatru. Ci, którzy przeżyli, ciągle byli w szoku i próbowali poradzić sobie z nieoczekiwaną stratą partnerów, krewnych i przyjaciół; bolała ona tak samo magów, jak zwiadowców. Tylko nieliczni posunęli się do tego, co on zrobił, i zmienili imię, a to znaczyło, że osoba używająca poprzedniego umarła. Dlatego Wietrzna Pieśń, po wyleczeniu się z poparzeń i ran, stał się Mrocznym Wiatrem, porzucił magię i wyprowadził się z rodzinnego ekele. Inny mag, Gwiazdny Ogień, stał się Nocnym Ogniem i obsesyjnie badał to, co pozostało z kamienia-serca, próbując znaleźć przyczynę katastrofy. A ta, która przeżyła najwięcej, Księżycowe Skrzydło, została Ciszą.

„Mógłbym być jak Cisza, zamknąć się w sobie, używać tylko myślmowy. Mógłbym przesyłać mój ból każdemu, kto się zbliży i odważy dotknąć moich myśli. Nie zrobiłem tego, jestem przynajmniej pożyteczny”. Ale najwidoczniej Gwiazdnemu Ostrzu to nie starczało. „Albo będę magiem, albo on mnie nie chce”, myślał, przedzierając się przez rośliny i strasząc hertasi. „Powinien pomyśleć o klanie, są ważniejsze rzeczy od tego, że nie używam magii”.

Wyleczyli rany ciała, ale rany duchowe goiły się powoli i nie najlepiej, a ci, którzy mogli się nimi zająć, odeszli. Nikt nie miał na tyle doświadczenia, aby wejść w umysł Ciszy i spróbować ją uzdrowić. „Uzdrowić Ciszę? Nikt nie potrafi uzdrowić mnie...” Z innych klanów mogła przyjść pomoc. „A nie nadchodzi przez dumę Starszych. Nie chcą przyznać, iż aż tak źle z nami, że potrzebujemy pomocy. Głupcy. Głupcy i ślepcy”.

Kilka pierwszych tygodni po katastrofie przybywali posłańcy z innych klanów; tyle wiedział na pewno, resztę mógł tylko odgadywać, bo leżał wtedy nieprzytomny. Posłańcy nie zabawili długo i nie miał wątpliwości, że ich odprawiono, a teraz nikt się już nie pojawiał.

Doszedł do krawędzi Doliny, gdzie kończyła się osłona. Granicę można było dostrzec gołym okiem: w Dolinie rosły kwiaty z ogromnymi liśćmi, potężne drzewa, a rośliny kwitły bez względu na porę roku. Na zewnątrz rozpościerał się zwykły las sosnowy. Gdyby przyjrzeć się bliżej, można było dostrzec pulsowanie na granicy dwóch światów, a dla maga pulsowanie było barierą czystej energii, przez którą przechodziły tylko zwierzęta, Sokoli Bracia, ich sprzymierzeńcy i bardzo niewielu innych. Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół: za wielkimi krzakami znajdowało się gorące źródło, nawadniające rośliny i nadające się do kąpieli.

„Bogowie, mógłbym się wymoczyć... To był długi dzień i jeszcze się nie skończył”. Krótka przerwa nikomu nie wyrządzi krzywdy.

Prześlizgnął się między krzakami, zdjął ubranie i wskoczył do wody. Źródło należało do największych w Dolinie, ale niewielu z niego korzystało; bliskość osłony i prawdziwego świata przyprawiała wielu magów o dreszcze. Natomiast dla zwiadowcy, którego własna obecność w Dolinie, blisko niestabilnego kamienia-serca nieco denerwowała, było idealne.

Hertasi bardzo się starali, by ze wszystkich źródeł usunąć opadłe liście i inne zanieczyszczenia, ale mieli tyle obowiązków, że nie zawsze im się to udawało. Tak było tutaj: zanim Mroczny Wiatr się zanurzył, musiał wyrzucić ze źródła wielkie liście i gałązki. Potem usiadł na kamieniach, którym magia nadała kształty odpowiednie dla ludzkich pleców, i zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie dokładnie dni po nieszczęściu.

„Czy wiedzieliśmy wtedy, jak źle mają się sprawy za naszymi granicami?” Nie sądził; właściwie nikt nie zwracał uwagi na ziemie poza nadzorem klanu i tak terytorium, które mieli oczyścić, było wystarczającym problemem. „Mieliśmy tyle rzeczy na głowie, a to, co czało się za granicami, nie napadało nas, kiedy byliśmy silni. Nic nie wskazywało na to, że tam jest gorzej niż tu”.

Dopiero kiedy oczyścili teren i zaczęli przygotowywać się do przeniesienia, zdali sobie sprawę, że na południu zagrożenie jest co najmniej takie samo, jak to, z którym sobie dopiero co poradzili. A na pewno gorsze niż zachodnie, gdzie wybrali miejsce na nową Dolinę. Dlaczego go wcześniej nie dostrzegli? Pewnie dlatego, że teren pomiędzy nimi był czysty. Dopiero po katastrofie stworzenia z tamtej strony zaczęły przenikać do Doliny i wtedy uświadomili sobie, jak bardzo była skażona. A teraz nie mogli sobie z tym w żaden sposób poradzić.

„Tam jest co najmniej jeden adept”, Mroczny Wiatr zacisnął szczęki. „Jego ciągła uwaga zmusiła nas do zacieśnienia granic”. A ponieważ odrzucono pomoc innych klanów, nie mogli teraz o nią poprosić, a sami nie poradzą sobie z zagrożeniem. „Sam spróbowałbym skontaktować się z innymi, ale musiałbym użyć magii. Nie wiem, gdzie oni są, a ojciec na pewno nie da mi mapy”. Magia przyciągnęłaby nieproszonych gości; nie raz widział, jak jej bezmyślne użycie ściągało całe stada z tamtej strony. Jedyne mag współpracujący ze zwiadowcami przypłacił to życiem. „Dorwali go, zanim mogliśmy do niego dotrzeć. A na pewno przedtem nie było tu tylu wypaczonych”. Podejrzewał, że adept śledził magię i spuszczał swe psy z łańcucha na tych, którzy jej używali. Kiedy k'Sheyna ograniczali się do swej Doliny, dawał im spokój, tylko czasami przypominając o swoim istnieniu. „Tam może być więcej adeptów, choć mam dziwne wrażenie, że tak nie jest. Adeptci mrocznej mocy nie lubią się nią dzielić”.

Na razie udawało się im powstrzymać jego zakusy na nowe granice, stracili kilku zwiadowców i raptem dwóch magów. „W porządku, może to rodzaj rozejmu: jesteśmy za słabi, żeby mu zagrozić, ale za silni, by mógł nas zniszczyć. Od roku nic większego się nie zdarzyło, a nie umiem dowieść, że jakiś atak był wyraźnie kierowany stamtąd”. Nic nie zagrażało stworzeniom, których strzegli

k'Sheyna. Enklawy hertasi pozostały nietknięte, nie polowano na dyheli, lecz odleciały ptaki ogniste i to go martwiło. Ludzie też się tu nie osiedlali: zboże zgniło, studnie wyschły, kupcy przestali przyjeżdżać, zostało tylko paru myśliwych i pustelników.

„Nie było otwartego ataku od roku, nie wiadomo jednak, co to znaczy. Nasz klan jest słaby, a wróg paskudny, możliwości wyczerpują się z każdym dniem”.

Gwiezdne Ostrze miał jedną odpowiedź: więcej magii! Więcej magii! Nawet ci ze szczątkowym darem powinni się szkolić, aby się obronić, a prawdziwi magowie pracować nad kamieniem-sercem. Magia miała rozwiązać każdy problem. „A ile razy widziałem, jak ona te problemy przyciąga? Setki. A jeśli przyciągniemy coś, z czym sobie nie poradzimy?” Nie, więcej magii nie stanowiło rozwiązania. W każdym razie według Mrocznego Wiatru. „Powinniśmy poprosić inny klan o pomoc; potrzebujemy adeptów zdolnych do wysuszenia i ustabilizowania kamienia. A potem moglibyśmy wybudować Bramę i dołączyć do reszty. Co z tego, że oni tego nie potrafią? A dopóki kamień nie będzie bezpieczny, można się bronić sprytem”. Poruszył ramionami i zanurzył się głębiej. „Tak powinniśmy postąpić z tym adeptem: wyciągnąć go na otwartą przestrzeń, może udając martwych? I wtedy go wyeliminować, bo nie oczekuje z naszej strony ataku na swą cielesność”. Skinął głową, bo elementy układanki wskakiwały na swoje miejsca. „Adept czegoś chce, pewnie mocy kamienia-serca. Obserwuje używanie magii i wysyła coś przeciw magom. Nigdy nas naprawdę nie zaatakował, na to jest za sprytny, wie, że łatwiej nas zmęczyć. A teraz myśli, że o nim zapomnimy”. Na wspomnienie ojca, lekceważącego zwiadowców i zagrożenie, znów zagotowała się w nim krew. „Jasne. Proszę bardzo”.

To sprowadziło kolejną myśl: „A jeśli tych intruzów wysłał, by nas sprawdzić? Możliwe. Co wywnioskował z tego, że nie posłużyliśmy się magią? Że brak nam magów. Teraz ma więc jakieś pojęcie o naszej słabości. A jeśli obrócę to przeciw niemu? Wywiode na otwartą przestrzeń, żeby się przekonać, kim i czym jest? I jeśli go zniszczę, a przynajmniej przekonam, że nie warto z nami zaczynać?” Potrzęsnał głową. „Jasne. Prędzej mi skrzydła wyrosną, przynajmniej mógłbym polecieć po pomoc”. Lepiej trzymać się sprawdzonych metod.

Spojrzał w górę; do zachodu słońca niedaleko, więc powinien wrócić do swego ekele. Zwiadowcy dzienni czekają z raportami, nocni na odprawę, a Vree na kolację, bo królik na pewno nie zapełnił mużoładka. Niechętnie wyszedł z wody, wytarł się koszulą i ubrał. „Jeśli wiem, czym trzeba się zająć, muszę się wziąć do roboty. Mam obowiązki, niezależnie od tego, czy podobają się one mojemu ojcu”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ELSPETH

Elspeth trzęsa się ze zmęczenia, a razem z nią miecz, który trzymała w ręce. Kapitan opuściła swoją broń.

— Dobrze — powiedziała. — Jeszcze raz, od początku.

„Czy ja usłyszałam satysfakcję i aprobatę? Bogowie, nie będę się skarżyć na siniaki!” Elspeth otarła pot z czoła, pozbierała ostrza ćwiczebne i rozrzuciła je w zaznaczonym kole. Zabawne, po raz pierwszy kazano jej po prostu upuścić broń i zostawić, gdzie upadła. Było to częścią ćwiczeń z „podejścia”. Dzisiaj ćwiczyły obronę; Elspeth nie wolno było ani razu zaatakować i po raz pierwszy w życiu była tak wykończona.

Zabawa polegała na tym, że Kero ją rozbierała, a ona starała się dopaść kolejnej broni, czyli wszystkiego, co się pod to pojęcie dało podciągnąć, zanim została osaczona. Stąd te porzucane miecze.

Kiedy skończyła, stanęła w środku koła z mieczem w ręce, czekając na uderzenie Kero. „O, właśnie...” Serce przyspieszyło swój rytm, usta wyschły. Nie szkodzi, że to „tylko” ćwiczenia, z Kerowyn i Alberichem nie było „tylko” ćwiczeń. Kiedy „zabijali”, zostawiali siniaki jako przestrozę na przyszłość.

Tym razem kapitan podeszła wolno i przez kilka chwil fechtowała się z Elspeth, zmuszając ją do zmiany pozycji, a potem niespodziewanie wytrąciła jej miecz z ręki. Ta natychmiast rzuciła się w drugą stronę, przetoczyła po podłodze i chwyciła pugiń. Kero uderzyła, zanim Elspeth złapała równowagę. „Cholera!” Skoczyła w tył, ale za wolno, straciła broń. Wobec tego zastosowała nieoczekiwany manewr: zamiast uciec, rzuciła się na Kero. Pod jej ramieniem starała się złapać kolejny miecz, bez szans, bo kapitan po prostu wykopała go z jej zasięgu.

Rozpaczliwym ślizgiem na brzuchu skierowała się w kierunku innego, ale Kero znów ją ubiegła; ten jednak nie upadł za daleko i zdołała go chwycić, chociaż nie była pewna swoich zdrętwiałych palców. Kiedy kapitan jej dopadła, nie wypuściła miecza i sparowała trzy ciosy, trzymając rękojeść obiema dłońmi, tak że nie mogła sama uderzyć.

— Wystarczy — powiedziała Kero, wstając i ocierając pot z czoła. Elspeth padła na podłogę, mrugnęła kilkakrotnie i wolno przewróciła na bok. Kapitan pomogła jej wstać.

— Nieźle — rzuciła, zbierając rozrzucone ostrza. — Było nieźle. Naprawdę — zapewniła, kiedy Elspeth rzuciła jej zdziwione spojrzenie. — Byłaś wyczerpana, ze ścierpiętymi rękami, a jednak za każdym razem coś w nie chwyciłaś, zanim cię dopadłam. Dobra robota, kotku.

„A Alberich twierdzi, że ona jest od niego lepsza”. Przez chwilę Elspeth nie wiedziała, co odpowiedzieć, aż w końcu zdecydowała się na coś neutralnego.

— Myślisz, że utrzymałabym się przy życiu? — spytała.

— Aż do przybycia pomocy, tak. Ale jeśli Gwena nie zdążyłaby na czas, siedziałabyś po uszy w gnoju i nic by ci nie pomogło. — Kero zawiesiła miecze na hakach. — A o to chodzi wrogom.

Rozległo się głośne kasznięcie i w wejściu pojawił się Skif.

— Przepraszam, kapitanie, ale jeśli skończyłaś ćwiczenia z Elspeth, Rada chce z nią rozmawiać — powiedział pokornie.

— Teraz? — zdziwiła się Kerowyn.

„A teraz co, na bogów?” zastanawiała się Elspeth. Skif wyglądał na skrepowanego.

— No, raczej tak. — odparł — To znaczy, teraz toczą się obrady i naprawdę chcą z nią rozmawiać.

— Mogą chyba dać jej się odświeżyć. — Kero była nadzwyczaj uprzejma. — Chcą ją oglądać w takim stanie?

Kotku — myśl przemówiła do Elspeth — *w moim pokoju jest mój komplet Bieli i coś na kształt łazienki, powinnaś się zmieścić w mój mundur. Wiem z doświadczenia, że takie sytuacje lepiej się znosi jako tako wyglądając.*

Dzięki — odparła Elspeth, zaskoczona użyciem myśl-mowy. Kero używała jej rzadko poza kontaktami z Eldanem i swoim Towarzyszem, mimo że miała ten dar całe życie. Pochlebiło jej takie zaufanie.

Skoczyła do pokoju zbrojmistrza, zanim Skif mógł ją zatrzymać; rzeczywiście, za parawanem znalazła małą pompę i basenik, na tyle głęboki, żeby zanurzyć w nim głowę, co też zrobiła. Zimna woda podziałała na nią orzeźwiająco, a kiedy wycierała włosy, przez parawan przerzucono komplet Bieli.

„Nie wiedziałam, że Kero ma biały mundur, przekonała przecież wszystkich, że go nigdy nie włoży. Czasami przebiera się, oczywiście. Ale jeśli już koniecznie musiałyby wystąpić jako herold, nie widzę powodu, dla którego nie miałyby munduru trzymać tutaj. Miejsce równie dobre, jak każde inne”.

Co prawda Elspeth była nieco węższa w ramionach i szersza w białym, ale nie podejrzewała, aby ktoś to zauważył. Wiążąc włosy stwierdziła, że rzeczywiście czuje się bardziej pewna siebie.

Skif nie wyglądał na zbyt zniecierpliwionego czekaniem.

— Idziemy — rzuciła, a on potwierdził i ruszył za nią. Kiedy wyszli, spojrzęła na niego pytająco, ale Skif unikał jej wzroku. „O bogowie, co ja takiego zrobiłam? Chodzi o tę sprzeczkę z matką w sprawie magów? Jeśli tak, to nie mam zamiaru przeproszać. Mam rację, wiem, że ją mam”.

Po co jednak miałoby ją wzywać? Przecież nie zbuntowała się przeciw koronie! Chociaż z drugiej strony nalegała, żeby polowanie na magów Selenay powierzyła właśnie jej, co mogło stwarzać problemy, bo część z zasiadających w Radzie uważała ją za porywczą i lekkomyślną. „Może myślą, że zamierzam to zrobić niezależnie od ich zgody”. Głupi pomysł. „Co nie znaczy, że o tym nie myślałam... ale Gwena nie dała się przekonać. Zresztą, to była tylko chwila, bo to naprawdę głupi pomysł. Jedyne sposoby na zdobycie porządnego maga, to występować w imieniu królestwa, a niby jak miałabym to zrobić, gdybym uciekła?”

Tylko, kiedy o tym myślała, czy ktoś przypadkiem nie podsłuchiwał...? Nie, ale jeżeli jednak... Ogarnął ją gniew. „Jeżeli jednak, to ktoś mi za to zapłaci”.

Zanim wpuszczono ją na salę posiedzeń, musiała jeszcze trochę poczekać. Skif doprowadził ją pod drzwi i zniknął bez słowa, a oczekiwanie wcale jej nie uspokoiło. W końcu usłyszała kroki na korytarzu i zobaczyła zbliżających się pozostałych członków Rady. Weszli razem do sali i zajęli swoje miejsca, a gniew, że przywleczono ją na posiedzenie i porzucono przed drzwiami, trochę zelżał. Jednakże miło by jej było, gdyby ktoś się pofatygował powiedzieć jej, że wszyscy jeszcze nie przyszli.

Rzuciła spojrzenie na tych z Rady, którzy zasiadali też w kręgu heroldów: Terena, który objął po Elcarcie posadę dziekana kolegium, Kyrila, seneszala, Gryffona, lorda wojny, Talię, osobistego królowej oraz Selenay i Darena. Wiele jej to nie dało, bo z wyrazu ich twarzy nie dało się nic odczytać, a to znaczyło, że czymś się martwią. Obecność herolda z przypiętą srebrną strzałą posłańca, siedzącego na krześle dla gości, zmniejszała szansę na to, że zajmą się rozważaniem jej projektu.

Odetchnęła z ulgą. „Czyli mamy normalne posiedzenie Rady”. Gdyby inni nie mieli tak marsowych min, roześmiałaby się. „Elspeth, świat się jednak wokół ciebie nie kręci!”

Selenay wstała.

— Dzisiaj przybył posłaniec ze wschodniej granicy, od Shalla, jednej z poruczników herolda-kapitana Kerowyn. Shalla rozkazała mu wprawdzie przekażać wieści, zanim złoży raport swojemu kapitanowi.

„Jeśli ktoś się jeszcze zastanawia nad lojalnością Kero albo Piorunów Nieba...” uśmiechnęła się Elspeth.

— Po wysłuchaniu wiadomości postanowiłam przyprowadzić go tutaj i zwołać natychmiast całą Radę. — Skinęła na posłańca. — Heroldzie Selwin, oddaję ci

głos.

Selwin odkaslnął i wstał.

— Sądzę, że większość z was zdaje sobie sprawę z tego, że w tak narażonym na ataki miejscu, jak wschodnia granica, każdy garnizon ma swojego posłańca. Ja stacjonuję z Piorunami Nieba. Ale prawdopodobnie większość z was nie wie, iż Pioruny Nieba zaangażowane są, za wiedzą i przyzwoleniem królowej, w pewną... hmm... tajną działalność.

Elspeth podniosła brwi, a część Rady zaczęła między sobą szeptać. Ktoś wstał; lady Kester, przedstawiciel Zachodu.

— Co masz na myśli, mówiąc „tajna działalność?” — zapytała ostro.

— No cóż — Selwin spojrział na królową, a ta kiwnęła przyzwalająco głową — o części zadań nie mogę mówić, mam nadzieję, że to zrozumiecie. Królowa i księżę Daren wiedzą o wszystkim, ale im mniej osób jest zaangażowanych w sprawę, tym lepiej.

— A czy to, co cię tu przywiodło, też jest tajne? — rzuciła sucho Kester.

— Nie, skądże. Eee... przemycaliśmy: z Hardornu ludzi i informacje, do Hardornu zaopatrzenie. Jeden z przerzuconych przez granicę ludzi okazał się nie rolnikiem, który ma dosyć Ancara, a zbiegłym więźniem.

„Przemycaliśmy? Czyli Selwin siedzi w tym po uszy, nie jest tylko posłańcem”. Elspeth podejrzewała, że kilka osób przy stole było tego całkowicie świadomych.

— To nie był zwykły więzień — ciągnął Selwin. — Był jednym z urzędników w korpusie oficerskim Ancara. Za czasów poprzedniego króla też zajmował to stanowisko, a nie usunięto go tylko dlatego, że to tak zwykły facet, iż praktycznie wtapia się w tło. Mówi, a rzuciliśmy zakłęcie prawdy, więc trzeba mu wierzyć, że do niedawna nie wiedział, co się dzieje.

Co do tego Elspeth miała wątpliwości, ale dalszy opis więźnia je rozwiął: porucznik Rojer Klinseinem był opętanym urzędnikiem, jednym z tych, których tak cenili seneszał i marszałek Valdemaru. Żył księgami rachunkowymi, z biura wychodził, żeby jeść i spać, a nad tym, co właściwie znaczą podliczane przez niego kolumny cyfr, nigdy się nie zastanawiał. Zaczął o tym myśleć dopiero wtedy, kiedy wyczyny Ancara uderzyły w niego bezpośrednio: przyjaciele i oficerowie, których znał całe życie, znikali bez śladu; kiedy nosił mundur, ludzie na ulicy, sąsiedzi, znajomi, nawet dzieci, wszyscy odwracali się do niego plecami. Potem dostrzegł przedziwne rozbieżności w rachunkach, a zajmował się między innymi więzieniami: w celach przybywało więźniów, ale nie wzrastały wydatki na ich utrzymanie. Co więcej, nazwiska więźniów zmieniały się z tygodnia na tydzień. Pomimo swej ograniczoności Rojer był dobrym człowiekiem i te rzeczy zaczęły go martwić, więc zdecydował się przeprowadzić drobne prywatne śledztwo i poszedł rozejrzeć się w królewskich lochach. To, co tam odkrył, przeraziło go, a chwilę później złapał go jeden z czarowników króla. Miał na tyle rozsądku,

aby milczeć o tym, czego się dowiedział, a ponieważ był tak przeciętny, nikt się nim specjalnie nie przejął i zamknęli go w areszcie domowym. Miał się nim zająć ktoś, kogo nazywali „generałem od prawdy”, ale nie miał najmniejszego zamiaru poznać tego generała i uciekł przez okno, kradnąc po drodze konia i zmierzając ku Valdemarowi. Pamiętał stare dni, kiedy między Hardornem i Valdemarem panował pokój, a w oficjalne powody wrogości przestał wierzyć, więc liczył, że znajdzie tam schronienie.

— Nie będę wnikał w szczegóły, zresztą, przywieziemy go tutaj, wtedy będziecie mogli go przesłuchać. Teraz za bardzo nie może podróżować.

Elsbeth pomyślała, że nic jej w opowieści Rojera nie zadziwi. Nie po tym, co mówiła Kerowyn. I nie po tym, co spotkało Talię.

— Najważniejsze jest to, że odkrył, co się dzieje z więźniami — podjął Selwin. — Są ofiarami w jakimś krwawym kulcie, każdego tygodnia jest ich coraz więcej. Ancar sprowadza magów, mnóstwo magów, a z tymi, których nie może kupić, zawiera przymierza. Według Rojera Ancar planuje kolejną wielką wojnę z Valdemarem, a ci magowie będą jego najpotężniejszą bronią. Słyszał, jak ten, który go złapał, przechwalał się, że nawet pomoc bogów nic nie da.

Szepty wokół stołu stały się głośniejsze, przebijała z nich panika.

— To nie wszystko — dodał Selwin. Członkowie Rady uciszyli się, a niektórzy mieli strach w oczach. — Zaraz po tym, jak wydostaliśmy Rojera, miasto, w którym stacjonowały Pioruny Nieba, zostało zaatakowane. To był magiczny atak i przeszedł przez granicę.

— Dlaczego? — spytał lord patriarcha, ojciec Ricard, a jednocześnie marszałek rzucił:

— Jak?

— „Dlaczego” jest dość oczywiste — odezwał się Daren. — Wiedzieli, że Rojer jest u nas, a to, co wie, jest na tyle ważne, iż próbowali go uciszyć.

— Dokładnie, Wasza Wysokość — zgodził się Selwin. — A „jak”? No cóż, podejrzewam, że magowie przełamali ochronę naszej granicy. Widziałem ten atak. Na początku wziąłem to za jakąś mgłę i nie potraktowałem poważnie, ale Shallan i Pioruny Nieba już się z takimi rzeczami stykali i ewakuowali całe miasto. Shallan powiedziała, że sobie z tym poradzą, ale tylko z daleka. Ta mgła okazała się być rojem owadów, wielkości komarów, ale wystarczająco jadowitych, by zabić człowieka, a co do tego, że znały cel, nie ma wątpliwości. Przyleciały przez dziurę w niebie — potrząsnął głową. — Nie umiem tego porządnie opisać. Dziura pojawiła się w pewnej odległości od miasta, już w granicach Valdemaru.

— Czy te owady odleciały? — zapytał seneszał.

— Nie, panie, zabiliśmy je. Pioruny Nieba znały ten rodzaj broni. Po ewakuacji miasta użyto małych katapult do rozrzucenia na ulicach garnków z płonącymi ziołami. Żaden z owadów nas nie dopadł, a kiedy dziura znów się pojawiła, wróciło przez nią tylko kilka.

Ponieważ nikt nie miał pytań, posłaniec usiadł. Wstał księżę Daren.

— To nie jest ostatni taki atak, panie i panowie — powiedział ponuro. — Mamy szczęście, że pierwszy trafił na Pioruny Nieba, a nie na normalny garnizon. Wtedy grzebalibyśmy ludzi i zastanawiali się, co ich zabiło.

— Przyznaję, że wątpiałam, kiedy Kerowyn i moja córka zapewniały, iż Ancar przełamie magią nasze granice — Selenay była bardzo blada. Chwyliła męża za rękę — Myliłam się. — Rzuciła Elspeth spojrzenie. — Moja córka zaproponowała rozwiązanie, ale je natychmiast odrzuciłam. Sugerowała, że Valdemar powinien poszukać magów i znaleźć kogoś na tyle silnego, by mógł przekroczyć granicę i pomóc nam wewnątrz kraju, może też wyszkolić innych. Skoro Kroniki odnotowują dar magii, nadal jacyś heroldowie mogą go mieć. Elspeth sądzi, iż jest po prostu nierozpoznawalny, bo nie ma wśród nas odpowiednich nauczycieli. Zaproponowała również, że uda się na poszukiwanie maga i przywiedzie go, czy też ją, do nas.

Zapadła cisza, a zebrani z powątpiewaniem popatrzyli w tę stronę stołu, gdzie siedziała Elspeth. Spróbowała wyglądać jak najdoroślej i najpoważniej. Całe szczęście, że Kero kazała jej się przebrać... Teraz w niczym nie przypominała ulicznika.

— Mogę zabrać głos? — spytała. Kiedy Selenay skinęła głową, wstała.

„Zawsze mów do Rady na stojąco, kotku”, pouczyła ją Kero kilka tygodni temu, po tym, jak zdawała Radzie raport z działalności Piorunów Nieba. Dowiedziała się wówczas o Radzie znacznie więcej, niż mogli się tego spodziewać i przekazała Elspeth swoje obserwacje. „Zawsze mów na stojąco, bo jesteś wtedy wyższa od nich o głowę, co daje ci przewagę emocjonalną. Połóż ręce na stole i pochyl się ociupinkę do przodu: nie masz nic do ukrycia, jesteś pewna siebie i szczerza, tak się postrzega taką pozycję. Nie podnoś głosu, przeciwnie, mów ciszey niż normalnie, nie wezmą cię za kobietę powodowaną emocjami. Jeśli ci na czymś szczególnie zależy, uważnie dobieraj słowa i kładź na nie nacisk”.

Talia i Selenay wypowiadały się w taki właśnie sposób, ale nigdy nie zastanawiały się, dlaczego; Talia analizowała słuchaczy empatycznie i dostosowywała się do tego, co czuła, a Selenay lekcji udzielał ojciec, który nie przejmował się wyjaśnianiem mechanizmów psychicznych. Kerowyn, która całe życie musiała walczyć i zdobywać pozycję w męskim zawodzie, taktykę opanowała perfekcyjnie.

— Herold-kapitan Kerowyn i ja rozmawialiśmy kilkakrotnie o takiej możliwości — zaczęła cicho. — To samo w sobie było niezwykle, bo nawet mówienie o magii w królestwie jest bardzo trudne, szczególnie dla heroldów. Zastanówcie się, czy za każdym razem, kiedy poruszano tutaj temat magii, pamiętaliście cokolwiek po wyjściu z tej sali? — Większość zaprzeczyła. — Kiedy zagrożenie zniknęło, nie musieliście już poruszać tego tematu, prawda? Tak było ze mną, dopóki nie spotkałam Kerowyn. Myślę, że to zapominanie było jednym ze sposobów ochro-

ny, która zanika. Nie sędzę, żebyśmy po wyjściu wszystko pozapominali, i boje się bardzo, czy to oznacza, iż reszta naszych osłon również zanika.

Ktoś westchnął, kiedy zabrzmiały jej ostatnie słowa, ale nie wiedziała, kto. Rozejrzała się po sali i zauważyła potakujące skinienia.

— Nie sędzę, byśmy mieli jakiś wybór. Musimy znaleźć maga albo magów, skłonnych do pomocy. Jest kilka powodów, dla których to ja powinnam wyruszyć na poszukiwania. — Czekala na protesty, lecz nikt się nie odezwał. — Musimy wysłać herolda, bo tylko on zdaje sobie sprawę z wagi problemu i znajdzie kogoś o odpowiedniej etyce. Moja ranga jest wystarczająca, abym mogła prowadzić negocjacje. Mogłaby to być Talia, ale ma małe dziecko, więc prosić ją o wyjazd na nie wiadomo jak długo jest bezmyślnością. Poza tym, gdyby ktoś zdołał porwać Jemiego, użyto by go przeciw niej. Jak wiecie, Ancar próbował mnie zabić, a myślę, że w ruchomy cel trudniej uderzyć. Oczywiście, są inni heroldowie, ale tylko Kero i ja możemy normalnie rozmawiać o magii i ocenić zdolności maga. Kero była najemnikiem, a to może się obrócić przeciw niej — rozłożyła ręce. — Dla mnie odpowiedź jest oczywista. Poza tym nie jestem niezastąpiona, zawsze są jeszcze bliźnięta, które mogą dziedziczyć tron. — Usiadła i wtedy rozpętało się piekło.

Zanim posiedzenie dobiegło końca, ból zaczął rozrywać jej głowę, członkowie Rady bowiem kłócili się aż do nocy. Służący przynosili mięso, ser i napoje, a potem zawołano ich znowu, by pozapalali lampy. Z uwagi na wagę obrad, do stołu podawali młodzi heroldowie. Nie przeszły one co prawda do historii jako najdłuższe, ale niewątpliwie jako jedne z najważniejszych.

Elspeth czuła się jak zaszczute zwierzę; albo się na nią rzucali i wykrzykiwali pytania, albo zachowywali się tak, jakby jej w ogóle nie było, kłócąc się o jej umiejętności na całe gardło. Talia od czasu do czasu rzucała jej współczujące spojrzenie, ale i tak była wystarczająco zajęta.

A poza tym, to Elspeth walczyła i chciała wygrać, nikt nie był tak przekonany o słuszności misji, jak ona. Matka ciągle jej nie popierała, wobec tego musiała toczyć ten bój sama, niezależnie od tego, jak długo potrwa. Zauważyła jedną dziwną rzecz: za każdym razem, kiedy ktoś chciał zaprotestować, spoglądał na nią i milkł, nawet w połowie zdania. Heroldom zdarzało się to często, kiedy przemawiały do nich ich Towarzysze, lecz nigdy nie spotkała się z aż takim natężeniem tego zjawiska. Zupełnie jakby Towarzysze trzymały jej stronę, przekonując swoich wybranych.

Do wiążących wniosków doszli krótko przed północą. Elspeth mogła, a nawet musiała wyruszyć; sytuacja była bardzo napięta, o czym przekonywał Selwin. Nawet matka zgodziła się, że Elspeth jest jedyną osobą, która dysponuje talentami i wiedzą gwarantującymi powodzenie przedsięwzięcia. Jednakże nie mogła poje-

chać sama.

— Nie pojedziesz bez eskorty — stwierdził marszałek. — Potrzebujesz co najmniej dwudziestu zbrojnych.

— Trzydziestu — przebił seneszał.

— Absolutnie — sekundowała lady Cathan z gildii. — Mniejsza liczba jest nie do przyjęcia.

„Mam znaleźć magów, ludzi chronicznie nieśmiałych, z całą armią na karaku?” Nie powiedziała tego na głos, pozwoliła im się spierać o wielkość eskorty, która w końcu faktycznie zaczęła przypominać armię, wyczekała na odpowiedni moment i wtedy włączyła się do rozmowy.

— Niemożliwe — stwierdziła krótko. — Wszystkie głowy obróciły się w jej kierunku. — Absolutnie niemożliwe — powtórzyła. — Mam za sobą wlec zbrojnych, a tu liczy się szybkość. Pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi nie przegoni Towarzysza, nawet jeśli są to Pioruny Nieba. A jeśli będę musiała opuścić Rethwellan? Mało który władca powita z otwartymi ramionami oddział zbrojnych na swojej ziemi. Ale oczywiście wtedy nie musielibyśmy wysyłać Ancarowi sprawozdania z przebiegu podróży. — Heroldowie nieco przycichli. — A jeśli naprawdę chcecie uczynić ze mnie cel, wprost o tym powiedzcie. Są łatwiejsze sposoby, żeby się mnie pozbyć.

— Nie przesadzaj, dobrze? — rzucił seneszał i Elspeth poczuła, że bardzo chciałyby go ugryźć.

— Doprawdy? — podniosła brew, ale poza tym wyglądała na urażoną niewinność. — Wysłuchaliście dzisiaj relacji o czymś, co Ancar przerzucił przez granicę i co mogło zniszczyć cały garnizon. A jak wyjadę z Valdemaru, będzie mu trudniej? Powiedziałabym, że strategia ruchomego celu ma największe zalety.

— Dobrze — powiedział w końcu Daren po chwili ciszy. — Co chcesz zrobić?

— Wolałabym pojechać sama. Najbezpieczniejsza jestem wówczas, gdy nikt nie wie, gdzie jestem.

— Nie — książę potrząsnął głową. — Gdyby w grę wchodził ktoś inny, nie byłoby problemu. Możesz myśleć, że nie jesteś niezastąpiona, lecz ciągle jesteś następczynią tronu. A argument, jaki podniosłaś co do Talii, odnosi się również do ciebie: gdyby cię złapano, byłabyś zakładnikiem.

Westchnęła, ale musiała przyznać mu rację.

— Zgadzam się. Myślę jednak, że mnie i Gwenę mogłaby pojmać tylko mała armia.

— Zawsze jeszcze zostaje zdrada. Musisz pojechać z jeszcze jedną osobą i sugerowałbym herolda.

— Ktoś odpowiedzialny i zdolny — dodał ojciec Ricard.

— Przebiegły i bystry — dorzuciła Talia.

— Dobrze — zgodziła się, zanim rozgorzała dyskusja na temat cech jej towarzysza: z pewnością przeciągnęłaby się do świtu. — Ale to ma być Skif. On

jedyny jest w stanie dobrze mnie strzec. — Oczekiwała awantury; w końcu po plotkach, że coś ich łączy, członkowie Rady powinni natychmiast odrzucić jego kandydaturę. A wtedy, wyczerpanych gadaniem, mogłaby zmusić do puszczenia jej samej. . .

— Dobrze — odpowiedziała natychmiast Selenay. — Skif jest doskonały. Ma wszystko, czego potrzebujemy: jest odpowiedzialny, zdolny, przebiegły, bystry. . .

— Sprytu też mu nie brakuje, mały diabeł — roześmiał się Palinor. — Założę się, że jego Ancar na drzemce nie przyłapie!

Elsbeth poczuła, jak twarz jej się wydłużyła, gdy po kolei każdy członek Rady zgadzał się na człowieka, którego wybrała, chociaż była przekonana, że propozycja zostanie natychmiast odrzucona. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, zaaprobowali ją jako pełnomocnika królowej, zaakceptowali eskortę i zamknęli posiedzenie. Kiedy tak siedziała i z niedowierzaniem obserwowała wychodzących, Talia poklepała ją po ramieniu i szepnęła:

— Dobry wybór, kotku. Tylko tym ich przekonałaś.

Została w końcu sama i patrząc na świece zastanawiała się, kto tu właściwie kogo zrobił na szaro.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MROCZNY WIATR

„Zebrania Rady. Ciągłe gładzenie o niczym, kiedy my, strażnicy, bawimy się na granicy w chowanego ze śmiercią. I żadnej pomocy, oczywiście. Gdyby ktoś inny chciał się tym zająć, oddałbym miejsce w Radzie w mgnieniu oka”.

Mroczny Wiatr pociągnął pnącze dzikiego wina, powstrzymując się od zerwania go w porywie wściekłości. Wiele dni upłynęło od kłótni z ojcem, kiedy zażądał pomocy dla klanu i zwiadowców, a co zostało zrobione? Nic. Lub, innymi słowy, „wzięto to pod uwagę”. Na pewno „rozważą wszystkie możliwości” i „przemyślą problem”.

„Siedzą na tyłkach, boją się ruszyć palcem, oto, co się dzieje. Ojciec nie pozwoli im działać, bo za bardzo się boi wpływu, jaki to wyrze na kamień-serce. A udać się po pomoc nadal nie chcą”.

Nie, żeby się spodziewał innego rozwoju wypadków, szczególnie po rozmowie z Gwiazdym Ostrzem. Przy rozważaniu rzeczy naprawdę ważnych cała Rada przyjmowała stanowisko Gwiazdnego Ostrza.

„Muszę się zacząć zastanawiać nad planami Jutrzenki, przewidującymi włączenie do akcji hertasi i innych. Nie dali nam wyboru; jeśli mamy ich skutecznie bronić, musimy szukać pomocy wszędzie, gdzie tylko możemy”.

To, czy odciążenie hertasi od ich normalnych obowiązków zakłóci życie w Dolinie, wcale go nie obchodziło. Co z tego, że wszystko trochę bardziej zarośnie? Być może jakiemuś Starszemu nie spodoba się, że nikt nie naprawia jego ekele, gdyż hertasi pomagają bronić Doliny, i wtedy dopiero zaczną się zastanawiać, czy przypadkiem z ich małym światem nie dzieje się coś złego? I może wtedy nareszcie dojdą do wniosku, że należy coś z tym zrobić.

„Mam nadzieję, bo na coś takiego, jak ich rozsądek, nie liczę”.

Wyszedł z Doliny najkrótszą drogą, przedzierając się przez zarośnięte ścieżki. Na drzewie, które rosnęło tuż za barierą, zobaczył czekającego na niego Vree. Myszołów wolał nie wlatywać do Doliny, jeśli nie musiał, a wiele innych ptaków podzielało jego niechęć do tego miejsca i trzymało się poza magiczną osłoną.

Mroczny Wiatr nie był pewien, czy tak jak ich ludzcy towarzysze, nie lubiły magii, czy wyczuwały problemy z kamieniem-sercem. Na pewno jednak ich awersja zaczęła się po katastrofie, nie przed nią. Chciałby móc unikać Doliny. Nie czuł się dobrze w jej luksusie; przy krawędzi jeszcze jakoś ją znosił, bo roślinność nie różniła się niczym od wyhodowanej w normalnej cieplarni, ale im bliżej uszkodzonego kamienia-serca, tym bardziej stawała się wynaturzona, a on czuł; się dziwnie: trochę zagubiony, tracił równowagę i chciało mu się spać. Zupełnie, jakby coś pożerało jego energię i zaćmiewało myśli.

„To nie sprawa mojej wyobraźni. Jeśli Vree i inne ptaki unikają Doliny, powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski, niezależnie od tego, co twierdzi ojciec. Co on w ogóle wie? Ma tego swojego cholernego kruka, wyhodowanego z dzikiej linii, który równie dobrze mógłby być kawałkiem metalu, tyle ma inteligencji. Nie rozmawia z innymi ptakami, robi to, co mu się każe, i większość czasu siedzi na swojej żerdzi jak jakieś dzieło sztuki”.

Przeszedł przez barierę, poczuł mrowienie na skórze i znalazł się w normalnym świecie. Od razu poczuł się raźniej i kiedy wdychał powietrze przesycone zapachem sosen, wydawało mu się, że nawet stopy lepiej trzymają się ziemi. Żadnych ciężkich zapachów kwiatów, żadnej wilgoci, po prostu letni wiatr. Nikomu nie trzeba się tłumaczyć. Nikt nie zarzucał mu niekompetencji i nie kwestionował sądów, chyba że naprawdę się pomylił.

Vree! — wezwał więź-ptaka, bo nagle bardzo zatęsknił do znajomego ciężaru na ramieniu. Vree sfrunął z wierzchołka najbliższej sosny, wylądował na jego nadgarstku i przeskoczył na żerdkę przymocowaną do kurtki Mrocznego Wiatru.

Nie lubię Doliny — zrzędził. — Za ciepło, za pusto, źle. Nie lubię kruka, durny kruk. Nie wracaj.

Wysłał mu współczucie pomieszane ze zrozumieniem. *Muszę, pierzasty. Ale ty nie musisz tam wlatywać, jeśli nie chcesz. Poza tym nie mam zamiaru jakiś czas tutaj wracać.* — Więź-ptak zagruchał radośnie i pociągnął Mroczny Wiatr za włosy. Mężczyzna roześmiał się; perspektywa spokoju od zebrań Rady i radość z przebywania poza Doliną sprawiła, że odwzajemnił pieśczętę i zaczął drapać Vree po piersi. Ten zagulgotał radośnie i podstawił głowę.

— Sybaryta! — stwierdził Mroczny Wiatr.

Dobrze — oznajmił więź-ptak. — *Drap.*

Najpierw raport, pierzasty, albo przestanę.

Prawie usłyszał ciężkie westchnienie; ptaki mogły w pewnym stopniu odbierać i przekazywać wieści: kiedy był w Dolinie, używał Vree jako skrzynki kontaktowej ze zwiadowcami. Większość raportów pochodziła od tych, którzy nie zdążyli osobiście się z nim skontaktować przed Radą. Nawet jak na możliwości Vree były zadziwiająco proste: „Nic się nie dzieje”, „Spokojnie” czy „Wszystko w porządku”. Podświadomie oczekiwał, że coś strasznego wydarzy się właśnie wtedy, kiedy nie będą mogli skontaktować się z nim bezpośrednio, ale wyglądało

na to, że wszyscy zwiadowcy sobie radzili.

Oprócz grupy, z którą strzegł południowej granicy. Ci przysłali raporty, że napotkali problemy, przekażą straż nocnym i spotkają się z nim w jego ekele, by porozmawiać z nim osobiście. Vree nie mógł oddać emocjonalnych niuansów tych wieści przesyłanych w myślomwie, ale sama zwięzłość raportów nie wróżyła zbyt dobrze. Zaklął cicho; ostatnim razem, kiedy chcieli z nim porozmawiać osobiście, przez tydzień musieli odpierać ataki nafaszerowanych magią stworzeń i kosztowało ich to trzech ludzi: dwóch zwiadowców i jednego maga, który zgodził się z nimi współpracować.

To było krótko po jego przystąpieniu do zwiadowców, zanim uczynili go swoim rzecznikiem. Miał tylko nadzieję, że tym razem sytuacja nie będzie aż tak ekstremalna, a jeśli nawet, poradzą sobie z nią bez strat.

Dom? — zapytał Vree po przekazaniu ostatniej wiadomości.

Tak, tam się spotkamy. — Wyrzucił ptaka w powietrze, a sam pobiegł przez las, wystrzegając się dróg, którymi wcześniej podążał. Nigdy nie szedł dwa razy tą samą ścieżką; biegnąc, miał oczy i uszy otwarte, świadomy wszystkich niezwykłych śladów, dziwnych zapachów, jakiś kolorów w nieoczekiwanych miejscach czy odgłosów w lesie. Inni nie byli aż tak uważni; Deszczowy Wiatr został osaczony w drodze do swego ekele po długiej kąpieli w strumieniu. Miał szczęście, bo ptak zauważył zasadzkę i zabił jednego z napastników. Stworzenia, które go napadły, nie miały kłów i pazurów nasączonych trucizną, dlatego wywinął się z tego jedynie z trwale uszkodzonym biodrem. Innym się nie powiodło; za nieuwagę płacili utratą części ciała albo życiem.

Taka była cena przebywania poza Doliną. Tayledras w pojedynkę mógł ochronić zaledwie swoje ekele, nawet jeśli był adeptem, a ponieważ większość zwiadowców nie miała z magią nic wspólnego, za wolność płacili bezpieczeństwem. Każdy, kto tu żył, twierdził, że warto. W Dolinie mieszkało się naprawdę źle.

Bieg sprawił, że poczuł się w stanie stawić czoła temu, co go czekało. Wyczuł obecność zwiadowców na długo przedtem, zanim oni go dostrzegli. Z grzeczności nie wspięli się do ekele, pod jego nieobecność czekali spokojnie na dole, a Vree skakał niecierpliwie nad nimi.

Jeść! — zażądał, kiedy tylko dostrzegł Mroczny Wiatr. Czekający usłyszeli tę myśl i zwrócili się w jego stronę; poczekali, aż znajdzie się w ich polu widzenia i wtedy go przywitani. Żadnego konwencjonalnego „zhai’hellewa”, Zimowy Blask i Chmura Burzowa podnieśli dłonie, a Jutrzenka wysłała mu pieszczotliwą myśl, zapowiedź tego, co będzie, zabarwioną jednak niepokojem. A to nie wróżyło dobrze.

Dał sygnał Vree, a ten zleciał na niższą gałąź i odczepił sznurową drabinę, przymocowaną do pnia. Opadła z klekotem na ziemię, Mroczny Wiatr wskazał ją swym gościom; sam szedł na końcu, wciągając drabinę. Zajęło mu to trochę czasu — weszli do ekele, kiedy on był dopiero w połowie drogi. Ekele zostało

zbudowane o wiele solidniej niż te w Dolinie; musiało wytrzymać upały i mrozy, śnieg i deszcz oraz wizyty wrogo nastawionych stworzeń z tamtej strony. W końcu dotarł do miejsca, gdzie drabinkę przyczepiono do gałęzi, zaczepił ją ponownie na kołku i podążył za gośćmi.

Drzewo miało ogromne rozmiary, choć nie takie, jak giganty z Doliny, utrzymujące tuzin ekele; była to potężna sosna, której strzelistego pnia nie mogło objąć dziesięciu mężczyzn, a gałęzie zaczynały się sporo nad ziemią. Do pierwszej przymocował drabinkę; ekele zbudował jeszcze wyżej.

Wciągnął się do wnętrza, zamknął właz, podszedł do okienka w pierwszej izbie i wpuścił do środka Vree. Myszołów usadowił się wygodnie na jego ramieniu, a Mroczny Wiatr dołączył do gości. Całe ekele zbudowane było z jasnego drewna, na zewnątrz pomalowanego jak pień, wewnątrz wygładzonego. W pierwszej izbie, która miała za zadanie zatrzymywać wiatr, zawiesił na ścianach płaszcze i broń, to wszystko; każda izba była zbudowana na innej, jak skorupka ślimaka otaczały pień. W następnej zazwyczaj przyjmował przyjaciół; otaczała jedną trzecią pnia, w zimie ogrzewał ją gliniany piec, na którym gotował. Nad nią znajdowały się jeszcze dwie izby, w jednej spał, drugiej używał jako składzika. Kiedy tylko wszedł po stopniach, Vree zeskoczył z jego ramienia i podbiegł niezdarnie do swojej żerdki. Usiadł na niej i czekał na kolację. Platformy wyściełane poduszkami, jedyne stałe — oprócz podłogi i żerdki Vree — wyposażenie izby, zajęli Zimowy Blask, Chmura Burzowa i Jutrzenka.

„Troje najlepszych. Ich problemy nie wynikają z braku doświadczenia”.

Zimowy Blask był najstarszy; oddał stanowisko Starszego i rzecznika Mrocznemu Wiatrowi. „Teraz wiem, dlaczego. Chętnie bym się z nim zamienił”. Rzadko farbował włosy i wiązał je w śnieżnobiały warkocz. Przez pewien czas podlegał mu Gwiazdne Ostrze, lecz Zimowy Blask miał duszę samotnika i wybrał życie poza Doliną. Co było również niezwykle, towarzyszyły mu dwa ptaki: śnieżny orzeł Lyera w dzień i sowa Huur nocą. Strzegły ekele Zimowego Blasku, w zadziwiający sposób nie wchodząc w konflikty, choć sowy i orły zazwyczaj się mordowały. Ich potomstwo było wysoce cenione jako więź-ptaki. Było, bo zmniejszenie liczby klanu i brak dzieci sprawił, że tegoroczny miot pozostanie wolny albo odleci do innych klanów, chyba że któryś ze zwiadowców zdecyduje się na drugiego ptaka albo straci swojego. Mroczny Wiatr przez moment zastanawiał się nad wzięciem sówki, ale fala zazdrości Vree sprawiła, że z żalem porzucił ten pomysł.

Chmura Burzowa mógł zostać magiem, ale Gwiazdne Ostrze określił jego dar jako „niewystarczający” i teraz odmawiał on jakiegokolwiek kontaktu z magią, stwierdzając na zebraniu Rady, że „lepiej być pierwszorzędnym zwiadowcą niż drugorzędnym magiem”.

„Nie winie cię, przyjacielu, niezależnie od słów ojca o niewdzięczności i bezczelności. Zrobiłbym to samo”. Był najstarszym i najlepszym przyjacielem Mrocznego Wiatru, odkąd jako tako nauczyli się chodzić. Nie miał orlich rysów

twarży, typowych dla Tayledras, tylko okrągły podbródek i perkaty nos, a poza tym strzygł włosy bardzo krótko. Miał białego kruka, Krawna, tak gadatliwego, jak milczący był kruk Gwiazdnego Ostrza.

I zdecydowanie najinteligentniejszego ze wszystkich pierzastych. Obaj bardzo lubili robić ludziom dowcipy i to, że od miesięcy nikt nie stał się ich celem, dowodziło powagi sytuacji.

Jutrzenka i jej jastrzębica, Kyrr, były bardzo piękne i bardzo spragnione miłości. Jutrzenka rzuciła Mrocznemu Wiatrowi obiecujące spojrzenie i mężczyzna po raz kolejny zdziwił się, dlaczego wybrała właśnie jego. Miała nieomal elfie rysy twarzy i przypominała tervardi, prześlicznych ludzi-ptaki, z którymi często przebywała. Potrafiła myślmówić z nieлюдźmi i zwierzętami z łatwością, której wielu jej zazdrościło. Światło lampy, oblewające błyszczące włosy Jutrzenki przydawało jej nieziemskiego uroku.

Lampy były jedynym ustępstwem Mrocznego Wiatru na rzecz magii. W ciągu dnia światło wpadało przez cztery okna przesłonięte czymś, co było przezroczyste jak szkło, ale niemożliwe do stłuczenia; w nocyświeciły magiczne lampy, których światło było tym mocniejsze, im głębsza ciemność wokół panowała.

Nakarmił więź-ptaka, kiedy tylko wszedł: Vree się dosyć naczekał. Dał mu pół królika, raczej przystawkę według standardów myszołowa, ale przynajmniej nie będzie przeszkadzał w rozmowie. Vree popatrzył na niego podejrzliwie, kiedy zobaczył przed dziobem królika.

? — wyraził swe niezadowolenie.

Później, więcej. Czeka na ciebie kaczka.

Vree zaaprobował takie wyjście i rzucił się na mięso. Więż-ptakom brakowało tylko jednego: manier przy jedzeniu.

— W czym problem? — zapytał siadając.

— Strefa graniczna — rzucił krótko Zimowy Blask. Siedział z dłońmi na kolanach i ta spokojna pozycja bardzo niepokoiła Mroczny Wiatr. — Mamy problemy na południu. Różni ludzie i stwory przekraczają granicę, ani jedni, ani drugie mi się nie podobają. Przychodzą z tamtej strony i zaczynają się osiedlać: budują gniazda, nory, umocnione domy. To mi się nie podoba, Mroczny Wietrze: oni nie są całkiemźli, ale źle promieniują, ciarki mi chodzą po plecach, kiedy na nich patrzę. Są wewnątrz dawnych granic k'Sheyna, a nie tylko na obrzeżach. Widziałeś, jak czasami jeden ptak spycha drugiego z żerdzi, przysuwając się bliżej i bliżej i ten drugi musi albo go podziobać, albo ustąpić? Oni robią to samo z nami.

— U mnie jest identycznie — powiedział Chmura Burzowa. — A poza tym jestem na tyle magiem, żeby zauważyć inne rzeczy. Tuż obok mojej strefy umieszczono nowy węzeł i poprowadzono do niego wiele linii zasilających. Jedna z nich odchodzi prosto ku tamtej stronie, tam, gdzie na pewno jest siedziba adepta. To źle, bo ma mnóstwo energii, a poprowadzenie linii wymaga cholernych umiejętności. Złapałem go na sondowaniu Doliny; myślę, że zechce tam puścić jedną

z nich.

Mroczny Wiatr zmarszczył brwi. — To coś nowego, prawda? Nigdy przedtem nie krał mocy.

— Właśnie — potwierdził Chmura Burzowa. — Nie podoba mi się to. A jeszcze mniej fakt, że nasi magowie niczego nie wyczuli. Chyba że to zebranie dotyczyło właśnie tego...?

— Nie. Nie poruszyli tej sprawy. Albo trzymają to przede mną w tajemnicy, albo nie zauważyli ani nowego węzła, ani linii.

— Aha — zgodził się Zimowy Blask. — Możesz tutaj zacząć wojnę, a oni się nie zorientują. Ciągłe śnią o tym, co było kiedyś, a kamień-serce nie pozwala im dojrzeć rzeczy istniejących poza Doliną.

Mroczny Wiatr przygryzł wargi. Tak nie powinno być; kamień-serce miał za zadanie wzmacniać postrzeganie rzeczy poza Doliną, a nie niszczyć wrażliwość na nie. Wiedział, że Zimowy Blask ma rację, bo to była jedna z tych rzeczy, których tak nie lubił: wewnątrz osłony czuł się tak, jakby go odcięto od płynącej z zewnątrz energii. Nikt o tym nie mówił, nawet bezpośrednio po rozpadzie kamienia, czyli albo to było coś nowego, efekt uboczny życia tam... „... Albo stało się tak po katastrofie i nikt tego nie zauważył. Jeszcze gorzej”.

Obrócił się w stronę milczącej Jutrzenki.

— No cóż — powiedziała — Chmura Burzowa zna się na energii, a Huur jest najlepszym szpiegiem, jakiego znam. Powiem tylko tyle, że podobne rzeczy dzieją się u mnie, ale chciałabym, żeby ktoś inny to sprawdził. To, czym dysponuję, to sieć informatorów: hertasi, dyheli, tervardi i kilku ludzi, którzy nie przepadają za cywilizacją. Ludzie są trochę szurnięci, ale widzą, co się wokół nich dzieje.

Mroczny Wiatr skinął powoli głową; to Jutrzenka wpadła na pomysł szukania pomocy wśród nie ludzi i udowodniła, że teoria doskonale sprawdza się w praktyce.

— Tyle tylko, że niektórzy z moich informatorów znikają — dodała, usiłując ukryć niepokój. — Kiedy wysłałam kogoś na ich poszukiwanie, okazało się, że po prostu rozplynęli się bez śladu. Rozumiałabym to, gdyby chodziło o dyheli, ale hertasi mają normalne domy, budują płoty wokół swoich grot i drzew, a tervardi żyją w ekele. I te ekele też poznikały, zupełnie, jakby nigdy ich nie było!

— Poznikały? — powtórzył Mroczny Wiatr. — Jak mogło zniknąć całe drzewo?

— Nie wiem. Drzewa stoją, jak stały, tylko ekele już na nich nie ma. Znikają grot: w ich miejscu jest skała. Tak przynajmniej twierdzi mój ptak.

— Czy to może być iluzja? — spytał Zimowy Blask.

— Owszem — przyznała. — Kyrr nie odróżnia prawdy od złudzenia i nie jest szczególnie wrażliwa na magię, a nie chciałam jej zmuszać do sprawdzania. Ale tervardi i hertasi nie potrafią użyć magii do ukrycia swoich domów. Coś po prostu sprawiło, że zniknęły, a miejsce wygląda jak nie zamieszkane.

— Kto, dlaczego i jak? — zapytał Chmura Burzowa. — Mają tam adepta. . .

— Ale nigdy czegoś takiego nie robił — dorzucił Zimowy Blask.

— Do tej pory — wtrącił Mroczny Wiatr. — Mógł zmienić taktykę, albo to wcale nie on czy ona. To może być zupełnie inny adept. „Dlaczego” to dobre pytanie: dlaczego sprawia, że znikają i wygląda, jakby nigdy nie istniały?

— Żeby nas zmylić? Żebyśmy myśleli, że wariujemy? — zasugerował Chmura Burzowa.

— Dlaczego nie? — Jutrzenka wyprostowała się i wyraźnie ożywiła. — Wie, jak źle działa na nas kamień-serce. Jeśli nie kontaktowalibyśmy się z tymi stworzeniami za często, ich zniknięcie mogłoby namieszać nam w głowach.

— No właśnie. — Pomysł najwidoczniej spodobał się Zimowemu Blaskowi. — Pytanie, co zamierzamy zrobić w tej sprawie?

— Nie możemy niczego uczynić, jeśli chodzi o utratę neutralnego terytorium, ale tym, którzy się tam osiedlą, jesteśmy w stanie obrzydzić życie do tego stopnia, że nie będą dążyć do starcia z nami i po prostu uciekną.

— Jakieś brzydkie żarty? — rozmarzył się Chmura Burzowa. — Krawn i ja z rozkoszą się tym zajmujemy. Mamy lato, co daje wiele możliwości, o ile się tylko zgodzicie. — Uśmiechnął się paskudnie. — Ostatnio widziałem prześliczne gniazda os, a Krawn lubi włączyć za sobą całe stada innych ptaków. Nie będą mogli niczego zostawić poza domem, bo albo im to zniknie, albo. . . hm, zostanie zanieczyszczone.

— Zrób to — stwierdził Mroczny Wiatr. — Nie naciskam, lecz jeśli uda ci się rozciągnąć zasięg na tereny Jutrzenki i Zimowego Blasku. . .

— Nie ma sprawy. Sztuczka z tego typu żartami polega na tym, że muszą być zupełnie nieoczekiwane. Krawn się ucieszy.

— A co z kradzieżą energii? — chciał wiedzieć Zimowy Blask. — My nic na to nie poradzimy, ale ktoś powinien się tym zająć.

— Pogadam z magami, niczego jednak nie obiecuję. Może załatają przecieki, może nie. Trudno powiedzieć.

— A moje zaginione stworzenia? — Prośbie w oczach Jutrzenki trudno było się oprzeć, ale w tej akurat sprawie nie mógł nic poradzić.

— Pozostaną zaginione — powiedział, podnosząc dłoń, żeby uciszyć protesty. — Wiem, wiem, to nie w porządku, ale nie mamy tylu strażników, żeby ich posłać na neutralne terytorium dla zbadania sprawy.

— Gdyby to gryfy, z którymi się tak przyjaźnisz, zniknęły, też byś tak mówił? — warknęła.

— Tak. Gdyby ich gniazdo znajdowało się poza granicami. A poza tym, jeśli Treyvan i Hedona nie potrafią sobie z czymś poradzić, bardzo wątpię, czy my moglibyśmy im pomóc. Ale obiecuję ci tyle, że jeśli ty i Kyrr znajdziecie tego drapieżcę, postaramy się ocalić jego ofiary.

Jutrzence odpowiedź najwyraźniej nie przypadła do gustu, lecz wiedziała, że nie może liczyć na więcej.

— Coś jeszcze? — spytał Mroczny Wiatr, tłumiąc ziewnięcie. Niebo za oknem było purpurowe, a jeśli jego goście chcieli dotrzeć do swoich ekele przed zmrokiem, musieli się pośpieszyć. — Muszę ruszyć na patrol przed wschodem słońca i pogadać z Bursztynowym Świtem o cholernej Radzie. Czeka mnie krótka noc.

— Myślę, że omówiliśmy wszystko — stwierdził Zimowy Blask. — Spotkam się z resztą i powiem im, co ustaliliśmy.

Podniósł się i ruszył w kierunku schodów, a Chmura Burzowa podążył za nim, ale obrócił się jeszcze i mrugnął porozumiewawczo.

Jutrzenka patrzyła przez okno na czarne gałęzie.

— Naprawdę jesteś aż tak zmęczony?

— Nie, jeśli chcesz zostać przez jakiś czas. — Uśmiechnął się do niej.

— Nie zabrałeś swojego pióra — powiedziała i zanim uświadomił sobie, że się ruszyła, trzymał ją w ramionach. — A ja na pewno nie chcę zabrać mojego. Oczywiście, że zostanę.

Jej zapach zawrócił mu w głowie, a miękkie usta sprawiły, że krew zaczęła wrzeć w żyłach. Zatracił się w niej, dwa umysły złączone w jedno; jej dłonie pieściły jego kark, a on zanurzył twarz w jej włosach.

Na szczęście oboje przypomnieli sobie o drabince.

— Idź zamknąć drzwi. Jeśli dobrze pamiętam, zachód słońca szczególnie pięknie widać z twojej sypialni.

Odepchnęła go; ruszył na dół i podciągnął drabinkę, a potem przygasił lampy. Do sypialni pobiegł przeskakując po dwa stopnie. Czekwała na niego, odziana tylko w rozpuszczone włosy, zwinęta w kłębek jak kot. Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i przestali zwracać sobie głowę zachodem słońca.

Nadchodzi brat, szybko — zaraportował Vree zdziwiony. — *Bardzo szybko.*

Alarm przerwał najnudniejszy patrol w jego życiu, polegający na przemierzaniu wyschniętego strumienia. Ścisłej, strumień płynął tu jeszcze tydzień temu; najwyraźniej kradziono nie tylko linie energetyczne.

Mroczny Wiatr za bardzo się tym nie przejął, bo strumień mógł wyschnąć z setek powodów, włączając w to niewinne bobry, ale była to kolejna rzecz, którą należało zbadać. Wtedy właśnie zaalarmował go Vree; zanim zdążył zapytać, co należy rozumieć przez „szybko”, usłyszał tętent kopyt i na brzegu byłego strumienia pojawił się młody dyheli. Piękne, podobne do antylopy zwierzę ciężko dyszało, a boki miało pokryte potem. Z jego grzbietu zsunęła się Jutrzenka i dyheli podniósł trójrogą głowę, patrząc Mrocznemu Wiatrowi prosto w oczy.

Nie mogę biec, pomóż moim braciom — przekazał myśl zwiadowcy, a potem zwałił się ciężko na trawę.

— Co... — zaczął, kierując się w stronę Jutrzenki.

— Zaraz za granicą jest stado młodych dyheli — wyrzuciła z siebie. Mówiła tak szybko, że ledwo mógł ją zrozumieć. — Są uwięzione w kotlinie i nie mogą wyjść. Nie wiem, co je tam wpędziło, może chciały się tam schronić na noc, lecz wpadły w pułapkę, szaleją ze strachu...

— Hejże. — Nakrył dłonią jej usta, żeby powstrzymać bezładny potok słów. — Powolutku. Co je tam trzyma?

— To przypomina mgłę i zamyka wyjście, ale jest niebieskie i wszystko, co w nie wejdzie, nie wychodzi. Musimy je stamtąd wydostać!

— Powiedziałaś, za granicą? Skinęła głową, patrząc mu błagalnie w oczy. — Ja... — zaczął. „Nie powinienem. To może być podstęp, żeby nas stąd wyciągnąć i wciągnąć w zasadzkę...”

— Dobrze, ashke. Rzucę na to okiem, ale nie mogę niczego obiecać.

Dotarcie na miejsce zajęło im trochę czasu, nawet na grzbietach dwóch dyheli ze stad k'Sheyna i kiedy się tam pojawili, sytuacja się pogorszyła. Mgła zapędziła wszystkie dyheli w róg kotliny, gdzie tłoczyły się ogarnięte, paniką. Usłyszał ich desperackie okrzyki, zanim dotarł do krawędzi kotliny. Kiedy spojrzął w dół, załamał się. Ściany były zbyt strome, żeby wydostać zwierzęta, nawet gdyby nie były tak przerażone.

Mgłę na pewno stworzył mag, tyle widział, ale jego samego tu nie było, a oni nie mieli nikogo, kto mógłby stawić czoła zagrożeniu. Nawet wezwanie wiatru nie zdałoby się na wiele. Kłębiła się pod nim, ohydna, niebiesko-sina i zbyt gęsta, żeby dojrzeć, co się w niej kryje. Dwa razy widział, jak koziołki wbiegały w chmurę, próbując dotrzeć do otwartej przestrzeni; nie wybiegły po drugiej stronie.

— Musimy coś zrobić! — jęknęła Jutrzenka. Odetchnął i przekazał jej złe wieści.

— Nic się nie da zrobić. — Zamknął swój umysł na strach i rozpacz płynące z dołu; dyheli nie były w stanie nawet myśleć. — Może w nocy spadnie deszcz i je ocali.

— Nie! — krzyknęła — Nie, nie możemy ich zostawić! Jestem strażnikiem, jestem za nie odpowiedzialna, nie zostawię ich!

— Jutrzenko — potrząsnął nią — nie możemy nic zrobić, nie rozumiesz? Są zbyt spanikowane, żeby je stamtąd wyciągnąć, nawet gdybyśmy mieli ludzi! A ja nie odwołam zwiadowców z patroli, bo wystarczy, że przerwałem swój. Nie rozumiesz. To może być podstęp, by utorować drogę czemuś innemu, co wejdzie przez niestrzeżoną granicę.

— Ty tchórze! — parsknęła. — Nawet nie spróbujesz! Nie obchodzi cię, czy umrą, nikt i nic cię nie obchodzi, tylko ty! Nawet nie użyjesz magii, żeby je ocalić!

Mroczny Wiatr powstrzymał gniew tylko dlatego, iż przypomniał sobie, jak

młoda jest Jutrzenka. „Ma tylko siedemnaście lat. Od małego wychowywano ją na strażnika, nie umie przegrywać. Kiedy kamień-serce się rozpadł, była już zwiadowcą. Nie myśli tak. . .” Kiedy jednak jej słowa raniły go coraz bardziej, nie wytrzymał i jednym szybkim klapssem mentalnym powstrzymał ją. Umilkła, zaskoczona, a on skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na nią tak długo, aż spuściła oczy.

— Jesteś strażnikiem, tak? Przysięgałeś mnie słuchać, podporządkowywać się moim decyzjom. Nagle zmieniłeś się w dziecko, które zabiera swoje zabawki i idzie do domu, czy co? — Jutrzenka poczerwieniała, zbladła i znów poczerwieniała. — Jeśli nie, to proponuję, żebyś wróciła na patrol. Jeśli potrafisz się kontrolować, zostawię cię w tym sektorze, jeśli nie, przeniosę gdzie indziej. Zrozumiano?

— Tak, Starszy. — Jej głos był matowy.

— Świetnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ELSPETH

— Elspeth?

— Czego? — burknęła, nie podnosząc głowy znad książki. Właściwie odpowiedziała tylko po to, by Skif wiedział, że go usłyszała. Czytała właśnie opis chwil poprzedzających ostatnią bitwę Vanyela, sporządzony przez kogoś, kto najwidoczniej tam był.

Wtedy zauważyliśmy, że dolina została poszerzona, a jej dno wygładzono, mogła pomieścić czterech ludzi jadących obok siebie. Vanyel powiedział, że dokonano tego przy użyciu magii. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

— Elspeth, nie wydaje ci się, że powinniśmy się stąd zabrać? — ciągnął nie zrażony Skif. — Znaczy, wyjechać.

Podniosła wzrok znad książki i spojrzała w brązowe oczy. W bibliotece nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać, ponieważ ukryli się w pomieszczeniu z najstarszymi kronikami. Jako że słońce i dym szkodzą książkom, archiwum nie miało okien, lampy oliwne w nim umieszczone nie kopcily, a używanie świec zostało surowo zabronione. Elspeth zdała sobie sprawę, że nie wie, która jest godzina: jeśli dzwony Kolegium już biły, nie poświęciła temu ani chwili uwagi. Jednakże ssanie w żołądku mówiło jej wyraźnie, iż pora obiadowa dawno minęła.

Przetarła oczy: czytanie tak ją wciągnęło, że nie zauważyła upływu czasu.

— Dlaczego się tak spieszysz? — spytała.

— Pomysł ruszenia na południe tylko we dwoje niekoniecznie wzbudza we mnie entuzjazm, ale skoro tobie on się tak bardzo podoba. . . Wydaje mi się, że Rada za łatwo się zgodziła. Nie kłócili się wystarczająco.

— Nie kłócili się wystarczająco? — powtórzyła z kwaśnym uśmiechem. — Ó, przepraszam, ciebie tam nie było. Myślałam, że przestaną dopiero wtedy, gdy wszyscy umrą ze starości.

— Nie, niewystarczająco — utrzymywał. — Powinni się tygodniami zastanawiać nad twoim planem, a zajęło im to niecały dzień. Dla mnie to nie ma sensu i myślę, że mogą w każdej chwili zmienić zdanie. Chcę wiedzieć, dlaczego nie

pryśniemy stąd, zanim faktycznie to zrobią.

— Nie zmienią zdania — mruknęła, tęskniąc za chwilą, kiedy będzie mogła się zająć swoją książką. — Tak mówi Gwena.

— Co Towarzysz ma wspólnego z Radą? — zdziwił się Skif.

„Też bym chciała wiedzieć. Gwena udaje głupią za każdym razem, kiedy ją o to pytam”. — Nie wiem. Zapytaj swoją, założę się, że powie to samo.

— Aha. — Jego oczy nabrały nieco nieobecnego wyrazu, najwidoczniej rozmawiał ze swoją klaczą. — Niech mnie zjedzą, masz rację — rzucił po chwili. — Ale nadal nie rozumiem, dlaczego tu siedzimy, jesteśmy przecież spakowani. Myślałem, że to ja będę opóźniał wyjazd!

Wzruszyła ramionami.

— Powiedzmy, że jeszcze nie jestem gotowa. To, co robię tutaj, jest równie ważne jak twoje bagaże.

— Doprawdy? — jednak nie zabrzmiało to obraźliwie.

— Przecież to nie tajemnica. — Wskazała stosy książek na stole. — Czytam o magii w starych kronikach; o magii, magach heroldów i ich zdolnościach. Będę wiedziała, czego szukać.

Jeśli zauważył, że niektóre kroniki były jeszcze sprzed czasów Vanyela, nie dał tego po sobie poznać.

— To ma sens. Tylko pamiętaj, że niezależnie od tego, co mówi Gwena, Rada może zmienić zdanie w każdej chwili.

— Dobrze — odpowiedziała i wróciła do czytania. Skif ulotnił się po chwili; usłyszała, jak wstaje z krzesła i wychodzi.

Jednak tak naprawdę jej uwaga nie skupiła się na książce, tylko na tym, jak bardzo odczucia Skifa odpowiadały jej własnym. Faktycznie poszło za łatwo. Królowa nie powinna była się zgodzić, tym bardziej Rada.

Atak na Bolton, miasto, w którym stacjonowały Pioruny Nieba, był tylko wymówką. W kronikach z ostatnich lat znalazła wzmianki o co najmniej pięciu atakach na miasta graniczne, wskazujących na słabnięcie ochrony. Nie zareagowano na nie z taką paniką, jaką widziała na posiedzeniu, a raczej zupełnie normalnie: wysyłano heroldów i uzdrowicieli, ludzi przenoszono w bezpieczniejsze miejsca, jeśli chcieli, zapisywano odpowiednie adnotacje i zapominano o całej sprawie.

Zdarzało się to jeszcze przed spotkaniem Talii z Ancarem, od którego zaczął się konflikt z Hardornem. Dyskutowano o sposobach zabezpieczania się przed atakami magów, Elspeth doskonale pamiętała długie narady. Coś też robiono: w Kolegium sprawdzano zapisy w kronikach z czasów Vanyela, aby dowiedzieć się, jak heroldzi, którzy nie byli magami, radzili sobie z zagrożeniem. Znalaziono rozwiązania, wyszkolono odpowiednich ludzi. . .

I to wszystko. Ta wiedza stała się częścią szkolenia darów, ale nie kładziono na nią nacisku, a przynajmniej nie tak, jak powinno się to robić, szczególnie po drugim ataku Ancara.

„Zapisać i zapomnieć”.

Znalazła dowody na to, że Kars używał magii pod przykrywką „praktyk kłańskich” i nikt się tym nie zainteresował nawet wtedy, kiedy Kero przedstawiła Radzie swój raport.

Coś jeszcze musiało się kryć za tym, iż zgodzono się na tę „misję”, szczególnie że niekiedy słyszała, iż „wyłazi z niej Bachor”. Oczywiście było nawet dla głupca, że po opadnięciu pierwszych emocji zaczną żałować pozwolenia na wyprawę nawet do miejsca tak bezpiecznego, jak Bolthaven, w samym sercu królestwa jej wuja. Heroldowie na posiedzeniach dawali jej wyraźnie odczuć, że nie podoba im się ta mała wycieczka i chętnie znaleźliby jakikolwiek powód, by jej zabronić.

Jednak nie zabronili. Gwena niewzruszenie się przy tym upierała. Coś przemilczeli w swoich rozmowach i łatwo było się domyślić w tym ingerencji Towarzyszy. Zastanawiała się, czy ma to coś wspólnego z tym, że opierała się nakazowi zapominania o magii i coraz częściej o niej myślała?

Im więcej miała podejrzeń, tym bardziej była zdecydowana, że nie wypuści się na nieznaną terytorium bez jakiegokolwiek wiedzy o magach heroldów. Chciała poznać nie tylko ich silne i słabe strony, ograniczenia i stopnie „daru magii”, lecz również, jak głęboko sięgał zakaz magii i jak długo się utrzymywał. To, czego się dowiedziała, było fascynujące: datował się on od czasów Vanyela, a ściślej rzecz biorąc, zaczął się wtedy, kiedy bard Stefen, stary i samotny, zniknął bez śladu. W Lesie Żalów. Przynajmniej tak przypuszczała Elspeth. Stefen pielgrzymował do miejsca śmierci Vanyela w towarzystwie młodego i niedoświadczonego herolda; nigdy tam nie dotarł, ale nikt nie doniósł o jego śmierci. Wtedy nie był jeszcze legendą, jak Vanyel, ale na pewno kimś ważnym, autorem setek pieśni, poematów epicznych i ballad. Poza tym łączyła go z Vanyelem więź życia i ostatni widział go żywego. Gdyby umarł, ktoś musiałby o tym wiedzieć i wyprawić pogrzeb. Jednak nigdzie nie znalazła ani słowa o pogrzebie. Po prostu rozplynął się w powietrzu. Nie koniec na tym: ktoś powinien zauważyć jego zniknięcie i rozpocząć poszukiwania. Nic takiego się nie stało.

I w tym dokładnie momencie przestano mówić o magii, chyba że w nawiązaniu do historii. Nie pisano o niej w kronikach, nie śpiewano pieśni, a o spotkaniach z nią poza granicami Valdemaru zapominano po tygodniu. Na szczęście były to zazwyczaj przyjemne doświadczenia, choćby sztuczki magiczne na dworze królewskim w Rethwellanie czy rozmowy z ambasadorami. Kronikarz sumiennie zapisywał spostrzeżenia i natychmiast o nich zapominał, jak zresztą cała reszta heroldów i członków Rady.

„I co, uznawali to za przechwałki i kupieckie bajdy? Ciekawe, czy kiedy ktoś przede mną czytał kroniki, po prostu przesunął oczami po tekście, lecz niczego nie widział?” Wcale by jej to nie dziwiło, bo pamiętała, jak całe strony rozplywały jej się przed oczami i musiała się porządnie wysilić, żeby zrozumieć choć słowo. Na początku kładła to na karb zmęczenia i tego, że czytała stare pismo,

jednak teraz nie była tego taka pewna. Im więcej czytała, tym było jej łatwiej, ale zastanawiała się, co by się stało, gdyby przerwała na moment i spróbowała wrócić do lektury.

Znalazła nawet raport dziadka Selenay, w którym opisywał swe spotkanie z babką Kerowyn, Kethry i jej partnerką. Tarma shena Tale'sedrin, a Shin'a'in Karenedral służąca Bogini, była kimś w rodzaju kapłanki i ku zdumieniu Roalda przywołała Boginię. Roald nigdy Jej nie widział i był zaszokowany. „Też bym była”. Opisał to pojawienie się: przepiękna Shin'a'in, ubrana tak, jak jej Zaprzysiężone, ale o dziwnych oczach: bez tęczówek i białek, wyglądały jak rozgwieżdżone niebo. „Chyba bym zemdlą”. Zaprzyjaźnił się potem z Tarmą, a Towarzysz zaakceptował i kapłankę, i Boginię, co bardzo rozbawiło Roalda. Tarma była potężną kapłanką, a Kethry równie potężną czarodziejką i pradziadek Elspeth nieco się zadurzył. Gdyby nie fakt, że Kethry czuła słabość do pewnego archiwisty z Rethwellanu, nie wiadomo, jak skończyłaby się ta historia. Jednakże Roald był zdecydowanie za dobrym taktykiem, aby pchać się tam, gdzie nie miał szans na powodzenie.

Jednak Elspeth interesował opis magicznych zdolności Kethry, z którego dowiedziała się więcej na temat różnic pomiędzy czeladnikiem, mistrzem i adeptem. Tylko ten ostatni mógł się im przydać, być może nawet nie jeden. Z pewnością powinien to być nauczyciel, nie widziała bowiem powodu, dla którego dar magii miał zniknąć z powierzchni Valdemaru, jeśli spotykało się go gdzie indziej.

Roald nie miał wiele do powiedzenia o magicznym mieczu Kethry, Potrzebie, oprócz tego, że posiadał on nadnaturalne zdolności i pomagał tylko kobietom. Najwidoczniej wtedy pieśń „Samotrzeć” nie dotarła jeszcze do Valdemaru albo Roald o niej nie wspomniał. „Interesujące. . .”

Oprócz dowodów na siłę zakazu magii Elspeth znalazła inne interesujące zapiski z Kolegium Bardów: pieśń „Pościg Kerowyn”, która dotarła do Valdemaru na długo przed Kero, opisywano jako „odnoszącą się do nieznannej postaci”. Za każdym razem, kiedy ktoś chciał to sprostować, ignorowano go i nadal uważano bohaterkę za „postać nieznaną”.

Bardowie-mistrzowie często pisywali krótkie rozprawy na temat popularnych pieśni i ich znaczenia i Elspeth z ciekawości poszukała tych dotyczących „Pościgu Kerowyn”. Po ich lekturze jasnym nawet dla upośledzonego umysłowo byłoby, że coś powstrzymuje mieszkańców Valdemaru przed magią: po przybyciu Kero na dwór nadal pisano eseje o alegorii, w której Stara Bogini przekazuje swą moc Młodej Bogini w dniu przesilenia wiosennego. W innych z kolei pisano o prawdziwym wydarzeniu, które miało miejsce dawno temu, a dowodem na to było to lub tamto. To sprawiło, że Elspeth głębiej zaczęła grzebać w kronikach Bardicum.

Niezależnie od tego, że pieśni o magach heroldów i w Magicznych Wojnach chciano wprowadzić na powrót do repertuaru wszystkich bardów, niezależnie od tego, że powinny one mieć w nim pierwszeństwo, niezależnie od tego, że ohyd-

ny, słodki samograj „Oczy mej pani” był popularny od wieków, „magia” po prostu nie dawała się śpiewać. Słuchacze ziewali, bardowie zapominali słów albo je kompletnie mieszała, a z listy pieśni na daną okazję seneszal czy mistrz ceremonii na pewno odrzucali te mające jakikolwiek związek z czarami. Śpiewano tylko te, które nie wspominały o niej wprost lub mówiły tak, jak o każdym innym tradycyjnym darze: „Słońce i cień” czy ballady „Wietrzny Jeździec”, setki lat starsze od Vanyela, były ciągle popularne. Czyżby dlatego, że pojawiało się w nich tylko słowo „zakęcie”? Jednakże to nie było takie oczywiste, bo Elspeth sama słyszała, jak wykonywano owe problematyczne pieśni w obecności wielu heroldów. Może właśnie ich obecność wpływała na to, że można było śpiewać normalnie? Najgorsze pomyłki zdarzały się przy niewielkiej lub żadnej publiczności.

Z kronik Vanyela dowiedziała się innych pożytecznych rzeczy, które nieco ułatwiały jej misję. Na przykład: było coś zwanego „Siecią”, wymagające uwagi i mocy czterech magów. Czterej magowie najwyraźniej mieli pod opieką odpowiednią część królestwa; problem w tym, że pod koniec panowania Elspeth Drugiej zabrakło ich i Vanyel rozciągnął „Sieć” na wszystkich heroldów, aby wiedzieli o nadchodzącym zagrożeniu. Ci, którzy posiadali właściwe dary, aby stawić czoła niebezpieczeństwu, wskakiwali na siodło i pędzili w odpowiednim kierunku, zanim w ogóle pomyśleli, co robią i dlaczego. Oprócz tego zrobił coś jeszcze. Wezwał jakiegoś stworzenia i zdobył ich pomoc: obserwowały one magów w granicach Valdemaru i alarmowały heroldów.

„Co się z nimi stało po śmierci Vanyela? Ciągłe obserwują? Próbuje nas ostrzec, czy nie?” To przypominało jej tłumaczenie Kero, dlaczego Quenten i inni magowie Piorunów Nieba nie byli w stanie zostać dłużej w Valdemarze: „Mówi, że się czuje ciągle obserwowany, jakby coś stale zaglądało mu przez ramię, gdy śpi, je, myje się, ciągle. Wariuje od tego”. Elspeth też nie próbowałaby zostać dłużej w miejscu, gdzie ciągle coś się na nią gapi. Chyba że byłaby naprawdę potężnym magiem, który potrafi się odgradzić od wszystkiego. Gdyby była absolutnie pewna swoich możliwości i zdolności ukrycia się przed wrogiem.

„Takim jak Hulda? Nadal dobrze nie wiemy, co ona potrafi. Myśleliśmy, że po prostu uczyła Ancara. . . A jeśli w rzeczywistości pozwala mu sądzić, iż to on rządzi, kiedy sama sprawuje nad wszystkim kontrolę?” To tłumaczyłoby wiele spraw, szczególnie wręcz obsesyjną chęć Ancara zabicia Talii, Selenay i Elspeth. Choć może po prostu nie mógł znieść silniejszych od siebie kobiet. . . Ale z drugiej strony to mogła być Hulda. Mogła pogrywać na jego poczuciu wstydu z racji tego, że został pokonany przez kobiety; sama miała niewiele do stracenia: gdyby Ancar pokonał Valdemar, wygrałaby, gdyby go zabito, przejęłaby królestwo. I nigdy nie powtórzyłaby jego błędów. . .”

To wszystko miało sens, tłumaczyło dziwne zachowanie Ancara i ani trochę nie podobało się Elspeth: on sam jako wróg wystarczał w zupełności, a to, że za nim mógł stać ktoś, kto spiskował od dziesięcioleci. . . Nie będzie mogła zasnąć

przez tydzień.

Zamknęła czytaną książkę i poczuła, że jest jej niedobrze. Kronika opowiadała o Tylendelu, pierwszym kochanku Vanyela, o jego zaparciu się i samobójstwie. Całe sprawozdanie napisał przyjaciel mentora Tylendela, uzdrowiciel; najwidoczniej żaden herold nie mógł sobie z tym poradzić. Ale nie dlatego miała mdłości.

Tylendel mając siedemnaście lat był w stanie zbudować coś, co nazywano „bramą” albo „zakłębem bramy”. Pozwalało mu to przemierzać w mgnieniu oka odległości, które Towarzysz pokonywał dni albo i tygodnie. Nawet wzmianka, że mag musiał bardzo dokładnie znać miejsce, w jakie się udawał, aby użyć tego zakłęcia, nie uspokoiła jej: Hulda знаła Valdemar i nie sprawiłoby jej trudności wysłanie agentów w dowolnie wybrane miejsce.

Jeżeli Ancar znał to zakłęcie i mógł przedostać się przez zabezpieczenia, co wtedy? Nic by go nie powstrzymało, a Hulda znała pałac. Mieszkała w nim przez lata i wysłanie kogoś prosto do sypialni Selenay nie stanowiłoby problemu. . . niezależnie od ilości strażników przy drzwiach.

„W ten sposób mogli tu przetrwać skrytobójcę. Na pewno nie zasnę”.

To, co przeczytała przedtem, opis ostatniej bitwy Vanyela, wcale nie poprawiło jej humoru: ostatni mag heroldów był ponoć zdolny do zrównania z ziemią miasta wielkości Haven. Na początku potraktowała tę wzmiankę sceptycznie, jako wymysł sfrustrowanego kronikarza, który nie został bardem i miał skłonności do przesadzania, ale na końcu dostrzegła podpis, różniący się od reszty zapisów w kronice: „Bard Stefen, dla kronikarza heroldów Kyndri”. Stefen nie miał powodów, aby przypisywać swojemu ukochanemu sił, których ten nie posiadał, a poza tym nie był jakimś młodzikim szukającym sławy: jego pieśni znano wszędzie i słowami mógł się zabawić poza kronikami. Poza tym całe sprawozdanie było proste i zwięzłe.

Wynikało z tego, że Vanyel rzeczywiście potrafił zrównać z ziemią całe miasto. A jeśli on to potrafił, nie widziała powodów, dla których Ancar nie mógłby znaleźć kogoś równie potężnego, i miała podejrzenie, że to była tylko kwestia czasu. Przez moment siedziała z twarzą w dłoniach, przytłoczona bezsilnością. Jak Valdemar miał się bronić?

„Trzeba znaleźć maga, który będzie wystarczająco silny. Na pewno znajdzie się kilku i nie wszystkim przypadnie do gustu oferta Ancara. Zresztą, przecież właśnie to zamierzam zrobić, prawda?” Przejechała dłonią po włosach i odsunęła krzesło; kiedy zbierała swoje notatki, nieco zaskoczyła ją ich ilość. Nie zdawała sobie sprawy, że tyle kartek zapisała. „W porządku, mam wszystko, czego potrzebuję. Teraz należy się przekonać, jak ta teoria sprawdza się w praktyce”.

Włożyła notatki do teczki, wstała i ułożyła książki na półkach. Wyszła z biblioteki z dumnie podniesioną głową, udając pewność siebie, której jej brakowało. Nieważne; w końcu to był jej plan i, na bogów, miała szczerzy zamiar wprowadzić go w życie. Teraz należało znaleźć Skifa i powiedzieć mu, iż mogą wyruszać.

„Jedna rzecz jest pewna, Skif będzie gotowy. Dobrze i to. . .”

Skif rzeczywiście był gotowy; co prawda powstrzymywał się przed rozpowiadaniami tego na prawo i lewo, ale jego wyraźna niecierpliwość sprawiła, że postanowili wyruszyć natychmiast, a nie następnego ranka. Elspeth poszła do siebie, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy, a on w tym czasie siodłał Towarzyszy i pakował juki. Biorąc pod uwagę, że południe dopiero co minęło, mogli ujechać spory kawałek przed nocą, a wnioskując z wyrazu twarzy, dokładnie o to Skifowi chodziło.

Wysłała służącego z listami pożegnalnymi do wszystkich oprócz matki i Tallii: z nimi musiała pożegnać się osobiście. „Matka w życiu nie wybaczyłaby mi wysłania liściku”, myślała, pakując ubrania. „Co, oczywiście, nie oznacza, że nie chciałabym tego właśnie tak załatwić. . . Oj, będzie zamieszanie”.

Tego, że Selenay nadal nie podoba się pomysł wyjazdu, Elspeth była absolutnie pewna. Kiedy nie przebywała w bibliotece, zajęta książkami, i miała czas dla matki, ta patrzyła na nią z niemym wyrzutem i Elspeth z dziką radością umknęłaby kolejnego spotkania. Zdecydowała się, że zrzuci całą winę na Skifa i jego niecierpliwość. „Jeśli dzięki temu skrócę rozmowę do minimum. . .”

Pukanie do drzwi rozległo się tak nagle, że podskoczyła. Odetchnęła głęboko; nie sądziła, iż jest aż tak spięta. Zapukano po raz drugi. „Matka się już dowiedziała, że wyjeżdżam?”

— Proszę! — powiedziała z rezygnacją. Ale na szczęście do pokoju weszła Kero, nie Selenay. W ręce niosła miecz, ściślej, Potrzebę. Potrzeba miała nową pochwę i pas z szarej skóry, a zanim Elspeth otworzyła usta, by coś powiedzieć, Kero włożyła jej miecz w ręce.

— To dla ciebie. — Jej głos był schrypnięty, jakby walczyła ze swoimi uczuciami. — Możesz być w potrzebie. Bez aluzji. — Jej dłonie jeszcze przez chwilę spoczywały na pochwie, jakby nie chciała się rozstać z mieczem.

Elspeth natomiast kompletnie zgłupiała. „Ona mi daje — ja mam — o co chodzi, przecież to Potrzeba — ona jest magiczna, jak ja mam ją wziąć? Ona tak na serio? Dlaczego?”

— Ale. . . — Nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. — Dlaczego?

— Dlaczego? — Kero wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością. — Kiedy tylko się spotkałyśmy, Potrzeba przemówiła do ciebie. Wtedy jeszcze nie mogłam się z nią rozstać i nie nalegała na to, lecz teraz jestem pewna, że chce przejść w twoje ręce.

— Przejść? — powtórzyła słabo Elspeth. Kiedy tak trzymała miecz, czuła coś: dziwną dezorientację, zupełnie, jakby ktoś delikatnie sondował jej myśli, tuż na skraju zdolności odczuwania. Przypominało to moment, w którym została Wybrana.

— To trochę przypomina Wybór. — Kero jakby czytała jej myśli. — Ona wybiera tę, do której chce należeć; lepsze to, niż dostać ją z zaskoczenia. Służę tylko kobietom; babcia dostała ją od jakiejś starej najemniczki, kiedy opuszczała szkołę, potem dała ją mnie, a teraz należy do ciebie. I tak oddałabym ci ją prędzej czy później, ale skoro masz wyruszyć za granicę, lepiej, byś ją miała przy sobie.

Ostrze nagle jej zaciążyło.

— Miecz z tobą rozmawia? — Elspeth próbowała nie zwracać uwagi na do-
tknięcia w głębi umysłu i ukryć zaskoczenie.

— Nie, rozmową tego nazwać nie można. Muszę cię ostrzec, że będzie pró-
bować wyrzucić na ciebie nacisk, żebyś robiła to, czego ona chce. A to oznacza
ratowanie zagrożonych kobiet. Nie poddawaj się jej. Będzie próbowała albo pod-
porządkować sobie twoje ciało, albo przyprawi cię o taki ból głowy, że zapomnisz,
jak się nazywasz. Możesz się od niej odgradzić, ja się w końcu tego nauczyłam,
a tobie, z rozwiniętymi darami, będzie łatwiej. Ja umiałam najwyżej połowę tego,
co ty. Cokolwiek by się działo, nie pozwól, żeby tobą kierowała, to gorsze bowiem
od puszczenia ze smyczy nie ułożonego ogara. Dyrygowała moją babką, ale ja się
nie dałam.

— Jeśli tyle z nią kłopotu. . . — zaczęła Elspeth.

— Jest tego warta — uśmiechnęła się Kero. — Szczególnie gdy ktoś nie ma
pojęcia o magii, jak my dwie. Po pierwsze, wyleczy prawie każdą ranę, nawet
w trakcie bitwy; po drugie, jeśli jesteś szermierzem, chroni cię przed magią: na-
prawdę chroni, jak wszyscy znani mi adepci. Spotkałam paru magów Ancara i na-
dal żyję, A oni. . . no cóż.

— Ale twoja babka była czarodziejką!

— Owszem, jeśli jesteś czarodziejką, też cię chroni.

— Sprawia, że stajesz się dobrym wojownikiem? — zaryzykowała Elspeth.

— Właśnie.

— Wydaje mi się, że w paru pieśniach wspomniano o twojej babce jako o wo-
jownicze, ale ty nigdy o tym nie mówiłaś. Nie mogłam tego zrozumieć, bo z tego,
co przeczytałam, wynika, że magia nie zostawia czasu na nic innego.

— Tak i nie. Zależy, czy poświęcisz życie prywatne. Jeśli chcesz być i ma-
giem, i wojownikiem, żyjesz w celibacie.

„Ha. Jak Vanyel. . .”

— W każdym razie, jeśli nie jesteś ani magiem, ani wojownikiem. . .

— Mamy drugą część „Pościgu Kerowyn”?

Kerowyn odkasznęła.

— O bogowie, nienawidzę tej pieśni. Tak, wtedy robi z ciebie jedno i drugie
na swój sposób, czyli równie dobrze można włożyć jeden z tych waszych kostiu-
mików jestem tutaj, zastrzel mnie”.

Elspeth zachichotała: Kero jak zwykle nie nosiła Bieli.

— Ale można zwalczyć ten nacisk, prawda?

— Ja to zrobiłam. Konieczny jest upór, to wszystko. Zagroziłam żelastwu, że je utopię w najbliższej studni. Zresztą, przestrzegłam ją, iż ty zrobisz dokładnie to samo, jeśli wpędzi cię w kłopoty. — Widząc wahanie Elspeth, dodała: — Jeśli nie chcesz, nie bierz jej. Nie może cię do tego zmusić.

Tego akurat Elspeth nie była taka pewna, ciągle czuła sondowanie umysłu. Jednak skoro Kero sobie poradziła, jej też się uda. Rozważyła za i przeciw. „Ma na mnie wpływ, ale chroni przed tym, czego nie rozumiem i nie umiem wykryć. A uzdrawianie jest piekielnie ważne, nie wiadomo przecież, co się przydarzy. Jeśli będę ją miała przy sobie, nie będę potrzebowała uzdrowiciela”.

Nie najgorzej. Biorąc pod uwagę fakt, że Elspeth już została Wybrana, wpływ powinien być słabszy. Gwena potrafiła być niezwykle zaborcza. . . A poza tym. . . „Jeśli nie znajdę maga: jestem kobietą, matka też, ten miecz pomaga kobietom w potrzebie, ciekawe, co zrobi Ancarowi?” Jak mogła nie przyjąć Potrzeby? Wydobyła ją z pochwy.

Nic się nie stało. A potem. . .

Czas się zatrzymał, głowę wypełniło jej radosne buczenie. „Zupełnie jak podczas Wyboru”, pomyślała. Miecz rozbłysnął, światło ułożyło się w napis, który potrafiła przeczytać: *Potrzeba kobiety mnie stworzyła, potrzeba kobiety mnie wzywa, na jej potrzebę odpowiem, jak mi nakazano*. Potem runy zbladły, buczenie w głowie ustało, czas się zakrzusił i odzyskał normalny bieg.

— A to co ma znaczyć? — zapytała, kiedy odzyskała głos.

— Niech mnie zjedzą, jeśli wiem — odparła Kero. — Tylko bogowie znają jej historię. Babka mówiła, że zawsze tak się dzieje, kiedy dostanie się w te ręce, które wybrała. Ale odkąd ją przywiozłam do Valdemaru, przemówiła po raz pierwszy.

Elspeth delikatnie wsunęła ostrze do pochwy. „Ją. W życiu nie nazwę jej mieczem!”

— A co się stanie za granicami? — Kiedy trzymała Potrzebę, wyczuwała ogromną moc.

— Nie wiem — przyznała Kero. — Dawno jej nie wywoziłam, lecz z pewnością będzie ci niezbędna.

— A tobie? Co z tobą? — W końcu każdy ma sumienie. . .

— Nic. Nigdy na niej nie polegałam, a poza tym nie sądzę, by cokolwiek mogło mi zagrozić.

— A mnie tak?

— Założysz się? — Kero wyciągnęła dłoń. — W każdym razie powiem ci jedno: była warta wszystkich kłopotów, w jakie przez nią wpadłam. Może na niej nie polegałam, ale zawsze wyciągała mnie z bagna. Czuję się lepiej wiedząc, że ją masz.

— Ja. . . — Elspeth zabrakło słów. — „Dziękuję” nie wystarczy. . .

— Dziękuj jej, w końcu sama cię wybrała.

— Wolę tobie. — Objęły się. Elspeth trudno było się pożegnać, trudniej niż myślała.

Długo po wyjściu Kero wpatrywała się w drzwi. W końcu zapięła pas i podskoczyła kilka razy, aby sprawdzić, jak się czuje z mieczem u boku. Zdziwiająco dobrze: większość mieczy ciążyła na biodrze i trzeba się było do nich przyzwyczajać. „Większość mieczy nie jest magiczna”. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Co prawda jako dziecko marzyła o tym, by stać się bohaterką ballad, ale porzuciła te mrzonki, kiedy została Wybrana. „A przynajmniej tak mi się wydawało”. Wszystkie ballady jakoś się kończyły i miała dziwne wrażenie, że do tej koniec został już dawno napisany. Zupełnie, jakby nie od niej zależało, dokąd pojedzie i co zrobi; jakby tylko ona nie znała pieśni... Nie znosiła słowa „przeznaczenie”, a teraz w dziwny sposób zaczęło do niej pasować. I wcale jej się to nie podobało.

ROZDZIAŁ ÓSMY

MROCZNY WIATR

Głupi — powiedział Vree z niesmakiem.

Żołądek podjechał Mrocznemu Wiatrowi do gardła, kiedy więź-ptak zanurkował i przeleciał nisko nad uwięzionym stadem dyheli. Czasami ptasi punkt widzenia był nieco niewygodny. Vree kołował nad koziołkami i mgłą, a Mroczny Wiatr obserwował sytuację jego oczami. — *Głupi, głupi. Chodźmy już.*

Akurat tego nie musiał mu mówić, sam doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie pomoże dyheli. Były zbyt ogarnięte paniką i zbyt wyczerpane, aby namówić je na coś sensownego. Zresztą, z doliny nie było żadnego wyjścia: z jednej ściany spadał mały wodospad, dwie pozostałe były bryłami gładkiego piaskowca. Tylko cud mógłby je uratować.

„Vree ma rację, powinniśmy odejść. Nie mogę narażać na niebezpieczeństwo wszystkich k'Sheyne dla tuzina dyheli. Składałem przysięgi, mam większe problemy”. Dlaczego więc ciągle leżał pod krzakiem tuż nad zaczopowanym mgłą wyjściem z doliny i szukał rozwiązania? Dlaczego tracił czas, zostawiał swój teren bez straży i gryzł palce z bezsilności? „Bo jestem głupi”. Jeden z koziołków zamęczał rozpaczliwie. „Bo nie mogę patrzeć na ich cierpienie. To są stworzenia równie inteligentne, jak my, przyszły do Jutrzenki po opiekę i pomoc, a poza granicami są naszymi oczami i uszami. Nie zostawię ich tak”. Na pewno w ten sposób rozumowała Jutrzenka między tym, co on teraz robił, a tym, czego ona chciała dokonać, nie było różnicy. „Za wyjątkiem tego, że jestem starszy i bardziej doświadczony. Ale tak samo uparty i tak samo głupi”.

Mgła — czy cokolwiek to było — unosiła się i opadała, a gdy się cofała, zostawiała po sobie ślad w postaci uschniętych roślin. Żeby zabić to, co rosło na skałach, trzeba byłej nie byle czego. Dotknięcie mgły i jej wdychanie było trujące, więc namawianie dyheli, aby wciągnęły powietrze i spróbowały przedrzeć się na drugą stronę, mijało się z celem. Jakby dla potwierdzenia jego domysłów, fala podniosła się wyżej i do jego kryjówki doleciało coś, co nieomal wypaliło mu gardło. Odkaszlnął i odsunął się dalej.

„Trująca i zraża. Najpierw oszaleją z bólu, potem się otrują, są strasznie wrażliwe; prawdopodobnie same oparzenia by wystarczyły”. Beznadziejne. Przetarł oczy i nakazał Vree usiąść na najbliższym drzewie. Nawet wodospad nie zapewniał ochrony, stanowił tylko miły widoczek. Ani jeden dyheli nie mógłby się za nim ukryć. „Nie zniosę tego dłużej”, stwierdził w końcu. „Wszystko, co mogę zrobić, to je zastrzelić lub zostawić i mieć nadzieję, że ta mgła się rozwieje, albo że wodospad je ochroni”. Nie podobało mu się ani jedno, ani drugie rozwiązanie. Uderzył pięścią w ziemię i zlizął krew z otartych palców. „Nie! Do diabła, to niesprawiedliwe, one nam zaufały! Musi być jakiś spo...”

Spojrzał w dolinę, na niewidzialny prąd, tkający się całun mocy, i zapomniał o wszystkim. Przeszył go nagły dreszcz, jakby kolec lodu utkwiał mu w kręgosłupie — magia, magia, którą znał tak dobrze — ktoś tuż obok gromadził energię. Jego palce poruszyły się, za nimi głowa. „Tam”.

Mgła pod nim zakotłowała się. Włosy na karku stanęły mu dęba i oto znalazł się przed niebieską zasłoną, nie pamiętając, kiedy i jak zszedł. Nieważne: magia rozprzestrzeniała się z jakiegoś miejsca przed nim, celowo prowadzona. Uderzała prosto w ścianę trucizny.

Mgła opierała się; pojedyncze zakłęcie walczyło z nią, próbowało ją rozproszyc, ale napotykało opór; trucizna wiła się, skręcała, gęstniała i posuwała się ku dyheli. Zakłęcie się zmieniło; teraz cięło mgłę jak nożem. Pośrodku pokazało się przejście, coś na kształt tunelu w chmurze; Mroczny Wiatr czuł dziwne zmaganie w kościach i mięśniach. Nie musiał patrzeć, wiedział doskonale, co się dzieje; wyciągnął nieświadomie dłoń, chcąc pomóc temu, kto rzucał zakłęcie... i cofnął ją. Zanim jednak zdołał uporać się z własnym ciałem, tunel umocnił się; rzucający zakłęcie wygrał, ale Mroczny Wiatr wiedział, że przejście mogło się zapaść w każdej chwili. Nim się poruszył, ziemia zadrżała. Pomyślał, że znów zaczyna się walka między magiem i mgłą, ale nie: coś ciemnego mknęło tunelem. „Dyhe-li!”

Dopiero teraz odważył się odezwać do nich w myślomowie. Nieważne, że ktoś mógł podsłuchać, jeśli zmyliłyby drogę, skończyłoby się to dla nich fatalnie. — *Bracia, rogaci bracia! Szybko, zanim wyjście się zamknie!*

Jedyną odpowiedzią była ciemność wewnątrz mgły, nabierająca kształtu głów, nóg i rogów, a chwilę później całe stado wypadło na wolność, zdyszane, spocone i kaszlące. Za nimi — coś jeszcze.

Coś, co biegło na dwóch, nie na czterech nogach. Upadło tuż przed wydostaniem się z mgły i w tym momencie tunel zniknął. Nie zastanawiał się; po prostu zadziałał: wciągnął powietrze i skoczył w mgłę. Zapłonęła mu skóra, oczy wypełniły się łzami, ale dopadł leżącej postaci i dźwignął ją na nogi. Pół ciągnąc, pół niosąc, wydostał ją z mgły, świadomy tylko tego, że była drobniejsza i lżejsza niż on, i ciągle żywa. Nie wiedział, czy to człowiek: na granicy między k'Sheyna i Pelagiriem takich rzeczy nie dawało się przewidzieć. Kimkolwiek był, uratował

dyheli i to wystarczyło, by mu pomóc.

Wybiegł na powietrze i wciągnął je chciwie w płuca; zaniósł się kaszlem, kiedy strzępy mgły dotarły do niego, a jego towarzysz wybrał sobie właśnie dobry moment na zemdlenie. Towarzysz? Mroczny Wiatr uświadomił sobie, że istota, którą wyniósł, nie była mężczyzną, ani też człowiekiem, jak zresztą podejrzewał. *Uciekaj!* — wrzasnął Vree. Odwrócił się i zobaczył przed sobą ścianę pociemniałej nagle mgły. Przerzucił sobie istotę przez ramię, obrócił się i pędem ruszył przed siebie.

Biegł, dopóki nie zdał sobie sprawy, że jeszcze chwila i albo upuści dziewczynę, albo padnie na twarz, a najpewniej jedno i drugie. Zwolnił i powłókł się noga za nogą, z bólem przesywającym bok i rwącymi mięśniami. Musiał biec co najmniej kilkaset metrów, bo nie wyczuwał już emanacji mgły, o ile jeszcze istniała. Kiedy w końcu dotarł do zwalonego drzewa, czuł, że jest spocony bardziej niż całe stado dyheli. Uklęknął, złożył swój ciężar w cieniu pnia i opadł tuż obok. Przez jakiś czas po prostu tam siedział, z czołem na kolanach i ramionami wokół nóg czując, że boli go każdy mięsień, i mając nadzieję, że Vree ostrzeże go przed niebezpieczeństwem. Swędziała go głowa i plecy, ale nie miał siły się podrapać; jedyne, na co miał siłę, to oddychanie.

Kiedy w końcu przestał się trząść i ból w boku nieco ustąpił, usłyszał wokół śpiew ptaków; gdyby coś je niepokoiło, byłyby cicho; zaczął myśleć. Jednego był pewien: k'Sheyna nie powitają z otwartymi ramionami kogoś z tamtej strony, a do tego nieczłowieka. Jak zauważył, nie należała do żadnej z ras, z którymi k'Sheyna utrzymywali kontakt, co natychmiast stawiało ją na pozycji „podejrzanej”.

„I co ja mam z nią zrobić?”, myślał, kompletnie wyczerpany i niezdolny do podjęcia szybkiej decyzji. „Chyba najpierw jej się przyjrzę. Jeszcze nie dotarliśmy do Doliny. Jeśli nic jej nie jest, po prostu ją tu zostawię i poobserwuję chwilę, żeby się upewnić, że ruszy w kierunku odwrotnym do Doliny”. Podniósł głowę i obrócił swą cichą towarzyszkę twarzą do góry. Kiedy tylko na nią spojrział, wiedział, że będą problemy.

Nie dość, że z tamtej strony i nieczłowiek, najwyraźniej była też czymś, co zwali „Zmiennolicymi” z Pelagir, istotą stworzoną na bazie człowieka lub zwierzęcia, z własnej woli, jeśli podstawą był człowiek, lub siłą kogoś innego, jeśli użyto zwierzęcia. To było to, co Tayledras robili ze swymi ptakami i końmi Shin'a'in, tyle że przekraczające granice uznawane za nieprzekraczalne, być może dlatego, iż po raz pierwszy dokonano tego podczas Magicznych Wojen. Delikatne poprawki to jedno, nie służące niczemu dobremu permanentne zmiany — to drugie. Wiedział, że w tym przypadku podstawą zmian był człowiek; inteligencja zwierząt wymagała wielu pokoleń krzyżówek, aby dorównała ludzkiej. Wśród hertasi dopiero niedawno zaczęli pojawiać się magowie. „Człowiek przemieniony

w kota. . .”

Nawet kiedy była nieprzytomna, roztaczała wokół siebie niesamowity magnetyzm; owo przyciąganie seksualne było bardzo częste w zmianach, oparte na zapachu i stymulowaniu podświadomych instynktów patrzącego. Mroczny Wiatr zastanawiał się, czy będzie jej współczuł, czy też zacznie nią pogardzać: zależało to od tego, czy poddano ją zmianom siłą, czy dokonała ich sama. Jeśli sama. . . Nawet myślenie o tym sprawiało, że wpadł we wściekłość. „Mógłbym ją wrzucić z powrotem w tę mgłę!” Ci, którzy dzięki modyfikacjom osiągnęli atrakcyjność, zazwyczaj używali swych ciał jako broni. Jeżeli jednak przemiany dokonano wbrew jej woli, najwyraźniej miała być tylko seksualną maskotką. To denerwowało go jeszcze bardziej.

Poza tym wyglądała jak kot lub coś kotopodobnego. Miała czarne, krótkie włosy, trójkątną twarz z małym podbródkiem i spiczaste uszy z pędzelkami futra. Jej brwi były skośne, jej oczy były skośne, a kiedy wywinął powiekę, żeby się przekonać, czy faktycznie jest nieprzytomna, zobaczył jak najbardziej kocie źrenice. Ubranie dziewczyny składało się z absolutnego minimum: kremowej tuniki i koronkowych spodni: niepraktyczny strój na bieganie po lesie. Leżała z kocią gracją, a paznokcie przypominały pazury.

Czymkolwiek była, mniej teraz przypominała ludzi niż Tayledras. Zmieniano ją od urodzenia, może nawet przed nim i wątpliwe, czy była w stanie sama tego dokonać. „Chyba, że urodziła się w skażonej strefie i zdecydowała się dokończyć dzieła trucizny”. Nie nosiła butów, ale stwardniałe podeszwy stóp wskazywały na to, że większość życia chodziła boso. Jednakże nie był to najlepszy pomysł na wycieczki po lesie, co znów wskazywało na to, że uciekała przed kimś lub czymś.

Wtedy dostrzegł na jej ciele stare i nowe siniaki, jakby ktoś ją regularnie katował; nie na twarzy, ale wszędzie indziej nosiła ślady uderzeń. Nie zauważył tego na początku, teraz jednak dokładnie widział sińce, niektóre tak wielkie, jak jego dłoń. Kiedy pomyślał o reszcie jej ciała, ukrytej pod tuniką, zrobiło mu się niedobrze. Poza tym była zdecydowanie za szczupła, zupełnie jakby nigdy nie dostawała wystarczającej ilości jedzenia.

Mroczny Wiatr usiadł na piętach, niepewny, co powinien myśleć. Zmiennolica była kłębkim sprzeczności. Jeśli uciekła z menażerii jakiegoś adepta, skąd znała magię potrzebną do uwolnienia dyheli? Żaden adept nie stworzyłby „zwierzątka” z darem magii, o szkoleniu w rzucaniu zaklęć nie wspominając. Jeśli jednak była wrogiem, dlaczego ktoś ją posiniaczył i nieomal zagłodził? I dlaczego uwolniła stado? Brakowało mu danych do rozwiązania tej łamigłówki.

„Trzeba dać jej szansę”, zdecydował. „W końcu ocaliła dyheli, a reszta może poczekać. Muszę się nią zająć, dopóki nie otrzeźwieje, tyle jestem jej winien. I dać jej schronienie, póki nie dojdzie do siebie”.

Trucizna nie powinna była tak podzielać na normalną, zdrową istotę, ale dziewczyna z pewnością nie była zdrowa, a walka z mgłą ją wyczerpała; poza tym

nie była adeptką. Nie była nawet mistrzynią, bo mistrzyni nie walczyłyby bezpośrednio z mgłą, tylko zmieniała ją w coś innego, a adept po prostu zniszczyłby zakłęcie. Jedno i drugie natychmiast postawiłoby w stan pogotowia wszystkich magów o dwa dni drogi stąd; tak postąpiłby Mroczny Wiatr, zanim wyrzekł się mocy, zdając sobie sprawę, że jest zbyt niebezpieczna dla osłabionego klanu.

Ona, najprawdopodobniej, nie mogła zakłęcia ani zniszczyć, ani zmienić, czyli była co najwyżej czeladnikiem i energia potrzebna do utworzenia tunelu pochodziła bezpośrednio od niej. Dlatego tak trudno tropiło się czeladników: wszystkie zawirowania mocy powstawały w nich samych. I to, niech bogom będą dzięki, uchroniło ją od przyciągnięcia czyjejs niepożądaney uwagi, a on ją wyczuł tylko dlatego, że znajdował się dostatecznie blisko. Jednocześnie to właśnie ograniczało czeladnika: kiedy już rzucił zakłęcia i wyczerpał energię, zapadał w śpiączkę i nie mógł działać, dopóki nie wypoczął. Dlatego Zmiennolica leżała nieprzytomna u jego stóp: straciła siły i wciągnęła jeden haust zatrutej mgły za dużo.

Nie mógł jej tu zostawić; nie miał nikogo, kto mógłby jej pilnować, a poza tym mogła potrzebować pomocy, której on nie mógł jej udzielić. Oparł podbródek na kolanie i zaczął się zastanawiać.

„Muszę znaleźć kogoś, kto będzie się chciał nią zaopiekować, i jakieś bezpieczne miejsce. Na pewno nie w Dolinie, ojciec poderżnąłby jej gardło, gdyby tylko zobaczył te pędzelki na uszach. Jakieś neutralne schronienie, a potem będę potrzebował dobrej rady”. Wiedział, gdzie znaleźć drugie, z pierwszym miał problem. W końcu przerzucił ją znów przez ramię, upominając swe ciało, aby zachowywało się przyzwoicie, gdyż bliskość Zmiennolicej wzmogła przyciąganie. Ciało jednak nie chciało słuchać. W końcu, zdesperowany, odgrodził się od wszystkiego i zaczął wyobrażać sobie najmniej podniecające rzeczy, jakie tylko przyszły mu na myśl: skubanie ptaków, oprawianie zajęcy i w końcu czyszczenie latryny. Tego, że opuścił Dolinę, żałował regularnie raz w miesiącu — czyszcząc ten przybytek. Poskutkowało; z westchnieniem ulgi wezwał więź-ptaka. Vree podleciał bliżej, zainteresowany ciężarem przewieszonym przez jego ramię. Na szczęście była to czysta ciekawość, Zmiennolica nie działała na myszołowy. „Gdyby to była tervardi, Vree dostałby świra, a nie kontroluje swych uczuć tak dobrze, jak ja. Ciekawe, co by się wtedy stało?”

Gdzie? — zapytał ptak; chodziło mu o „dokąd idziemy?”

Do hertasi, tych na obrzeżu k’Sheyna. Ona — ranna — śpi.

Dobra! — ucieszył się Vree. Hertasi lubiły ptaki i zawsze czymś je dokarmiły. Ciężar na ramieniu Mrocznego Wiatru postrzegał teraz tylko jako coś, co opóźnia dotarcie na obiad. — *Pilnuję.* Znaczyło to, że polecą przodem, czujnie obserwując wszystko dookoła. Żadnego rozpraszania myśli. . .

„Latryny”, pomyślał natychmiast. „Czyszczenie latryn do połysku”.

Nera podniósł głowę, by spojrzeć na Mroczny Wiatr, a w jego oczach odbiły się dwa wielkie znaki zapytania.

A jeśli się obudzi? — zapytał. Delikatnie odwrócił głowę i łuski na czole załśniły czystym złotem. Nera był Starszym hertasi i przyjacielem, więc Mroczny Wiat nie zastanawiał się długo, dokąd zanieść swój ciężar Niech sobie magowie mówią i myślą na temat hertasi co chcą, ignorują ich i uważają za dzieci, on jednak wiedział swoje.

Nie sądzę, żeby się obudziła, a przynajmniej nie do mojego powrotu. Zbadałem ją, jest bardzo wyczerpana. Będzie spała dzień albo dłużej.

Nera rozważał to, patrząc na hertasi pracujących na polu ryżowym. Ich wioska, na wzgórzu nad bagnem, składała się z jaskiń wykończonych drewnem, umeblowanych prosto, ale ze smakiem. Mokradło należało tylko do nich; hodowali ryż i żaby, polowali i łowili ryby. Znali teren lepiej niż jakikolwiek Tayledras. Dlatego Mrocznemu Wiatrowi udało się przekonać resztę, aby włączyć mokradło w granice k’Sheyna — stanowiło do skonała obronę, a hertasi nie potrzebowali pomocy; ich zalety musiał docenić nawet najbardziej uparty mag. Hertasi świetnie radzili sobie z łukami, a ich młode były szkolone w używaniu sztylecików i haczyków na ryby, lecz kiedy przychodziło co do czego, starcy stawali w ich obronie. Wrogowie puszczali się w pogoń za bezbronnym starcem i nagle spostrzegali, że właśnie ugrzęźli w ruchomych piaskach. Określano ich chętnie mianem „nawozu”.

Nera ciągle patrzył wyczekująco i Mroczny Wiatr musiał przyznać, iż czasami przyjaźń datująca się od dzieciństwa bywa uciążliwa. Hertasi znał go lepiej niż własny ojciec. Na szczęście atrakcyjność Zmiennolicej nie robiła wrażenia na Nerze, ale Mroczny Wiatr odczuł, że Starszy doskonale wiedział, jak działa ona na jego zmysły. A owo spojrzenie brało się stąd, że podejrzewał, iż zamiast mózgiem, zwiadowca myśli inną częścią ciała. Mroczny Wiatr westchnął.

W porządku. Jeśli się obudzi i narobi kłopotów, możesz jej użyć jako nawozu. Odpowiada ci to?

Nera przytaknął i rozciągnął usta w coś na kształt uśmiechu. — *Owszem. Tylko sprawdzam, czy twój mózg działa równie dobrze jak inne części twojego ciała.*

Mroczny Wiatr czasami zapominał, że Nera jest starszy od Gwiezdnego Ostrza i często podkreśla swój wiek, pewnie z powodu niskiego wzrostu hertasi. A poza tym fakt, że okres godowy na mokradłach zdarzał się raz do roku, nie ułatwiał sprawy.

Jestem głównym zwiadowcą — przypomniawszy. — Wszystko, co przybywa z Pelagiru, jest podejrzane, szczególnie jeśli jest piękne i bezbronne.

Wspaniale. — Nera uśmiechnął się szerzej. — Kłaniaj się ode mnie Uskrzydłonym i kieruj się niezapominajkami; od ostatniej twojej wizyty zmieniliśmy ścieżkę.

Mroczny Wiatr złożył swoje brzemię na macie z trawy, tuż przy drzwiach Nery; kiedy się odwrócił, zobaczył hertasi wśród jego pobratymców, sadzącego ryż. Może i miał swoje lata, ale szybkości nie stracił; ta szybkość była główną zaletą jaszczurkopodobnych, odziedziczoną po gadzich przodkach.

Wyszedł przed jaskinię i rozejrzał się wokół, szukając niezapominajek. Hertasi często zmieniali bezpieczną drogę przez bagna, oznaczając ją kwitnącymi kwiatami czy wiecznie zielonymi krzewami w zimie. Po chwili dostrzegł, czego szukał, i skierował się w tym kierunku groblą między poletkami ryżu. Zdjął buty, chroniące go przed kamieniami i cierniami, i włożył plecione sandały, które zawsze nosił ze sobą, gdy odwiedzał Nerę. Podciągnął nogawki spodni i wszedł w mulistą wodę, starając się nie myśleć o tym, co w niej pływało. Hertasi zapewniali, że rośliny znaczące drogę odstraszały hodowane przez nich wszystkożerne rybki, a hałas na pewno przepłasza węże wodne, ale nigdy w to tak do końca nie uwierzył. Mieli bardzo dziwne poczucie humoru.

Oczywiście, mógł obejść mokradło, lecz chciał jak najszybciej dostać się na drugi jego koniec, do ruin. I ruiny, i mokradło znajdowały się w obrębie jego rewiru. „Jedyna korzyść z posiadania władzy: przydzielam sobie to, co chcę. Jutrzenka ma swoich przyjaciół na wzgórzach, ja tutaj mam moich. Dla mnie czysty układ”.

Normalnie nie musiałyby się przedzierać przez mokradło. Teraz nie miał wyboru. Woda była nieprzyjemnie ciepła, powietrze ciężkie, a nad wszystkim unosił się odór gnijących ryb i roślin. Kiedy się po chwili odwrócił, wioska hertasi zniknęła, zasłonięta trzcina. Coś prześlizgnęło się po jego nodze. Zamarł czekając, aż to coś odejdzie. „Albo mnie użre”. Nie użarło, ruszył więc w dalszą drogę, uważnie wypatrując małych, niebieskich kwiatuszków: tak długo, jak je widział, miał pewność, że jest na właściwej, zbudowanej z piasku i kamieni, ścieżce. Niezapominajki rosły w parach, a sztuka polegała na stapaniu pomiędzy nimi. Ścieżka wiła się, a gdzieniegdzie zostawiano fałszywe znaki; ten, kto wybrał krótszą drogę, kończył w bagnie, a ten, kto nie chciał się zamoczyć, zazwyczaj trafiał na lotne piaski.

Jego pot przywabił innych lokatorów bagna; może woda była spokojna, ale powietrze na pewno nie: roiło się od owadów. Mroczny Wiatr natarł się ostro pachnącymi ziołami, które odstraszały większość insektów, lecz i tak co wytrwalsze muszki pogryzły go dotkliwie, zanim dotarł na suchy ląd.

Bagno skończyło się nagle i wkroczył w ruiny. Podejrzewał, że mokradło było pozostałością jeziora, prawdopodobnie sztucznego, zaś ruiny dawną wioską kupiecką albo posterunkiem granicznym. Zdziwiłby się niepomniernie, gdyby kaktlizm, który stworzył Równinę, nie naruszył równowagi wodnej, tak więc przemiana jeziora w bagno stanowiła logiczną konsekwencję wydarzeń. Wspiał się po kamieniach i przyrzekł sobie po raz kolejny, że już nigdy nie przejdzie przez trzęsawisko. Rozejrzał się za Vree i dostrzegł go wysoko na niebie. Chciał by mieć skrzydła...

I co byś z nimi zrobił, mały? — zapytał pełen radości głos w jego głowie. — *Nie mógłbyś się czołgać, chować i podchodzić zniechęca wrogów.*

Mógłbym ich atakować z góry — odparł. — *Tak, jak ty, stary micie.*

Dobra odpowiedź — stwierdził Treyvan i zniżył się, aby wylądować na kamieniu tuż obok Mrocznego Wiatru. Mężczyzna zasłonił oczy, kiedy skrzydła gryfa wznieciły tumany kurzu.

— Cóż cię sssssprrowadza w naszszsze ssskrrromne prrrogi? — spytał Treyvan, w jakiś sposób wydobywając z dzioba ludzki głos.

— Potrzebuję rady, może pomocy. — Teraz rozumiał, jak hertasi czuły się przy ludziach; ręce gryfa, zakończone szponami, były dwa razy większe od jego dłoni. Treyvan zeskoczył z kamienia.

— Rrrady zawszszsze udzielimy, sssynu bez piórrr. Przyjmieszsz ją? To zależy od ciebie. — Uśmiechnął się. — Pomocą zawszszsze ssssłużymy, chceszsz czy nie.

Mroczny Wiatr podszedł do gryfa i pogłaskał go po karku pachnącym korzeniami; pióra wydawały się nie mieć końca.

— Dziękuję. Gdzie jest Hydona?

— Szszszuka wyśśściółki do gniazda. — Treyvan nastroszył dumnie pióra i uniół ogon.

— Tak szybko? Kiedy... kiedy odbędziecie lot?

— Wkrrrócce, wkrrrócce. Będieszszsz wiedział... — gryf zachichotał, widząc jego rumieniec, i rozluźnił mięśnie pod dotknięciem dłoni.

Bardzo łatwo było ulec jego hipnotycznemu czarowi, sennemu odprężeniu w kontakcie z jedwabistymi piórami, słodkiemu zapachowi... Treyvan przerwał ten stan.

— Potrzebujeszszsz nassss, Mrroczny Wietrze — powiedział. — Chodźmy do Hydony.

Gryfy spadły w ruiny prosto z nieba, kiedy Mroczny Wiatr miał siedem czy osiem lat. Ruiny były wtedy jego ulubionym miejscem zabaw; czuł tam magię, ale magowie twierdzili, że miejsce jest bezpieczne i nie będzie sprawiać problemów. Dobrze się tam bawił: rozwiązywał zagadki, pokonywał potwory i uczył się magii. Doskonale pamiętał ten dzień: skręcił za róg, Wielki Mag badający niebezpieczne miejsce i szukający potworów, kiedy nagle jeden z nich objawił się w całej okazałości. Dosłownie wszedł na Treyvana, który od pewnego czasu obserwował go z rozbawieniem. Skręcił za róg, a za rogiem...

Za rogiem były wielkie nogi zakończone wielkimi pazurami. Rozdziawił usta i popatrzył w górę: futrzaste nogi, pokryta piórami pierś, wielki dziób... Dziób się otworzył; miał rozmiary studni.

— Grrr — powitał go Treyvan.

Mroczny Wiatr zmienił się natychmiast w najlepszego biegacza wszech czasów, co sił w nogach kierując się ku Dolinie, przekonany, że nigdy nie zdoła tam

dotrzeć. Jednak dotarł; nikt go nie pozałł po drodze. Wpadł do ekele i zaczął wykrzykiwać coś o setkach tysięcy potworów w ruinach, a ponieważ nigdy nie kłamał, jego rodzice podnieśli alarm i mała armia wyprawiła się na niczego nie podejrzewające gryfy.

Na szczęście Tayledras uznawali je za istoty „przyjazne, ale nieczęsto spotykane”, więc Treyvanowi wystarczyło tylko przeprosić zagniewany klan, wytłumaczyć, że on i Hydona szukali miejsca, gdzie mogliby zamieszkać, i zaoferować k’Sheyna pomoc w strzeżeniu terytorium. Starsi zgodzili się — pomoc tak wielkich i wspaniałych stworzeń nie mogła zostać odrzucona. Mroczny Wiatr, który przesiedział ten czas pod stołem w ekele, ściskając nóż w garści i czekając na nadejście potworów, zdziwił się bardzo, gdy zobaczył rodziców nietkniętych, spokojnych, a nawet nieco rozbawionych. Oczywiście, zażądał wyjaśnień, a wtedy ojciec rozczochrał mu włosy i powiedział:

— Masz nowego przyjaciela. Kazał cię przeprosić, nie miał zamiaru cię przstraszyć.

Tak zaczął się najszczęśliwszy okres jego życia, kiedy wszystko było magiczne i cudowne, a jako towarzyszy zabaw miał parę gryfów. Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, że to nie była do końca zabawa: Treyvan i Hydona nauczyli go prawie wszystkiego o zwiadach i walce, udając „potwory” i pokazując, gdzie kryje się potencjalne niebezpieczeństwo. Później dowiedział się, iż wybrały ruiny z rozmysłem ze względu na źródła magii leżące pod nimi. Gryfy nie mogły zakładać gniazd w miejscach pozbawionych magii, ponieważ zapewniała ona energię ich młodym, albowiem gryfy też były magami; innymi niż Tayledras czy ludzie, magami „ziemskimi”, instynktownymi. Hydona twierdziła, że energia potrzebna jest głównie do rzucenia zaklęcia godowego, bez którego nie mogliby począć dzieci. Dlatego Treyvan powiedział „Będiesz wiedział”: kiedy on i Hydona odbywali lot godowy, trudno było nie zauważyć tego potężnego zaklęcia. Poprzednim razem, gdy mógł być tego świadkiem, miał czternaście lat i właśnie odkrywał uroki tych przedziwnych stworzeń, kobiet. Na szczęście żadnej nie było wtedy w pobliżu. . .

Młode poczęte wtedy miały teraz sześć czy siedem lat i jeszcze nie potrafiły latać. „Prześliczne maleństwa”, pomyślał i zaśmiał się, bo nazywanie ich małymi było raczej nie na miejscu: już przewyższały go wzrostem i siłą. W czternastym roku życia już dostał Vree i maleństwa nie przerażały go aż tak bardzo: myszołów po wydostaniu się z jajka był znacznie brzydszy i chudszy. Pomimo tego, że Lytha i Jerven urodzili się z całkiem pokaźną ilością futra i pierza, Treyvan pozwolił mu ich zobaczyć dopiero, kiedy otworzyli oczy.

Gniazdo gryfów przypominało ekele zbudowane na ziemi, zapewne po to, aby maleństwa nie skręciły sobie karków. Kiedy się do niego zbliżył, zauważył, że powiększono je: zachowano ten sam kształt i pokrycie dachu, zdolne do przetrzymania każdej pogody, lecz całe gniazdo zostało przebudowane. Treyvan zaprosił go

do środka z wyrazem twarzy dumnego gospodarza: zamiast dwóch, były tam teraz trzy izby, jedna z nich pusta, przeznaczona zapewne dla młodych. Dwie pozostałe przypominały wielkie gniazda, wymoszczone pachnącymi trawami zebranych na Równinie.

— I cóż o tym myślisz? — zapytał gryf, wdzięcznie pochylając głowę.

— Wspaniale — odparł Mroczny Wiatr i to było wszystko, co udało mu się powiedzieć, bo gryfiątka usłyszały jego głos i dwie futrzaste kule zwały go z nóg. Był ich ulubionym towarzyszem zabaw — czy też zabawką, nigdy nie miał co do tego pewności, tak samo postępował przecież z Treyyanem, kiedy miał dziesięć lat.

Zazwyczaj uważały, jednak nie zawsze zdawały sobie sprawę z własnej siły i zapomniały, że mają długie szpony i ostre dzioby. Lytha uderzyła go w pierś, Jerven podciął nogi i zwały się na niego, gwizdząc wysoko, co znaczyło, że się śmieją. Próbował nie krzywić się z bólu, ale gwizdy rozsadzały mu bębunki. „Będę szczęśliwy, kiedy ich głosy się pogłębią, już krzyki dzieci trudno znieść...” Lytha tarmosiła mu tunikę na piersi, Jerven gryzł w kostkę, a on się opierał: były już na tyle duże, iż nie obawiał się, że wyrządzi im krzywdę, używając całej swej siły. Od ostatniego razu wyraźnie się poprawiły: kiedy w końcu podniósł się z ziemi, potrzebował nowej tuniki. Treyvan obserwował przez chwilę te zmagania, a potem odsunął łagodnie dzieci od przyjaciela, szturchając je delikatnie i przetaczając w kąt izby. Mroczny Wiatr jęknął. Gryf zagwizdał coś szybko, gryfiątka podniosły się i wymaszerowały. Zwiadowca, dla którego język złożony z gwizdów, był bardzo trudny, podejrzewał, że znaczyło to „idźcie się bawić, musimy porozmawiać z Mrocznym Wiatrem o strasznie nudnych rzeczach”.

— Ach, ta twoja pobłażliwość, przyjacielu. Sssą barrrdzo młode — zauważył.

— Wiem. — Mroczny Wiatr otrzepał się z kurzu. — Ja z tobą robiłem dokładnie to samo.

— Tak, ale ja byłem już duży, a ty maleńki. Nie uszszszkadzałeśśś mnie zbytnio.

— Myślę, że jakoś przeżyję. Jestem wam winny znacznie więcej niż wdzięczność za zabawę w potwory.

— Nie myślimy o tym. — Treyvan potrząsnął głową. — Tak posstępują przyjaciele.

— Czy o tym myślisz, czy nie, ja pamiętam, że pomogliście mi przetrwać śmierć matki — powiedział po chwili milczenia. — I że od tego czasu jesteście dla mnie rodzicami. Nigdy tego nie zapomnę. — Wspomnienia ciągle bolały, ale miał nadzieję, iż blizny z czasem znikną. Dzięki gryfom.

— Jednak jesssteśś wujkiem dla małych, wujkiem zagrrożonym.

— Zacytuję twoje własne słowa: tak postępują przyjaciele. A poza tym warto im pobłażać. Ta nowa izba nie wygląda jak dobudowana, tylko jakby tu była od

początku. Planujecie coś jeszcze?

— Może miejscssce, w którym małe będą się bawić podczasss brzydkiej pogody. . .

Dalszą dyskusję przerwało im przybycie Hydony, która zagwizdała imię Mrocznego Wiatru i wylądowała tuż obok. Przywitał się z nią: była większa niż Treyvan i jej pióra lśniły beżem, nie złotem, ale jej miodowe oczy rozbłysły na jego widok tak samo, jak oczy Treyvana. Przytuliła go, gruchając tak głośno, że zadrżały mu kości; Mroczny Wiatr podrapał ją po karku, co dla gryfów stanowiło bardzo intymną pieśczoę. Po śmierci jego matki Treyvan i Hydona byli z nim bardzo szczerzy i otwarci, pozwalając obserwować rzeczy, których nigdy nie widział żaden człowiek. Spośród wszystkich Tayledras tolerowali tylko jego, nawet Jutrzenka, która doskonale porozumiewała się z nieлюдźmi, nie była do nich dopuszczana.

— To czassss, kiedy jesssteśś na patrrrolu — powiedziała Hydona. — Musiszsz mieć jakiśś prroblem. Jak ci możemy pomóc?

— Potrzebuję rady i może przysługi — odparł. — Chyba natknąłem się na kłopot.

Hydona postawiła uszy.

— Natknąeśś się? Interrresssujące ssłowo. Opowiedz.

Mroczny Wiatr rozejrzał się, znalazł wygodny kamień i usiadł na nim, a Hydona zwinęła się w kłębek u boku swego towarzysza. Wziął głęboki oddech.

— To było tak. . .

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ELSPETH

Mistrz Quenten jeszcze raz przeczytał list od swej dawnej pracodawczyni, kapitana Kerowyn. Herolda Kerowyn, poprawił się. Co prawda nowy tytuł nie zmienił jej za bardzo. . .

Quenten, mam dla ciebie robotę i odpowiednie wynagrodzenie, żebyś się do niej przekonał. W twoim kierunku zmierza pewna osobistość, ale nie używaj tego słowa, jeśli nie musisz; sprawa oficjalna i delikatna. Będzie mieć jednoosobową eskortę, ale sama doskonale sobie radzi. Potrzebuje wściekle dobrego maga albo do wynajęcia, albo szkolenia, albo obu tych rzeczy. Jeśli uznasz to za właściwe, możesz ją przekazać wujowi. Dzięki za pomoc. Napisz, jak znajdziesz porządne zatrudnienie.

Kerowyn.

Uśmiechnął się; nie, Kero się nie zmieniła, nawet jeżeli teraz była jednym z białych, ruchomych celów królowej Valdemaru. Chociaż, na ile znał Kerowyn, odmawiała noszenia uniformu bez specjalnego edyktu królewskiego. Podziękował kurierowi i zaproponował mu nocleg; ten przyjął propozycję z wdzięcznością i w zamian obiecał się podzielić najnowszymi plotkami z dworu Rethwellanu — podczas kolacji.

„A ludzie się zastanawiają, kto nas informuje”.

Posłaniec był młodzikiem dopiero co przybyłym z gór: nie pozbył się jeszcze akcentu. Quenten rozczulił się trochę nad starymi, dobrymi czasami, kiedy połowę Piorunów Nieba stanowili ludzie z górzystych obszarów graniczących z Karsem, którzy cały swój dobytek wozili ze sobą w jukach u siodeł. Nikt nie był od nich lepszy w strzelaniu z łuku, tropieniu i tym, co Kero zwała „podejściem”.

Taki sam był ten wyrostek, a pewna ogłada wskazywała na to, że pochodził z którejś rodziny szlacheckiej pogranicza: może i na widok lamp magicznych oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki, ale wiedział, jak używać sztucców. Niestety,

nie przebywał długo na dworze i ciekawość Quentena w kwestii tego, kim jest osobistość zmierzająca w jego kierunku, nie została zaspokojona.

— Dwoje jest jakiś dzień drogi za mną — opowiadał chłopak z ustami pełnymi sernika. — Facet i dziewczyna, cali na biało, na białych koniach. Szybkie bestie, konie, znaczy. Dzień, mówię, bo chociaż startowałem tydzień przed nimi, na pewno już mnie doganiają.

„Cali na biało” znaczyło, że są heroldami, ale co heroldowie mogli mieć wspólnego z magią? Quenten doskonale pamiętał swoje spotkanie z ochroną valdemarskich granic i nie sądził, żeby jakikolwiek mag za jakiegokolwiek pieniądze zgodził się czegoś takiego doświadczyć, ale jego zdanie nie za bardzo się tu liczyło. Kim oni byli? Jeśli Kero występowała w ich imieniu, musieli piastować nie lada pozycje, a do tego król Faram wysłał swojego posła, aby uprzedzić o ich przybyciu.

Zapytał o to przy deserze, dolewając młodzieńcowi słodkiego, mocnego wina.

— No więc — powiedział ten, już lekko wstawiony — Nikt nie wie na pewno. Ale panienska na pewno ma koneksje, sam słyszałem, jak do Jego Wysokości mówiła „wujku”. To mała Darena, myślę, chociaż nigdy o niej nie słyszałem.

„Dziecko Darena? Herold Valdemaru? Cóż to, bliźnięta w miesiąc rosną tyle, ile inne dzieci w rok?” Quenten bardzo się zdziwił. „Chyba że to najstarsza córka Selenay, to by wszystko tłumaczyło, chociaż dziwne, że wypuścili ją z miasta, o królestwie nie wspominając. Interesujące. Chyba nie wiem o czymś, co zaszło ostatnio między Valdemarem i Hardornem. Byłem przekonany, iż tylko gapią się na siebie przez granicę”.

Usiadł wygodnie na krześle i zamyślony sącył wino. Nagle list od Kero przestał być tylko prośbą o drobną przysługę; księżniczka podróżowała incognito przez Rethwellan i szukała magów do wynajęcia — to już zmieniło postać rzeczy. Cała sprawa miała posmaczek intrygi, a fakt, że stała za nią królowa Valdemaru, obiecywał szybkie wzbogacenie się i duże niebezpieczeństwo. Wielu uczniów Quentena chętnie stawiałyby czoła ochronnym barierom za odpowiednią opłatą. „Może znaleźli sposób na ich pokonanie i dlatego tu teraz przyjeżdżają”. Może nawet on sam by się zainteresował, w końcu, gdyby zdał test, mógłby być adeptem niższej klasy. Chętnie dowiedziałby się, co to za osobliwi „strażnicy” strzegą Valdemaru i jak sobie z nimi poradzić.

„Nadworny mag Valdemaru. . .” Przez chwilę bawił się wizją sławy i fortuny, a potem przypomniał sobie, dlaczego nie był nadwornym magiem Rethwellanu: nie lubił ani współzawodnictwa, ani intryg, a najmniej tego, że nie mógł mówić tego, co myśli. Zresztą, proponowano mu kilkakrotnie to stanowisko, podobnie jak Jendarowi, ale obaj woleli promować przyjaciół i zachowywać z władcami stosunki bardziej oficjalne. A przynajmniej zachowywać pozory takowych, bo panujący dość często udawali się do swych. . . hm, znajomych, po radę. Zaśmiał się, przypominawszy sobie, co kiedyś powiedział Kerowyn: „Jeśli mam wybierać między

wolnością robienia tego, co uważam za słuszne, i bezpieczną posadą na dworze, wybieram wolność”. Wzruszyła ramionami, ale gdyby się z nim nie zgadzała, nie byłaby teraz Valdemarskim ruchomym celem.

„Oboje jesteśmy głupcami”, zaśmiał się. Posłaniec, przekonany, że maga roz-
bawiły opowiadane przez niego anegdoty, rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Quenten używał tych samych pokojów co kapitan, zanim Bolthaven z zimowej kwatery Piorunów Nieba nie zmieniło się w szkołę. Znajdowały się one w wysokiej wieży, skąd rozciągał się widok na szkołę i miasto, szczególnie zaś dobrze widoczna były droga i brama prowadzące do fortecy. Kero prawdopodobnie nie rozpoznabyła tego miejsca: plac ćwiczeń zamieniono w ogród, posadzono wiele drzew, a fasady budynków otynkowano. W barakach zrobiono dormitorium, z jego okien zwieszały się sznury do suszenia bielizny i torby zjedzeniem, a z dachu puszczano latawce. W głównej stajni była teraz pracownia, gdzie eksperymentowano z tymi rzeczami, które mogły wysadzić połowę miasta w powietrze, a konie trzymano w mniejszej, Bolthaven nie potrzebowało ich zresztą wiele. Palisada została, głównie po to, aby uczniowie znali granice, poza które nie mogą się wypuszczać bez zezwolenia, ale miejsce w ogóle przestało przypominać fortecę, nabrało nowego charakteru bardziej odpowiedniego dla szkoły. To nie była jakaś tam szkoła, lecz największa szkoła Białych Wiatrów w Rethwellanie. Spora była również ta, do której kiedyś uczęszczała Kethry — w Jkatha. Jendar, syn Kethry i nauczyciel Quentena, założył swoją własną placówkę oświatową niedaleko Petras, stolicy kraju, ale nie dorównywała wielkością tej w Bolthaven.

„Jasne, ale szkoły magów mogą być niebezpieczne dla zwykłych mieszczan, szczególnie kiedy sprawy wymykają się z rąk. Mieszczanie nie przepadają za szaleństwami przy myciu naczyń. Nie wiem, dlaczego...”

Na szczęście dla Quentena mieszkańcy Bolthaven przez lata przywykli do utrzymywania się z obsady fortecy i teraz większość po prostu przekwalifikowała się, aby służyć młodym magom, a nie młodym najemnikom. A poza tym okresowe szaleństwa przy myciu naczyń robiły znacznie mniej szkody niż pijany żołdak na przepustce. Jedyne incydenty, jakie się zdarzyły, to stonowane w formie i treści rachunek za szkody wyrządzone przez pewnego nauczyciela.

Biurko Quentena stało tuż przy oknie, a on spędzał większość czasu na obserwowaniu uczniów i zajęć. Od papierkowej roboty miał urzędników. Przewagą, jaką miał mag nad kapitanem najemników, było to, że nie musiał się ruszać z biurka, by doglądać podkomendnych. Wystarczyło użyć trochę mocy.

Teraz obserwował drogę, rozważał proponowane przez czterech przyszłych czeladników tematy prac końcowych i oczekiwał przybycia osobistości. Nie, żeby się niecierpliwił — parający się magią szybko pojmują bezsensowność niecierpliwości — ale był bardzo ciekawy.

Nie wiedział dokładnie, czego oczekiwać: kiedy ponownie przeczytał list, zauważył, że Kero chce, aby uczył tę dziewczynę, a to samo w sobie wzbudzało zainteresowanie, bowiem Kerowyn potrafiła w jakiś dziwny sposób wykrywać zdolności magiczne tkwiące w ludziach. Czyżby dostrzegła coś w tej dziewczynie? Czy też to ona sama chciała być uczona? Tak jej zawróciły w głowie opowieści Piorunów Nieba, że zapragnęła zostać czarodziejką? To oczywiście było możliwe, ale musiała mieć w sobie choć odrobinę talentu, by widzieć i posługiwać się energiami. Bez tego do niczego nie dojdzie, a tylko zje ją frustracja.

Nawet ci, którzy wybrali krwawą ścieżkę, mieli w sobie odrobinę talentów, a możliwości magów różniły się w zależności od siły i rodzaju ich mocy. Niektórzy byli tylko podrzędnymi czarodziejami, tym energia służyła do komunikacji ze światem zewnętrznym lub uzdrawiania. Oczywiście, nie znaczyło to, że byli gorsi, potrafili osiągnąć wiele wyteżoną pracą, a czasami nawet najdrobniejsza zmiana pola energetycznego potrafiła zniszczyć armię... albo króla. Wątpił jednak, czy taki status zadowoli upartą księżniczkę, a jeśli w ogóle się do tego nie nadaje...

Był przygotowany prawie na wszystko: rozpuszczonego bachora, który myśli, że biały strój i korona upoważniają do wszystkiego, naiwne dziecko bez żadnych zdolności, kogoś podobnego do jego uczniów... To ostatnie wyjście byłoby najlepsze, wtedy dałoby się ją kształcić: talent istniejący, ale nieużywany, nie był spaczony. Używana przez heroldów magia umysłu i wymagana przy niej dyscyplina pozwoliłaby jej wyprzedzić wielu utalentowanych młodzików.

Coś błysnęło biało na drodze i natychmiast dostroił swój magiczny wzrok: jeśli ta mała ma w sobie choć odrobinę daru, dostrzeże to ze swej wieży i będzie wiedział, jak ustosunkować się do jej prośby o szkolenie.

Dwoje odzianych na biało jeźdźców na białych koniach przekroczyło główną bramę i zatrzymało się, aby zsiąść. Wtedy Quenten przeżył największy szok w życiu: spodziewał się bowiem wszystkiego, ale nie tego, co zobaczył.

Zwykła młoda kobieta na pięknym koniu była — cóż, absolutnie niezwykła. Miała w sobie wielki dar magii, tak potężny, iż spowijająca ją aura lśniła i promieniowała na wszystkich wokół, czego ona najwyraźniej nie była świadoma. Quentena zdumiewało, że nie miała z tym przedtem żadnych problemów. Musiała widzieć przepływy energii, jej poziomy i węzły i zastanawiać się, czym są. Nie kusiło jej, by ich użyć? Wszyscy heroldowie — przypomniał sobie — zostali wyszkoleni w używaniu magii umysłu i jeśli nie wiedzieli, czym jest dar magii, mogli go łatwo pomylić z Widzeniem. Być może więc dziewczyna sądziła, że po prostu postrzega rzeczy inaczej. „Bogowie, że też nigdy jej nie skusiło dotknięcie czegoś...”

Na tym niespodzianki się nie kończyły: nosiła przy boku coś, czego moc niemal ją przyćmiewała i tylko pewna znajomość tego przedmiotu pozwoliła mu rozpoznać Potrzebę. Miecz się zmienił: przebudzony w jakiś sposób, różnił się całkowicie od tego zwykłego ostrza, które nosiła Kero. Potęga artefaktu przyćmie-

wała niektórych znanych mu adeptów. „Dobrze, że nigdy nie wszedłem w drogę temu mieczowi, rozplątałby mnie na pół”. Zastanawiał się, jak, u licha, mogli to przeoczyć magowie Farama, kiedy uzyskał odpowiedź: Potrzeba nagle stała się na powrót zwykłym ostrzem. Magicznym, o tak, ale nie na pierwszy rzut oka.

„A to przedstawienie było na moją cześć?”, zastanowił się i pomyśl wydał się mu niepokojący, bo magicznego wzroku nie potrafił wykryć nikt, kogo znał. Oczywiście nie było to niemożliwe, a Potrzeba była stara i znała takie zaklęcia, o których nigdy się nikomu nie śniło.

Stworzenie, którego dosiadała dziewczyna, nie było koniem i doskonale dotrzymywało pola i jej, i mieczowi. Jego aura lśniła przez skórę, co znaczyło, że... Niewielu magów wiedziało, jakie to ma znaczenie: to był Duch Opiekunczy. Po kolorze aury wnioskując, potężniejszy nawet od Duchów Eteryčných, które kiedyś przybyły do Bolthaven z Shin'a'in. Wuj Kerowyn nazywał je „Kal'enedral”, a Kra'heera „zakwefionymi”. Przy tym „koniu” były jak zapałka przy błyskawicy.

Dla Quentena starczyłoby wrażeń na miesiąc. Poczł się tak, jakby znów był uczniem, twarzą w twarz z mistrzem, który po latach pracy i wyrzeczeń opanował swój talent do perfekcji. Ona miała w sobie potencjał, aby stać się takim mistrzem, a on nie miał zielonego pojęcia, co robić. Nie potrafił logicznie myśleć.

„Nie mogę jej przyjąć! Jeden błąd i mogłaby — mogłaby — i ten Opiekun — i miecz — i...” To, że nad sobą zapanował, zawdzięczał latom praktyki i szkoleniu, jakie przeszedł u Piorunów Nieba; należało postarać się sprawić wrażenie kompetentnego mistrza. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, było odwrócenie się od okna, a kiedy stracił dziewczynę z oczu, mógł odetchnąć z ulgą i zacząć myśleć. Musiał szybko znaleźć odpowiedź i rozwiązanie.

Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: ona nie tyle mogła, co musiała być szkolona. Jeśli kiedykolwiek pokusiłaby się o manipulację energią, którą wyczuwała wokół siebie... „Wolę nie myśleć, co wtedy. Zależy, czego by dotknęła i jak silnie z tego zaczerpnęła. A gdyby znalazła się w sytuacji bez wyjścia i zadziałała instynktownie, próbując ocalić siebie albo innych, byłoby jeszcze gorzej. Pod wpływem strachu... Bogowie! Pierwszą rzeczą, jaką ją nauczymy, będzie, żeby nigdy, przenigdy nie działała w strachu czy gniewie”.

Dla kogoś, kto chciałby ją wykorzystać, byłaby łatwym łupem; mistrzowie krwawej ścieżki czy nawet adepci omamiliby ją obietnicami nauki i bezlitośnie wykorzystali. Złamać można każdego, a nikt nie stawał się mistrzem bez spędzenia wielu godzin na zrozumieniu mechanizmów podporządkowywania sobie ludzi. Absolutnie należało ją szkolić. Pytanie, kto tego dokona?

„Kero pisała, że jeśli sobie nie poradzę, mam ją wysłać do Jendara. Na ognie piekielne, on jest adeptem, uczył mnie, poradzi sobie z każdym, z nią też. Ja nie muszę”. Kiedy znalazł sposób rozwiązania problemu, odprężył się i odetchnął z ulgą. Cieszył się tylko, że przezornie nakazał jednemu z nauczycieli, bardzo dyskretnej młodej damie, aby powitała przybyłych, gdyby się nagle okazało, że

jest bardzo zajęty.

„Gdybym się spotkał z nimi przy bramie, prawdopodobnie gadałbym od rzeczy i raczej nie wzbudziłbym zaufania”. Kiedy doniesiono mu o ich przybyciu, był już zupełnie spokojny.

— Tak? — powiedział. Jakieś dziecko wsunęło głowę przez uchylone drzwi, bardzo ostrożnie; uczniowie zachowywali daleko posuniętą ostrożność, odkąd jedna z dziwnych rzeczy, które Quenten trzymał w swoim pokoju, poparzyła komuś plecy. Opowiadali sobie tę historię w dormitorium jeszcze teraz, chociaż wydarzyła się w pierwszym roku istnienia szkoły.

— Przyjechali ludzie, których pan oczekuje. Elrodie mówi, że dama to Elspeth, a kawaler — Skif. Elrodie mówi, żeby pan zszedł, jeśli pan może. — Dzieciak wyglądał na bardzo wystraszonego, bo nieczęsto uczeń miał okazję zajrzeć do pokoju mistrza. Zazwyczaj widywali go jedynie na zajęciach.

— Zaraz zejść — odpowiedział i głowa zniknęła. Poczekał jeszcze kilka chwil i wyszedł.

Miał nadzieję, że niczego po nim nie widać. Miecz był „spokojny”, ale dziewczyna i jej tak zwany koń nie. Podszedł do niej zauważając, że jej towarzysz trzyma się dyskretnie z boku. Podobieństwo do króla Farama świadczyło, niewątpliwie, że miał przed sobą Elspeth, następczynię tronu Valdemaru. Na pozór nie różniła się niczym od innych, wysoko urodzonych kobiet w jej wieku: ciemne włosy splecione w warkocz, kwadratowa twarz, która nie była banalnie ładna, lecz tak pełna życia i charakteru, że piękno stawało się zbędne. Podobnie jak Kero, promieniowała witalnością, jej brązowe oczy lśniły i często się uśmiechała. Nawet gdyby go nie dojrzał, odgadłby talent magiczny, miała w sobie bowiem ten szczególny rodzaj energii.

— Bardzo się cieszę, że cię wreszcie poznałam — powiedziała, kiedy się przedstawił. Mówiła rethwellańskim bez akcentu. — Jestem nieznośnym dzieckiem Kero, mistrzu Quentenie. Wiele słyszałam o tobie, ale znając jej niechęć do pisania listów, podejrzewam, że ty pewnie nic o mnie nie wiesz. Pisze dość specyficzne listy; ostatnio, kiedy ją i Pioruny Nieba złapała powódź, która zatopiła pół miasta, skwitowała to stwierdzeniem: „Tu jest trochę mokro, wróć, jak wyschnę”.

— Określała cię uparcie mianem „osobistości” — roześmiał się. — To z powodów bezpieczeństwa, jak się domyślam? Jesteś tą Elspeth, której mama ma na imię Selenay, prawda?

Wykrzywiła się i wzniosła oczy ku niebu.

— Niestety. To dlatego powiedziałam, że jestem nieznośnym dzieckiem, ale nic nie poradzę na to, kim są moi rodzice. Wada wrodzona. To jest Skif, też przydzielony do tego zadania.

— Taktowne ujęcie tego, że robię za ochronę. — Skif wyciągnął dłoń, a Quenten odetchnął z ulgą: ten młody człowiek był zupełnie normalny, żadnych ma-

gicznych zdolności ani artefaktów. Oprócz tego, że również dosiadał Ducha Opiekuńczego.

Klacz odwróciła się, spojrzała prosto na niego i mrugnęła. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy, postarał się uśmiechnąć i za bardzo nie dzwonić zębami.

— Ponieważ tylko jedna Elspeth ma taką matkę, rozumiem, dlaczego Kero była aż tak dyskretna. Wyższa konieczność.

— Właśnie — powiedzieli jednocześnie i wybuchnęli śmiechem. Potem Elspeth przewróciła oczami, a Skif wzruszył ramionami.

— Wiemy, że to wyższa konieczność — odpowiedział za oboje — ale Elspeth za tym nie przepada.

Quenten nie przeoczył odcisków od miecza na jej dłoniach i swobody, z jaką nosiła ostrze; poza tym wyglądała na dobrze wyćwiczoną wojowniczkę, chociaż w jej oczach nie było twardości i bezwzględności najemniczek. Odkaslnął.

— Kero napisała mi jednak, co was tutaj sprowadza, i muszę być z wami szczerzy. Chciałbym wam pomóc, ale nie mogę. Moi nauczyciele są tylko nauczycielami, a żaden czeladnik nie poradzi sobie z przekroczeniem granicy; ja sam nie potrafiłem tego zrobić i wątpię, czy kiedykolwiek by mi się to udało.

Elspeth natychmiast posmutniała, a Skif wyglądał na zrezygnowanego.

— A co z uczeniem nas? — spytała nieomal błagalnie. — Pewnie się nie nadajemy, prawda?

„Mam jej powiedzieć od razu?” Szybko przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że nie widzi przeciwwskazań.

— Obawiam się, że tak wygląda sprawa ze Skifem, ale ty, młoda damo, jesteś materiałem na maga. Materiałem tak dobrym, że nie jestem w stanie sam cię uczyć, ale co do tego, że musisz być kształcona, nie ma wątpliwości.

Na jej twarzy odbiły się sprzeczne uczucia: zaskoczenie, rozczarowanie, duma i — strach? Miał nadzieję, że to był strach: takiej mocy powinna się bać.

— Nie mam czasu — wyjaśnił. — Zaczynasz naukę bardzo późno i wymagasz bardzo osobistego podejścia. Potrzebujesz nauczyciela, który będzie uczył tylko ciebie, a ja mam już swoje zobowiązania. Poza tym wydaje mi się, że nie macie zbyt wiele czasu?

Oboje przytaknęli, a „koń” Elspeth parsknął.

„Bogowie najśłodszy, to stworzenie patrzy na mnie jak Jendar, kiedy się przyznawałem do tego, że coś jest dla mnie za trudne. Jakby mi chciało powiedzieć, że przynajmniej nie będę się wygłupiał”.

— Nie byłoby w porządku, gdyby ktoś nie mógł się tobą zająć tak, jak na to zasługujesz.

— W takim razie w ogóle nie powinnam tu przyjeżdżać, tak? — spytała głucho.

— Nie, wcale nie. Wyślę cię do wuja Kero, adepta Jendara, który był moim nauczycielem. Nie ma już szkoły, ale czasami przyjmuje bardzo utalentowanych

ludzi. Nie znajdziesz go jednak bez moich wskazówek ipomocy, bo prowadzi samotniczy tryb życia.

— Podejrzewam, że nie pojechałby z nami? — W głosie Skifa brzmiała nadzieja na coś dokładnie odwrotnego — To rozwiązywałoby nasze problemy.

— Nie wiem — odparł Quenten. — Jest bardzo stary, ale magia dobrze konserwuje. Nie widziałem go od lat, pewnie jednak nadal jest tak żywotny, jak kiedyś. Przewyższa mnie wiedzą i umiejętnościami, jest równie nieprzewidywalny jak Kero i nawet nie będę próbował wydawać jakiejś opinii. Musicie sami go zapytać.

— Na pewno zapytamy — stwierdził Skif.

Quenten poczuł, jak kamień spada mu z serca. „Nie ma to jak legalnie pozbyć się odpowiedzialności”, pomyślał kwaśno, ale nie popsulo mu to humoru.

— Nawet jeśli nie mogę wam zaoferować mych wątpliwej jakości wykładów, to ciągle mogę zaproponować gościnę. Zostaniecie na noc, prawda? Chciałbym usłyszeć, jak się teraz powodzi Kero. Ona naprawdę nie umie pisać listów — uśmiechnął się do Elspeth. — O tobie napisała aż pół strony, a ja, nie znając cię, na pewno napiszę do Jendara co najmniej pięć.

Dziewczyna zaśmiała się i mrugnęła identycznie jak koń-*duch* Skifa. Szukał w pamięci ich określenia. Druhowie? Nie, Towarzysze, na pewno Towarzysze.

— Mogę nawet zaproponować całkiem przyzwoite schronienie dla waszych... hm... przyjaciół — powiedział, kłaniając się lekko. — Waszych Towarzyszy, jak ich zwiecie. Nie wiem, do jakiego traktowania są przyzwyczajone, ale zrobię, co w mojej mocy, aby były zadowolone.

Elspeth wyglądała na zaskoczoną, ale Towarzyszom ta wypowiedź zdecydowanie przypadła do gustu; wyglądały jak królowe na wygnaniu, które wreszcie ktoś rozpoznał i potraktował stosownie do ich rangi.

— Mamy dwa wolne boksy w stajni, z wyjściem na wybieg, które będą mogły same otwierać. — Quenten usiłował sprawiać wrażenie, że wizyty Duchów Opiekuńczych to dla niego codzienność. — Kero zawsze trzymała rumaki bojowe Shin'a'in, które nie mogą równać się z Towarzyszami, ale są o niebo inteligentniejsze od zwykłych koni.

— To wspaniale! — Ucieszyła się Elspeth. — Jesteśmy ci naprawdę wdzięczni. Nawet w Valdemarze wielu ludzi uważa je po prostu za konie.

— O, nie, pani — odparł szybko, a błysk w błękitnych oczach przekonał go, że Towarzysze doskonale się bawiły jego kosztem. — Ja wiem aż za dobrze, że to nie są konie.

Przyjacielu, nie wiesz nawet połowy — zaszepotało mu w głowie. Przez chwilę nie był pewien, czy przypadkiem i tego nie wymyślił, lecz utkwione w nim oczy przekonały go, że nie.

„Chyba to zignoruje. Jeśli chcą być traktowane jak przybysze z niebios, niech się nie przebierają za konie. Chociaż? Czy heroldowie wiedzą, kim one są? Jeśli nie, ja im tego nie powiem, to sprawa między nimi a Towarzyszami. Sprzeciwić

się woli Ducha Opiekuńczego to głupota, kompletna głupota”. Zdał sobie sprawę, że teraz sam do siebie plecie trzy po trzy i zdecydował, że do stajni odprowadzi ich ktoś inny. Potrzebował odpoczynku.

Podczas kolacji bez towarzystwa „koni” czuł się znacznie lepiej. Elspeth i Skif zachwycali się lampami magicznymi i małym podgrzewaczem jedzenia, podziwiali piece zamiast kominków, dzięki którym wzmie było znacznie cieplej, chociaż akurat piece nie były magiczne; gawędzili o Kero, Darenie i Faramie oraz wymieniali najnowsze plotki. W tej materii Skif był znacznie pożyteczniejszy niż Elspeth, ponieważ nic nie uchodziło jego uwagi. Przypominał w tym Quentenowi pewnego Shin’a’in wyszkolonego na zabójcę, który przez pewien czas uczył Piorny Nieba różnych sztuczek. Na pierwszy rzut oka można go było źle ocenić, ale mag wiedział, że Skif potrafi być niebezpieczny. Prawdopodobnie to właśnie jego obecność powstrzymywała kogokolwiek przed niepokojeniem Elspeth.

Elspeth, choć wygadana, była pod wieloma względami ciągle dzieckiem. Wiedziała, jak się traktuje ludzi z jej urodzeniem w Valdemarze, ale o życiu poza jego granicami nie miała zielonego pojęcia.

— No właśnie — stwierdził Skif, kiedy Quenten tłumaczył, że powinna uważać na tutejszą szlachtę. — Mówiłem ci: nie będzie łatwo.

Rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

— Jasne, mówiłeś mi wiele rzeczy i w większości ja miałam rację.

— Zaraz, zaraz — przerwał Quenten. — Skif, to nie jej wina, ona potrafi sobie poradzić z bardzo wysoko urodzonymi, wychowała się wśród nich. Mnie chodzi o drobną szlachtę; połowa z nich kupiła tytuł albo odziedziczyła go w nieczysty sposób. Nigdy nie byli uprzejmi i na pewno mają nieposkromioną ambicję. Tutaj nawet więzy krwi mało znaczą. Weźmy brata Kero. On sam jest w porządku, ale jegożona, Dierna, to skarbczyk informacji dla krewnych, a tym nie ufa nikt, nawet król. Jedźcie do Lordana i za pół dnia Dierna roztrąbi po kraju, że coś sprowadziło tu heroldów z Valdemaru. A gdybyście się do tego przedstawili, złamanego grosza nie dam za wasze bezpieczeństwo. Na okupie łatwo się wzbogacić.

— Aha — skomentował Skif i sięgnął po kawałek szynki. Na dłoniach miał wiele starych blizn, które wyglądały na pozostałość po walkach na noże.

„Interesujące”, pomyślał Quenten. „Dziwny partner dla księżniczki”. Skif na pewno nie był tylko „ochroną”, to rzucało się od razu w oczy. „Więcej niż partner, kochanek?” Możliwe... Chociaż nie było to nic pewnego. Oboje byli heroldami, a zdołał wyciągnąć z Kero informację, że braterstwo w kompanii najemników nie umywa się do tego wśród heroldów. Bliskość emocjonalna nie musiała łączyć się z seksem.

— Nawet jeśli dadzą ci spokój, jakoś wykorzystają twoją obecność — ciągnął. — Uwierzcie, im bardziej będziecie przypominać zwykłych ludzi, tym lepiej. —

Począł chwilę na reakcję, a kiedy jej nie było, powiedział z naciskiem: — Nie noście białych ubrań.

Skif zachichotał, a Elspeth otworzyła szeroko oczy.

— Słuchajcie, zwykli ludzie nie noszą niepokalanie białych ciuchów, konie są już wystarczającym problemem. Zupełnie, jakbyście się wystawiali na strzał i jeszcze wołali: „Tu jesteśmy!” Dam wam jakieś normalne ubrania, a biel zachowajcie na szczególne okazje. „A gdyby się jeszcze dało ufarbować Towarzyszy, byłoby wspaniale, ale podejrzewam, że ich magia wybieliłaby je z powrotem już następnego dnia. Oczywiście, przyjmując założenie, że farba by się trzymała. . .”

Elspeth westchnęła ciężko i skłoniła głowę.

— Niech to, wykorzystanie pozycji byłoby takie użyteczne, ale w porządku. Znasz się na tutejszych stosunkach lepiej niż my.

— To dlatego król nadał ci Bolthaven — stwierdził nagle Skif. — Żaden z tutejszych szlachetków nie będzie twierdził, że trzymasz jego stronę. Mam rację? — wycelował w Quentena widelec.

— W zupełności. Oczywiście, ci, którzy znają się na magii, wiedzą, że szkoła Białych Wiatrów nigdy nie stanęłaby po czyjejś stronie.

— Aha. Kero mi mówiła, że po tej stronie granicy wy najbardziej przypominacie heroldów.

— Och — powiedział Quenten, starając się uniknąć tego tematu. O braterstwie magów Białych Wiatrów wielu rzeczy nie wiedzieli ludzie z innych szkół, a co dopiero obcy. Nie miał ochoty o tym rozmawiać. — Nie jesteśmy ze sobą aż tak zżyci.

Owszem, nie jesteście — szepnęło coś w jego umyśle, a Quenten podskoczył.

— Ale czym właściwie są te szkoły? — naciskał herold. — Chodzi mi o to, że niektóre są normalnymi szkołami, a niektóre chyba filozofiami, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Są jednym i drugim — odpowiedział, zastanawiając się, kto do niego przemówił. Towarzysze? Przecież wyczułby, że przysłuchują się rozmowie. Wyczułby. . . ?

— Każda metoda nauczania jest filozofią — ciągnął. — Różnimy się podejściem do magii i sposobami jej wykorzystania. — Ile może im powiedzieć, a ile powinien zostawić Jendarowi? „Zaczę od podstaw”. — Białe Wiatry niczego nie zabierają bez zgody właściciela i staramy się nie wyrządzać nikomu krzywdy. Talent magiczny jest przyrodzony i dlatego używamy go, by pomagać tym, którzy nie zostali nim obdarzeni. Jednak mag musi z czegoś żyć, oczywiście, jeśli nie nadużywa swego daru lub nie wykorzystuje go, aby kogoś skrzywdzić, dlatego niewielu z nas pracuje z najemnikami. Nie zawsze zaciągasz się po właściwej stronie.

— My się o to nie musimy martwić — stwierdziła Elspeth, a Skif uniósł brew. Quenten miał dziwne wrażenie, że mężczyzna rozważa, ile z kolei oni mogą po-

wiedzieć.

— Słyszeliście o magach krwawej ścieżki, jak przypuszczam? — zapytał i zdziwił się, kiedy zaprzeczyli. — Na ognie piekielne, lepiej wam powiem. Oni czerpią moc z innych. — Odczekał chwilę, a kiedy nadal nie rozumieli, rzucił niecierpliwie: — Zabijają ich, zazwyczaj długo i nie oszczędzając męczarni, jeśli mają na to czas.

— Ludzie, którzy uciekli z Hardornu, mówili, iż tak właśnie postępuje Ancar! Nie wiedziałam, że to ma nazwę!

Skif wyszczerzył zęby.

— Która ze szkół prowadzi edukację w tym kierunku?

— Na pewno kilka, ale kiedy się o nich dowiadujemy, natychmiast je niszczy-
my. Nikt normalny nie chce czegoś takiego na swojej ziemi. Zazwyczaj jednak takiej magii uczy się od kogoś, a nie w szkole. — Quenten zamyślił się. — Mag krwawej ścieżki sam wyszukuje sobie ucznia, utalentowanego, ale bez wyszkole-
nia.

— I jednego maga od drugiego nie można odróżnić na pierwszy rzut oka, tak? — upewnił się Skif.

— Czasami można. Czasami szukają kogoś, kto pragnie władzy, nie ma skrupułów i jest niecierpliwy, ale tacy łatwo się buntują i wtedy jeden z nich ginie. Tak się rozmnażają, jeśli mogą użyć tego określenia. — Nie chciał mówić więcej przy Elspeth. — Muszę was ostrzec przed jednym i tu wrócimy do śpiewki już nie jesteście w Valdemarze”. Jak w każdej regule, tutaj też zdarzają się wyjątki: są absolutnie dobrzy ludzie, których rytuały wymagają krwi, na przykład szamani Shin’a’in: rozlewają trochę własnej krwi, co wyzwala niesamowitą moc. Czasami, kiedy problem jest naprawdę poważny, szaman albo zaprzysiężony poświęca się i staje wysłannikiem do ich Bogini. Ona wtedy im pomaga.

— Żartujesz! — wykrzyknęła Elspeth.

— Nie. To się nie zdarzyło przez trzy czy cztery pokolenia. Ostatnim razem na Równinie panowała taka susza, że wszystkie źródła zniknęły, ludzie i zwierzęta padali jak muchy. Szaman rzucił się ze skały na wybudowany pod nią ołtarz.

— I?

— I spadł deszcz. Mówią, że szaman unosi się nad Równiną w postaci pta-
ka. Niektórzy twierdzą, iż przemienił się podczas upadku i nigdy nie zginął. — Quenten wzruszył ramionami. — Nie jestem ich Boginią, nie mnie decydować, czy lepiej odpowiadać na każdą prośbę, czy poczekać, aż ludzie udowodnią, że naprawdę potrzebują pomocy.

— Nie wiem — przyznał Skif, a Elspeth zagryzła wargi. — Tak więc naprawdę nie powinniśmy się czuć jak w domu. To chciałeś, byśmy zrozumieli, prawda?

— Na świecie jest wiele szarości, tylko trochę czerni i cennej bieli, a nie tylko Shin’a’in są dziwni. Weźmy Sokolich Braci, zwanych Tale’edras: tylko szamani z Równiny coś o nich wiedzą, bo wszyscy intruzi na ich terytorium są mordowani.

— Jakoś mnie to nie przeraża — stwierdził Skif. — Jeśli nam to mówisz, musi się to odnosić do szarości na świecie. Dlaczego mordują wszystkich obcych?

— Złapałeś mnie. Dla mnie ich powód jest wystarczający: otóż, Shin'a'in twierdzą, że Sokoli Bracia strzegą źródeł bardzo destrukcyjnej magii, oczyszczają je i przenoszą się gdzie indziej. Żaden obcy nie pokusi się o użycie mocy, jeśli będzie martwy.

— A czy można to jakoś udowodnić? — zaciekał się herold.

— Cóż, te terytoria znajdują się w Pelagirze, a tam jest więcej dziwów, niż kiedykolwiek śniło się naszym filozofom, szczególnie złych dziwów. Sokoli Bracia znikają w pewnym momencie i po ich zniknięciu nic już ludzi nie niepokoi. Ja wierzę w to, co mówią Shin'a'in, a w co ty uwierzysz, to już twoja sprawa.

Skif zamyślił się, a Elspeth stłumiła ziewnięcie.

— Przepraszam — powiedziała natychmiast. — To nie z powodu opowieści czy towarzystwa, ale mamy za sobą długą drogę. Wyruszyliśmy przed świtem i dzień w siodle daje mi się we znaki. Skif jest do tego przyzwyczajony, ja, niestety, nie.

— Nie mam pretensji — roześmiał się Quenten. — Może po prostu pójdziesz spać? Mam wrażenie, że dzień skończył się jakiś czas temu.

— Dziękuję — odparła, dopiła wino i wstała.

— Dobranoc. Wyruszacie jutro rano? Byłoby mi bardzo miło, gdybyście zostali dłużej.

— Mamy przed sobą szmat drogi — usprawiedliwiła się i uśmiechnęła. — Dobranoc.

Skif poczekał, aż zamknęły się za nią drzwi, i odwrócił się do Quentena.

— Chcesz mi powiedzieć coś, czego ona nie powinna słyszeć. Coś o magach krwawej ścieżki, tak?

— Tak. — Trochę go zdziwiła ta bezpośredniość, ale przeszedł od razu do rzeczy. — To dotyczy tych, którzy szukają uczniów: nie szkolonych, naiwnych i z potężnymi możliwościami. Jak twoja przyjaciółka.

Oczy Skifa zwięzły się.

— Mów dalej.

— Szukają swego dokładnego przeciwieństwa i działają dwoma sposobami. Albo przekupują niewinnego...

— Niemożliwe — rzucił herold. — Nie da się przekupić tych, którzy noszą Biel.

„I jeżdżą na Duchach Opiekuńczych. Tak, do nich stwierdzenie, że każdy ma swoją cenę, nie ma zastosowania. A nawet jeśli ma, żaden mag z krwawej ścieżki nie jest w stanie jej zapłacić”.

— ... albo go niszczą: zwabiają w pułapkę i łamią. Każdego da się złamać, nie mów mi, że was nie. Ci z krwawej ścieżki mają potrzebną wiedzę, cierpliwość i środki.

Ich fortece są doskonale chronione, a nawet gdyby komuś udało się dostać do środka, będzie za późno. Jeśli, oczywiście, udałoby ci się taką fortecę w ogóle odnaleźć.

Skif pobrał.

— Nie powiem, przyjemne królestwo!

— No, nie ma tu wielu takich ludzi, lecz to nie oznacza, że w ogóle nie istnieją. I dlatego chcę cię ostrzec. Ty nie widzisz, jaki tkwi w niej potencjał, ale ja i każdy inny mag — tak. A na krwawej ścieżce zdarzają się adepci i jeden z nich może cię spokojnie przekonać, iż jest twoim najlepszym przyjacielem z dzieciństwa, jeśli nie będziesz wystarczająco ostrożny. Tak naprawdę wystrzegałbym się wszystkich, którzy nie będą wrogo nastawieni. Mag nie musi szukać uczniów, sami do niego przychodzą, moc wzywa moc. A jeśli szuka... rozumiesz, o co mi chodzi. Jedynymi, którym możesz zaufać, są Shin'a'in i ich protegowani. Wszyscy inni są podejrzani.

Skif uśmiechnął się złowrogo.

— Powiadasz, że ona jest atrakcyjna?

Quenten przytaknął.

— Przykro mi, że nie będziesz mógł zasnąć spokojnie, ale tak. Nawet bardziej, niż atrakcyjna. Ujmując rzecz obrazowo: wchodzisz z zapaloną zapalką do prochowni. A proch wygląda jak piasek.

Herold oblizał wargi i spojrzał magowi prosto w oczy. Quenten pomyślał, że miał rację: ten człowiek mógł być bardzo niebezpieczny, jeśli zechciał. A właśnie zechciał. Miał tylko nadzieję, że będzie on niebezpieczny wystarczająco.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MROCZNY WIATR

Bez żadnego ostrzeżenia Vree runął z góry i Mroczny Wiatr zauważył go do-
słownie w ostatniej sekundzie.

— Treyvan! Uważaj! — wrzasnął, przerywając Hydonie. Treyyan pochylił się
i położył płasko swój grzebień, a wyciągnięte pazury Vree minęły jego głowę
o włos Więż-ptak wzbił się w powietrze jednym machnięciem skrzydeł i zniknął
wysoko w górze.

Tego jedynego złego nawyku Mroczny Wiatr nie mógł z niego wykorzeńić:
myszołów uwielbiał grzebień Treyvana i przy każdej nadarzającej się okazji usi-
łował go upolować.

— Przepraszam — wymamrotał. — Naprawdę nie wiem, co go znowu na-
szło...

Hydona uśmiechnęła się nieszczercze, a Treyvan popatrzył na małą kropkę na
niebie i zawarczał.

— Mrrroczny Wietrze, wieszysz, że cię kocham, ale kóóórrregoóóó dnia rrrro-
zniossę twojego ptaka. — Hydona zagwizdała dziwnie i gryf rzucił jej nieodgad-
nione spojrzenie.

— Przepraszam — powtórzył Mroczny Wiatr. — Co takiego mówiłaś?

— Ze nie widzę powodu, dla kóóórrrego Zmiennolica miałaby rratować dyheli
— powiedziała. — Chyba że naprrrawdę chciała być alrrruissstką. Nie możesz-
zsasz orzec, jak potężnym jessst magiem, jak mniemam?

— Nie na podstawie jednego zaklęcia — potrząsnął głową. — Gdybym to ja
był adeptem próbującym wślizgnąć się do klanu, udawałbym najbardziej bezbron-
ne stworzenie pod słońcem.

— Ona jessst Inna — stwierdził niespodziewanie Treyyan. Oboje spojrzeli na
niego ze zdziwieniem. — Te pazurrry. Nie można ich wykszszsztalcić na człowie-
ku, trzeba się z nimi urrodzić. Co znaczy, że jessst Inna, przynajmniej w częśśści.

— To prrrrwarda — Hydona skinęła głową. — Zapomniałam o tym.

Mroczny Wiatr zaklął. Tym bardziej nie uda mu się przekonać do niej ojca,

który Zmiennolicych z trudnością tolerował, a Innych, magów krwawej ścieżki z tamtej strony, po prostu nienawidził.

— Ale jeśli jest Inna, co robiła tak blisko k'Sheyna?

— Może mieć wiele powodów, to oczywiste. — Treyvan nastroszył pióra gestem odpowiadającym ludzkiemu wzruszeniu ramion.

Jasne. Wymyślił już kilka. Na przykład, że została wysłana na przespiegi, albo że naprawdę uciekła od okrutnego pana, czy też sama była adeptką i wszystkie siniaki i blizny umieściła na swoim ciele specjalnie.

— Możemy ją przesssłuchać, jeśśli chceszsz — zaproponowała Hydona. — Wykrrrrywamy kłamsstwo równie dobrze, jak vroni. To insstynktowne.

„Doprawdy?” To była dla niego nowość; gryfy zawsze miały w zanadrzu jakieś niespodzianki.

— Przydałoby się — odpowiedział szczerze. — Zakłęcie Prawdy to ciągle zakłęcie, a nie chcę go używać tak blisko granicy. Mogłoby przyciągnąć niepożądanych gości do osiedla hertasi albo do Doliny.

— My to rrobimy insstynktownie — zapewnił Treyvan. — Żadnych czarrów, ale może powinienesś przy tym być? Pewnie ją przesssstraszymy.

— Biorąc pod uwagę fakt, że naprawdę moglibyście odgryźć jej głowę, wcale by mnie to nie zdziwiło — uśmiechnął się. — Poza tym to wcale niegłupie, jeśli będzie przestraszona, łatwiej ją złapać na kłamstwie, prawda?

— Tak. Ssstrrach nie wpływa na prrrawdę.

— Nie powinna próbować uciekać, gdy zobaczy mnie z wami: dwa wielkie, złe potwory i ja jako jej jedyny obrońca. — Jednak myślał o czym innym: dowiedzieć się czegoś to jedno, ale co z nią później zrobić?

— Co mam z nią zrobić, jeśli będzie w porządku? — zapytał. — Przecież nie zabiorę jej do Doliny!

— Marrrtwić się będzieszsz w odpowiednim czasie — powiedział Treyvan. — Jeśśli okaże się wrrogiem, wtedy trzeba się jej pozbyć. Zossstaw to nam, zlikwidujemy ją.

— Nie — zaprzeczył szybko. — Nie, to moja sprawa. — Myśl o zabijaniu z zimną krwią trochę go zemdlila, ale w końcu takie miał zadanie. „Nie chcę, żeby one to robiły, są tak... niewinne. Nawet jeżeli to dla nich coś zwykłego”.

— Dobrze. Mamy polecieć do hertasi?

— Tak. — Wyszczrzył zęby. — Będę musiał znów iść przez bagno. Do czego mnie zmuszają obowiązki!

Treyvan zaśmiał się i rozwinął skrzydła.

— Trzymaj ssswojego ptaka z dala od mojego grzebienia. Zaczynam mieć na niego apetyt!

Mroczny Wiatr był święcie przekonany, że gryf myślał całkiem poważnie o biednym Vree jako posiłku; tak jak myszołów od czasu do czasu polował na

innych uskrzydłonych drapieżców, tak gryfy jadały myszołowy. Tyle tylko, że Vree należał do Mrocznego Wiatru i to na razie go ratowało.

Pierzasty — przemówił do kropki na niebie — *ty chyba sam nie wiesz, jak blisko znalazłeś się krawędzi.*

Krawędź? — Vree nie zrozumiał. — *Jaka krawędź? Gdzie krawędź?*

„Ja już sam nie wiem, rżnie głupa czy naprawdę nie rozumie”. Westchnął i zanurzył stopę w wodzie. — *Nieważne. Przestań denerwować gryfy. Zostaw grzebień Treyvana w spokoju, słyszysz?*

Tak. — Jednak Mroczny Wiatr nie miał złudzeń. „Nic dziwnego, że ojciec mnie nie słucha. Nawet ptak mnie nie szanuje!”

Spotkał się z Nerą na skraju bagna; hertasi wyskoczył jak spod ziemi i przstraszył go do tego stopnia, że stopa osunęła mu się ze ścieżki prosto w zdradliwą i cuchnącą wodę. Złapał w końcu równowagę i rzucił Nerze wściekłe spojrzenie, które jednak zostało zignorowane.

Uskrzydleni już tu są — usłyszał. — *Stworzenie, które przyniosłeś, obudziło się.* — I hertasi zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Mroczny Wiatr zamknął oczy i postanowił myśleć pozytywnie. „Pozwolił mi ją tutaj zostawić, denerwuje się, bo ona stanowi zagrożenie. Gryfy go przerażyły, ma na głowie inne sprawy, zapomniał, że na mokradłach poruszam się wolniej”. Zazgrzytał zębami. „Jasne. A ja jestem Boginią”.

Oczywiście, to nie miało żadnego znaczenia, bo Nery nic nie zmieni; uwielbiał bawić się w „stare, ekscentryczne stworzenie” i twierdził, iż Mroczny Wiatr po prostu nie chce poruszać się tak szybko, jak hertasi. Poza tym uwielbiał patrzeć na umazanego błotem zwiadowcę.

„Vree, Nera, Jutrzenka, gryfy... Po co ja się włączę po granicy? Tacy przyjaciele po prostu przyprowadzą kłopoty do mnie, wystarczy się i czekać”.

Trochę przyspieszył, bo gdyby hertasi nie denerwowali się obecnością Zmienolicej, Nera nie szukałby go. Zawsze istniała możliwość, że dziewczyna była adeptem; co prawda jej wiek wydawał się temu zaprzeczać, ale czy on nie był najmłodszym adeptem w klanie? A poza tym nie musiała wcale wyglądać na swoje lata; najczęstszą zmianę wśród magów krwawej ścieżki stanowiło odmłodzenie. Niektórzy wyglądali jak dzieci i byli zdecydowanie najgorsi. Sokoli Bracia zawsze bardzo emocjonalnie reagowali na dzieci i adept mógł grać na ich uczuciach, jak tylko zapragnął. W ten sposób zostali zdziesiątkowani k’Vala setki lat temu, kiedy ich terytorium leżało na wschodnim brzegu Wielkiego Morza Kraterowego, które przybysze zwali „jezioro Evendim”. Takiej lekcji nikt nie zapominał.

Złapał się na tym, że już myśli o niej jak o adeptce i zastanawia się, jak ją unieszkodliwić. „Przecież wtedy wyciągnęłaby po prostu energię z najbliższego węzła, żeby się uleczyć, a Treyyan natychmiast by to wyczuł, bo magia w tym

węzle bardzo na niego oddziałuje. Jeśli jest mistrzynią, ciągnie z linii zasilających, a to trudniej wykryć”. Gdyby zabezpieczyli linie, mogłaby to wyczuć; potrzebował więc kogoś wrażliwego na wszystkie wahania przepływu energii w okolicy. „Momencik, czy przypadkiem gryfiątka nie są wrażliwe na takie rzeczy w swoim miejscu urodzenia? Muszę je tylko przekonać, żeby na to uważały”. Spróbował sobie wyobrazić coś, co przykuwało na dłużej jego uwagę, kiedy był dzieckiem, i po chwili się poddał. Dzieci to dzieci. „Porozmawiam z dorosłymi”.

Wszedł wreszcie na suchy ląd, wyskrobał błoto spomiędzy palców i włożył buty. Nic niepokojącego nie działo się wokół, więc pośpiech spowodowany był tylko niecierpliwością Nery. „Stary krętacz. Najbardziej lubi mieć nad wszystkim kontrolę”. Wiedział, że jest obserwowany, i nie śpieszył się zbyt. Przy wejściu do tunelu Nery zobaczył dwie pary wielkich skrzydeł: gryfy zawsze były znacznie bardziej cierpliwe niż hertasi.

Szedł ścieżką wśród pól uprawnych i rozmawiał z każdym napotkanym rolnikiem, a niecierpliwość Nery zdawała się promieniować na całe osiedle. Uśmiechnął się do siebie i dalej rozmawiał z hertasi o ich krewnych w Dolinie; stanowił w końcu jedyne ogniwo łączące rodziny, bo żaden inny Tayledras się tu nie zapuszczał. Nie mógł przecież zignorować pytań! Zanim zaczął się wspinać, dotarła do niego myśl Treyvana. Wyglądało na to, że jeniec się nie tylko obudził, ale i chodził.

Bezpióry synu, twój łup tam czeka; może się wolno poruszać, a na zewnątrz jest dla nas więcej miejsca. Nie pytała, kim jesteście, i nie wygląda na specjalnie przestraszoną.

To go nieco rozczarowało. — *Musiła już wcześniej widzieć gryfy albo o nich słyszeć. Nie będziecie potworami. Idę do niej.*

Jeniec leżał na macie z trawy pomiędzy gryfami, których skrzydła łopotały lekko w chłodnym wietrze. Spojrzał na nią: przytomna była jeszcze bardziej pociągająca, w jej oczach lśniła zmysłowość. Był tego aż za świadomy: jej odmienność czyniła ją bardziej uwodzicielską, niż gdyby była normalną kobietą. Skinęła lekko głową i zmieniła pozycję, żeby jednocześnie patrzeć na niego i gryfy; ruszała się sztywno, jakby bolały ją wszystkie mięśnie.

— Obudziła się — odkrywco stwierdził Treyvan. — *Rozmawialiśmy sobie. Nyara, to jest Mrrocny Wiatrrr.*

Rzuciła mu dziwne spojrzenie.

— Pamiętam cię. To ty mnie uratowałeś — powiedziała w końcu. Jej głos przypominał mruczenie. — *Z mgły. Wyciągnąłeś mnie, kiedy upadłam.*

— Tak, lecz wprawdzie ocalałaś dyheli. Jakoś nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś. — *Podniósł brew. — Pewnie miałaś powód, jak przypuszczam.*

— *Uciekałam przed własnymi kłopotami, kiedy je zobaczyłam — wzruszyła wdzięcznie ramionami. — Jestem, czym jestem — Zmiennolicą, a wy nas nie lubicie. Kiedy zobaczyłam uwięzione dyheli, pomyślałam, że uwolnienie ich po-*

zwoli mi się wkupić w wasze łaski, bo wiem, iż bardzo cenicie te stworzenia. A poza tym ten, kto je uwięził, jest moim wrogiem — dodała po chwili.

— Kto to taki? — spytał Mroczny Wiatr beznamiętnie. Wiedział, że jeśli gryfom nie udało się zagrać złych potworów, będą przyjacielskie, a jemu przypadnie w udziale rola inkwizytora. Nie był tylko pewien, czy obecność tego spełnionego snu nastolatka ułatwi to zadanie, lecz zdawała się wierzyć w jego wrogość, pomimo całego czaru, jaki wokół siebie roztaczała.

— Mój pan — powiedziała. — Mornelithe Zmora Sokołów.

— Ohydne imię — stwierdziła Hydona.

— Ohydny człowiek — dorzuciła Nyara, potrząsając głową. — Właściwie już nie człowiek, chociaż nadal mężczyzna. W swoim ciele wprowadził więcej zmian niż w moim.

— Adept — skonstatował Treyvan. — I nie obchodzi cię jego loss, jak myślisz? Wniosssskuję z twoich obrrażeń, że delikatny też nie jessst.

— O, nie — usta Nyary ściągnęły się w wąską linię. — Byłam tym, na czym wypróbowały zmiany, a jeśli mu się spodobały, wprowadzał je u siebie. Nie kłopotał się poprawianiem błędów. Robił też inne rzeczy; bił mnie i... — jej oczy wypełniły się łzami. — Skrzywdził mnie o jeden raz za dużo. To wszystko.

— I uciekaś od niego, tak? — Mroczny Wiatr brutalnie przerwał tę grę na uczuciach słuchaczy. — Jak ci się udało zwać od kogoś tak potężnego? Nie uwierzę, że po prostu pozwolił ci odejść. A co zrobiłaś, kiedy zobaczyłaś dyheli? Wytarła policzki wierzchem dłoni, ale nie podniosła głowy.

— Od czasu do czasu podpatrywałam jego sztuczki magiczne, mam trochę zdolności. Kiedy nie zwracał na mnie uwagi, patrzyłam i uczyłam się. Poznałam magię na tyle, żeby otworzyć zamki i przełamać barierę, i uciekałam. Ruszyłam na północ, bo tam był Ptasi Ród, którego on nienawidzi. Czy będziesz mną pogardzał za to, że postanowiłam was wykorzystać? — Spojrzała na niego spod oka. — Was jest wielu, ja jedna, a kiedy nie mógł was dosięgnąć, bił mnie. Pomyślałam, że będzie ścigał was, nie mnie, może nawet pomyśli, iż jestem z wami i będzie się mścił. A potem zobaczyłam uwięzionych rogatych, poczułam na nich jego magię. Pomyślałam, kupię sobie schronienie, bezpieczne przejście ich wolnością. — Podniosła głowę. — Jesteś mi winien bezpieczne przejście, Ptasi Człowieku. Pokonaliście Mornelithe'a wiele razy, jesteście potężni, a ja mogę mu umknąć tylko podstępem.

Treyvan delikatnie kiwał głową, tak więc wszystko, co powiedziała, było prawdą. Można jej dać, czego oczekiwała.

— Jesteśmy ci to winni, a także miejsce, w którym odpoczniesz przed dalszą drogą — przyznał, rozluźniając się nieco. Zwrócił się do Nery, który przysłuchiwał się rozmowie, jednocześnie bacznie obserwując, czy ona usłyszy myśli: *Nera, ta Zmiennolica wydaje się być przyjazna i potrzebuje twojej pomocy, schronienia na tydzień albo dwa. Czy masz tu jakieś nieużywane tunele?*

Hertasi chyba zapomniał, po co tu przyszedł, ale pytanie Mrocznego Wiatru przywołało go do porządku.

A, tak. Stary tunel nad wodą, który należał do Rellana i Lorny, zalany tej wiosny. Postuchali mnie i w końcu się przeprowadzili. Jeśli nie będzie deszczu, może w nim zamieszkać.

To mogło zadziałać: z jednej strony bagno, z drugiej wzgórze, za wysokie, żeby się mogła na nie wspiąć. *Świetnie.*

Nyara nie sprawiała wrażenia kogoś, kto usłyszał tę rozmowę.

Przygotujemy go. Fakt, że był tu najważniejszą osobą, bardzo radował Nerę. — Mój uzdrowiciel powiedział, że ona ma pozrywane mięśnie i odbite kości, może chodzić, ale wolno. Za parę chwil przyślij ją do mnie.

— Udzielimy ci schronienia na tak długo, jak to będzie konieczne — powiedział Mroczny Wiatr. — A kiedy będziesz mogła ruszyć w dalszą drogę, zapewnię ci bezpieczeństwo. Na azyl tutaj nie licz. Starsi tego klanu zbyt nienawidzą Zmiennolicych.

— Ale ty nie — w jej głosie zabrzmiała pieśczoła.

— Ja nie żywię nienawiści do nikogo — odparł, zaczerwienił się i odwrócił oczy, co bardzo rozbawiło Treyvana. — Nie mam jednak wpływu na to, co powiedzą Starsi. Nera i inni urządzają ci teraz mieszkanie, któryś z nich przyjdzie i pokaże ci do niego drogę.

— Jestem bardzo wdzięczna — pochyliła głowę w zalotnym ukłonie i spojrzała na niego spod rzęs. — Naprawdę bardzo, Mroczny Wietrze.

Krew się w nim zagotowała i zaczął się zastanawiać, czy ona wie, co mówią jej oczy? Musiała wiedzieć: seks stanowił jej broń na równi z pazurami.

— Nie marnuj czasu na wdzięczność, tylko się wykuruj. Im szybciej stąd znikniesz, tym wszyscy będziemy bezpieczniejsi — rzucił cierpko, a gryfy dyskretnie ukryły rozbawienie.

Zanim zaczęli rozmawiać, przenieśli się dalej; popołudnie było słoneczne, a bliskość zmroku sprawiała, że powietrze już się ochładzało. Światło złociło trawy, a delikatny wietrzyk owiewał ich i chłodził. Gryfy rozwinęły skrzydła, wygrzewając grzbiety w słońcu, z przymkniętymi oczami i otwartymi dziobami; Treyvan nastroszył swój grzebień. Wyglądały w tej pozycji tak zabawnie, że Mroczny Wiatr skręcał się ze śmiechu za każdym razem, kiedy na nie spojrzeł.

Vree, przekonany, że tym razem wszelkie sztuczki ujdą mu płazem, przyłączył się do nich; właśnie wziął kąpiel i wyglądał jeszcze śmieszniej, a poza tym ciągle zerkał na grzebień Treyvana z nie skrywaną tęsknotą.

— Czy maluchom nic się nie stanie pod waszą nieobecność? — spytał Mroczny Wiatr.

— Rruiny sssą bezpieczne, na rrazie. — Hydona była bardzo rozleniwiona.

— Złapaliśmy wyrrrssę.

— A ten wąż, który przylazł na wiosnę? Ten, którego ślady znalazłem? Jest wystarczająco duży, żeby zjeść was, o maleństwach nie wspominając.

— Wylegiwał się zawsze na tym sssamym kamieniu — w głosie Treyvana brzmiała satysfakcja. — Dobrrry był z niego obiad.

— Nic im nie będzie. Ich myśśłmowa jest na tyle silna, żebyśśmy ussśyszeli ich wołanie.

Wiedział, że gryfy latają szybciej niż Vree, a to już coś, bo Vree był szybszy od jakiegokolwiek dzikiego ptaka.

— I co, kłamała? — zapytał, odsuwając włosy z karku. — Mam na myśli Nyarę.

— Nie — odparła Hydona. — Przeważnie nie.

— Przeważnie? Co w takim razie było kłamstwem? — poderwał się z ziemi.

— To, co rzekła o ssswym panu — powiedział wolno Treyvan.

— Mornelithe Zmora Sokołów. Rzeczywiście nienawidzi Tayledras, z takim przydomkiem!

Większość adeptów miała przydomki; Tayledras używali ich również, by lepiej oddać osobowość tego, który go nosił, magowie ze strachu. Imię miało potężną moc; znając prawdziwe imię, nadane po narodzinach, można było dowiedzieć się wszystkiego o danej osobie, każdego szczegółu jej życia, poznać słabe i silne punkty, odkryć, czego boi się najbardziej. A wielu adeptów krwawej ścieżki nigdy nie pozbyło się swych starych lęków, dlatego czasami zwyciężali ich zwykli czeladnicy. Przydomek mówił też światu, kim mag jest teraz. „Zmora Sokołów” nie wzbudzał żadnym z Tayledras ciepłych uczuć.

— Nie podoba mi się to imię. Nie potrrafię go zaakceptować — stwierdziła Hydona.

— Ja też nie. Wszystko, co uskrzydłone i opierzone, powinno trzymać się od niego z daleka. „Mornelithe” pochodzi ze starego tayledras, ściślej, z kaled’a’in, języka naszego i Shin’a’in, kiedy jeszcze byliśmy jednym ludem. . .

— Tak — przerwał mu gryf. — Znamy kaled’a’in. Biegle.

— Tak? — „O tym porozmawiamy później. Szczegółowo. Gdzie, na bogów, nauczyły się kaled’a’in? Myślałem, że to martwy język!” — Tak? Co to więc znaczy?

— Nienawiśśść-Którrrra-Powrrraca — wyjaśnił Treyvan. — Imię mówi o powrrrocie poprzez wieki, wiele rrrazy, nie w kolejnym wcieleniu, ale w tej sssamej osssobie, o szszszukaniu zemsssty. Złe sssłowo. Złe jak Zmorrra Sssokołów.

Przez chwilę milczeli, rozważając złe znaki, jakie niosły ze sobą oba imiona.

— Typowe dla krwawej ścieżki, zastraszyć, sprawić, żeby ludzie bali się imienia i jakiegoś przebrania — stwierdził w końcu pogardliwie Mroczny Wiatr. — Ciekawe, skąd oni biorą takich, co nasadzają naleb perukę, zakładają poszarpane

ciuchy i wyglądają tak, jakby wymyślił ich nadgorliwy uczeń z podrzędnej trupy teatralnej. Nawet w tym chodzić porządnie nie mogą!

— A te wszszszysstkie pierzassste massski Krrruczego Ssskrzydła na śśścianach u pewnego naszszszego znajomego?

— A to co innego — odparł. — To jest sztuka. Wracając do rzeczy: o czym Nyara kłamała? To nie jej pan?

— Och, pan, tak, ale ktośśś więcej. Ktośśś bliższszszy. — Treyvan potrząsnął głową i popatrzył na Hydonę.

— Ale nie tak blisski, jak kochanek. Żadnej miłośśści. Cośśś innego.

Spróbował rozwikłać tę zagadkę i szybko się poddał.

— Pomyślę o tym później. Ale uciekła od niego, prawda?

— Tak, tak! Uciekła i była śśścigana. Mówi prrrawdę we wszszszysstkim innym.

— Szkoda, że nie mogłem zadać jej więcej pytań — Mroczny Wiatr przygryzł w zamyśleniu dolną wargę. — Nic innego nie chciało mi wpaść do głowy!

— Dla mnie to prrrossste — stwierdził Treyvan, wyciągając się w słońcu. — Jessst tym, kim jessst.

— Zmiennolicą, traktowaną przez pana jak laboratorium doświadczalne i zabawka.

— Tak. A poza tym jako źrrródło mocy. Nie zauważyłeśśś tego?

Palnął się w czoło.

— Oczywiście! Co za głupiec! Zastanawiałem się, dlaczego Zmora Sokołów pozwolił jej zachować dar magii, kiedy normalnie adepci go niszczą. Nie mogła mu zagrozić, ale przechować moc...

— Jessst dossskonałym naczyniem.

— Właśśśnie. Mógł w niej magazynować moc ze ssswych ofiarr i wydobywać ją przez zadawanie jej bólu — dorzuciła Hydona.

— A co najlepsze — podsumował Mroczny Wiatr — nie musiał naruszać swojej energii, kiedy czerpał z niej, dlatego jego zaklęcia nie zakłócają tutejszej równowagi. Dlatego tego nie wyczuwałem!

— Wyczuwałeśśś? — Treyvan otworzył oko. — Przecież rzuciłeśśś magię?

— Rzuciłem, ciągle jednak wyczuwam przepływ energii i jej zakłócenia. Przy najmniej poza Doliną.

— Kamień-ssserrce ssstanowi prrroblem — powiedział gryf. — Zniekszszształca wszszszszysstko w dolinie jak grrruba tafla szszszkła. Przyciąga różne rzeczy, jak ten wąż. Dziwne, że nikt tego nie zauważył.

Mroczny Wiatr zagryzł wargi i pokręcił głową. — Gdybym powiedział to, co chcę... ale to ich sprawa, sprawa Starszych, a wy...

— Jesssteśśśmy Obcy, a gdyby twój ojciec dowiedział się, że dyssskutujesz o sprawach Doliny z Obcymi, co wtedy? Wygnałby cię? Może warto,

Mroczny Wietrze? Tu nie chodzi tylko o k'Sheyna. Kamień-ssserrce zatrzuwa przetrzeń poza Doliną.

— Nie. Mam obowiązki wobec klanu. Poczekam, aż się całkowicie pograżą, a potem poszukam k'Vala albo k'Treva i poproszę ich o pomoc.

— Oby jak najszybciej — westchnęła Hydona. Spojrzał na słońce i wstał.

— Oboje znacie osobiste powody, dla których rzuciłem magię i nigdy nie przyznałbym się do tego przed nikim innym, ale... ale może byłem krótkowzroczny.

— Cóżż, mówiłem ci to sssamo.

— Wiem, wiem. Jeśli to jednak kamień przyciąga paskudztwa, tej przysięgi nie należy łamać; pamiętasz, co się stało z magiem, który próbował rzucać zaklęcia poza Doliną?

— Maszszz rację — przyznał Treyvan. — Ciągłe jesssteśś potencjalnym adeptem, prrrawda? Czy to nie przyciąga rrrównie mocno, jak rzucanie zaklęć? Jak na zwiadowcę, dziwna właśściwośść.

Mroczny Wiatr zaczerwienił się.

— Treyvanie, nie jestem aż takim głupcem! Kiedy przysięgałem, że nie będę używał magii, nie odżegnywałem się od korzystania z osłon!

— Dossskonale, nieopierzony sssynu, jesssteśś tak sssprrrytny, jak myśś-ślałem! — roześmiał się gryf. Mroczny Wiatr zawtórował mu.

— Dobrze, Nera ma oko na wszystko, wy musicie wracać do dzieci, a ja powinienem skończyć patrol, przekazać Jutrzence dobrą wiadomość i wymyślić, jak najlepiej przedstawić sprawę Nyary na Radzie.

— Ona się sstąd nie rruszszszy przez kilka dni, maszszz czassss na myśśś-ślenie.

— Mam nadzieję. To nie będzie proste. Gwiezdne Ostrze nie będzie zachwycony...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ELSPETH

Skif usiłował dojrzeć cokolwiek w porannej mgle i żałował, że nie ma oczu jak kot. Elspeth stała na grzbiecie Gweny i próbowała odczytać zatarty drogowskaz.

Wzięli sobie do serca rady Quentena i przed opuszczeniem Bolthaven przebrali się w coś, co nosiłaby para najemników. Ponieważ żadne ziemskie siły nie mogły przefarbować Towarzyszy, Quenten zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli napotkanym ludziom powiedzą, iż chronili córkę bogatego kupca i dostali konie jako zapłatę; najemnicy mogli też otwarcie nosić broń i zbroje. Poza tym wysłał swego służącego na jarmark w Bolthaven, aby zakupił odpowiednie ubrania.

Skif na widok jedwabiu i skór zaczął protestować.

— Macie wyglądać na zamożnych — uciął Quenten. — Po pierwsze, tylko zamożny najemnik będzie mógł sobie pozwolić na takie konie, jak wasze, a po drugie; jeśli mu dobrze płacą, znaczy, że jest naprawdę świetnym wojownikiem. Żaden zbój was nie napadnie.

— Ale dlaczego całą naszą gotówkę zmieniłeś na biżuterię? — dopytywał się Skif.

— Bo wolny strzelec cały swój majątek nosi na sobie. Kiedy chcecie coś kupić, nie wyciągacie tych zagranicznych monet, tylko urywacie parę ogniwi łańcuszka, płytkę z paska, zdejmujecie pierścień czy bransoletę; tak robią najemnicy i nikogo to nie zdziwi. Bardzo niewielu ma pieniądze w kantorze, bo to niewygodne, a tylko połowa rozlicza się z gildią, z tych samych powodów. Tam, dokąd podążacie, każdy kupiec i lepsze gospody mają wagi do złota i srebra i was nie oszukają.

Skif przemyślał sprawę, a potem posłał służącego z powrotem na jarmark, żeby resztę gotówki również zamienił na klejnoty; musiał przyznać, że znacznie trudniej było wykryć taki pierścień niż monetę z Valdemaru. Co prawda, obudziły się w nim stare złodziejskie instynkty i czuł się trochę jak na patelni, ale wiedział też, że nigdy w życiu żaden złodziej nie zadarłby z dwojgiem najemników, którzy nie zdejmowali dłoni z rękojeści miecza i nie pili wina. Quenten miał rację:

w tym wcieleniu nie napytają sobie biedy. Jednak pierwszej nocy w drodze narzekał, że czuje się jak tania dziwka portowa, bo naszyjniki dzwonią bardziej niż cała kolczuga. Elspeth zachichotała i stwierdziła, iż ona z kolei ma wrażenie, jakby zmieniła się w narzeczoną z północy, która cały posag wiesza na sobie. Trochę go zdenerwowała jej natychmiastowa zgoda na propozycję Quentena, by przebrać się w ten sposób. Sam proponował strój zwykłych rolników, lecz Elspeth odrzuciła jego sugestię. To nie było miłe. Może jednak chodziło o to, że najemnicy zdecydowanie bardziej działali na wyobraźnię; Skif zauważył, iż Elspeth zaczynała ta przebieranka bardzo przypadać do gustu. Naśladowała krok wysłużonych wojaków, wiązała warkocze jedwabnymi wstążkami, a przy pochwie Potrzeby, siodle i hełmie przyczepiła rzucające się w oczy chustki. Wyglądała jak barbarzyńca i wyraźnie sprawiło jej to przyjemność. W tawernie przysiadła się do najemników i zaczęła z nimi plotkować, a któreś nocy z pewną wojowniczką, Seliną Gardłem Żelaznym, wyruszyła powłóczyć się po karczmach.

„Bogowie wiedzą, co robiły, wolę o tym nawet nie myśleć. Na szczęście wróciła trzeźwa, chociaż śmiała się jak głupia. Jeśli nawet tylko połowa historii o tej Selinie jest prawdą, Selenay mnie powiesi”. A poza tym wszelkie zaloty przyjmowała z zadziwiającym poczuciem humoru. Był przekonany, że zareaguje gniewem, kiedy to się zdarzyło po raz pierwszy: plotkowała z kilkoma ludźmi, a potem jeden z nich usiłował ją namówić na wspólne wyjście i prawdopodobnie jego łóżko. Skif najeżył się, gotów do walki, ale Elspeth tylko się roześmiała i powiedziała, doskonale naśladowując akcent z gór Rethwellanu:

— To bardzo miłe, naprawdę miłe, ale chyba nie chcesz, żeby mój partner pomyślał, że go zostawiłam? — wskazała Skifa, a ten po prostu popatrzył na najemnika, mając w oczach wypisane „precz od tej kobiety” i wrócił do swego piwa.

— On jest okropny, jak zostaje sam, potwornie wstrętny — ciągnęła przyjacielsko. — Jego ostatni partner kiedyś go zostawił, no i jakiś skurczysyn przywalił mu butelką. Wyżył się potem na kumplu, dajcie mu zdrowie, bogowie. Nie znosi, kiedy nikt nie zabezpiecza jego tyłów, naprawdę nienawidzi.

Mężczyzna rzucił okiem na Skifa, przełknął ślinę i stwierdził, że on też nie lubi nie mieć zabezpieczenia.

— Stary, postawimy ci napitkę! — rozpromieniła się i rąbnęła go w kark. — Jak się ma forszę, trzeba się nią dzielić, żadnych uraz, nie? Gdzie się zaciągnąłeś?

O tak, doskonale weszła w rolę; cicha i spokojna następczyni tronu Valdemaru, która w życiu nie widziała tawerny od wewnątrz, odpłynęła w niepamięć. Zastanawiał się tylko, czy nie robiła tego aż za doskonale?

Opadła na siodło w ulubiony sposób Kero, po prostu pozwalając stopom się rozjechać, i Skif jęknął. Mężczyźni zawsze jęczeli.

— Jeśli pojedziemy prosto, znajdziemy się na właściwym szlaku — powiedziała. — Ta tutaj to Droga Ciemnych Skrzydeł i parę lig stąd odbija w stronę Lasu Pelagirskiego, a kończy się na Równinie Dhorisha. Żadnych miast, zajazdów,

czegokolwiek. A ta to Droga Pelagirska, krzyżuje się z Drogą Wysokiej Przełęczy, zaś tą dojedziemy do Lythecare.

Na mapie Droga Ciemnych Skrzydeł wyglądała na niezbyt ważną, ale w rzeczywistości była równie dobrze utrzymana i równie szeroka jak ta, którą teraz jechali. Teraz widział wyraźnie, że nie o nią im chodziło, ale mgła. . .

— Ta mgła mnie dobija — pożałił się.

— Bo jesteś miastowy — odparła radośnie. — Nie ma ulic i już się gubisz. — Pozwoliła, aby Gwena go wyprzedziła; jego Towarzysz podążał za nią, a mgła tłumiła stukot kopyt i dźwięczenie uprzęży.

Było mu zimno w nos, w ustach miał dziwny, metaliczny posmak, nienawidził wstawać tak wcześnie nawet wtedy, kiedy świeciło słońce, więc jego odpowiedź zabrzmiała ostrzej, niż chciał:

— Jesteś równie miastowa, jak ja, kiedyż to zostałeś ekspertem od podróży? Odwróciła się i spojrzała na niego:

— Co się z tobą dzieje?

— Nic — a potem dodał szczerzej: — nie znoszę poranków, a poza tym martwi mnie, że jesteś inna. Jakbyś zmieniała się w Kero. — „Albo Seline Gardło Żelazne”.

— I co z tego? — parsknęła. — W razie kłopotów wolisz mieć przy sobie Kero czy zastraszoną księżniczkę Elspeth, która pozwoli ci działać? Co jest złego w zmienianiu się w Kero? Oczywiście, jeśli tak się rzeczywiście dzieje, bo mam wrażenie, że się grubo mylisz.

Oślupiał, bowiem nigdy nie słyszał, żeby mówiła o sobie „zastraszoną księżniczką”, a poza tym ani razu do tej pory się nie pokłócili.

— Aha. — Nie była to najinteligentniejsza odpowiedź.

— Czy też problemem jest to, że nie pozwalam, byś się mną opiekował? — słyszał, że jest wściekła. — Narzekasz, odkąd wyruszyliśmy z Bolthaven, i mam tego, cholera, dosyć! Tak długo, jak ty podejmowałeś decyzje, wszystko szło gładko, lecz to moja wyprawa i ja tu rządzę. Wiesz doskonale, że poradziłabym sobie sama; przyznaję, o przebraniu nie pomyślałam, ale i tak chciałam podróżować nocą, a ukrywać się za dnia. Gdyby ktoś mnie zobaczył, udawałabym ducha.

— Nie w tym rzecz, że to ty podejmujesz decyzje, tylko w tym, jak się zmieniłaś. Jesteś taka. . . — szukał słowa — otwarta, taka głośna. Zwracamy na siebie uwagę, a myślałem, że chodzi o coś dokładnie odwrotnego.

Mruknęła pod nosem słowo, jakiego dama z jej pozycją nie powinna nawet znać.

— A ty myślałaś, że te ciuchy nikogo nie zainteresują? Daj spokój, wyglądamy jak najprawdziwszy najemnicy! Jasne, jestem głośna, bo taka byłaby Berta, dokładnie taka jak Selina. Cała tamta noc zeszła mi na studiowaniu jej zachowań: w końcu walczę o pozycję w świecie mężczyzn i idzie mi cholernie dobrze, a im lepiej się zaprezentuję, tym więcej ofert dostanę. A tak w ogóle, to miałam kil-

ka propozycji, ale odmówiłam; powiedziałam, że jedziemy eskortować karawanę w Kata'shin'a'in.

— Aha — powtórzył. Czuł się oszołomiony. Nie myślał o roli, jaką grał, a Elspeth najwidoczniej drobiazgowo rozpracowała wszystko: motywy, pochodzenie, charakter, nawet pracę, której ponoć mieli się podjąć.

— Przestań mnie niańczyć, Skif — zażądała gniewnie. — Mam tego dosyć; nie można czuwać nade mną całe życie. Jedyne Kero tego nie robi. Jej by się to podobało i razem ze mną klepałaby tych facetów po plecach, a gdyby musiała, założy się, iż do łóżka też by z nimi poszła!

— Elspeth! — zawołał oszołomiony.

— Proszę bardzo! Czy ty naprawdę myślisz, że jestem nieświadomiona? Wiem, co robią zwyczajni ludzie, kierowani potrzebą chwili; przed czym chcesz mnie chronić? Przed tym, że dwoje pijanych ludzi pójdzie ze sobą do łóżka, żeby trochę... — usiłował jej przerwać, ale go zakrzyczała — pobzykać? Specjalnie nie użyłam jednego z tuzina znanych mi określeń tego aktu, aby nie urazić twej wrażliwości. Przeklinam jak najgorszy najemnik, jeśli muszę, znam tysiące świńskich dowcipów i uwierz mi, doskonale rozumiem ich sens! Spędziłam wystarczającą ilość czasu z Piorunami Nieba, żeby mnie zaczęli traktować jak jedną z nich. Skif, dorosłam, nie jestem już twoją małą siostrzyczką, której przynosiłeś cukierki. Nie możesz ochronić mnie przed tym, co już wiem! — Przerwała na moment, ale nie umiał wymyślić nic mądrego. — Przestań mnie traktować jak dziecko, którym od dawna nie jestem!

„I w tym problem”, pomyślał: nie była dzieckiem i nie wiedział, jak się przy niej zachowywać. Nie miał problemów z wydającymi mu rozkazy kobietami — kochał Talię i szanował Kerowyn, która, jako jedna z nielicznych na dworze, nie zwracała uwagi na jego pochodzenie, ale pewność siebie Elspeth niepokoiła go. Ciągle miał wrażenie, że to tylko fanfaronada i upojenie nagłą wolnością.

Nieustannie miał w pamięci rady Quentena, lecz teraz powoli zaczynał tracić zdrowy rozsądek: w każdym człowieku podchodzącym do Elspeth widział maga, który chciał ją zniewolić.

Ona po prostu nie rozumie — zwierzał się Towarzyszowi, bo któż inny mógł go zrozumieć. — Wokół jest pełno magów, a ona nawet o tym nie myśli, nie próbuje się przed nimi ukryć.

Ostrzegłeś ją przed nimi, prawda? — odpowiedziała Cymry. — Przedstawiłeś wszystko, czego się dowiedziałeś. A poza tym ona może mieć rację, czasami najlepiej ukryć się w widocznym miejscu. Nikt nie będzie podejrzewał najemniczki o dar magii, bo mag nie może walczyć. Nie wydaje ci się, że ona sama będzie wiedziała, czy ktoś na nią czyha, czy nie?

Tak, ale...

To całkiem możliwe, że zorientuje się szybciej niż ty — ciągnęła Cymry w zamysleniu. W końcu ma te zdolności, chociaż wyćwiczone, a Quenten mówił, iż moc

przyciąga moc. Ona obserwuje wszystko wokół siebie. I co, myślisz, że przeoczyłaby maga?

Nie, ale... Umilkł. Tak naprawdę, nie tym się przejmował.

W porządku, dorosła. Nie mógł jej już określić mianem „dziewczynki”, a nowa sytuacja i nowe ubranie tylko ten stan podkreślały. Szczególnie ubranie, znacznie wystawniejsze niż wszystko, co nosiła w domu, jakby wkładając je, stała się całkiem nową osobą. A może wynikało to z faktu, że nikt ich wreszcie nie obserwował — żadnych plotek, żadnych ostrzeżeń przed zadawaniem się z byłym złodziejem, nikt jej się nie kłaniał, nie pytał, co miała zamiar robić albo co robiła. Żadnych męczących przyjaciół ani wrogów. Mógł ją traktować jak Elspeth, nie jak następczynię tronu. I odkrywał, że to, co widzi, podoba mu się coraz bardziej. Swą żywiołowością przypominała Kero. „A przyznaj sam przed sobą, że w Kero jesteś całkiem niezłe zakochany”. Sprytna, dowcipna, radosna; była nieznośna, ale jakoś nie miał nic przeciwko temu...

„Bogowie!” Zacerwienił się po białka oczu i docenił gęstość mgły. To, że myśl o Elspeth w łóżku z jakimś najemnikiem tak go wzburzyła, nie było spowodowane nadwrażliwością, ale zazdrością. A zazdrość była ostatnim uczuciem, jakiego się spodziewał w swych stosunkach z Elspeth. Nie chciał, żeby się zapomniała z kimś innym, chciał, by zapomniała się z nim; przez ostatnie kilka dni musiał robić z siebie niezłe widowisko i na pewno domyśliła się, o co chodzi.

Jednak okazało się, że dostrzegła tylko wzmożoną opiekuńczość, „matkowanie”, jak mówiła; narzekała na to już wcześniej, lecz teraz po raz pierwszy tak gwałtownie dała wyraz swojej złości.

„Musi być naprawdę wściekła”, pomyślał z poczuciem winy. Słońce zaczęło przeświecać przez mgłę i po raz pierwszy naprawdę cieszył się, że noszą ubrania najemników, a nie Biel, bo natychmiast straciliby się z oczu; wystarczyło, iż Towarzyszy nie było widać. „Spytaj o coś niezobowiązującego. Coś nieszkodliwego”.

— Czy Quenten powiedział, dlaczego Jendar mieszka w Lythecare, skoro szkoła, którą założył, jest niedaleko Petras? — zapytał z pokorą w głosie.

— Skif, ta pokora ci nie wychodzi — odparła jadownicie. — Nie pasuje do ciebie. — Zatrzymała się i odwróciła do niego. — Przepraszam, nie chciałam być wredna. Tak, trochę mi opowiadał. Jendar chce mieszkać w Jkacie, bo jest bliżej swych krewnych Shin’a’in, a Kata’shin’a’in mu nie odpowiada, bo to miasto handlowe, w zimie zupełnie wymiera.

— Nie rozumiem. Myślałem, że w takim mieście będzie miał, czego chce.

— Pozwól, że zademonstruję ci Jendara według Quentena — i zaczęła naśladować starca: — Chcę dobrego jedzenia! Dywanów! Gorącej kąpieli i porządnych sklepów! Pięknych kobiet, dla których stracę moją starą głowę! Służących, którzy będą mnie rozpieszczać i przypochlebiających się kupców! — Skif parsknął śmiechem, bo Elspeth doskonale naśladowała różnych ludzi. „Będę lubił wuja Kero tak

bardzo, jak ją samą”.

— Chyba go polubię — powiedziała. — Quenten twierdzi, że Jendar odszedł z dwóch powodów: po pierwsze, szkoła była zdecydowanie za daleko od miasta, a po drugie, gdyby został, jego następca nigdy nie byłby traktowany poważnie i nie potrafiłby samodzielnie podejmować decyzji. — Jej głos znów się zmienił: — Niech młodzi uczą się na swoich błędach! Ty jakoś wyszedłeś na ludzi, Quentenie! — westchnęła głęboko. — Najwyraźniej Jendar pozwala ludziom dorosnąć.

— Zrozumiałem, zrozumiałem — burknął Skif.

Niedaleko rozstajnych dróg Elspeth zaczęła się zastanawiać, co stałoby się z heroldem, który zamordował swego Towarzysza, i żałowała, że herold nie może odrzucić swego wybranego. Żar lał się z nieba, wzdłuż drogi nie było drzew, a jedyny ślad Lasu Pelagirskiego stanowiły pojedyncze sosenki.

Jesteś dziś wyjątkowo zadowolona z siebie — powiedziała Gwennie, kiedy po raz czwarty usłyszała w głowie nucenie. Otarła pot z czoła.

Co? — Gwena położyła uszy. — *O co ci chodzi?*

Nucisz sobie — stwierdziła Elspeth. *Dobrze, że nie jesteś człowiekiem, bo fałszywego pogwizdywania bym nie zniosła. To strasznie denerwujące, kiedy ktoś ci nuci w głowie, nie da się tego zignorować.*

Po prostu dobrze się czuję — Gwena przyspieszyła, ku zaskoczeniu Cymry. *Czy coś ze mną nie tak? Mamy taki piękny dzień!*

Doprawdy? Markę świecy temu narzekataś na upał!

Może przywykłam? A może to ty się czepiasz. — W jej głosie zabrzmiała fałszywa troska. — *Nie ta pora miesiąca, kochanie?*

Dobrze wiesz, że nie o to chodzi, a poza tym to nie ma z tym nic wspólnego! Skif staje się męczący.

Skif się w tobie zakochuje — odparła Gwena normalnym tonem. — *Mogłaś gorzej trafić.*

Wiem, że się zakochuje i wiem, że mogłam gorzej trafić — stwierdziła. — *Tu nie chodzi o różnice pochodzenia ani rangi, naprawdę, a ty się nie baw w rajfurkę. Jest przemiłym młodym mężczyzną, ale zupełnie nie w moim typie.*

Już dobrze, dobrze, nic nie mówiłam. — Gwena była najwidoczniej urażona i zamknęła przed nią swój umysł. Elspeth westchnęła. Skif nie był największym problemem, jaki zaprzętał jej głowę.

Było nim uczucie. Uczucie, które wzrastało z każdym krokiem uczynionym w stronę Lythecare: miała wrażenie, jakby pędzono ją ku jakiemuś przeznaczeniu jak krowę na rzeź. Jakby coś nakazywało jej postępować tak, a nie inaczej i nie podobało jej się to w najmniejszym stopniu.

Wszystko tak doskonale do siebie pasowało: najpierw Kero z magicznym mieczem, potem Elspeth wpadła na pomysł, że Valdemarowi trzeba magów, a Kero

akurat była obok i coś niecoś o nich wiedziała. To akurat mogło być przypadkowe, ale nie reszta. Dlaczego w ciągu miesiąca zaatakował ją skrytobójca, magowie przypuścili atak na posterunek graniczny Piorunów Nieba i Rada zgodziła się wysłać ją na poszukiwania? I proszę, jak w książce, Kero nadal utrzymuje kontakt ze swoim starym przyjacielem, a ten ze swym dawnym nauczycielem, przy okazji wujem Kerowyn. Nikt ich nie zatrzymywał na szlaku, nikt ich nie rozpoznał, wszyscy byli przyjacielscy do obrzydliwości i nawet najemnicy wierzyli w ich bajeczki. Zupełnie, jakby to wszystko miało się tak ułożyć.

Do skrzyżowania z drogą na Lythecare mieli tylko kawałek, a zadowolenie Towarzyszy było niemalże namacalne. Gwena znów nuciła. Elspeth stwierdziła, że ma tego dosyć. Ściągnęła wodze tak mocno, że Gwena potknęła się, padła na kolana i myśl krzyknęła, a Cymry prawie na nią wjechała. Obróciła się i spojrzała na Skifa, który wpatrywał się w nią, jakby nagle wyrosły jej rogi.

— Dosyć — powiedziała. — Koniec z tą zabawą.

— Co? — Chyba pomyślał, że oszalała.

— Nie podoba mi się, że gdzieś mnie pędzą — parsknęła. — Valdemar potrzebuje magów, chcę ich znaleźć, ale nie dam się prowadzić niewidzialnej ręce jak jakaś postać z podłej książki! To nie jest nakazana przez niebiosy wyprawa, ja nie jestem przeznaczonym dzieckiem-niespodzianką i więcej się w to nie bawię!

Zsiadła i otrzępała ubranie. Na poboczu drogi rosła trawa, jakieś krzaki i stała studzienka; usiadła przy niej, założyła ręce na piersi i ani myślała się ruszać.

Skif też zsiadł, lecz z wyrazu jego twarzy nie mogła niczego odczytać; podszedł do niej powoli, a Towarzysze przystanęły za jego plecami.

— I co? — spytała.

Wzruszył ramionami, a to przekonało ją, że wiedział o czymś, o czym nie miała zielonego pojęcia.

— Nie ruszę się stąd — powtórzyła, starając się nie kaszleć, bo kurz drapał ją w gardle — dopóki nie dowiem się, o co tu chodzi.

Rozejrzał się bezradnie, a wtedy Cymry skinęła głową, jakby udzielała przyzwolenia. „Wiedziałam”.

— To Towarzysze — wyjaśnił Skif. — Kiedy pierwszy raz przedstawiłaś pomysł wyprawy w poszukiwaniu magów, zmusiły swych heroldów, by wyraziły na nią zgodę. Ci, którzy nie chcieli, jak twoja matka, zostali zaszantażowani.

— Co?! — obróciła się do Gweny.

Musieliśmy to zrobić. Musiałaś pojechać, to ważne.

— To nie wszystko — powiedział Skif z takim wyrazem twarzy, jakby go właśnie wieszali. — Zabroniły ci o tym mówić i zaproponowały Quentena. Twierdziły, że to jedyne dojście do ważnego maga, któremu mogą ufać.

— Wiedziałam! — krzyknęła. — Wiedziałam, wiedziałam! Wiedziałam, że siedzą w tym po same uszy i prowadzą mnie tutaj jak owcę! Czy mówiły coś o Shin'a'in? — spytała. — Jeśli mam dopiąć celu, zrobię to po swojemu!

— Nie — powiedział wolno. — Nic mi o tym nie wiadomo
Nic nie wiemy o Bogini Shin'a'in — w myśl głósie Gwenty brzmiała panika. —
Nie jesteśmy pewne, czy jej zaufać.

— Nie możecie nią manipulować, tak?

*Nie, może być jak bóstwo iftelskie, dbać o dobro tylko swego ludu. To wszystko.
Wiemy, kim jest i co robi, ale nie chcemy na tym opierać przyszłości Valdemaru.*

— A ty co na to? — zażądała odpowiedzi od Skifa. — Ty nie twój Towarzysz.

— Ja...? — zaczerwienił się. — E... ja... ja nie wiem, co Towarzysze o tym myślą...

„Kłamie, Cymry cały czas do niego gada”. — Ale z tego co mówiła Kero, wnioskuje, że Shin'a'in mogliby cię uczyć, albo znaleźć kogoś innego, gdyby to przekraczało ich możliwości. — Otarł pot z czoła rękawem. — Kero im ufa, nie tylko swoim krewnym, tak samo jej Towarzysz.

Gwena parsknęła: — *Pewnie, Sayvil powie, że im ufa, tylko po to, by mieć inne zdanie.* — Elspeth zignorowała ją.

— Świetnie. W takim razie jadę do Kata'shin'a'in, żeby zobaczyć, co mi mogą zaoferować Shin'a'in — patrzyła zimno w oczy Gwenty. — Nie mam zamiaru zmienić zdania, a wy mnie nie powstrzymacie. Najwyżej pójdę na piechotę albo kupię konia pociągowego w najbliższej wsi, ale do Lythecare nie pojadę. Skończyłam ten temat. Ktoś się do mnie przyłącza?

Po upływie jednej marki na świecy minęli skręt na Lythecare, kierując się prosto na Kata'shin'a'in, a Elspeth nigdy w życiu nie miała gorszej jazdy. Jednak każdy siniak przypominał o zwycięstwie... „Mam tylko nadzieję, że rano będę mogła się ruszyć”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MROCZNY WIATR

Na tym patrolu, jak na kilkunastu poprzednich, nic się nie działo. „To jest niemal za łatwe”, pomyślał Mroczny Wiatr, rozglądając się po obu stronach ścieżki w poszukiwaniu niepokojących śladów. „Minał tydzień od przybycia Nyary i nic się nie dzieje, nikt jej nie ścigał oprócz tych wyrśa, które zabiłem, żadnych magicznych przespiegów, zupełnie nic”. Spokój sprawiał, że nerwy miał napięte jak postronki. „Jasne, ma świetną osłonę, Zmora Sokołów może nie wiedzieć, że ona tu jest i szukać jej zupełnie gdzie indziej”.

Tak mówił Treyvan; zdaniem Hydony czarownik mógł przypuszczać, iż Nyara ukrywa się w Dolinie. Przypomniała im, że Zmora Sokołów od dawna czał się na granicy, ale nigdy otwarcie nie wystąpił przeciw k'Sheyna. Mimo wszystko działał sam, a w Dolinie było pięciu adeptów i dziesięć razy tylu mistrzów: nawet osłabieni stanowili wyzwanie, z którym nie potrafiłby sobie poradzić. Szczególnie że chodziło o coś tak błahego, jak utrata jednego Zmiennolicego.

— Zawszysze może ssstworzyć nowego — powiedziała Hydona. — Zazwyczaj trzymają ich tylko parrrrę lat.

Nyara zgodziła się z nią.

— Jeśli będzie bolał nad stratą, to stratą swojej własności, a nie nad tym, że to właśnie mnie utracił — stwierdziła. — Nic dla niego nie znaczą. Wiele razy groził, iż stworzy kogoś innego i będzie patrzył, jak jego słudzy się ze mną zabawiają. Będzie tylko udawał, że mnie szuka, dla uspokojenia swej dumy.

I wyglądało na to, że jedynym kłopotem były wyrśa, tak w rejonie patrolowanym przez Mroczny Wiatr, jak i Jutrzenkę. Tylko Księżycowa Mgła miała kłopoty z bazyliuszkiem, który koniecznie chciał się osiedlić na jej terenie i wybicie mu z głowy tego pomysłu zajęło pięciu zwiadowcom trzy dni. Nie chcieli go zabić, bo mimo tego, że głupi, niebezpieczny i żarłoczny, nie był zły. Te stworzenia miały swoje miejsce w łańcuchu pokarmowym i nikt lepiej od nich nie pozbywał się ścierwa lodowych smoków czy wyrśa, ale jako bliscy sąsiedzi nie znajdowali uznania nawet takich miłośników natury, jak Pieśń Ziemi, który kiedyś próbował

z sępa uczynić więź-ptaka. Bazyliszek stanowił ostatnio jedyną rozrywkę i nie miał nic wspólnego z Nyarą. Tych stworzeń nie dało się tresować ani nawet delikatnie kierować ich zachowaniem; ponoć były pozostałością po jakimś nieudanym eksperymencie, tworem któregoś z magów krwawej ścieżki z czasów Wojen, rozmnażającym się na własną rękę. „Dobrze, że przez całe życie mają tylko dwoje albo troje młodych, inaczej byśmy się od nich nie opędzili”. Uwagę Mrocznego Wiatru przyciągnęła zdeptana roślinność, ale kiedy jej się przyjrzał, znalazł tylko tropy jelonka i dwóch wilków. „To jest śmieszne, mógłbym się zatrudnić jako leśniczy na ziemiach oczyszczonych. Tu nic się nie dzieje!” Tak powinien wyglądać teren wokół Doliny tuż przed tym, jak klan wyruszał w nowe miejsce: żadnych gigantycznych węży, żadnych bazyliszków, tylko normalne zwierzęta i rośliny. „Może ojciec ma rację, że powinniśmy po prostu poczekać, aż kamień-serce wygaśnie...”

W miejscach, gdzie drzewa rosły rzadziej, przez ich korony przeświecało słońce i w poszyciu rosły dzikie śliwy. Spojrzał w górę: Vree unosił się spokojnie w powietrzu; ostatnio było mu tak nudno, że polował na gołębie, czekając na Mroczny Wiatr.

Gwiazdne Ostrze twierdził, że należy czekać, co się stanie z pękniętym kamieniem-sercem, ponieważ prawdopodobnie będzie on w stanie sam się uzdrowić i wtedy rozproszą resztki jego energii, zbudują Bramę i odejdą. Mroczny Wiatr nie zgadzał się z ojcem, bo to, co działo się z kamieniem, było dokładną odwrotnością jego przepowiedni. Pojawiało się więcej nieczystych stworzeń, więcej wypaczonych próbowało przeniknąć granice i magowie w Dolinie nie byli w stanie odczuwać zmian przepływu energii poza nią. „Chociaż to może ostatnie podrygi, może wszystko się uspokoi. Może ojciec ma rację”. Jednak czuł, że takie myślenie nie jest właściwe. „A co, jeżeli ojciec ma rację, a ja się mylę? Oprócz tego, że nigdy w życiu nie pozwoli mi o tym zapomnieć...” Stał i nasłuchiwał, ale po chwili uświadomił sobie, że dziwny, dudniący dźwięk to tylko nogi królicze uderzające w ziemię, prawdopodobnie alarm na widok Vree. „A jeśli ja po prostu nie umiem przyznać, że czasami on może mieć rację?” Z drugiej strony zmysły magiczne mówiły mu, że Gwiazdne Ostrze śmiertelnie się mylił, kamień-serce tak poważnie uszkodzony nie był w stanie uzdrowić samego siebie i te chwile ciszy zwiastowały kolejny etap jego degeneracji. „Będę się nimi cieszył, a potem unikał Doliny”.

Miał ochotę skrócić patrol i pójść zobaczyć Nyarę, ale opierał się tej kuszącej myśli ze wszystkich sił. Niewykluczone, że kiedy zaniedbywał obowiązki, coś mogło przemknąć przez granicę. „Nie zaniedbywałem obowiązków, tylko najpierw były kłopoty z dyheli, a potem z Nyarą”. Jednak nie uspokoił sumienia. „W końcu przecież tego nie zrobiłem, lecz jeśli nie miałem szczęścia, mogę się spodziewać nieproszonych gości”. Chciał zobaczyć Nyarę, gdyż pragnął spędzić z nią więcej czasu. Zresztą stanowiła dobre towarzystwo: słuchała tego, co mó-

wił, i sama opowiadała ciekawe rzeczy. „Uczę się czegoś na temat wroga?” Nadal działała na niego tak samo, jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Gdyby nie jego zasady, jej wątpliwa cnota niewątpliwie poniosłaby uszczerbki, ale to tylko potwierdzało podejrzenia: Nyarą nie potrafiła sterować swą seksualnością. Co więcej, była jej kompletnie nieświadoma. „Co doskonale pasowało jej panu”. Mornelithe Zmora Sokołów nie pozwoliłby zresztą, aby kontrolowała tę sferę swojego życia: to on miał pociągać za sznurki. Dlatego Mroczny Wiatr nie pozwolił zaciągnąć się do łóżka: nie był pewien, co może się wydarzyć, jakiego rodzaju zagrożenie mógł wyzwolić stosunek seksualny. „To też doskonale pasowałoby do Zmory Sokołów: chodząca pułapka, którą tylko on potrafi obejść bez szwanku”. Jej pazury i zęby sprawiały, że nie miał najmniejszej ochoty przekonywać się, czy jego przypuszczenia są słuszne. Nigdy w życiu nie zapłaciłby pokiereszowanymi plecami za chwilę przyjemności.

Zamyślony, prawie minął znak rozgraniczający jego rewir od rewiru Jutrzenki; słońce było już na tyle nisko, że mógł przekazać patrol Burzy Śnieżnej, a jeśli się pośpieszy, będzie mógł pogawędzić z Nyarą przed zebraniem Rady. Zanim dobrze uświadomił sobie tę myśl, już był w połowie drogi ku osiedlu hertasi.

— Myślę, że to najlepszy moment: nic się nie dzieje i nie mogą obwiniać ciebie za ewentualne kłopoty, więc poproszę Radę o to, aby udzieliła ci schronienia i pozwoliła na bezpieczne przejście przez nasze ziemie — powiedział, kiedy wylegiwali się oboje na szczycie wzgórza.

Nie odpowiedziała od razu, tylko przewróciła na plecy i przeciągnęła, zupełnie nieświadoma efektu, jaki wywołuje. Nie patrzyła na niego, tylko na motyla, który usiadł tuż obok. Ogarnęła go fala czystego pożądania. Przez chwilę z trudem zbierał myśli, lecz zdobył się na chłodną ocenę własnych reakcji i to go uspokoiło. „Ona nie jest tego świadoma, takiej nonszalancji nie można udawać”.

— Kiedy? — spytała, ziewając. — Rada zbiera się dzisiaj?

Potwierdził; wołał poczekać do normalnego spotkania aby jej pojawienie się nie miało znamion aż takiej niezwykłości. Przynajmniej tak jej powiedział, prawdziwe powody były nieco inne: nie chciał rozmawiać z ojcem sam na sam. W obecności innych Starszych łatwiej radził sobie z Gwiezdnym Ostrzem; przynajmniej jeszcze ktoś usłyszy, co Mroczny Wiatr ma do powiedzenia a poza tym ojciec będzie się zachowywał w miarę normalnie: żadnych wrzasków i puszczania mimo uszu jego słów.

— Dobrze — zamruczała Nyara i mrugnęła sennie. — Jeśli nie mogę się przemieszczać, nie wyrzucą mnie. Powiesz to, prawda?

— Oczywiście. Nie denerwuj się, postawię sprawę bardzo jasno.

Miał nadzieję, że w ten sposób wytłumaczy, dlaczego zostawił ją z hertasi, a nie z jakimś innym strażnikiem. „Bardziej kompetentnym”, jakby to ujął

Gwiazdne Ostrze, co znaczyło po prostu „mniej współczującym”. A jeśli stanie się najgorsze, musiał mieć dobry powód, dla którego nie należy jej nigdzie przynosić.

— Według mnie jesteś jeszcze bardzo słaba — ciągnął — a uzdrowiciel Nery twierdzi, że powinnaś tu zostać, dopóki nie zrosną się wszystkie popękane kości. Aha, czy miałaś jakieś problemy z hertasi?

— Narzekali na mnie? — zapytała ostro, rzucając mu podejrzliwe spojrzenie.

— Skądże, tylko chciałem się upewnić, że się dobrze czujecie w swoim towarzystwie — odparł, trochę zdumiony jej gwałtownością. — Zawsze mogę cię gdzieś przenieść w razie jakichś tarć. Na przykład w ruiny gryfów. . .

— Nie, nie! — przerwała mu, ale zanim zdążył zareagować, uśmiechnęła się: — Przepraszam, wiem, jak to mogło zabrzmieć. Treyvan i Hydona są wspaniali i bardzo ich lubię; zresztą, wiedziałam, że polubię wszystkich, których nienawidzi Mornelithe. Zawsze tak było, jeśli on czymś pogardzał, okazywało się, że to coś dobrego.

— On wie o Treyvanie i Hydo. . .

— Nie, nie, nie — wpadła mu w słowo — Język mi się dzisiaj płacze. Nie, on nienawidzi gryfów w ogóle. Was też nienawidzi, więc wiedziałam, że was polubię. Nie wiem, dlaczego. — Wzruszyła ramionami i Mroczny Wiatr nie naciskał. Potrafiła doskonale zmieniać temat, jeśli jej nie odpowiadał. „Ale jeśli ich lubi, dlaczego z nimi nie zostanie?”

Nyara jakby odczytała tę myśl.

— Chodzi o młode — westchnęła. — Przykro mi bardzo, wiem, że to cię urazi, ale nie znoszę młodych wszelkiego rodzaju. — Wzdrygnęła się. — Ciągłe wrzaski, od których pękają mi uszy, bieganie, skakanie zniecka na plecy: nie znoszę dzieciaków! Nie mam instynktu macierzyńskiego — oświadczyła. — Nie chcę mieć instynktu macierzyńskiego! Młode interesują mnie na krótko. . . i potrzebuje długich chwil wytchnienia od ich towarzystwa.

Roześmiał się.

— Rozumiem cię. Bywają nieznośne. . .

— A poza tym niedługo przybędą kolejne dwa, zupełnie małe i będą płakać całymi nocami, chorować z niewiadomych przyczyn i brudzić z obu końców. Nie! — dorzuciła emfaticznie. — Bardzo cenię Treyvana i Hydony, lecz ciągłej obecności młodych nie zniosę!

— Ale z hertasi żyje ci się dobrze, prawda? — dopytywał się. Jeśli miała tu zostać na dłużej, powinien się upewnić, czy obie strony są zadowolone z takiego stanu rzeczy. Nera twierdził, że Zmiennolica nie sprawi im żadnego kłopotu, ale Mroczny Wiatr wiedział, iż czasami hertasi bywały zbyt uprzejme.

— Jak z własnym cieniem. Są cisi, przynoszą mi jedzenie, kiedy z nimi rozmawiam, są grzeczni, ale zazwyczaj ich tu nie ma, w zasięgu głosu, o to mi chodzi. — Uśmiechnęła się, pokazując koniuszki ostro zakończonych kłów. — Doskonale

wiem, że mnie obserwują, lecz gdybym była na ich miejscu, robiłabym to samo. Ja udaję, iż tego nie widzę, a oni, że pielą grządki; zdajemy sobie sprawę z naszej obecności, żadnych uchybień dla etykiety.

Mroczny Wiatr zrozumiał, dlaczego Nera nazywał ją „bardzo dobrze wychowanym młodym stworzeniem”.

— A więc wszystko w porządku. — Popatrzył na zachodzące słońce. — Muszę iść na spotkanie Rady. Podejrzewam, że będę miał kłopoty.

Twarz Nyary zmroczniała.

— Chciałabym móc ci powiedzieć, że wszystko się ułoży, ale nie chcę kłamać. Mam tylko nadzieję, iż nie będziesz żałował wstawienia się w mojej obronie.

— Ja też — westchnął, podnosząc się z ziemi.

Gwiazdne Ostrze walił pięścią w stół tak mocno, że drżały okna ekele.

— Na wszystkich bogów naszych ojców! — wrzeszczał. — Nigdy nie myślałem, że mój własny syn okaże się takim głupcem!

Mroczny Wiatr wpatrywał się w ścianę ponad ramieniem ojca, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Tyrada już się kończyła, a w porównaniu z wyzwiskami, jakimi został obzucony na samym początku, wydawała się przyjemnym przerywnikiem. Choć może po prostu zabrakło wyzwisk?

Gwiazdne Ostrze wyrzucił pięść w powietrze.

— Gdybym nie wiedział, przysięgałbym, że nie jesteś moim synem! Nigdy nie...

— Wystarczy — przerwał Deszczowa Włócznia. — Naprawdę wystarczy.

Nie spodziewali się tych słów: Deszczowa Włócznia, najstarszy ze Starszych, nigdy nie przerywał innym ani nie podnosił głosu. Do dzisiaj.

— Wszyscy już się dowiedzieliśmy, co sądzisz o swoim sy... o Mrocznym Wietrze: że jest największym durniem na świecie. Poznaliśmy też powody, dla których tak twierdzisz. — Jego spojrzenie, utkwione w oczach Gwiazdnego Ostrza, stwardniało. — Ja jednak znam cię znacznie dłużej i wiem, że pozwalasz, aby twe własne opinie wpłynęły na racjonalny osąd, tak jak teraz. Dziwnym trafem nigdy nie podzielałem twego uprzedzenia do Zmiennoliczych, nie będę tłumaczył, dlaczego, ale mam swoje powody. Nie dzielam też twego przekonania co do niekompetencji Mrocznego Wiatru. — Odkasznął. — Uważam, że jak na razie radzi sobie doskonale: jego ludzie mu ufają, własne opinie nie zaćmiewają obiektywizmu i nie wiem, dlaczego nie mielibyśmy mu pozwolić na pomoc tej Innej.

Deszczowa Włócznia spojrział pytająco na ostatniego członka Rady, Lodowy Cień, a ten wzruszył ramionami.

— Nie widzę powodu, dla którego miałyby nam zagrozić. Nie narobiła kłopotów...

— O których wiemy — przerwał mu Gwiazdne Ostrze. Lodowy Cień zmierzył go zimnym spojrzeniem. „Jeden — zero”, pomyślał Mroczny Wiatr.

— O których wiemy, jeśli nalegasz na takie ujęcie sprawy. Nie widzę powodów, dla których nie możemy jej pozwolić na pozostanie tam, gdzie jest, dopóki jej rany się nie zagoją, a potem przepuścić przez nasze ziemie.

Deszczowa Włócznia kiwnął głową, a Gwiazdne Ostrze rzucił gniewnie:

— Pod ścisłą kontrolą. Mroczny Wiatr mogły omamić słodkie oczy i miły głosik, ale ja uważam, że jej chodzi o coś innego, i nalegam na ścisłą obserwację.

— Nie dostaniesz lepszej, niż zapewniają hertasi — Lodowy Cień nagle zamakował w rozmowach z sufitem. — Nawet jeśli wodzi Mroczny Wiatr za nos, nie uda jej się to z nimi, muszą to przyznać nawet starzy i uparci... eee... magowie. — Puścił oko do Mrocznego Wiatru, całkowicie ignorując wściekłe spojrzenie jego ojca.

— Zgadzam się z tym — powiedział spokojnie Deszczowa Włócznia, próbując załagodzić spór. — Jednak myślę, że trzeba ją trzymać jak najdalej od Doliny. Jeśli narobi kłopotów...

— Jeśli będzie usiłowała narobić kłopotów — wpadł mu w słowo Lodowy Cień

— ...wtedy się nią zajmiemy.

— Spalimy ją żywcem, możesz jej to powiedzieć! — wrzasnął Gwiazdne Ostrze.

— Już? — Deszczowa Włócznia podniósł głos. — Bo chciałbym z tym skończyć, o ile pozwolisz! — Po czym zamknął oczy i starał się ochłonić; Mroczny Wiatr nie współczuł mu ani trochę, bo sam musiał znosić swego ojca zbyt często. — Mroczny Wietrze, powinieneś patrzeć na to z perspektywy dobra klanu i Doliny. Nie przeniesiemy jej tutaj, bo zawsze istnieje możliwość, że to szpieg.

— Nie miałem takiego zamiaru — powiedział. — Chciałbym tylko, by mogła być trochę bliżej. Ciągłe grozi jej niebezpieczeństwo: jest ranna i nie może uciekać jak hertasi, a gdyby przez granicę przeszło coś, co polowałyby właśnie na nią, nie miałyby szans.

Lodowy Cień potrząsnął głową, a on odniósł wrażenie, że gdyby sprawa nie była tak poważna, pozwoliłby na wszystko, aby tylko dopiec Gwiazdnemu Ostrzu.

— Nie, niemożliwe. Ona na pewno o tym wie, w końcu jesteśmy wrogami, a przynajmniej ona była po stronie wroga. Przyszła do nas, być może po pomoc, lecz przyznała, że chciała nas wystawić. Nie, zostanie tam, gdzie jest.

— Cóż — głos Gwiazdnego Ostrza przeciął ciszę — skoro tak się o nią martwisz, skoro to tyją tu przyniosłeś, skoro jest na twoim terenie, tylko ty możesz się zająć jej ochroną. Nawet jeśli to oznacza, że będziesz musiał wrócić do magii. — Rozejrzał się po twarzach pozostałych Starszych. — Czy to w porządku?

— Nie wiem... — zaczął Deszczowa Włócznia.

— Powiedziałbym, że tak — rzucił Lodowy Cień. — Kiedy Wietrzna Pieśń nas opuścił, było mi smutno, bo wraz z nim odeszła jego magia. Mroczny Wietrze, rozumiem twoje uczucia, ale nigdy się z tym nie pogodziłem. Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz?

Deszczowa Włócznia wzruszył ramionami, a Gwiazdne Ostrze posłał synowi triumfalne spojrzenie.

— Chyba doszliśmy do porozumienia — powiedział. Mroczny Wiatr tylko dlatego nie rzucił się na niego z pięściami, że wiedział, jak głupie i szczeniackie byłoby takie zachowanie. To opanowanie rozczarowało jego ojca, szczególnie że jego stwierdzenie odniosło zupełnie inny skutek: mógł teraz wymóc na Radzie rzecz, o którą bardzo długo walczył.

— Doskonale — odparł powoli. — Przegłosowano mnie. Nyara może zostać pod opieką hertasi, a ja mam ją chronić wszelkimi dostępnymi mi środkami. Czy tak?

— Tak — potwierdził Lodowy Cień, a dwaj pozostali kiwnęli głowami.

— Rada zezwala ci na to — dodał Deszczowa Włócznia.

— Świetnie. W takim razie reszta zwiadowców będzie jej również pilnować, aby zadziałać w razie zagrożenia, a na granicy rozstawimy patrole dyheli; nie powinienem mieć problemu ze znalezieniem ochotników po tym, co dla nich zrobiła, a Jutrzenka poszuka pomocy wśród tervardi. Porozmawiam też z gryfami.

Powstrzymał uśmiech satysfakcji na widok miny swego ojca: w końcu udało mu się go przechytrzyć. Jednak kiedy wychodził z ekele, czuł się paskudnie: był zmęczony i wyczerpany. „Jakby ktoś mnie wychłostał”. Nie zwracając uwagi na kurtuazję, zszedł pierwszy i korzystając z mroku, postanowił uciec jak najszybciej. W tym był naprawdę dobry...

Tylko, oczywiście, w pośpiechu pomylił ścieżki i zamiast prowadzącej na zewnątrz wybrał tę, która zawiodła go prosto do środka Doliny. Przeszedł obok kamienia-serca, nie na tyle blisko, żeby go zobaczyć, ale wystarczająco, by go odczuć: ból odbitych kości, mdłości, dysharmonia. Gdyby miał złudzenia, że kamień się uleczy, właśnie by je stracił. Stan się pogarszał, a do tego czuł w mózgu dziwny, gorzki osad, jak smak trującej jagody na języku. Wobec tego zrobił coś, czego nigdy przedtem nie próbował: odgrodził się od kamienia.

Powietrze natychmiast stało się lżejsze i mdłości minęły: czuł tylko zapach kadzidła ze znicza, płonącego dla tych, którzy wtedy zginęli, a niesmak spowodowany był wspomnieniami z Rady. Kiedy zaczął się rozglądać za ścieżką, przypomniał sobie, że u podnóża wodospadu w centrum Doliny jest gorące źródło. Wodospad stworzył Lodowy Cień i Mroczny Wiatr zawsze mu zazdrościł umiejętności odpowiedniego nastrojenia spadającej wody. Dźwięki były wyjątkowo kojące. „Dokładnie tego potrzebuję”.

Kiedy doszedł do wodospadu, księżyc wychylił się zza drzew, rozświetlając

wodę srebrnym blaskiem. „Przysięgłbym, że wszystko jest w porządku, gdybym nie znał prawdy. Tu jest tak spokojnie...” I nikt się nie kąpał.

Być może dlatego, że akurat te sadzawki były powszechnie używane jako miejsce schadzek, a akurat teraz w Dolinie nie kwitło życie uczuciowe: większość młodych Tayledras została zwiadowcami, a reszta... Mroczny Wiatr podejrzewał, iż dłuższe wystawienie na oddziaływanie kamienia-serca skutecznie wybijało z głów myśl o kochaniu się. Zastanawiał się, ilu z magów myślało o odgroźeniu swych zmysłów od kamienia. „Niewielu, to ich moc, ich życie, woła się źle czuć, niż przed nim osłonić. Banda idiotów”. Złożył ubranie na kupkę i zanurkował. Woda była ciepła i podziałała rozluźniające na mięśnie. Płynąc na plecach, uświadomił sobie, jak bardzo był spięty podczas całej narady i jak bardzo potrzebował relaksu. Zatracił się na chwilę w muzyce wodospadu.

— Zmieniasz się w syrenę? — spytał ktoś.

Podpłynął leniwie do brzegu, oparł się o niego i spojrzał w oczy Jutrzenki: miała rozpuszczone włosy, buty w rękę i uśmiech na wargach.

— Nie sądzę — odparł. — Chyba, że dostrzegłaś coś niepokojącego.

— Nie, raczej nie. — Uklęknęła na brzegu i niespodziewanie chwyciła jego głowę w dłonie, obdarzając najbardziej entuzjastycznym pocałunkiem w jego życiu. „Co jest, nigdy nie była agresywna”. Zdał sobie sprawę, że gorąco mu nie tylko z powodu temperatury wody, zamknął oczy i pozwolił, aby jej wargi nadały rytm. Kiedy go puściła, brakowało mu tchu.

— To za uratowanie moich dyheli — powiedziała.

— Właściwie to nie ja... — Żałował, że będzie musiał wyznać prawdę, jeśli to miało być nagrodą.

Położyła mu dłoń na wargach.

— Wiem, jakiś Zmiennolicy rzucił zakłęcie, ale to tyje wezwaleś, ty im wskazałeś wyjście. Nigdy nie znalazłyby drogi, gdybyś tego nie zrobił.

„Jakiś Zmiennolicy... a więc nie wie, że Nyara to kobieta”. Jego uwagę przykuł jednak sposób, w jaki Jutrzenka zaczęła zdejmować ubranie, powoli, prowokująco i złapał się na tym, że patrzy na nią z otwartymi ustami. Najpierw tunika, potem spodnie, cał po cału zsuwane z bioder, a jej koszula cały czas zakrywała bardziej strategiczne miejsca. W końcu zdjęła też koszulę, równie powoli. Przez moment wyglądała równie egzotycznie i pociągająco, jak Nyara. „Dobrze, że nie wie, iż Nyara to kobieta, nie będę jej tego mówić”.

Została w krótkiej koszulce, mrugnęła do niego i zniknęła wśród cieni. Wróciła, zanim zdążył się zorientować.

— Zapaliłam przy wejściu latarnię — powiedziała — chociaż wątpię, czy ktoś chciał tu dzisiaj przyjść. Wiedziałam, że jesteś na posiedzeniu Rady i chciałam ci odpowiednio podziękować, ale poszedłeś w inną stronę i musiałam cię szukać.

Światło księżycyca, wygładzające kontury jej ciała, sprawiało, że Jutrzenka przypominała Zmiennolicą.

— Chciałem uniknąć spotkania z ojcem — odparł, napawając się jej widokiem.

— Tak też przypuszczałam — roześmiała się — i pomyślałam, że znając ciebie, będziesz gdzieś moczył swoje zmartwienia. Przeszukałam każdą sadzawkę!

— Cieszę się, że mnie znalazłaś.

— Ja też. — Zdjęła koszulkę i wsunęła się w jego ramiona. Zanurzyła dłonie w jego włosach, a jej wargi i język robiły takie rzeczy, o których mu się nawet nie śniło.

Zsunął dłonie wzdłuż jej pleców i przyciągnął do siebie. Przycisnęła się, jakby chciała przeniknąć przez skórę i złąć się z nim w jedną całość. Ugryzła go delikatnie w ucho, a Mroczny Wiatr odkrywał na nowo każdy cal jej ciała sprawiając, że drżała. Westchnął głęboko, kiedy zaczęła całować go po szyi i wyswobodziwszy palce z jego włosów, przesunęła nimi powoli w dół jego piersi.

— Nie tutaj — zdołał wyszeptać. Zaśmiała się gardłowo.

— Dobrze — i pociągnęła go za sobą, podczas gdy jej palce zabawiały się pod powierzchnią wody. Doszli do brzegu, gdzie jakaś dobra dusza zostawiła wodoodporne poduszki i maty, a tam objął jej biodra i podniósł. Otoczyła go udami i jęknęła, a potem pociągnęła za włosy.

— Wyłaż z wody, głupcze! Jeszcze się utopisz!

— Niedoczekanie — zaśmiał się i wspiał na poduszki. Tylko przez chwilę leżał na niej. Wyślizgnęła się i nagle znalazł się na plecach, a Jutrzenka uśmiechała się złośliwie. Wyprężył się i ujął mocno jej piersi, krzyknęła; spotkały się ich ciała i umysły, on był świadomy jej pożądania, a ona każdego dotyku. Doprowadziła go niemal do szczytu, znów i znów, jeszcze i jeszcze, aż w końcu, kiedy myślał, że już dłużej nie wytrzyma, rozluźniła uścisk i wzięli razem.

— O bogowie — wyszeptał, przytulony do niej.

— Nagroda za męstwo — zachichotała.

— Będę męski — obiecał niewyraźnie, a jeśli nawet odpowiedziała, nie usłyszał. Zasnął.

Kiedy się obudził, spostrzegł, że wysunęła się z jego objęć i leżała na rozrzuconych poduszkach. Spodziewał się tego; podczas kilku ostatnich miesięcy zauważył, iż spała niespokojnie i kilka razy budził się zamotany w prześcieradło. Księżyc nie oświetlał już wodospadu; Mroczny Wiatr zsunął się do sadzawki, rozgrzał nieco mięśnie i popłynął na drugi brzeg po ubranie. Bał się, by jego kroki nie zbudziły dziewczyny. Wyszedł z wody i wytarł się koszulą. Nie chciał jej tak zostawiać, ale... „Jest ciekawska jak sroka i nie wiem, jak odpowiedzieć na pytania, które na pewno zadałaby mi po przebudzeniu”.

Pytałaby o uratowanie dyheli i Zmiennolicego, a gdyby w końcu wyszło na jaw, że to nie jest Zmiennolicego... „Nie mam ochoty na scenę zazdrości, wystarczy

mi na dziś starcie z ojcem. Z nią byłoby gorzej, a nie ma podstaw do oskarżeń”.

Jeszcze. Rzecz nie w tym, że nie marzył o Nyarze. . . „Ale to są tylko marzenia i marzeniami pozostaną”, przekonał samego siebie. „Jednak są rzeczy, o których wolę jej nie mówić. Jest za młoda na ich spokojne zaakceptowanie, nawet jeśli to czyste mrzonki. Nie zrozumie, że czasami marzenie jest równie wspaniałe jak rzeczywistość”.

Opuścił szybko Dolinę i natychmiast stał się czujny. Zwiadowcy mieli powody, aby do ich ekele prowadziły sznurowe drabinki. Tej nocy jednak las był spokojny; jakiś niezwykły dźwięk zatrzymał go tylko dwa razy. Najpierw zauważył dwie potężne śnieżne sowy i rozpoznał w nich K'Tathiego i Corwith, co go uspokoiło, bo jeśli one czuwały, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Za drugim razem natknął się na Zimowy Księżyc, swego przyrodniego brata, oprawiającego jelonka.

Zimowy Księżyc, jedno z dwojga dzieci, jakie Gwiazdne Ostrze miał ze związku z magiczką k'Treva, nie odziedziczył po rodzicach żadnego talentu magicznego, a magii umysłu starczała mu tylko na porozumiewanie się z więźptakami. Jego siostra została z k'Treva i była najwyraźniej bardziej uzdolniona. Adept nigdy nie wybaczył najstarszemu synowi tego „upośledzenia” i Zimowy Księżyc trzymał się od niego na tyle daleko, na ile pozwalały warunki w Dolinie. Nie miał zamiaru jej opuszczać, ale nie miał też ochoty na konfrontację z ojcem.

— Udane łowy — stwierdził z podziwem Mroczny Wiatr, oceniając jelonka.
— Gdybym ja tak polował za dnia!

Zimowy Księżyc roześmiał się; jednym z manewrów, mających na celu odcięcie się od ojca, było wybranie nocnego trybu życia i trzymanie wyłącznie sów. W ten sposób widywał Gwiazdne Ostrze najwyżej raz w miesiącu. — Praktyka czyni mistrza, a zresztą widzę oczami K'Tahtiego. To wszystko.

— Jak? — zdziwił się Mroczny Wiatr.

— Normalnie, leci mi nad głową, a ja tylko się dostosowuję. Na początku wpadałem na drzewa, ale teraz już wszystko w porządku. Chcesz kawałek, braciszku?

— Nie, ale może Jutrzenca się przyda. Mówiła, że ma pustki w spiżarni. — „I może wybaczy mi, że tak ją zostawiłem”.

— Podrzucę jej trochę. Możesz spokojnie iść do siebie. Czystego nieba.

Zimowy Księżyc najwyraźniej chciał się go szybko pozbyć, ale Mroczny Wiatr nie miał mu tego za złe.

— Wiatru w skrzydłach — odpowiedział i ruszył przed siebie.

Kiedy dotarł do ekele, obudził Vree, żeby mu zrzucił drabinkę. Więżptak narzekał okrutnie i prawie zaraz zasnął, nie czekając, aż jego Towarzysz wejdzie na górę. Chociaż był bardzo zmęczony i odprężony, nie mógł przestać myśleć o Nyarze, tym razem jednak nieco podejrzliwie. „Niemał jak ojciec albo Zimowy Księżyc. Są bardziej do siebie podobni, niż myślą”. Żałował, że nie przekonał Starszych, by przenieść Zmiennolicą gdzieś bliżej; gdyby mieszkała w eke-

le po którymś z zabitych zwiadowców, łatwiej byłoby jej pilnować. Oczywiście, Gwiezdne Ostrze sprzeciwiłby się temu, dla zasady.

Jednak Zmiennolica nadal znajdowała się w pobliżu; mógł liczyć na spryt her-tasi, gryfy, trzech czy czterech tervardi, stado dyheli oraz Jutrzenkę patrolującą obszar między Doliną i granicą, więc uciekać mogła tylko tam, skąd przyszła. „Nie widzę powodu, dla którego mogłaby tam wrócić”, ziewnął. „Jeśli uciekła, co, na bogów, przyciągnęłoby ją z powrotem?”

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

INTERLUDIUM

Nyara klęczała przed ojcem, a przerażenie walczyło w niej z zupełnie innym uczuciem — czystym, nieposkromionym pożądaniem. Nienawidziła tej żądy, tego ognia, który sprawiał, iż go pragnęła, i samej siebie za to, że go nienawidzi. Choć nie mogła tego kontrolować, chociaż to on stworzył w niej to pożądanie, wymodelował jej ciało, myśli i uczucia tak, aby mu służyły, to się nie liczyło. Czasami podejrzewała, że stworzył w niej także tę nienawiść, ot tak, dla zabawy. Kiedy wezwał ją tamtej nocy, odpowiedziała, mimo że uciekła, mimo że mówiła sobie, iż może, musi mu stawiać opór, bo to też w niej stworzył. Dlatego teraz leżała u jego stóp, tęskniąc za jego dotykiem, którego się bała i nienawidziła. Pogardzała sobą za myśl, że tak łatwo udało jej się umknąć.

Oszukanie hertasi nie stanowiło problemu: nie byli zwierzętami nocnymi, a iluzja jej samej śpiącej w grocie wystarczyła, aby zmylić ich czujność. Nie kłamała. Do dzisiejszej nocy naprawdę myślała, że mu uciekła, a jej siniaki i ból nie były udawane. Jednego hertasi nie wiedzieli: na ile mogła przetrwać ból i zignorować własną słabość, jeśli nie miała innego wyjścia. Właśnie w ten sposób uwolniła dyheli, właśnie w ten sposób odpowiedziała na jego zew.

Jak zwykle, nic nie powiedział: uśmiechnął się tylko i czekał, aż sama przyzna, jaka jest bezradna, jak bardzo od niego zależna.

Jeśli ona tylko przypominała kota, Mornelithe Zmora Sokołów był kotem — kotem, który chodził na dwóch nogach i mówił, ale na tym kończyło się jakiegokolwiek podobieństwo do człowieka. Jego grzbiet pokrywało złociste futro, na twarzy rosły włosy, szczotkowane i przycinane przez służących gotowych stawić się na każde jego wezwanie. Oczy miał złocistozielone, a kły ostrzejsze i większe niż ona, uszy też zakończone pędzelkami, a z karku spływała mu imponująca grzywa. Poza tym jego ciało stanowiło obiekt marzeń każdego rzeźbiarza. A Nyara znała każdy jego cal. . .

Skoro już musiał wyruszyć ze swej fortecy na granicę z k'Sheyne, ubrał się w skóry dopasowane do koloru włosów. Mornelithe nie przepadał za wystawnym

ubiorem; większość czasu chodził nago. O tym też wiedziała.

Kłęczała tak długo, aż kolana zaczęły ją boleć od kamyków i gałązek, których nie mogła odsunąć. On siedział na futrze przerzuconym przez pień zwalnego drzewa. Światło lampy magicznej rzucało złote błyski na jego włosy, grzywę i nietoperze skrzydła dwóch strażników, pół wilków, pół czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Niektóre z jej blizn zostawiły ich zęby, kiedy uczyły ją, jakie miejsce zajmuje w hierarchii i jak ma się podporządkowywać. Nauczyła się więc nie ruszać bez rozkazu, nie odzywać nie pytana.

— No cóż — powiedział w końcu cichym, ciepłym i kojącym głosem, w którym brzmiało rozbawienie. — Skorzystałaś z mej propozycji ucieczki do Ptasich Głupców zupełnie, jakbyś sama ją wymyśliła, córeczko. Jestem z Ciebie dumny.

Upokorzenie spalało ją; więc to wszystko to był jego pomysł: nieuważni strażnicy, uwięzione dyheli. Bez wątpienia zaplanował wszystko, doskonale wiedząc, jak zareaguje. Powinna była się domyśleć. . .

— Doskonale wywiązałaś się z zadania, dziecko. Rzucili na Ciebie Zakłęcie Prawdy, jak mniemam?

— W pewien sposób — wyszeptwała, drżąc ze wstydu, że jego uznanie tak ją podnieca. — Ptasi Lud jeszcze mi nie ufa. Trzymają mnie na granicy pod strażą hertasi i jednego zwiadowcy.

— Tylko jednego? — Mornelithe odrzucił w tył głowę i roześmiał się, a strażnicy mu zawtórowali na swój własny, paskudny sposób. — Ufają ci bardziej, niż myślałem, córeczko. Nikt inny Cię nie strzeże?

Musiła powiedzieć prawdę, ale mogła sprawić, że będzie ją z niej wyciągać słowo po słowie i może się zmęczy, zanim pozna ją do końca. Niech myśli, że strach ją paraliżuje:

— Dwoje — szepnęła.

— Hertasi?

Potrząsnęła głową.

— Tervardi? — I znów zaprzeczyła, mając nadzieję, że straci zainteresowanie.

— Na pewno nie dyheli? Nie? — Zmarszczył czoło i straciła nadzieję na ukrycie, kim byli jej przyjaciele. — Kim oni są? Mów! — Przygwoździł ją do ziemi bólem, którego nie mogła znieść, który zaćmiewał jej umysł i rozrywał ciało.

— Gryfy — jęknęła przez łzy — Gryfami!

Ból zelżał i dźwignęła się z powrotem na kolana ze zwieszoną głową. Walczyła ze łzami, żeby nie okazać, jak bardzo polubiła tę parę i nie dać mu do ręki kolejnej broni, którą przeciw niej wykorzysta.

— Gryfy — jego głos pogłębił się, a bestie zawarczały. — Gryfy, tutaj. Muszę to przemyśleć. Porozmawiamy o nich później, dziecko.

Podniosła wzrok: patrzył w mroczny las, myśląc o czymś innym, a potem spojrzął na nią i uśmiechnął się, gdy zobaczył łzy. Pochylił się, zliznął jedną z nich

długim, giętkim językiem, a ona zadrzała od pożądania, którego nie mogła kontrolować.

— Ten Ptasi Głupiec. Jak mu na imię? — spytał, siadając na pniu.

— Mroczny Wiatr.

Jego oczy rozświetlił wewnętrzny blask i znów się roześmiał.

— Mroczny Wiatr! Syn mojego drogiego przyjaciela, Gwiezdnego Ostrza! Zachwycająca ironia, czyż nie? Czy Gwiezdne Ostrze cię widział, najdroższa?

Potrząsnęła głową.

— Szkoda; na pewno rozpoznałby cię, tak, jak ty jego. — Widząc go w tak dobrym humorze, odważyła się zapytać:

— Czy ja go kiedyś widziałam?

— Oczywiście, kochanie. Wiele dni go u siebie gościłem... — oblizwał wargi.

— Wiele, wiele dni, a ty zjadłaś na obiad jego ptaka, nie pamiętasz? Dałem mu w zamian kruka, kiedy już się nauczył mi służyć.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy przypomniała sobie schwytanego Tayledras, którego Mornelithe złamał; jakże była zazdrosna, że zajął jej miejsce i jak bardzo ta zazdrość rozbawiła Mornelithe'a. W końcu przykuł ją łańcuchem w rogu swej sypialni i mogła obserwować wszystko, co robił z więźniem. A ten na pewno ją zapamiętał...

— Słoneczko, gdybyś w jakiś sposób dostała się do Gwiezdnego Ostrza, sprawiłoby mi to wielką przyjemność. Moja zemsta byłaby tym słodsza, im większą on miałby pewność, że moja córeczka uwodzi jego ukochanego syna. Ach, jak bardzo musiałby cierpieć i nie mógłby nic powiedzieć...

— Nie wiem, czy mi się uda — powiedziała pokornie. — On nie opuszcza Doliny, a ja nie mogę do niej wejść.

— Ach, w takim razie nie będę naciskał. — Jego spojrzenie stało się nieobecne.

— Czy powinnam o czymś wiedzieć, mój panie? — odważyła się zapytać.

— Nie, po prostu myślę o czymś poważniejszym. Długo czekałem z zemstą, poczekam jeszcze trochę.

Odetchnęła z ulgą myśląc, że to już koniec, że zapomniał o Treyvanie i Hydronie... Próżna nadzieja.

— Gryfy — zażądał. — Chcę o nich wiedzieć wszystko. Wyrecytowała wszystko, co wiedziała: imiona, wygląd, że mają dwoje młodych, gdzie i dlaczego mają gniazdo. I że niedługo odbędą gody. Na tę wiadomość zeszywniał, a ona skurczyła się w sobie, pełna obrzydzenia dla własnej słabości. Spojrzała na niego bojaźliwie. Wyraźnie błędził gdzieś myślami, a strażnicy wstrzymywali oddech, żeby mu nie przeszkadzać. W końcu wycelował w nią palec z wyciągniętym pazurem.

— Więcej! — zażądał. — Chcę wiedzieć więcej!

Jednak nic więcej nie wiedziała, więc ją ukarał bólem, którego przyczyny nie dostrzeże żaden uzdrowiciel, a który będzie trwał tygodnie. Im bardziej ją ranił, tym bardziej go pożądała, aż ból i żądza zlały się w jedno, a ona nie wiedziała, czy krzyczy z bólu, czy z pragnienia. W końcu ją puścił, osunęła się wyczerpana, lecz ciągle gotowa.

— Starczy — powiedział delikatnie. — Dowiesz się więcej. Przywołam cię znowu i wszystko mi opowiesz. Jeśli możesz, uwiedź Mroczny Wiatr, w każdym razie chcę, żebyś poznała wszystkie tajemnice gryfów.

— Tak — szepnęła.

— Wrócisz, kiedy cię wezwę.

— Tak.

— Pamiętaj, że potrafię sięgnąć daleko i ukarać cię nawet wtedy, kiedy będziesz w samym środku Doliny k'Sheyna. Na ich kamieniu-sercu widnieje teraz mój znak.

— Tak.

— Nie myśl, że możesz naprawdę przede mną uciec. Stworzyłem cię, córeczko, z mego ciała i mogę cię równie łatwo zniszczyć — przesunął pazurem po jej podbródku i mimo woli zadrżała. Nic nie powiedziała, patrzyła tylko bezradnie w okrutne, lśniące oczy.

— Znajdę cię wszędzie, gdzie spróbujesz się skryć, a wtedy wszystko, czego dotychczas doświadczyłaś, wyda ci się rajem. Rozumiesz mnie, prawda, córeczko?

Rozpłakała się, poprzez łzy ledwie mogła dostrzec jego twarz. Wyszeptwała:

— Tak, ojczu.

— I co jeszcze? — spytał, jak zwykle. — Co córka mówi ojcu?

A ona odpowiedziała, jak zwykle.

— Ko-ko-kocham cię, ojczu. Kocham cię, ojczu. Kocham cię i tylko tobie służę — powtarzała, a łzy spływały po jej policzkach.

ROZDZIAŁ CZTRERNASTY

ELSPETH

Kata'shin'a'in było miastem namiotów. Przynajmniej na takie wyglądało z daleka. Skif i Elspeth przyglądali mu się i zastanawiali, co w nim jest takiego dziwnego; odróżniało się od wszystkich innych czymś, czego nie potrafili zdefiniować i co nie mieściło im się w głowach. Po chwili Elspeth zrozumiała, że to, co ją tak denerwowało, to kolory: miasto wydawało się być zbiorowiskiem wściekle kolorowych punktów. Czyżby każdy dach pomalowano na inny kolor? Ale po co? Po co w ogóle malować dachy? W miarę, jak się zbliżali, punkty nabierały stożkowatych kształtów: stożkowate, kolorowe dachy? Co za dziwactwo! Jaki budynek ma stożkowaty dach? I wtedy zrozumiała: patrzyła na namioty. Setki, może nawet tysiące namiotów. Zrozumiała, dlaczego Quenten mówił, że miasto wymierało w zimie: gdzieś wewnątrz tego bałaganu musiało istnieć centrum, z porządnymi budynkami, gospodami i karawanserajami, ale kiedy kończył się sezon handlowy, kupcy zwijali swoje namioty i niewiele zostawało.

Rzuciła okiem na Skifa, który studiował miasto ze zmarszczonymi brwiami.

— Co jest? — spytała.

— Ciekawe, jak tutaj znajdziemy Tale'sedrin? — warknął. — Spójrz tylko, tu nie ma żadnej organizacji. . .

— Według naszych standardów — przerwała. — Uwierz mi, oni są zorganizowani i jak tylko dotrzemy do jakiejś gospody, ktoś nam wszystko wytłumaczy. Gdyby było inaczej, nie mogliby handlować, bo cały czas szukaliby się nawzajem. Znasz jakiegoś zamożnego, nie zorganizowanego kupca?

— Racja — przyświadczył.

Nie podoba mi się to — narzekała Gwena.

Jestem tego doskonale świadoma — odparła szorstko Elspeth.

Myślę, że to błąd. Duży błąd. Ciągle jeszcze możemy zawrócić. — Elspeth nie odpowiedziała i Gwena ciągnęła: — *Gdybyś zawróciła, dojechalibyśmy do Lythecare za. . .* — Cierpliwość dziewczyny w końcu się wyczerpała i poniosły ją nerwy.

Do ciężkiej cholery, mówiłam ci, że nie pozwolę robić z siebie owcy biegnącej za stadem! Nie wierzę w przeznaczenie ani w los, a na twojej szachownicy pionkiem nie będę na pewno! Zrobię to po swojemu albo wcale i wtedy proszę bardzo, znajdź sobie innego błędnego rycerza! Zrozumiałas? — Odpowiedzią był jedynie głęboki, gardłowy śmiech i Elspeth poczuła, że jeszcze chwila, a nie zniesie tego dłużej i pójdzie do Kata'shin'a'in na piechotę. — *I! Przestań! Się! Ze! Mnie! Śmiać!* — rzuciła wściekle, oddzielając słowa, żeby Gwena nie miała najmniejszych problemów z ich zrozumieniem.

Odpowiedziała jej całkowita cisza, a potem usłyszała pokorny i cichutki głos Gweny: — *Ja się wcale nie śmiałam. . .*

Uspokoili się natychmiast i zamrugali. Rzeczywiście, nie był to śmiech Gweny, a Towarzysze nie kłamały. Jeśli to nie ona. . .

Kto to był, jeśli nie ty?

Ja. . . — Gwena zawahała się i lypnęła okiem na Skifa jadącego przodem, najwyraźniej zupełnie nieświadomego tego, co się działo za jego plecami. — *Ja nie wiem. . .*

Elspeth poczuła dreszcz na plecach i natychmiast obie osłoniły swoje umysły. Rozglądała się wokół, szukając kogoś, kto mógł je podsłuchiwać. To nie był Skif, bo głos brzmiał absolutnie po kobiecemu. To nie była Cymry; Towarzysze rozmawiały z nią tylko raz, tej nocy, kiedy ratowali Talię, a poza tym żaden z nich nie zniżyłby się do głupiego śmiechu. Równie dobrze mógł kłamać. A poza tym Gwena rozpoznałaby głos Cymry. Wokół Kata'shin'a'in nie było drzew, za którymi ktoś mógłby się ukryć, i choć w zasięgu myślgłosu znajdowały się dwie karawany, to jednak śmiech zdawał się rozbrzmiewać tuż obok. Jedynym hałasem były myśli zwykłych ludzi, buczące w oddali jak rój pszczół. Poczuli, że żołądek ścisnął się ze strachu, i odruchowo chwyciła rękojeść miecza.

Ty. . . — rozległ się powolny, senny, ochrypły głos i Elspeth zamarła. — *Dziecko, jesteś. . . bardzo podobna. . . do Yllyany. . . mojej uczennicy. Dawno temu. . . bardzo, bardzo dawno. . .* — Kiedy ostatnie słowo przebrzmiało, miała w głowie kompletny chaos. Była zaskoczona, przestraszona, podniecona i nie dowierzała własnym zmysłom. To miecz z nią rozmawiał.

Skif obejrzał się przez ramię.

— Hej, co z tobą? — zawołał. — To nie ja chciałem tu przyjechać! — Coś jednak przykuło jego uwagę i zawrócił.

— Co się stało? — zapytał, a kiedy Elspeth mu nie odpowiedziała, chwycił ją za ramiona i silnie potrząsnął. — Dalejże, wykrztuś to z siebie! Co się dzieje? Elspeth!

Potrząsnęła głową.

— Bogowie — jęknęła, czując się tak, jakby w głowie miała błoto. — Bogowie najstodsi, Skif, ten miecz. . .

— Miecz Kero? — Patrzył jej w oczy, jakby szukał w nich śladów obłądu. — Co z nim?

— Przemówił do mnie. Do nas. Gwena też go słyszała.

Skif zamarł.

— To niemożliwe — stwierdził.

— Tak. Gwena też go słyszała. — Gwena pokiwała głową tak silnie, że cała uprzęż zadzwoniła.

— Miecz? — zaśmiał się nerwowo. — Miecze nie mówią, chyba że w baśniach.

Ale... ja jestem... mieczem z baśni. Chłopcze. — W myśl głósie ciągle po-brzmiewały nutki humoru. — *A konie... też nie mówią... chyba że w baśniach.*

Skif opadł ciężko na siodło, a jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Gdyby nie to, że doskonale wiedziała, jak on się musi czuć, parsknęłaby śmiechem. Wyglądał, jakby dostał cegłą w łeb.

— On mówi! — wrzasnął w końcu, kiedy już zdołał wydobyć z siebie głos.

Oczywiście, że mówię. — Myślmowa miecza stawała się lepsza z chwili na chwilę. — *Jestem takim samym człowiekiem, jak ty. Czy też byłam. Kiedyś.*

— Byłaś? — wyszeptała Elspeth. — Kiedy? Dlaczego teraz jesteś taka? Dlaczego... .

To długa historia. I może jeszcze trochę poczekać. Masz ważniejsze rzeczy do zrobienia, dziecko: dojedź do miasta, znajdź dach nad głową, miejsce, w którym można usiąść na chwilę. A wtedy porozmawiamy...

Gospoda była bardzo stara; w kamiennych płytach podwórza wyłobiono głębokie koleiny, a ściany malowano wapnem tyle razy, że nie sposób było orzec, czy zrobiono je z gipsu, cegły czy kamienia. Właściciel, mały i obojętny człowieczek, zdawał się mieć tyle lat, co jego gospoda. Kamienne podłogi i łaźnia wskazywały, że kiedyś zatrzymywali się tutaj zamożni kupcy, ale teraz znajdowała tu schronienie hałastra złożona głównie z najemników i podrzędnych kupców, którzy dotrzymywali sobie towarzystwa przy piwie i omawiali szczegóły ewentualnych wspólnych wypraw.

Ich pokój dokładnie pasował do reszty budynku: stara podłoga, splewiałe zasłony w oknie, siennik na łóżku zbitym z czterech desek, stół i nic więcej. A poza tym sprawiał wrażenie, jakby w pośpiechu wydzielono go z większej izby. Na szczęście był czysty.

Elspeth wyjęła miecz z pochwy, położyła na łóżku i ostrożnie usiadła obok. Skif przysiadł z drugiej strony. Towarzysze, zamknięte w stajni, były obecne w ich umysłach, żeby przysłuchiwać się rozmowie. „A teraz powinno się okazać, że dostałam świra i wszystko mi się tylko wydawało”.

— Dobrze — powiedziała, chociaż rozmawianie z przedmiotem wydawało się

jej co najmniej dziwne. — Jesteśmy w gospodzie. Drzwi są zamknięte. Nadal tu jesteś?

A niby gdzie mam być? — odpowiedział miecz. Oboje podskoczyli.

— Rozsądne pytanie, jak myślę — Elspeth uśmiechnęła się blado. — Będiesz z nami rozmawiać?

A niby co teraz robię? Co chcecie wiedzieć?

Elspeth poczuła kompletną pustkę w mózgu. Skif ją wyręczył.

— Po pierwsze, jak masz na imię — powiedział. — Nie możemy mówić o tobie „miecz”, a „hej, ty!” jest niegrzeczne.

Gwiazdy przynajświętsze, dobrze wychowany młodzieniec! — Miecz roześmiał się, ale najwidoczniej nie odpowiadała mu zbyt rozmowa z mężczyzną. — *Istny cud! Chyba zbliża się koniec świata!*

— Nie sędzę — odparł powoli Skif. — Ciągłe nie wiemy, jak ci na imię.

Typowy mężczyzna. Mam na imię. . . — Zapadła długa cisza, aż w końcu, kiedy zaczęli się zastanawiać, czy wszystko jest w porządku, miecz znów przemówił. — *Wiecie, że zapomniałam? Dziwne. Bardzo dziwne. Nie myślałam, że zdarzy mi się coś takiego.* — Znów przerwał na chwilę. — *Skleroza nie boli. Mówcie na mnie Potrzeba, używam tego imienia dłużej niż tamtego danego na chrzcie.*

Elspeth wzruszyła ramionami.

— W porządku, eee. . . Potrzebo. Jeśli to ci nie przeszkadza.

W moim wieku niewiele rzeczy przeszkadza. A kiedy jesteś niezniszczalna, nie przeszkadza właściwie nic. Oto korzyści wcielenia w miecz.

— Jak to się stało? — spytała Elspeth. — Mówiłaś, że byłaś człowiekiem.

Łatwiej pokazać, niż opowiedzieć. Dlatego chciałam, żebyście zamknęli drzwi i usiedli.

I nagle znaleźli się zupełnie gdzie indziej.

Kuźnia; Elspeth widywała już takie. Ceglane ściany, brudna podłoga; patrzyła na wszystko, czując się jak pasażer podróżujący w cudzej głowie.

Wytarła miecz naoliwioną irchą i z przyjemnością wsunęła go do pochwy z drewna i skóry, a potem włożyła do skórzanej paki razem z jedenastoma innymi. Po trzy na każdą porę roku, każdy z odpowiednim zaklęciem. Roczna praca, która przyniesie zysk Siostrzanemu Związkowi. Jutro zabierze je na jesienny jarmark i wróci z pieniędzmi. Jej miecze zawsze szły po wysokich cenach na jarmarku, chociaż nie aż tak wielkich, jak gdzie indziej. Kupcy sprzedawali je dalej, do księstw i hrabstw, w których nie było Siostrzanego Związku Miecza i Zaklęcia. Jednak zanim to nastąpiło, miecze ozdabiano klejnotami, przydawano im piękne pochwy i pasy z najlepszej skóry.

Bawiło ją to. Płacono za jej dzieło: miecze, które nie rdzewiały, nie łamały się ani nie tępiły, miecze z zaklęciami na każdą porę roku: wiosenne zaklęcie spoko-

ju, letnie nadzoru, jesienne uzdrawiania i zimowe zakłęcie przynoszące szczęście. Cenne, wszystkie. Córka wojownika, kiedyś sama parająca się tą profesją, a teraz kowal magiczny, wiedziała, jak ważnym jest nie tracić głowy w najgorszych sytuacjach. Miecze wiosenne dostawali młodzi rycerze; zakłęcie opieki nie potrzebowało dodatkowej rekomendacji i zazwyczaj letnie miecze kupowali strażnicy, a jesienne najemnicy i możni, którzy nie ufali swoim uzdrowicielom. A młodszy synowie szlachty wybierali zimowe ostrza wierząc, że zawsze przyniosą im szczęście. Ostrza nie potrzebowały dodatkowych ozdóbek, ale pośrednik zaklinał się, że bez nich nikt nie uwierzy w magię. Było to dla niej nad wyraz głupie, ale z drugiej strony większość magów nosiła takie stroje, że koń by się uśmieł. Jej starcał skórzany fartuch w kuźni i prosta lniana suknia poza nią.

Raz na cztery lata wykonywała jedenaście mieczy zamiast dwunastu i wszystkie zakłęcia zakuwała w jedno ostrze. Nigdy ich nie sprzedawała; kiedy któraś z Siostrzeństwa wydała jej się odpowiednia — była nie tylko wyszkoloną, lecz inteligentną i dobrą wojowniczką — dawała jej miecz, zazwyczaj zanim dziewczyna wyruszyła w świat. Nie mówiła, co się w nim kryje, pozwalała jej wierzyć, że to po prostu jedno z tych wspaniałych, nierdzewnych i nie do złamania ostrzy, być może ze zwykłym czarem uzdrawiania. W końcu dlaczego niby miałyby polegać na mieczu? A jeszcze nie usłyszała wieści, że ktoś domyślił się prawdy.

Pod podłogą kuźni czekał jeden z nich, ale nie znalazła jeszcze nikogo wartego otrzymania go. Nie robi następno, dopóki ten nie znajdzie właścicielki.

Oto, kim byłam — zaszeptał głos w głowie Elspeth.

Otoczenie zmieniło się: wielki kompleks budynków przypominający szkołę Quentena, ale bez palisady i miasta za nią. Otoczone ze wszystkich stron lasem, budynki stały na polanie i wyglądały na bardzo stare. Nagle dostrzegła jeszcze jedną różnicę: płaskie dachy. Płaskie dachy i kwadratowe drzwi z wyrzeźbionymi na portalu znakami.

Była zmęczona; na starość zdarzało jej się to coraz częściej. Życie w kuźni bynajmniej nie zapobiegało bólowi kości i puchnięciu stawów, a uzdrowiciele niewiele mogli poradzić, chyba że przestałaby pracować. Szła na kompromis i trochę ograniczała pracę, a oni starali się najlepiej, jak mogli.

Przyglądała się ćwiczącym dziewczętom i dochodziła do wniosku, że żadna nie zasługuje na jej miecz. Właściwie, ta jedyna, której byłaby skłonna go podarować, nie była wcale wojowniczką, tylko magiem, a teraz ćwiczyła z innymi. Wszystkie kobiety-magowie w Siostrzanym Związku ćwiczyły regularnie, aby przypadkiem się nie rozły albo nie dostały anemii od nadużywania swej wewnętrznej energii. Oceniała dziewczynę i zastanawiała się, czy przypadkiem nie widzi po prostu tego, co chce zobaczyć. W końcu przecież sama zaczynała jako wojowniczka, a nie mag, więc dlaczego ktoś inny nie miałby też połączyć tych dwóch profesji? Właśnie jak Vena, absolutnie jedyna zasługująca na miecz. Nigdy nie przydarzyło jej się coś takiego.

Siostrzany Związek było niezwykłą grupą: po części świątynią, wojskiem i szkołą magów. Przyjmowano każdą kobietę gotową pracować i uczyć się czegoś pożytecznego. Czczono tu Bliźnięta, czworo bogów i bogiń: Kerenala i Dinę, Karanela i Darę, rzemieślnika, uzdrowicielkę, łowcę i wojowniczkę. Obibokom pokazywano drzwi, a te, które osiągnęły odpowiedni poziom, ruszały w świat, chociaż niektóre wołały zostać w Siostrzanym Związku i wspomagać go swymi umiejętnościami. Dziewczęta uzdolnione magicznie uczono zaklęć, te, które wybierały miecz, stawaly się wspaniałymi wojowniczkami, a jeszcze inne specjalizowały się w uzdrawianiu czy też, bardzo rzadko, zostawały kaptankami. Siostrzany Związek utrzymywał się z pracy swych rzemieślników i czasami z żołdu najemniczek, a od wszystkich kobiet wymagano tylko jednego: absolutnego celibatu.

Dla kobiety, której dusza przebywała w mieczu zwanym „Potrzebą”, nie stanowiło to problemu.

Elspeth nigdy nie natknęła się na wzmiankę o Bliźniętach czy Siostrzanym Związku Miecza i Zaklęcia podczas swych poszukiwań, ale z drugiej strony biblioteka w Haven nie zawierała żadnej książki traktującej o Zimnych Bogach, a o ich istnieniu przekonała się na własnej skórze.

Żaden mężczyzna nigdy nie wydał jej się bardziej pociągający od magii i kowalstwa, a poza tym ci, których przyciągnęłaby kobieta o końskiej szczęce i rozbudowanych bicepsach, akurat nie byli w jej typie. Westchnęła i wróciła do kuźni.

Otoczenie znów się zmieniło, tym razem była to droga w gęstym lesie, widziana z końskiego grzbietu. Elspeth nigdy nie spotkała tak ogromnych drzew; oczywiście, nigdy nie widziała też Lasu Pelagirskiego, ale to, co opowiadali napotkani najemnicy, przypominało trochę tę puszcę. Chyba że najemnicy przesadzali.

Jarmark nie podniecał jej już, tylko męczył. Cieszyła się, że wraca do domu. Nagle przez zapach sosen przebił się inny: ostry zapach dymu. Nie powinno go tu w ogóle być, bo nikt nie obozował w pobliżu, a Siostrzany Związek nie miał wielu pieców. Poczowała, jak strach skręca jej żołądek, i popędziła konia. Im bardziej się zbliżała, tym dym stawał się gęstszy. Kiedy wyjechała na polanę, ujrzała rzeź.

Elspeth nie widziała czegoś takiego nawet podczas wojny z Hardornem: leżące wszędzie nagie ciała, martwe; kilku mężczyzn między nieżywymi kobietami, budynki wypalone do fundamentów.

Oniemiała, a niewiara w to, co widzi, przykuła ją do siodła. W głowie miała tylko jedno pytanie: Dlaczego? Nie były bogate, wszyscy o tym wiedzieli, a tych niewielu wrogów, jakich sobie narobiły, nigdy nie chciało krwawej zemsty. Nie miały sekretów, magiczne ostrza mógł przecież wykuwać każdy, kto chciał poświęcić czas na naukę tego rzemiosła. Dlaczego? I kto to zrobił?

Wtedy z lasu nadbiegła Vena, zalana łzami, z twarzą umazaną popiołem i błotem, a włosami pełnymi kory i sosnowych igieł.

Elspeth znów znalazła się w kuźni, a raczej tym, co z niej zostało. I nagle wiedziała, co się wydarzyło. Kiedy nastąpił atak, Vena była w lesie. Natychmiast

wspięła się na najbliższe drzewo, ukryła wśród jego gałęzi i teraz mogła odpowiedzieć na dręczące pytania. „Kto?” — czarnoksiężnik Heshain, który nigdy przedtem nie zwracał na Siostrzeństwo uwagi; kiedy Vena opisała znaki na tarczach i ubraniu żołnierzy, rozpoznała jej natychmiast. „Dlaczego?”

Jego ludzie wyszukali i zabili każdą wojowniczkę i rzemieślniczkę, a magowie, którzy z nimi przybyli, wszystkie kobiety-magów. Potem złapali młode uczennice, podpalili budynki, aby wypędzić z nich ukrywające się kobiety, i zamordowali te, które nie były młode, a miały talent magiczny. Zrobili to zimno i szybko: żadnych gwałtów, tylko rzeź. Potem wszystkie ciała ogołococono z przedmiotów umożliwiających rozpoznanie, a uczennice związane, załadowano na wóz i wywieziono, ale poza tym nikt ich nie krzywdził. Vena spędziła na drzewie całą noc, a gdy napastnicy nie wrócili, zdecydowała się zejść i zbliżyć do ruin.

Vena nie miała pojęcia, dlaczego czarnoksiężnik to zrobił, lecz porwanie uczennic powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Chciał wzmocnić swoje siły: przekupić, uwieść albo w jakiś inny sposób nagiąć je do swej woli. Trzeba było ratować, nie tylko ze względu na nie czy Siostrzany Związek, gdyby bowiem powiódł się jego zamiar, wzmocniłby się tak bardzo, że stałby się wielkim zagrożeniem. Kogoś, kto robi takie rzeczy, trzeba powstrzymać. To nie ulegało wątpliwości.

A powstrzymać go miały stara, zreumatyzowana baba i niedouczona dziewczuszka. Do tego zadania potrzeba było najlepszego wojownika i maga równego Heshainowi. Sprawnego maga.

Jednak istniał pewien sposób, aby zdrową i silną Venę wyposażyć we wszystkie zdolności, a jedna osoba mogła czasami dokonać rzeczy, o których nie śniło się armiom. Jedna osoba, jednocześnie mag i wojownik. . .

To była ich ostatnia nadzieja. Wysłała więc Venę na poszukiwanie ziół, aby pozbyć się jej na jakiś czas, bo chciała zrobić coś, co robiono za jej życia tylko raz i to nie za pomocą jej zaklętych mieczy.

Wyjęła ostrze spod resztek podłogi, rozgrzała palenisko i zaniósła rozpaczliwą prośbę do Bliźniąt, a potem włożyła rozpalony do białości miecz w kleszcze i rzuciła się na niego.

Przeszył ją ból tak straszny i potężny, że szybko przestał być „bólem”, a stał się czymś innym, a potem zatracił nawet tę inność i Elspeth poczuła coś, czego nigdy nie doświadczała: rozrywające zagubienie, oddalenie. . . A potem nic. Absolutnie nic, żadnego dźwięku, obrazu czy smaku; gdyby nie zdawała sobie sprawy z tego, że to tylko czyjeś wspomnienie, zwariowałyby ze strachu. A jednocześnie wiedziała, iż za nic na świecie nie chciała tego przeżyć po raz drugi, bo to była najstraszniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek doświadczyła.

Dotknięcie. Połączenie. Fala uczuć o niezwykłej mocy i ostrości. Żal. Ktoś płakał. Vena; dzieliła uczucia Veny! Zaklęcie podziałało: zjednoczyła się z mieczem, nie tracąc swych magicznych umiejętności ani tego, czego się nauczyła, będąc

wojowniczką.

Spróbowała na początek poruszyć ręką Veny jak swoją własną: dziewczyna szarpnęła swą tunikę, a ona poczuła, iż panuje nad jej gestami. Mogła więc używać swych zdolności, o ile dziewczyna przestanie kontrolować swoje ciało; wtedy stanie się doskonałym szermierzem.

Vena westchnęła bezradnie i kiedy opadła pierwsza fala euforii, zdała sobie sprawę z tego, iż powinna jej była powiedzieć, że nie jest martwa. A przynajmniej niezupełnie...

Miecz uwolnił ich spod swego wpływu, zostawiając ich drżących i zdezorientowanych.

Elsbeth cieszyła się, że otrząsnęła się z szoku prędzej niż Skif. Nigdy jeszcze nie doświadczyła tak intymnej jedności z czyimiś myślami i uczuciami ani wydarzeniami podobnymi do śmierci i ponownych narodzin Potrzeby. Nigdy nie spotkała nikogo, kto myślałby i czuł w taki nieludzki sposób. Wspomnienia, choć tak intensywne, były dziwne: jakby słuchała kogoś, czyj głos ochryplł po latach przebywania w kuźni, a jednocześnie uczucia zdawały się odległe i obce. Pewnie stąd wynikało wrażenie nieludzkości; poza tym nie wiedziała, ile lat ma Potrzeba i miała dziwną pewność, że ona sama też tego nie wie. Spędziła zbyt wiele lat uwięziona w mieczu, aby nie miało to na nią żadnego wpływu.

Wiele czasu upłynęło, zanim zdecydowała się ponownie otworzyć umysł przed mieczem, i wymagało to więcej odwagi, niż sądziła.

Wolałabym, żebyś tego nie robiła — powiedział miecz z irytacją.

— Czego? — zdziwiła się.

Zamykała się przede mną w ten sposób. Chyba wyraźnie powiedziałam, że widzę i słyszę przez ciebie, a jeśli się zamkniesz, jestem ślepa i głucha.

— Och. — Zadrżała na wspomnienie bólu, zagubienia i nicości. Jak się wtedy czuła Potrzeba? Lepiej nie myśleć.

— Czy zawsze to robisz? — spytała. Skif zdawał się otrząsać z oszołomienia. Popatrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu, jakby z trudem nawiązywał kontakt z rzeczywistością.

Kiedy się z kimś zwiążę, jak z Veną czy moimi innymi właścicielkami, tak. Chyba że się całkowicie ode mnie odłączysz. Zapomniałam, że zwiążanie się z kimś, kto myślmówi, może być niekorzystne. Wiesz, jak się ostaniać, i wcale nie musisz być ze mną w kontakcie.

Gdyby Kero nie opowiedziała jej o swoich perypetiach z mieczem, Elspeth prawdopodobnie okazałaby więcej współczucia. Potrzeba próbowała wielokrotnie kontrolować Kerowyn, kiedy ta była młodsza, a na pewno od czasu do czasu pakowała jej babkę w nieliczne kłopoty. Oczywiście, zawsze w słusznej sprawie, ale...

Ale Kero i Kethry czasami musiały walczyć z innymi kobietami albo stworami przybierającymi kobiece kształty, nierzadko groźniejszymi od mężczyzn, i wtedy Potrzeba zwracała się przeciw swej właścicielce. Nieraz obie znalazły się w sytuacji, kiedy ich własny miecz dopomagał wrogowi. A wiedząc o tym, trudno było wykrzesać z siebie nawet odrobinę współczucia dla Potrzeby. „Biedna Kero”, pomyślała Elspeth. „Zaczynam rozumieć, jak musiała się czuć”.

To jej coś przypomniało.

— Przecież Kero myślmówi! Dlaczego z nią przedtem nie rozmawiałaś?

Spałam — przyznał pokornie miecz. — Przez długi czas byłam wśród wojowniczek bez specjalnych uzdolnień, a potem nastąpiła przerwa. Nie wiem, co się stało, może właścicielka mnie wyrzuciła albo sprzedała, albo nawet zgubiła. Moje zdolności zanikły, a te, które mnie nosiły, były dla mnie tylko snami.

— Co cię zbudziło? — spytał Skif. Widocznie przyszedł już całkowicie do siebie.

Ta przed tobą, myślę. Kerowyn, mówisz? Zaczęła do mnie przemawiać, lecz ja długo się budziłam, a kiedy zaczęłam rozumieć, co się dzieje, przywiozła mnie do was. — Potrzeba umilkła i wszyscy czekali, aż się znów odezwie. W końcu Gwena się znecierpliwiła.

I co dalej? — rzuciła. Elspeth poczuła zaskoczenie miecza.

Co dalej? Byłam cicho, rzecz jasna! Wasz kraj jest doskonale chroniony, koniu. Ktoś zmienił naturę waszych vrondi. One. . .

— Naszego czego? — spytała Elspeth.

Vrondi, dziecinko — znecierpliwiła się Potrzeba. — Wiesz przecież, co to jest? Nawet jeśli nie macie u siebie magów, używacie vrondi do wykrywania kłamstw!

Przypomniała sobie naukę rzucania Zaklęcia Prawdy i słowa Terena: „Myśl o chmurze z oczami. Myśl o zaklęciu i skoncentruj się na chmurze z oczami”. Musiała wymówić to na głos, bo miecz odpowiedział:

Tak, chmury z oczami to właśnie vrondi. A co, myślałaś, że to tylko ćwiczenie dla wyobraźni?

Ponieważ Elspeth tak właśnie myślała, zachowała odpowiedź dla siebie.

Ktoś jakoś zmienił ich naturę i u was są inne. Szukają energii magicznych, a kiedy je znajdują, gromadzą się wokół maga i patrzą, patrzą i patrzą na niego bez ustanku, chyba że jest heroldem i ma ze sobą gadającego konia. — Jeśli miecze umiały parskać, Potrzeba właśnie to zrobiła. — Nic nie mówiłam, a co innego miałam robić? Nie chciałam zwracać na siebie uwagi, więc znów zasnąłam.

Mniemam, że nieco płycej — sucho wtrąciła Gwena.

Owszem. Czekałam, aż opuścicie wasz kraj i przekażą mnie komuś, kogo wy czułam, czyli tobie. Wojownicze z talentem magicznym i postugującej się myślmową.

— A ja cię wywiozłam. . .

I się obudziłam. Wybacz, dziecko, ale potrzebujesz mnie.

Elspeth westchnęła. To była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła: kolejna osoba, która „wiedziała”, co ona powinna robić. „Bogowie, tylko tego mi było trzeba, następnego strażnika. Kogoś, kto ma wyznaczony cel!”

Wkrótce okazało się, że na tym jej kłopoty się nie kończą. Oboje byli wyczerpani, a Skif dosłownie leciał z nóg. Prawdopodobnie dlatego, że Potrzeba nie darzyła mężczyzn przesadną miłością i jej kontakt ze Skifem nie był dla niego zbyt przyjemny. Padł więc na łóżko, a Elspeth stwierdziła, że powinna przemyśleć swe plany, zanim miecz w nich namiesza. Oczywiście, mogło się zdarzyć, że Potrzeba byłaby odpowiednim nauczycielem, ale wolała znaleźć inne wyjście, nawet jeśli oznaczałoby to powrót do Lythecare. Nie znała możliwości ostrza i nie była pewna, czy można mu zaufać. Jeśli tak wymęczyło Skifa, co zrobiłoby innym mężczyznom? Wolała nie ryzykować. Kiedy w końcu włożyła miecz do pochwy i obiecała mu, że nie odgrodzili swego umysłu, wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza i rozejrzeć się po mieście namiotów.

Jak oczekiwała, namioty rozbito zgodnie z ustalonym planem: najdalsze należały do handlarzy bydłem, w ich pobliżu sprzedawano rzeczy przydatne w hodowli, od zgrzebeł poczynając, przez kagańce i nożyce do strzyżenia owiec, na ozdobnych czaprakach kończąc. Dalej koczowali rymarze, szklarze, metalurzy i kamieniarze. Następne namioty należały do sprzedawców tkanin, a najbliżej serca miasta handlowano jedzeniem. Centrum, niezbyt wielkie, składało się głównie z gospod i zajazdów różnego rodzaju i klasy: od tych z klepiskiem zamiast podłogi do przypominających wyłożone jedwabiem pałace, w których służący zapewniali bardzo wyszukane usługi. Elspeth pomyślała, że na liście tych usług oprócz dobrego masażu — na który miałaby ochotę — znajduje się również dziwka, a to jej zupełnie nie pociągało. Miała zresztą ważniejsze rzeczy na głowie. Po pierwsze, musiała znaleźć Shin'a'in, w końcu to było ich miasto. Po drugie, musiała z nimi porozmawiać. A po trzecie, znaleźć kogoś, kto skontaktuje ją z Tale'sedrin. Najlepszym miejscem na szukanie Shin'a'in był niewątpliwie targ bydła, bo oprócz koni hodowali też owce i kozy. A jeśli tam ich nie znajdzie, spróbuje wśród handlarzy tkanin.

Miała nadzieję, że uda jej się wyslizgnąć bez budzenia Skifa, lecz choć Potrzeba przynosiła ponoć szczęście, przy drzwiach gospody poczuła na karku jego oddech. Westchnęła głęboko i powstrzymała się od cierpkich uwag, bo nie miała złudzeń, iż pozwoli jej wyjść samej. Nie dość, że zabrał się za matkowanie, to jeszcze miał dziwny wyraz oczu. Najwyraźniej był nią bardzo zauroczony.

„Powinam była od razu rozpoznać zauroczenie, skoro sama przez to przechodziłam”. A on był święcie przekonany, że ją kocha. „Cudownie”, pomyślała, zmierzając w kierunku targu. „Po prostu świetnie. Mój partner myśli, że mnie kocha, mój Towarzysz chce ze mnie zrobić dziecko-niespodziankę, mój miecz

sam myśli, a ja muszę znaleźć nieuchwytnych członków nieuchwytnego plemienia w mieście, którego języka nie rozumiem. Zaczynam podejrzewać, że zaklęcie przynoszące szczęście dawno przestało działać”.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

MROCZNY WIATR

Treyvan nastroszył pióra i grzebień, a pazurami orał długie bruzdy w miękkiej ziemi. Mroczny Wiatr spojrział na niego spod oka i uśmiechnął się, ale natychmiast podniósł głowę, kiedy padł na niego cień. To była jednak tylko chmura, a Vree nadal czekał w lesie, z dala od kuszącego grzebienia.

— Jak długo jesteś z Hydoną? — zapytał niewinnie.

— Dwanaście lat — odpowiedział gryf. — Co to ma wsspólnego z czymkolwiek?

— Odbyliście już całkiem sporo lotów godowych, prawda? — naciskał dalej. Treyvan nawet się nie zorientował.

— Cóż — odpowiedział, rzucając spojrzenie na Hydonę — tak.

— Skoro masz w tym tyle doświadczenia — roześmiał się Mroczny Wiatr i podrapał gryfa za uszami — nie powinienes okazać tym razem trochę cierpliwości?

Treyvan zamknął oczy.

— I kto mi to mówi? Człowiek, który nawet wykapać się nie umie ssspokojnie? U was okresss godowy trrrwa cały rrrrok!

Hydoną zakrztusiła się, a Mroczny Wiatr, który znał ją wystarczająco długo, uniósł pytająco brwi. Odwróciła się do niego plecami i widział tylko jej ramiona drżące od powstrzymanego śmiechu.

— Wieszysz dobrze — ciągnął Treyvan — że rzuciłem tego rrranka pierrwszsze zakłęcie. I zdajeszysz sobie sssprrrawę z tego, że dopóki nie rzućę drrrugiego, będę się czuł, jakby oblało mnie sstado wśśściekłych pcheł. Tłuma- czyłem ci to ssetki rrrazy, moja sskórrra jessst na mnie za ciassna.

Mroczny Wiatr ugryzł się w język.

— W takim razie lepiej zostawię was samych — powiedział.

— Nie przejmuj się, on przeżyje opóźnienie — odparła Hydoną. — Naprrraw- dę. — Mam nadzieję, że tym rrrazem jesssteśśś gotowy na to, co nasstąpi? Nie tak, jak ossstatnio?

Zaczerwienił się na wspomnienie „ostatniego razu”, kiedy to znacznie młodszy i bez bariery ochronnej znalazł się w zasięgu działania ich zaklęcia godowego. Pierwsze zaklęcie, o którym wspomniał Treyvan, sprawiało, że gody były płodne, w innym wypadku robili to dla czystej przyjemności. Niezależnie od tego, co gryf twierdził na temat okresu godowego u ludzi, jeśli chodzi o aktywność w tej sferze życia, bił każdego człowieka na głowę.

— Poradzę sobie, nie mam już czternastu lat.

— Zauważyłam. Szszszszczególnie przy Jutrzenie. Kiedy ty się z kimśśś na ssstałe związeszsz?

— Eee... — pytanie zaskoczyło go kompletnie. — Kiedy znajdę kogoś tak magicznego, jak ty.

— Pochlebca — rzuciła sucho. — Ale kiedy znajdzieszsz, może osssiedlimy się rrazem w nowym miejszscu, żebyśśmy mogli sssobie nawzajem pilnować dzieci. — Spoglądała przez chwilę w dal. — Po to tu jesssteśśmy; jesssteśśmy w pewnym sssensie pionierami. Naszszsza rrasssa wywiodła się ssstał wiele, wiele lat temu i chcemy zobaczyć, czy już można powrrrócić.

— Mówiaś mi o tym. — Kątem oka dostrzegł, że Treyvan położył się na trawie i rzucał wkoło cierpiętnicze spojrzenia.

— Tak — Hydona zignorowała tę demonstrację. — Chcemy się przekonać, czy możemy mieć tu młode, używać magii tej krrrainy i rrozwijać się; jeśśli tak, za nami pójdą inni. Wieszszsz, naszszsz i twój lud to dawni towarzyszszsze, podobnie jak herrrtasssi i wiele innych. Dobrze by było, gdybyśśmy znów mogli żyć rrazem.

Zaskoczyła go. To, że gryfy mówią płynnie starym kaled'a'in, oszołomiło go, bo choć i język Tayledras, i Shin'a'in od niego pochodził, nikt z tych dwóch ludów nie potrafił go używać. Jednak teraz przeżył znacznie większy szok, bo nigdy nie słyszał, aby ludzie i gryfy byli sobie aż tak bliscy. Kiedy rozważał ten problem, Hydona podeszła do Treyvana i zaczęła pieścić delikatnie jego kark. Najwidoczniej myślała już o niedalekiej przyszłości.

Odkaszlnął.

— Hydona?

— Co? — odparła sennie.

— Kto pilnuje małych? Ja nie mogę się nimi zająć, mam patrol. A jest za spokojnie.

— Nic im nie będzie. Nie wyjdą poza gniazdo, a gdyby nasss wezwały, od rrazu tam polecimy.

— Na pewno? — Jednak ze sposobu, w jaki Hydona patrzyła na Treyvana, domyślił się, że nie otrzyma sensownej odpowiedzi.

— Nic im nie będzie — wymamrotała tylko.

Choć chronił się bardzo uważnie, do jego mózgu zaczęło przenikać podniecenie i stwierdził, że nic tu po nim. Kiedy opuszczał ruiny, spojrzął raz jeszcze

przez ramię i zobaczył gryfy unoszące się w powietrze. Zataczały koła wokół siebie w pół planowanym, pół improwizowanym tańcu, który miał rozpalić ich zmysły. Sądząc po tym, co sam czuł, spełniał on doskonale swoje zadanie.

Zanim opuścił wzrok, zauważył kolejną plamkę na niebie i wiedział, że to czerwonoskrzydły jastrząb. Przed oczami stanęła mu Jutrzenka, której więź-ptak miał czerwone skrzydła, i pod wpływem doznań ostatnich chwil zaczął myśleć o czymś zupełnie innym, niż zamierzał.

Dla Jutrzenki podążanie za myślami jej więź-ptaka było równie proste, jak dla niego unoszenie się w powietrzu, ponieważ praktykowała to już od siedmiu lat; dostała Kyrr, gdy była zaledwie dziesięcioletnią dziewczynką. Vree był z Mrocznym Wiatrem dopiero od jakichś pięciu lat, a przedtem zwiadowca miał sowę pójdzkę, dar od brata.

Sowy pójdzki nie nadawały się na więź-ptaki dla zwiadowcy, ale dla maga stanowiły idealnych towarzyszy.

Normalnie żyły do trzech lat, a hodowane przez Tayledras trzy razy dłużej; wszystkie więź-ptaki zwiadowców żyły dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, niektóre orły po siedemdziesiąt pięć. Pójdzki były maleńkie, żywiły się głównie owadami, przelatywały powoli z drzewa na drzewo, więc w razie jakiegokolwiek zagrożenia nie można było na nie liczyć; mag, używający ich od czasu do czasu jako posłańców, uważał je jednak za czarujące stworzenia. I, oczywiście, nie wiązał się z ptakiem tak blisko, jak zwiadowcy.

Zwiadowcy musieli wytworzyć ze swym ptakiem związek jak z życiowym partnerem, a to wymagało co najmniej roku samego treningu i czterech, pięciu lat na „dotarcie się”; podobnie jak ludziom, ptakom też groziło niebezpieczeństwo i Mroczny Wiatr ostrzegał ich, że ataki będą przybierać na sile; napastnicy zdawali sobie sprawę z tego, jaki wpływ wywiera na zwiadowcę nagła utrata skrzydlatego towarzysza. Jutrzenka wolała nie myśleć, że coś mogłoby przytrafić się Kyrr. . .

Gwiazdne Ostrze stracił swojego więź-ptaka w tak strasznych okolicznościach, że przyplącił to szokiem, i gdy wrócił do Doliny, nie pamiętał, co się wydarzyło. Wyruszył do lasu, w którym szalał pożar spowodowany przez żarptaki, i najprawdopodobniej wtedy coś zabiło jego sokoła. Całe to zajście otaczała aura tajemniczości i Jutrzenka doskonale wszystko pamiętała, bo jej własna matka znalazła maga i pierwsza z nim rozmawiała. Większości wojowników nie było w Dolinie, kiedy dotarła tam wieść o pożarze, więc Gwiazdne Ostrze postanowił sam zbadać sprawę i na kilka dni po prostu zniknął. Znalaziono go oszołomionego na pogorzeliisku; jego więź-ptak zginął, a on nie pamiętał niczego, co się wydarzyło po opuszczeniu Doliny. To nikogo nie dziwiło: był wyczerpany, poparzony i zszokowany, jednak kiedy mijały tygodnie i nadal nie mógł sobie przypomnieć, co zaszło, a potem znalazł sobie kruka spoza Doliny, niektórzy zaczęli się zasta-

nawiać...

Po którejś kłótni z ojcem Mroczny Wiatr powiedział, że Gwiazdne Ostrze zmienił się i przestał być takim, jakiego pamiętał. Winił za ten stan rzeczy katastrofę, ale Jutrzenka miała pewne wątpliwości. Mimo wszystko Gwiazdne Ostrze nie był aż tak przywiązany do żony, jak Mroczny Wiatr chciałby myśleć, nie jej śmierć go tak odmieniła. Uważała, że przyczyną była utrata więź-ptaka, bo wkrótce po tym mag stał się dziwny i milczący. A potem znalazł sobie tego kruka...

Przestała rozmyślać o przeszłości. Miała wolny dzień i postanowiła zaspokoić wreszcie swą ciekawość... Od dawna intrygowały ją gryfy Mrocznego Wiatru. Odwiedziła je nawet raz czy dwa, ale bardzo uprzejmie dały jej do zrozumienia, że nie życzą sobie obecności nikogo poza Mrocznym Wiatrem. A to boleło. Boleło naprawdę bardzo i nikt nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Myślała o tym, kiedy Kyrr zbliżała się do ruin. „Nikt nigdy mnie nie odpędził w ten sposób, wszyscy nieludzie uważają mnie za dobrego towarzysza i przyjaciela. Wszyscy, tervardi, kyree, dyheli, hertasi, nawet żarptaki i wilki! Dlaczego gryfy mnie nie chcą?”

Zadawała to pytanie wielokrotnie, ale nigdy nie otrzymała odpowiedzi: Mroczny Wiatr wykrecał się gadkami o poszanowaniu prywatności, a to tylko rozpało jej ciekawość. Oczywiście, szanowała ich prawo do prywatności, ale dlaczego nie mogą spotkać się z nią poza gniazdem? Dlaczego tylko on skupiał na sobie ich uwagę? To pytanie gryzło ją latami i wiele razy podglądała z oddali gryfy i ich młode. Tego jej zabronić nie mógł, wręcz przeciwnie, cieszył się, że ktoś ma młode na oku, kiedy ich rodzice polują.

Gryfy wiele czasu spędzały na łowach; były w końcu ogromnymi drapieżcami i potrzebowały naprawdę dużo mięsa. Wypuszczały się często bardzo daleko, aby nie naruszyć równowagi w żadnym ze swych obszarów łowieckich i spędzały poza gniazdem cały ranek i popołudnie. Jutrzenka obserwowała młode za każdym razem, kiedy nie miała innych zajęć, łudząc się, że może to zjedna jej wreszcie sympatię Treyvana i Hydony.

Jednakże tydzień temu Mroczny Wiatr zabronił jej przebywania w pobliżu ruin właśnie dzisiaj bez podania konkretnych przyczyn i to doprowadziło ją do szału. Jakże niby miał prawo zabraniać jej czegokolwiek? „Nie powinien być nawet o tym wspominać, bo gdyby siedział cicho, nie wpadłabym na ten pomysł”, przyznała przed samą sobą, kiedy jej więź-ptak wleciał na terytorium gryfów. Jednak powodował ją gniew, gniew na jego uparte milczenie. Jak on śmiał zabraniać jej chodzenia tam, gdzie chciała?! Nie miał władzy ani nad nią, ani nad jej wolnością, a do tego zażądał od niej przyrzeczenia, że się nie ruszy z ekele. Odmawiał jakichkolwiek wyjaśnień i z każdym dniem Jutrzenka czuła rosnącą w niej furję. A do furii dołączyło się podejrzenie, przeradzające się w pewność, że Mroczny Wiatr coś przed nią ukrywa. Podejrzewała, że dotyczy to Zmiennolicej; ciągle był albo z nią, albo z gryfami, albo i z nią, i z nimi, lecz odmawiał udzielenia jakichkol-

wiek wyjaśnień. Nigdy niczego przed nią nie ukrywał i nie rozumiała, dlaczego teraz miałby zacząć, ale naprowadziła ją na trop drobna uwaga, wypowiedziana któregoś ranka przez Lodowy Cień:

— Nie wiesz, czy Zmiennolice Mrocznego Wiatru jest już gotowa do odejścia?
— zapytał kogoś.

Jutrzenka zamarła. Zmiennolice? Stworzenie, które uważała za pozbawione płci, nagle okazało się kobietą i kawałki łamigłówek powskakiwały na swoje miejsca. Przestała się dziwić, dlaczego Mroczny Wiatr tak bardzo nie chciał, żeby się z nią spotkała; większość tych stworzeń była bardzo, ale to bardzo atrakcyjna. . . „Nie, to mnie nie obchodzi, przecież nie łączy nas więź życia. . . Nie należy do mnie”. Gadanie, gadanie, nic, tylko gadanie.

„Niech go lichy porwie”.

Nigdy nie złamała danego słowa, więc cały poranek spędziła na wymyślaniu sposobu, jak obejść złożone przyrzeczenie. Nie wiedziała, dlaczego się tak zadręcza, to przypominało dotykaniem językiem bolącego zęba, ale musiała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. W końcu wpadła na rozwiązanie: nie obiecywała przecież, że Kyrr też nie zbliży się do gryfów, a mogła doskonale obserwować wszystko jej oczami. Jedynym problemem było to, iż musiała zostać w swoim ekele i wejść w całkowity trans. Trochę się tego wstydziła: pełen kontakt z więźptakiem osiągała tylko przez całkowite z nim zespolenie. Nie знаła powodu, inni zwiadowcy bowiem nie mieli problemów z używaniem zmysłów swoich ptaków. Mroczny Wiatr powiedział kiedyś, że być może należy szukać przyczyny w tym, iż opuszczenie ptasiego umysłu jest dla niej zbyt szokującym doznaniem, a trans doskonale przed nim chroni.

W normalnych warunkach nie sprawiało jej to trudności, bo doskonale komunikowała się z Kyrr, jednym z najinteligentniejszych więźptaków: po prostu z nią „rozmawiała”. Kyrr „mówiła” pełnymi zdaniami, miała poczucie humoru i nigdy się nie kłóciły. Niestety, nie potrafiła odczytywać mimiki i pojąć drobnych niuansów, tak potrzebnych Jutrzence do pełnego zrozumienia innych istot. Chciała się dowiedzieć, co Mroczny Wiatr naprawdę czuje do Zmiennolicej, a tego jej więźptak, dysponujący tylko instynktami drapieżcy, przekazać nie potrafił. W końcu może jednak miał jakieś poważne powody, żeby trzymać ją z dala? „Aha, prędzej mi kaktus na ręce wyrośnie”.

Ani Mrocznego Wiatru, ani gryfów nie było w pobliżu gniazda. Zdziwiona, kazała Kyrr ich poszukać i w końcu dostrzegła je na skraju lasu niedaleko ruin. Zauważyła też zwiadowcę stojącego obok; jego ubranie zlewało się ze skałami i trawą, ale gryfy były doskonale widoczne, lśniąć kolorami, które tylko Kyrr mogła dostrzec. Przez chwilę ich piękno zaparło jej dech w piersiach. Po chwili otrząsnęła się i rozejrzała w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby uchodzić za Zmiennolicę, ale nie było jej w pobliżu. Nie wyglądało też na to, że mieszkała gdzieś w ruinach. Jej gniew osłabł i zmienił się w zażenowanie. „Czyżbym się

myliła?”. Nigdy dotąd się tak głupio nie czuła i cieszyła się, że nie zrobiła mu sceny w obecności innych, jak zamierzała. „Chyba jestem podejrzliwą, zazdrosną suką i wymyślam sobie różne rzeczy”.

Na to wyglądało. Mroczny Wiatr pożegnał się z przyjaciółmi i odszedł, a ona nieomal zawróciła Kyrr do domu, ale powstrzymała ją czysta ciekawość. Kiedy jastrzębica zataczała koła nad gryfami, Jutrzenka usiłowała sobie przypomnieć, co ją tak uderzyło w ich kolorach. W końcu olśniło ją, kiedy jeden ugryzł drugiego w kark. „Na wszystkich bogów, będą odbywać gody! Dlatego nie chciał, żebym tu była”.

Przez chwilę poczuła się jeszcze bardziej zażenowana; miała wrażenie, jakby kogoś podglądała. Przecież to nie był ich pierwszy lot godowy, więc dlaczego zabroniono jej być tutaj właśnie tego dnia? Czym on się różnił? Ciekawość zapanaowała nad zażenowaniem: musiała się tego dowiedzieć.

Gryfy jeden po drugim wzbily się w powietrze, a ona zataczała nad nimi kręgi. Treyvan krążył wokół swej partnerki, a ona podążała za nim w skomplikowanych pętłach: to nie był tylko lot, to był taniec, oszałamiająco piękny, przewyższający wszystko, co dotąd widziała. Gryfy za każdym razem wzbijały się wyżej i wyżej, kręgi stawały się ciaśniejsze, bardziej płynne i zmysłowe. Szybko minęły Kyrr i pomknęły tam, gdzie już nie mogła ich dopędzić. Spoglądała więc z dołu na plamkę na tle błękitu, która nagle zaczęła się powiększać. „Bogowie, robią to w locie, jak orły...”

Gryfy spadały razem, ze szponami zaciśniętymi w ekstazie, z zamkniętymi oczami, tak szybko, że wiatr świszczwał wokół nich. „One chyba nie...” Rozdzieliły się w ostatniej chwili, rozwinęły skrzydła i wystrzeliły w górę. Ich piękno sprawiło, że zachciało jej się płakać...

I wtedy usłyszała głuchy odgłos spuszczonej cięciwy i strzała pomknęła prosto w kierunku Hydony; grot przebił jej skrzydło. Samica wydała okrzyk, młócąc powietrze zdrowym skrzydłem, gdy runęła ku ziemi nie kontrolowaną spiralą. Treyvan też krzyknął, lecz w jego głosie brzmiała wściekłość, i rzucił się w dół z wyciągniętymi szponami; Hydona uderzyła w drzewo na skraju lasu. Nagły rozbrysł białego światła otoczył Treyvana; tym razem to on krzyczał z bólu. Przez chwilę światło utrzymywało go w zawieszeniu, a kiedy osłabł, po prostu zniknęło. Tym, co uratowało go przed skruceniem karku, była mała wysokość.

Furia zaćmiła jej wzrok; miała ochotę mordować. Zawróciła Kyrr i rzuciła ją pionowo ku napastnikom. Instykt ptaka nakazywał wrzeszczeć z wściekłości, lecz Jutrzenka zabroniła tego jastrzębicy, nie chcąc, aby przedwcześnie domyślono się jej obecności. Przeczesaując las czuła, jak jej więź-ptak pragnie krwi i zemsty równie mocno, jak ona sama.

Zabić! Zabić ich wszystkich!

Jutrzenka zagryzła zęby i ze wszystkich sił poskramiała swą towarzyszkę. „Jeśli mi się wymknie, stracę ją na zawsze. Już nigdy mnie nie posłucha, gdy wpadnie

w gniew”.

Przy nieprzytomnych gryfach stali dwaj mężczyźni. Ten z kuszą najwyraźniej pilnował Treyvana, wyglądającego teraz jak żalosna kupka pierza. Drugi nachylał się nad półprzytomną Hydoną; nie miał broni i nosił skórzaną kurtę; bez wątpienia był magiem, jednym z Innych, który nadał sobie tylko po części ludzki kształt. Robił coś samicy...

Jutrzenka nie miała czasu, aby myśleć, bo Hydoną nagle krzyknęła w rozdzierającym bólu, a Kyrr na ten głos wydarła się dziewczynie spod kontroli. Nieważne; Jutrzenka sama chciała właśnie puścić jastrzębicę, by mogła robić, czego tylko zapragnie.

Z dzikim wrzaskiem spadły w dół, szponami celując prosto w oczy maga, który podniósł głowę... Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, były jego oczy... Oczy z pionowymi źrenicami, ostre kły odsłonięte w pełnym nienawiści uśmiechu. A potem coś ją uderzyło i zapadła w ciemność.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ELSPETH

Elspeth zakłęta pod nosem, kiedy zauważyła w tłumie znajomy profil. Skif znów ją śledził.

Handlarz w turbanie zachęcił ją do dokładniejszego obejrzenia skórzanej sakiewki, jaką trzymała w ręku, zaklinając się, że już bardziej nie może obniżyć ceny. Elspeth nadal targowała się z nim leniwie, obserwując jednocześnie Skifa, który pojawiał się i znikał tu i tam. Był naprawdę bardzo dobry; nikt nie mógł się domyślać, że podąża właśnie za nią; na tym bazarze pełnym ludzi wszelkich narodowości nikt się nie wyróżniał. Sezon handlowy był w pełni rozkwitu i włączyli się tu wszyscy, poczynając od kupców, przez najemników, na turystach kończąc. Gdyby nie to, że znała wszystkie sztuczki Skifa, nie zdołałaby go dostrzec. Ale w końcu sam ją tych sztuczek nauczył... Dobrze przynajmniej, że była na tyle ostrożna, aby nie przestać wypatrywać innych, którzy mogli ją śledzić.

Sakiewka pachniała dobrą skórą, a handlarz uparcie twierdził, że jeszcze chwila, a ona go puści z torbami. To stawało się denerwujące. Nie, to już się stało denerwujące. Zaczynała tracić cierpliwość. Już dwa razy spotykała kogoś, kto twierdził, że zna Shin'a'in i dwa razy jej wysiłki spełzły na niczym. Ludzie klanów trzymali się na uboczu.

— Powinnaś tu być na wiosnę! — mówili handlarze dywanów. — Oni są tu tylko wiosną, ale mam parę przepięknych dywanów i sprzedam ci je za okazijną cenę...

— Poczekaj do jesieni — twierdzili handlarze koni. — Przyjeżdżają tu tylko jesienią, ale sprzedam ci świetną klacz pod siodło...

— Dopiero co tu byli — usłyszała od pasterzy, którzy mówili z takim akcentem, że ledwo ich rozumiała. — Tale'sedrin, powiadasz? Jasne włosy, nie? Minęłaś się z nimi, byli tu tydzień temu, kupowali sobie muflony.

Byli tu tydzień temu, wiosną, jeszcze ich tu nie ma — najbliższej prawdy byli pasterze. Przynajmniej wiedzieli, że w klanie Kero są ludzie z jasnymi włosami, potomkowie Kethry. Jednak to nie ułatwiało odnalezienia Shin'a'in: gdziekolwiek

szała, albo już zniknęli, albo jeszcze się nie pojawili.

— Wczoraj ciastka, jutro ciastka, ale dzisiaj na głodniaka — mruzczała do siebie, płacąc za sakiewkę i jednocześnie nadal obserwując Skifa. Nowy nabytek był naprawdę zmyślny, nieomal nie do ukradzenia. Rozejrzała się po targowisku i stwierdziła, że w wyrobach skórzanych nie ma czego szukać, należało zacząć robić coś innego. Na przykład rozmówić się ze Skifem.

Tłum gęstniał z chwili na chwilę i zastanawiała się co, na bogów, oni wszyscy tu robią? Nie każdy przecież jest sprzedawcą czy kupującym! Wyglądało na to, że przeważająca część ludzi przysłała tylko dla rozrywki, a strażnicy odpędzali kieszonkowców. Przepchnęła się przez tłum i ruszyła w kierunku gospody, w torbie na plecach niosąc inne sprawunki: owoce, ser i świeży chleb, poruszając się na tyle szybko, że tuż za rogiem udało jej się zgubić Skifa.

W końcu, kiedy on był tak zajęty śledzeniem jej, ona przyjrzała się bazarowi i teraz знаła wszystkie skróty. Przeszła pod namiotami siodlarzy, minęła sprzedawców dywanów i zatrzymała się przy straganie z jedzeniem, by kupić torbę smażonych w cukrze ciastek, których zapachowi nie potrafiła się oprzeć. Jak przewidywała, do gospody dotarła przed nim. Otworzyła drzwi i weszła do izby. A podobno miał drzemać...

Szkoda, że mnie ze sobą nie wzięłaś — warknęła Potrzeba. — *Bazar bazarem, ale na pewno ktoś cię szuka, dobrze o tym wiesz.*

„Cudownie, kolejna niania”. — Nie mogłam cię wziąć, takie są zasady: żadnej długiej broni, tylko noże. A jeśli miecz jest na sprzedaż, musi być odpowiednio opakowany — odpowiedziała spokojnie.

Mogłabyś mnie opakować — zasugerowała.

— I równie dobrze mogłabym zamiast ciebie wziąć kij. Pewnie byłby lepszy, bo dłuższy i nie gada.

Zanim miecz zdążył odpowiedzieć, w drzwiach zazgrzytał klucz.

— Witamy w domu — powiedziała zimno.

— Eee cześć — odparł pokornie Skif.

— Bezsenność? — Odłożyła torbę z zakupami na stół. — Wiesz chciałam ci opowiedzieć pewną historyjkę, ale może już ją słyszałeś. O heroldzie Ranie i jej fatygancie.

Potrząsnął głową.

Wstrętny bachor — stwierdziła Gwena.

Nudzi mnie to.

— W zeszłym roku herold Rana pojechała z wizytą do domu, a tam pewien mężczyzna, który nigdy okiem nie rzucił na córkę mleczarza, doszedł nagle do wniosku że nigdy nie widział piękniejszej kobiety. Cóż, może to Biel tak działa może Rana nieco wydorosłała, nieważne; ważne, że pojechał za nią do Haven i potem w objazd. Tak jej dojadł, że postanowiła coś w końcu zrobić i kiedy następnym razem na targu znienacka ją objął, pobiła go — Elspeth uniosła brew. —

Ale to faceta nie zniechęciło, trzymał się jej nadal, ale zachowywał odpowiedni dystans. Poczekala, aż wjedzie za mą do lasu, kiedy chciała coś upolować, zaczęła się na niego i, cóż, strzeliła. Biedak nigdy nie zostanie ojcem.

Skif chrząknął.

— Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. — Wyjęła nóż, odkroiła kawałek sera i podsunęła mu pod nos.

Odmówił.

Wstrętny, wstrętny bachor — parskala rozbawiona Gwena

Prześlizchny pomysł — dodała entuzjastycznie Potrzeba.

Męczący — odpowiedziała i sama zjadła ser. — *Miejmy nadzieję, że zrozumiał, zanim będę musiała wprowadzić go w życie.*

I miecz i Towarzysz wybuchnęły śmiechem.

Zrozumiał, zrozumiał. Porozmawiam z Cymry, może ona przemówi mu do rozsądku.

Dobrze by było, bo następnym razem nie będę się postugiwać przypowieściami
— ostrzegła Elspeth.

Dla kapłanów i pielgrzymów zorganizowano obozowisko z dala od bazaru, na szczycie wzniesienia. Szaman Kra'heera shena Tale'sedrin patrzył na zatłoczone targowisko i uśmiechał się lekko. Gdzieś tam, między ludźmi, młoda kobieta i wysoki mężczyzna szukali ich. Może niekoniecznie ich, tylko w ogóle Tale'sedrin. Od jego przybycia wczoraj wieczorem aż czterech kupców złożyło mu wizytę i poinformowało o tym, że ktoś poszukuje Shin'a'in. Kra'heera nie powiedział ani słowa żadnemu z nich, wrócił do swojego namiotu, kurtuazję i podziękowania zostawiając swemu uczniowi, Tre'valenowi. Odeszli zawiedzeni, iż nie chciano kupić reszty ich informacji; tutaj handlowano wieściami z równym powodzeniem, co towarami. On jednak nie musiał ich kupować. I dał im to wyraźnie do zrozumienia. Reputacja szamana tylko na tym zyska.

O zachodzie słońca do namiotu przybył kolejny gość, ale tym razem nie miał zamiaru niczym handlować. Gość wiedział, że z ludem prerii nie można kupczyć wiadomościami; znał ich, bo do klanu wszedł przez małżeństwo jego syn.

Powitano ją z radością, opowiadając żarty i dzieląc się nowościami, rozpalono ogień i podano herbatę z ciasteczkami. Kiedy dopełniono konwenansów, Karmazynowa Dira, handlarka dywanów, przemówiła. Siedzieli w trójkę na poduszkach położonych na takim dywanie, za jaki niektórzy przehandlowaliby własne dzieci.

— Jest dziewczyna — powiedziała Dira, wyglądając swą szkarłatną suknię i uśmiechając się. — Obca, mówi z akcentem, którego nie znałabym, gdybym kiedyś nie była w Valdemarze. Ach, bogowie, jakie zyski przyniosła ta wyprawa!

Kra'heera rozciągnął wargi w uśmiechu i dolał jej herbaty.

— Na pewno dzięki twym zdolnościom i pięknym towarom, siostró.

— Nie, nie, robisz, co możesz, ale to bogowie zsyłają powodzenie albo klęskę — zaprzeczyła szybko. — Tak. Ta dziewczyna. Jest z nią mężczyzna. Ona szuka Tale'sedrin. On jej pilnuje jak pies suki.

Kra'heerę rozbawiło porównanie; Dira zawsze mówiła dokładnie to, co myślała i widziała, a jeśli komuś się nie podobało, nie musiał słuchać.

— Młodzi zawsze są tacy. Co z tą valdemarską młódką, szukającą Dzieci Sokoła?

— Cóż, mówią, że przysyła ją Kerowyn, niech ją bogowie strzegą, bo tego potrzeba komuś, kto żyje z miecza. Mówią, że ma ze sobą magiczny miecz jako dowód. — Czarne oczy wwierciły się w twarz Kra'heery. — To miecz matki klanu, Kethryveris, zwany „Potrzebą”.

— Mówią? Widziałas go?

Dira potrząsnęła głową.

— Nie, nie na własne oczy, ani nie słyszałam tego od niej, bo rozmawialiśmy krótko, zamieniliśmy tylko kilka słów. Wydaje się być szczerą. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Szaman skinął głową, a Dira się uśmiechnęła: Shin'a'in nigdy nie działali tylko na podstawie tego, co usłyszeli od kogoś, ale teraz przynajmniej nie zdziwi ich pojawienie się dziewczyny.

O zmroku zapalono latarnie i Dira, po wymianie kolejnych uprzejmości, wróciła do siebie, do namiotu gdzieś w labiryncie uliczek. Kra'heera przywołał swego ucznia, a ten usiadł i zapytał:

— Nic nie zrobimy? Będziesz jej szukał?

— Być może — stwierdził szaman, patrząc na fusy w swej porcelanowej filiżance. — Być może. Może nam się przydać, bez względu na to, czy mówi prawdę czy nie. Ale mamy znacznie ważniejsze spotkanie.

— Tak? — Tre'valen uniósł w zaskoczeniu czarne brwi. Był jednym z czystej krwi Shin'a'in: czarnowłosym, śniadolicym i niebieskookim.

— A myślałeś, że w środku lata przemierzamy Równinę tylko dla przyjemności? Jeśli tak, masz o niej wypaczone pojęcie.

Tre'valen zaczerwienił się, ale nic nie powiedział: Kra'heera bywał złośliwy, ale można się było do tego przyzwyczaić. Jedną z cech szamana powinno być stoickie znoszenie wszystkiego.

— Idziemy — powiedział Kra'heera, nagle się podnosząc. Tre'valen wyszedł za nim i ku rozbawieniu mistrza, chciał skręcić w kierunku bazaru. Jednak zmierzali gdzie indziej: ku Staremu Miastu, i to ku jego najstarszej części. Kata'shin'a'in nie spało w nocy; załatwiano interesy, jednak teraz znacznie bardziej osobiste i wyszukane. Jubilerzy i sprzedawcy perfum zawierali szybkie transakcje; w gospodach sprzedawano jedzenie i ciało. Kra'heera zastanawiał się, czy jego uczeń czuje się równie dziwnie, jak on, kiedy horyzont i niebo ograniczone są wielkimi budynkami. Wiatr nie mógł tu wiać swobodnie, ziemia zdawała się

być martwa, dudniąc głucho pod kopytami zwierząt. Ale Shin'a'in znali miasta, a raczej miasto — jedno, wielkie, pośrodku Równiny Dhorisha; dawno, dawno temu był to dom Kaled'a'in.

Kra'heera prowadził pewnie labiryntem kamiennych uliczek, chociaż wszystkie zapachy i odgłosy były mu obce. Miał na plecach miecz: zakaz wnoszenia mieczy na bazar nie dotyczył Shin'a'in w ich własnym, często odwiedzanym, nigdy nie zamieszkiwanym, mieście. Im bardziej zbliżali się do centrum, tym dziwniejsze stawały się dźwięki: unisono głosów, zwariowane piosenki mieszające się z czystym, chłopięcym sopranem. Pachniało egzotycznymi perfumami, winem, jedzeniem, kadzidłem i kwiatami. W tej dzielnicy mieściły się świątynie, których drzwi zawsze były otwarte dla wyznawców albo tych, którzy chcieli się nawrócić. Tutaj jednak składali hołdy obcy, nie Shin'a'in; Kra'heera mijał je obojętnie, a Tre'valen rzucał do wnętrza zaciekawione spojrzenia. Weszli w ulice oświetlane z rzadka rozmieszczonymi pochodniami; było tak cicho, że słyszeli własne kroki. W końcu dotarli do celu, drzwi przy małej, ślepej uliczce. Kra'heera zapukał w nie; jego uczeń rozpoznał w rytmie początek jednej z pieśni.

Drzwi otworzyły się i Tre'valen przeżył szok: stała w nich Kal'enedral, jedna z Zaprzysiężonych, odziana w szatę, która wydawała się czarna, co oznaczało lenno krwi. Jednak kiedy przyjrzał jej się bliżej, zobaczył, że suknia nie była ani czarna, ani brązowa, tylko granatowa. A takiego koloru nie nosił nikt z Zaprzysiężonych.

— Co... — zapytał.

— Ona jest wyjątkowa — wyjaśnił Kra'heera. — Jest Zaprzysiężona nie tylko Mieczowi, ale też Wiedzącej. Nosi miecz, ale strzeże wiedzy. W tym miejscu są tuziny takich, jak ona. Tu i nigdzie indziej.

Kal'enedral poprowadziła ich korytarzem do małego pokoju, który rozjaśniało światło księżyca, wpadające przez szklany dach. Uczeń stał i patrzył na ten dach w zachwycie: już szklane okna były dla niego czymś niezwykłym. Potknął się i gdyby Kra'heera go nie chwycił, padłby jak długi.

— Uważaj — upomniał szaman. — Niektóre rzeczy potrzebują księżyca.

Kal'enedral zniknęła, a szaman usiadł na jednej z poduszek. Po chwili wahania Tre'valen dołączył do niego.

— Znasz historię naszego ludu — powiedział łagodnie Kra'heera patrząc, jak srebrzysty blask powoli zalewa pokój — ale opowiem ci ją raz jeszcze, abyś mógł myśleć o właściwych rzeczach. — Zamilkł na moment, a potem podjął opowieść. — Dawno temu my i Sokoli Bracia byliśmy jednym ludem, Kaled'a'in. Służyliśmy jednemu z Wielkich Magów i kochaliśmy go, a kiedy poszedł na wojnę, ruszyliśmy za nim. Jej koniec przyniósł zniszczenie naszej ojczyzny, ale mag, który dbał o swych ludzi, ostrzegł nas i kazał uciekać, zanim to nastąpi. Wiele lat zabrał nam powrót, a kiedy przybyliśmy tutaj, do tego miejsca... — Księżyc ślizgał się

po sprzętach i podkreślał każde wypowiedziane słowo. — ...oto, co ujrzelśmy.

Szamanka Krucze Skrzydło zastoniła oczy dłonią żałując, że nie może zmienić rzeczywistości. Na swojej drodze napotykali tylko zwalone drzewa i szczątki roślin, żadnych zwierząt czy ptaków. Im bliżej byli celu, tym większej nabierali pewności, czego mogą się spodziewać. Zryta ziemia powiedziała im więcej, niż chcieli wiedzieć, nic jednak nie przygotowało ich na to, co zobaczyli.

To już nie był ich dom. Tylko pusty krater jak okiem sięgnąć, głęboki na wiele stóp; wybuchowi towarzyszyło takie gorąco, że skała na dnie krateru stopiła się na szkło.

Krucze Skrzydło odjęta rękę i znów spojrzała; widok poraził ją tak, że wyciągnęła na ślepo rękę do dwóch towarzyszek stojących obok. Podtrzymały ją za ramiona, a ona płakała nad śmiercią wszystkiego, co znała.

Usiadła w pośpiesznie wzniesionym namiocie Rady, który miał zapewniać cień i zastaniać zniszczenia. Razem z nią byli szamani, Starsi klanu i wszyscy przywódcy Kaled'a'in. Mieli podjąć decyzje i spróbować zasypać pęknięcie, które groziło podziałem ludzi na dwoje.

Dyskutowano o magii: używało jej pięć z dziewięciu klanów, a pozostałe cztery doglądały koni i starały się jej unikać. Były to klany Jastrzębia, Wilka, Kota i Jelenia. Klany Sokoła, Sowy i Kruka hodowały magicznie konie i inne stworzenia, zapewniały lordowi Urtho magów i uzdrowicieli, a teraz nie chciały wyrzec się swych zdolności, mimo nalegań pozostałych. Klany Orła i Lisa postanowiły, że dostosują się do reszty, ale i dla nich poświęcenie integralnej części życia było nieomal nie do pomyślenia. Taylesederin, do których należała Krucze Skrzydło, najbardziej nalegali na wyrzeczenie się magii.

— Mamy najwspanialsze konie, jakie można sobie wyobrazić, od pokoleń niczego w nich nie zmieniano. Więź-ptaki pozostawiają nieco do życzenia, ale czy warto posługiwać się tym obosiecznym mieczem tylko po to, żeby je trochę ulepszyć? — powiedział wódz Taylesederin, Srebrny Koń, najzagorzalszy przeciwnik magii w każdej postaci.

Ognista Klacz, Starsza Sów, spojrzała na niego z odrazą.

— Tobie się wydaje, że magia to tylko poprawianie koni i ptaków? A co, według ciebie, mamy zrobić z wrogami, którzy nie mają takich skrupułów i użyją każdej broni, żeby nas zniszczyć? Co cię ochroni przed magicznymi atakami?

— A czy coś nas ochroniło teraz? — krzyknął. — Chcesz, żeby to się powtórzyło, po to tylko, by zachować tę odrobinę mocy?

— Braciszku, dzięki magii mogliśmy stąd uciec — odezwał się Słoneczny Kot z Sokotów. — Jeśli ocaliła cię raz, ocali drugi. A poza tym, jak mamy oczyścić ten

kraj bez niej? Magię można zwalczyć tylko magią.

Tak zaczęła się kłótnia trwająca wiele dni...

Ostatni z pięciu klanów zniknęli na północy i Krucze Skrzydło otarła oczy rękawem. Najbardziej rozsądne argumenty i próby wyjaśnienia nie pomogły, tak, jak na nic się zdało odwoływanie się do solidarności i braterstwa w klanach. Piątka, zwąca się teraz „Taylesederas” albo „Braćmi Sokołów” ze względu na więź z ptakami, które hodowali, oddzieliła się od reszty; cztery pozostałe klany zdecydowały się nigdy nie używać magii. Oni nie znaleźli dla siebie ani nazwy, ani miejsca. Chcieli tylko pozbyć się mocy. A teraz, kiedy już tego dokonali, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

Jednak Krucze Skrzydło i szamani wszystkich dziewięciu klanów wiedli ze sobą osobne rozmowy, kiedy stało się jasne, że klany nie dojdą do porozumienia; wybrali ją, aby zaprezentowała ich pomysły Starszemu Sokołom.

Srebrny Koń patrzył w dal jeszcze długo po tym, jak kurz opadł. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu, jakby nadal nie wierzył, że coś takiego mogło się stać.

— Odniosłeś sukces — powiedziała, zbliżając się do niego. — Nie ma między nami innej magii, niż ta, którą On i Ona dają szamanom. Co teraz? Jakie masz plany? Co zrobimy, dokąd się udamy, gdzie się osiedlimy? Czy poszukamy nowego pana?

Spojrzał na nią smutno.

— Nie wiem — przyznał. — Tą krainę rozdarła i zniszczyła zła magia. Nie możemy pójść gdzie indziej bez pozbawienia kogoś terenu; a tutaj nie możemy zostać...

— Możemy — zaprzeczyła. Roześmiał się krótko.

— I co, jeść kamienie? Pić łzy? Patrząc, jak magia powoli pożera nasze dzieci, zmienia je i niszczy? — Zaśmiał się ponownie i ten śmiech rozdarł jej serce. — Czy to mi oferujesz, szamanko? — Jego śmiech stawał się histeryczny i dziki.

Uciszyła go uderzeniem w twarz. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, bo nigdy w życiu nikogo nie uderzyła; była jedną z najłagodniejszych kobiet na świecie. Jednak minione dni sprawiły, iż stała się twarda i wiedziała, choć nie była jasnowiedzem, że zmieni się jeszcze bardziej.

— Powiedziałeś mi, że musimy ufać mocom. Czy teraz sam już w to nie wierzysz? — Uderzyła metodycznie w najbardziej bolące miejsce. — Jeśli tak, to winnam zabrać moje konie i ruszyć za zbuntowanymi!

— Ja. — przez chwilę tylko otwierał usta, nie mogąc wydobyć z nich dźwięku — myślę, że... Ja...

— No, co myślisz? Że bogowie nie odpowiedzą na nasze wezwanie? Czy też nie chcesz płacić ceny, jakiej żądają za pomoc?

— A odpowiedzą? — zapytał z błyskiem nadziei w oczach. — Czy poszukiwałaś już, szamanko?

Skinęła powoli głową.

— Poszukiwałam i przywoływałam, i odpowiedziano mi. Ale chcę krwi jako zapłaty.

Wziął głęboki oddech.

— Czyjej?

— Starszych pozostających tu klanów — powiedziała. — Twojej i pozostałej trójki.

Jego twarz zmieniła się; decyzja nie była prosta. Był młody, bez żony, miał całe życie przed sobą, lecz kiedy wybrano go Starszym, złożył przysięgę, że życie swych ludzi postawi zawsze przed swoim. Wiedział, iż taki dzień może nadejść, jednak myślał, że nastąpi to w walce, a nie w samotności samopoświęcenia. Widziała szok w jego oczach, niewiarę, a potem zrozumienie. Spojrzał na nią ponownie.

— To nie jest łatwe — rzekła łagodnie. — Pozostałej trójce właśnie teraz przekazuje się tę wiadomość. Nie oczekujemy natychmiastowej odpowiedzi, ale nie zwlekajcie długo. Nie przetrwamy tutaj, jak sam wiesz.

— A jeśli odmówię dostąpienia tego... zaszczytu? — spytał cierpko.

— Wtedy dam moją krew za twoją — odparła. — To musi być jedno z nas.

— I zostaniemy bez szamanki.

Wzruszyła ramionami.

— To musisz być ty albo ja. Taką naznaczono cenę. Rozmawiałam z pozostałymi szamanami; mamy uczniów, ale nie są jeszcze gotowi. Jeśli któryś z wodzów odmówi, klan będzie musiał przez jakiś czas żyć bez szamana. — Odwróciła się. Zanim odeszła, rzuciła przez ramię: — Przemyśl to. Chcę znać odpowiedź o wschodzie księżyca.

Zatrzymał ją.

— Nie potrzebuję tyle czasu — rzeki. — To nie jest aż tak trudny wybór.

Uśmiechnął się i poczuła łzy w oczach.

— Kiedy będziesz mnie potrzebować?

Podczas pełni księżyca każdy z klanów zajął swoje miejsce nad zeszklonym kraterem, który kiedyś był ich domem, ustawiając się w czterech stronach świata. Koty na zachodzie musiały utworzyć półkole; nie przyszło im to łatwo.

O zachodzie słońca czterech Starszych poświęciło się dla swych ludzi w taki sposób, jaki wybrali. Srebrny Koń po prostu postąpił o jeden krok za daleko na krawędzi i zniknął w mroku. Krucze Skrzydło stała nad miejscem jego upadku z wyciągniętymi ramionami, wzywając moce ze wszystkich sił, a za sobą czuła obecność wszystkich członków klanu.

Ona nadeszła z księżycem. Jej twarz zmieniała się od twarzy Panny do twarzy Staruchy, od Wojowniczkki do Matki; wypełniała sobą powietrze, stojąc przed Kruczym Skrzydłem i patrząc szamance prosto w oczy. Przemówiła głosem tak potężnym, że nie było już miejsca na inne dźwięki.

— Usłyszałam wasze modły, tak, jak modły waszych zbuntowanych braci. Za to, czego oni chcą i czego wy chcecie, trzeba zapłacić.

— Krwią? — zapytał cichy głos i Krucze Skrzydło rozpoznała Lazurową Gwiazdę, szamana Kotów. Część jej zastanawiała się jak to możliwe, że słyszy go tak wyraźnie?

Bogini potrząsnęła głową.

— Nie krwią: waszym życiem, życiem was wszystkich. Ceną za wasz dom jest czujność.

W zagłębieniu jej wyciągniętej dłoni pojawił się krater: w samym jego środku leżało coś bezwładnego i bezkształtnego, emanującego złą, zieloną poświatę.

— Trzy rzeczy zniszczyły to miejsce — powiedziała — zakłęcie wroga, samozniszczenie Bramy, którą uciekliście, i ostatnie uderzenie Urtha, w chwili gdy zginął, zabierając ze sobą swego wroga. Broń użyta przez Urtha leży zagrzebana w ziemi i czeka, aż ktoś ją wydobędzie. Zbyt niebezpieczne to oręż, aby je wykorzystać nawet w słusznej sprawie. Ale wyście wyrzekli się magii na zawsze, nie będą was kusić. — Krucze Skrzydło i wszyscy inni przytaknęli. — Oto cena: musicie strzec nowej krainy, którą nazwiecie Równiną Dhorisha: Równiną Poświęcenia, a siebie Shin'a'in — Ludem Równiny. Nie wolno wam tu wpuszczać obcych, chyba że przystąpią do klanu lub są sprzymierzeńcami, których ja ocenię i naznaczę. Nigdy nie przysięgniecie posłuszeństwa nikomu prócz mocy. Wyrzekniecie się magii; dzieci, które urodzą się z jej darem, zostaną odesłane zbuntowanym, staną się szamanami albo musicie pozwolić na wymazanie daru.

To rzeczywiście było poświęcenie: poświęcenie wolności i wolnej woli na wiele pokoleń. Zaprzysięgli wieczną służbę i wieczną straż. Zyskali jednak dom.

Poczuła, że ludzie wyrażają swą zgodę. Bogini uśmiechnęła się, rozłożyła ręce i zstąpiła w głąb krateru. Gdziekolwiek postawiła stopę, wykwitwały kwiaty, wyrastały drzewa i płynęła woda; zielony kobierzec pokrywał ziemię od wschodu do zachodu...

Kra'heera uśmiechnął się słabo; zapomniał, jak potężne wspomnienia wzywał. Krucze Skrzydło potrafiła przekazać nie tylko wspomnienia, ale też emocje; była wspaniałą kobietą. W tym krył się sekret szamańskich dywanów: zatrzymywały pamięć tych, którzy je upletli. Teraz na Równinie nie tkano już tak wspaniałych materii; nie było wielu rzeczy do zapamiętywania. Te najważniejsze przechowywano tutaj, gdzie mieli do nich dostęp członkowie wszystkich klanów. Było ich już więcej niż cztery i częścią szkolenia każdego młodego szamana stawała się

wizyta tutaj, aby doświadczyć początków Shin'a'in.

Krucze Skrzydło nalegała, aby wszyscy ludzie posiadli choć trochę wiedzy szamańskiej, aby w potrzebie wezwać moce, a jeśli klan stracił swego mistrza, nie stanowiło to aż tak wielkiego problemu. Jej pomysłem było też, by nie ograniczać się tylko do jednego ucznia i nauczyciela. I to ona założyła Kal'enedral, klan wojowników służący wszystkim pozostałym. Niezwykła kobieta.

Kra'heera odwrócił się powoli w stronę swego ucznia i czekał, aż wyjdzie on z transu.

— Teraz musisz się tylko nauczyć, jak odtwarzać te wspomnienia i jak je samemu tkać — powiedział, kiedy Tre'valen mrugnął i lekko potrząsnął głową. — Nie dlatego jednak cię tu przyprowadziłem. Domyślasz się, dlaczego?

Młodzieniec skinął głową.

— Z powodu plotek, że coś zakłóca spokój Równiny. Chciałeś, abym zobaczył, dlaczego jej strzeżemy.

Kra'heera zastanowił się, czy nie powinni opuścić pokoju, ale doszedł do wniosku, że nigdzie indziej nie będzie tak bezpiecznie, jak tutaj.

— Plotki są prawdziwe — rzekł. — Na Równinach pojawili się intruzi, których wykryje tylko szaman, nie zatrzymają ich posterunki graniczne, mogą ich tylko dostrzec z oddali. To jakieś magiczne stwory z ziemi Tale'edras, które wkroczyły na Równinę od północy, gdzie styka się ona z terytorium klanu k'Sheyna.

— Sokoly? — zaciekał się Tre'valen. — Nie znam ich.

— Ja też nie wiem za dużo. A o wrogu wiem tyle, że stworzenia te mają niesamowitą zdolność znikania i nikt nigdy nie widział ich wyraźnie. Wyczuwają magię i kiedy ją znajdują, wzywają tego, kto je stworzył.

— A mogą znaleźć wiele rzeczy.

— W najgorszym wypadku nawet resztki fortocy Urtha. Nie wiem, czy można zaatakować samo centrum Równiny, lecz nie mam też pewności, czy jest to całkowicie niemożliwe.

— A co z k'Sheyna? Czy Sokoli Bracia nie powinni nam pomagać, zwłaszcza że niebezpieczeństwo przybywa z ich terytorium?

— Tak, ale k'Sheyna mają własne problemy — odpowiedział Kra'heera po chwili. — Nie sądzę, aby udało im się powstrzymać choćby jednego adepta, a jeśli stwory służą kilku, k'Sheyna na nic nam się nie zdadzą.

— Więc czego nam trzeba? — wykrzywił się Tre'valen. Kra'heera pogratulował sobie w skrytości ducha: ten młodzieniec nie tracił czasu na jałowe roztrząsanie problemu, tylko od razu przechodził do rzeczy.

— Szamanów co najmniej dwóch klanów, a potem musimy wezwać Kal'enedral, leshya'e Kal'enedral, tak, oraz zwykłych Zaprzysiężonych.

— Duchy? Możemy wezwać duchy?

— Tak, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wzywają ich żywi i nie jest to łatwe, ale nie sądzę, abyśmy mieli inne wyjście. Duchy mają w sobie trochę Jej mocy, Jej magii

i wtedy pokonamy intruzów. Żeby jednak tego dokonać, potrzebujemy jeszcze czegoś.

— Czasu.

— Czasu — potwierdził Kra'heera. — Byśmy go mogli zdobyć, istoty te muszą się czymś zająć.

— Aha — mruknął Tre'valen, zamyślając się. Po raz drugi tej nocy stary szaman poczuł dumę: uczeń nie czekał, aż ktoś poda mu rozwiązanie na talerzu, sam się nad nim zastanawiał.

— Ta dziewczyna, o której mówiła Dira — powiedział powoli. — Kim ona jest? Czego od nas chce?

Kra'heera rozważał przez chwilę, dlaczego Tre'valen pomyślał akurat o tych obcych, ale znał jego talent do wyszukiwania najbardziej niezwykłych i najbardziej efektywnych rozwiązań. Pozwolił więc, aby w tym najbezpieczniejszym miejscu przyszła do niego wizja.

I wizja nadeszła: dziewczyna i jej przyjaciel, oboje w białych uniformach, na komach leshya'e. Heroldowie Valdemaru. Takiego stroju się nie zapomina: w końcu nosiła go jego krewna, Kerowyn, chociaż zazwyczaj nie z własnej woli.

Na Równinę dotarł tylko jeden: wielki przyjaciel Tarmy shena Tale'sedrin, na długo przed narodzinami Kra'heery. Roald stanowił wśród Tale'sedrin coś w rodzaju legendy, ponieważ podziwiali jego konia i urok osobisty. Inne klany zazdrościły im goszczenia „ver Kal'enedral”, „Zaprzysiężonego w Bieli”. Niektórzy, tacy jak ojciec szamana, dostąpili zaszczytu przejażdżki na białym koniu i długo wspominali jego szybkość i rozum.

— To heroldowie królowej Valdemaru — powiedział uczniowi. — Nie wiem, co ich sprowadza, ale odkąd Kerowyn też do nich należy, powinniśmy wierzyć w to, co mówiła Dira.

— Aha. Ale trzeba ich sprawdzić.

— Nie my to zrobimy, to jej zadanie. O czym myślisz?

— Mogą okazać się wiele wartymi sprzymierzeńcami. — Tre'valen wpatrywał się w księżyc. — A ty o czym?

— O tym, że może są oni potrzebną rozrywką dla owych tajemniczych stworzeń. Skoro i tak mamy ich poddać próbie, dlaczego nie użyć do tego intruzów?

Uczeń zmarszczył brwi.

— Czy to uczciwe? — spytał. — Nie wiedzą, co spotkają, nie znają Równiny. My wiemy, że ona ma magiczny miecz, jeśli te stwory wężą za magią, natychmiast go wycują. Co wtedy?

— Wtedy będą się bronić na tyle, na ile potrafią. — Kra'heera wzruszył ramionami. — W końcu to obcy, prawda? Muszą się czymś zasłużyć. Jeśli jej się spodoba, może im pomóc.

— A my? Czy my nie powinniśmy im pomóc?

— A dlaczego? Nie widzę powodu. Jeśli przeżyją, świetnie, jeśli zyskamy potrzebny czas, pomożemy im. A jeśli nie? Cóż, naszym zadaniem jest strzec Równiny, a nie pomagać nieznanym. I tak pozwalamy im na więcej niż komukolwiek innemu, wpuszczając ich na Równinę. Gdyby nie byli heroldami i nie znali Kero...

Tre'valen skinął głową.

— To leży w interesie klanów, ale nie podoba mi się. — To, co nas nie złamie, wzmocni nas. To im dobrze zrobi. A teraz słuchaj...

Elsbeth wiedziała, że nie jest sama w pokoju; powietrze nagle się zmieniło. Tej nocy zażądała, aby dano jej oddzielną izbę, bo nie miała zamiaru dzielić ani pokoju, ani łóżka ze Skifem ani chwili dłużej. Miała nadzieję, że to mu da do myślenia. Oczywiście protestował, lecz go zakrzyczała i teraz zaczynała tego gorzko żałować.

W pokoju miała intruza i w najlepszym przypadku był to złodziej. Spróbowała dotknąć myślą umysłu obcego i odbiła się od osłon twardych jak marmur.

„Cholera, to nie złodziej...” Zaczęła sięgać po nóż ukryty pod poduszką i przywoływać Gwene, ale oślepił ją nagły błysk światła. Świeczka, którą miała przy łóżku, zapaliła się zupełnie sama, a w nogach łóżka stał ktoś z rękami założonymi na piersi.

W czerni od stóp do głów i z woalem na twarzy: nie mogła pomylić tego stroju z żadnym innym. Kero opisała go wystarczająco dokładnie, a w Kata'shin'a'in nikt nie ubrałby się tak dla zabawy. Nikt by się nie ośmielił.

Intruzem był Kal'enedral, jeden z Zaprzysiężonych. Rozluźniła się trochę: gdyby miała zginąć, już byłaby martwa i nikt nie zwracałby sobie głowy przedstawieniem ze świeczką.

Zaprzysiężony rzucił coś na łóżko; zalsniło w locie, metalowe po jednej, emaliowane po drugiej stronie. Wylądowało emaliowaną stroną do góry: był to obraz złotopiórego jastrzębia. „Tale'sedrin. Dzieci Jastrzębia!” Rozpoznała wizerunek natychmiast, bo identyczny nosiła w sakiewce: podarunek od Kero, znak, którym mogła się zidentyfikować, gdyby ich znalazła. Wyglądało na to, że to oni znaleźli ją.

— Co... — wyszeptła, ale Zaprzysiężony pokręcił głową i rzucił coś innego: zwój pergaminu. Śledziła jego lot tylko mgnienie oka, ale kiedy spojrzała znów, zamaskowana postać zniknęła. Nie ruszały się ani drzwi, ani okna, jeśli, oczywiście, któreś z nich zostało użyte...

Co się stało? — zapytała Gwena. — *Nic ci nie jest?*

Nie, nie, wszystko w porządku — odparła i szybko opowiedziała o gościu. Podniosła pergamin i rozwinęła go delikatnie. Serce załomotało jej radośnie.

To była mapa Równiny, pierwsza, jaką widziała w życiu. Czy też pierwsza,

której mogła zaufać. Wielu ludzi wciskało jej takie mapy, ale ich wiarygodność budziła duże wątpliwości. Ta, z rąk Kal'enedral z klanu Kerowyn, była czymś, czego nie mogła zignorować. Jediną rzeczą, różniącą się od reszty znaków narysowanych ciemnym atramentem, było zakreślone na czerwono miejsce na północnej granicy Równiny. Znak postawiono niedawno; atrament jeszcze całkiem nie wysychł. Klany przemieszczały się: czy tam byli teraz Tale'sedrin?

„A co innego może to oznaczać? Wiedzą, że ich szukam, to ich odpowiedź. Muszę do nich pojechać, bo oni nie zjawią się tutaj”.

Powiedziała to Gwennie.

Nie podoba mi się to — zaczęła narzekać Gwena. — Wcale a wcale. Nie masz zamiaru tam jechać, prawda? Prawda?

Elsbeth zignorowała ją: niech cisza odpowie sama za siebie. Nie będzie się kłóciła o takie sprawy i Gwena powinna się była do tego przyzwyczaić.

Ja na to idę, malutka — powiedziała Potrzeba. — Cudowna sposobność, żeby sprawdzić, czy się do czegokolwiek nadajesz.

Ty na to idziesz, tak? W najgorszym razie znajdziesz sobie nowego właściciela! Nie słuchaj jej, Elspeth!

A ty chcesz, żeby robiła tylko to, co dla niej wymyśliłaś! — judził miecz.

Zamknijcie się obie, do cholery! — wrzasnęła na nie i wreszcie miała święty spokój.

Pojedzie, to oczywiste. Nic nie mogło jej powstrzymać: ani sprzeciw Gweny, ani Skif, ani możliwe niebezpieczeństwa czy odległość. Nareszcie zdecydowała o sobie i nie podążała drogą, którą ktoś dla niej wymyślił. I to był absolutnie wystarczający powód.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

MROCNY WIATR

Mroczny Wiatr wzmocnił swe osłony, kiedy tylko wszedł między drzewa. To, że mając czternaście lat, dostał się w zasięg godowego zaklęcia przyjaciół, było czystym przypadkiem i wspomnienie tego do dziś dostarczało im niemałej rozrywki, ale jakiegokolwiek „podsluchiwanie” teraz poczytane zostałyby za świadome działanie. A nie miał zamiaru ingerować w najbardziej prywatne chwile gryfów. Jednakże okazało się, że nie miał wyboru.

Na moczarach nie zauważył niczego niepokojącego, a nie widział powodu, dla którego miałyby sprawdzać ruiny: gryfy przed swym lotem przeczesaly teren i wątpił aby cokolwiek większego od wiewiórki uszło ich uwadze. Ale nigdy nie zawadzi sprawdzić, tak na wszelki wypadek. . .

Wezwał Vree i ruszył ścieżką przez las w kierunku siedziby hertasi, kiedy powietrze przeciął nagły krzyk bólu. Drugi krzyk zabrzmiał jak echo, a zaraz potem świat rozpadł się na części. Tak przynajmniej to odczuł, wiedział, co to było. Natychmiast pozbył się zabezpieczeń i wszystkimi zmysłami wychwycił echo, jakie pozostało po potężnym uderzeniu magii, gdzieś bardzo blisko. Krzyk bólu, który usłyszał i który przeszył jego duszę, wydał Treyvan!

Vree rzucił się natychmiast nad drzewami tam, skąd dochodziły głosy, wrzeszcząc w gniewie, a Mroczny Wiatr pobiegł za nim. Porzucił wszystkie środki ostrożności, łamiąc gałęzie, deptając poszycie i zostawiając ślady, które odczytałoby nawet dziecko, ale ciągle biegł za wolno: wstrzymywały go gęste poszycie i gałęzie czepiające się ubrania i włosów. Zdjęty paniką, poszukiwał myślami gryfów, ale odpowiadała mu cisza. Cisza gorsza od krzyków, które słyszał. Strach i wściekłość zaślepiły go i dawały siłę, aby biec jeszcze szybciej; serce waliło za głośno, żeby usłyszeć cokolwiek poza nim; bał się myśleć, co mogła oznaczać ta cisza. . .

Z przodu! — Vree wystrzelił spomiędzy gałęzi jak upierzona strzała, obrócił się i ruszył z powrotem. — *Tutaj!*

Jego podniecenie i złość nie pozwalały mu sformułować jakiegokolwiek bar-

dziej sensownego zdania. Mroczny Wiatr rzucił się za nim czując, że płuca mu płoną, a bok przeszywa ból. Kiedy myślał, że już dalej nie pobiegnie, że tu upadnie, potknął się o nogę pokrytą futrem i runął na połamane krzaki.

Noga należała do Hydony, zwiniętej w niekształtny kłębek, krwawiącej ze zranionego skrzydła i nieprzytomnej.

— Dalej, Treyvan — błagał Mroczny Wiatr, trzymając w dłoniach głowę gryfa i delikatnie klepiąc dziób. — Dalej, staruszk, obudź się. Dalej, Hydona potrzebuje twojej pomocy, nie ruszę jej bez ciebie.

Treyvan leżał wśród połamanych gałęzi; najprawdopodobniej to one uchroniły go przed poważniejszymi uszkodzeniami, kiedy upadł, ale zwiadowca nie mógł go z nich wyswobodzić, o ile sam gryf nie odzyska przytomności i mu nie pomoże. Gryf zamrugał, uchylił dziób i znów go zamknął; głowa mu zadrżała.

— Mrrr... rrrr... atrrrr... Mrrro...

— Tak, Mroczny Wiatr. No, dalej — klepnął go mocniej i pociągnął za grzebień — No, już, powiedz coś sensownego. Obudź się, przyjacielu.

— Rrrrrr. — Tym razem Treyvan zdołał otworzyć oczy i unieść głowę. — Hydona — wychrypiał, próbując odwrócić głowę — Hydona...

— Jest ranna — powiedział Mroczny Wiatr — ale myślę, że z tego wyjdzie. Ma dziurę w skrzydle, ale chyba niczego nie złamała, jest półprzytomna i nie potrafię jej ruszyć. Muszę cię stąd wysupłać, a potem mi przy niej pomożesz.

— Nie... mogę się rrru... szszszyc... — odparł Treyvan i mężczyzna zrozumiał, że nic z tego, co mówił, nie do tarło do przyjaciela, który też był półprzytomny. Spróbował więc innego sposobu porozumienia.

Nie ruszaj się, dopóki ci nie powiem — przekazał bez pośrednio myśli. — Uwiążłeś tutaj na jakiś czas. Hydona jest ranna i zaplątana w jakiś krzak, będę potrzebował twojej pomocy, żeby ją wydostać.

Rzucił okiem przez ramię. Hydona leżała z na wpół otwartymi oczami, krwawiąc ze zranionego skrzydła. Obok niej usiadł Vree, skupiony całkowicie na kontakcie mentalnym, próbując uspokoić ją i namówić do leżenia bez ruchu. Robił to już przedtem z rannymi ptakami i jeśli wśród skrzydlatych istniał uzdrowiciel, Vree niewątpliwie nim był. Gdyby Hydona była całkiem przytomna albo całkowicie nieprzytomna, prawdopodobnie nie udałooby mu się utrzymać kontaktu, ale w takim stał nie, jak teraz, nie sprawiała specjalnych problemów.

Treyvan przestał się rzucać; Mroczny Wiatr cieszył się, że gryf nie straci nad sobą kontroli i nie zaatakuję tego, kto chce mu pomóc, co się często zdarzało drapieżnikom.

Dobrze, staruszk. Zacznę od twojego lewego skrzydła. Podnieś je ociupinkę... o, właśnie...

Zajął to więcej czasu, niż się spodziewał, a kiedy wreszcie uwolnił gryfa, Hy-

dona była na skraju całkowitej utraty przytomności. Wszyscy trzej, łącznie z Vree, sporo się napracowali, zanim ją postawili na nogi.

— Co się stało? — zapytał Mroczny Wiatr, spoglądając na coś, co wyglądało na rozrzucone świeże szczątki ludzkie.

— Nie... nie pamiętam — powiedział znękany Treyvan — lecieliśmy... a potem...

— Aach... — Hydona potrząsnęła głową i jęknęła. — Był tu ktośś... z kuszszą. Pod... nami.

— Tak, ktośś... — przytaknął Treyvan, podtrzymując ją — Ssstrzelił... tyle pamiętam.

— Możesz ją chwilę sam przytrzymać? Coś tu zobaczyłem, ale nie miałem okazji przyjrzeć się dokładniej.

Gryf skinął głową i syknął z bólu. To upewniło Mroczny Wiatr, że to w niego wycelowano uderzenie magii. Magia nie była najlepszym sposobem na pozbawianie kogokolwiek przytomności, równie dobrze można było zabijać muchę patelnią. Wymagało to śmiesznie wielkiej energii; jedna dziesiąta z niej starczyłaby na wykonanie dobrze godzącej strzałki, a poza tym znacznie lepiej było ugodzić kogoś prosto w umysł, jeśli, oczywiście, miało się takie zdolności. Albo użyć zwykłej broni. I niewątpliwie była to ostateczność... Oznaczało to, iż ten, kto zaatakował gryfa nie miał zdolności mentalnych ani, najprawdopodobniej, magicznych. Mroczny Wiatr zbliżył się do szczątków, wyjął sztylet i poruszył nim kawałek metalu, który zobaczył. Jasne: jakiś amulet. Kiedy wrócił do przyjaciół, Hydona stała już o własnych siłach, a Vree, siedzący na gałęzi, zupełnie nie interesował się grzebieniem Treyvana.

— Chyba wiem, co się stało — powiedział, obejmując Hydona. — Tak mi się wydaje.

— A ja nie wiem. Nie pamiętam, nie podoba mi się to...

— Treyvan... możliwe, że nigdy sobie nie przypomnisz — rzekł, walcząc z poczuciem winy. „Powinienem być zostać w pobliżu, powinienem był ich strzec. To nie zabrałoby wiele czasu, poczekałbym, aż skończą, i wtedy ruszył na patrol”.

— Myślę, że to wyglądało tak: obcy was obserwował i strzelił, kiedy Hydona znalazła się w jego zasięgu. Kiedy ty na niego ruszyłeś, nie zdążył założyć drugiej strzały; pewnie myślał, że takie duże stworzenie będzie bardzo powolne i twoja szybkość go zaskoczyła. Miał na szyi amulet, w którym można przechować bardzo podstawową magię i prawdopodobnie użył jej, żeby cię porazić.

— Ale mamy osłony — powiedział zdziwiony Treyvan. — Magiczne osłony.

— Tak, ale częściowo je opuściliście ze względu na lot. Zauważyłem to, ale myślałem, że wiecie, co robicie. — „Trzeba im było powiedzieć”.

— Tak. To konieczność. Zapomniałem. Opuuszczzone.

— Na tyle, żeby cię ogłuszyć, ale odbiły część energii i on dostał rykoszetem. Nie wiem, czy to go zabiło, czy też dostałeś go w szpony, nieważne. Może zrobiła to Hydona, kiedy się do niej zbliżył, ma krew na pazurach. A z niego wiele nie zostało...

— Ale dlaczego nic nie pamiętam? — zapytała.

— Bo byłaś półprzytomna i działałaś instynktownie — wyjaśnił.

— Aha — przyjęła wyjaśnienie, stawiając ostrożnie stopy. Mroczny Wiatr przytrzymał zranione skrzydło, żeby nie wlokło się po ziemi.

— Będzie mnie terrrraz bolała głowa — stwierdził smutno Treyvan — i nawet nie pomogłem mojej pani...

— Pomogłeś, chociaż pośrednio. A ból głowy powinien niedługo minąć, przyśle wam uzdrowiciela hertasi. Pomoże wam obojgu.

Świadomie lekceważył cały wypadek, bo bał się, że mógł on być czymś więcej niż zwykłym polowaniem na gryfy. Jak bowiem myśliwy się o nich dowiedział? Skąd wziął odpowiednio potężny amulet ochronny? Dlaczego użył kuszy, jeśli miał dostęp do takich artefaktów? I dlaczego w ogóle polował na gryfy?

Dreńczyły go i inne pytania: do kogo należały te lekkie ślady, które zauważył, zanim postawił oboje na nogi, ślady drugiej osoby, która krążyła wokół gryfów? Musiał je zdeptać, bo inaczej nie pomógłby przyjaciołom. Nie zauważył niczego innego, zupełnie, jakby ta osoba nigdy nie weszła ani nie wyszła z tego terenu; jednego był pewien: nie zostawił ich kusznik. Kusznik podróżował wtedy do krajiny wiecznych łowów od dobrych paru chwil.

„Gdybym dobiegł wcześniej, złapałbym go”, pomyślał. Wiedział, że poczucie winy zniknie dopiero wtedy, kiedy zobaczy znów gryfy w powietrzu.

Gryfiątka wypadły z gniazda w stanie kompletnej hysterii i nawet rodzice nie potrafili się z nimi porozumieć. Po prostu wcisnęły się pod ich skrzydła i przytuliły najmocniej, jak potrafiły. Oczywiście, nie ułatwiło to sprawy, ale maleństwa były zbyt roztrzęsione, żeby im cokolwiek wytłumaczyć.

Mroczny Wiatr nie wiedział, czy powodem ich strachu było to, co stało się z rodzicami, czy też ktoś zrobił im krzywdę; widział tylko zupełnie spanikowane dzieci. Chciał je pocieszyć, a Hydona nieomal odchodziła od zmysłów, ale wchodziły pod nogi i zawadzały, a rodzice nie mogli teraz skupić na nich całej swej uwagi. Zdesperowany, wezwał jedyną osobę, która nie była w tej chwili zajęta.

Vree! — krzyknął, mając nadzieję, że ptak przynajmniej zabierze gryfiątka z drogi. Myszołów spikował w dół usiadł na szczycie jednego z kamieni i wydał z siebie szczególny, przesywający dźwięk.

Maleństwa spojrzały na niego, nagle ucichły, a potem znów zaczęły krzyczeć, lecz tym razem rzuciły się prosto w stronę *Vree*. Ten rozłożył skrzydła i kiedy gryfiątka przypadły do skały, nakrył nimi ich głowy; wydawał z siebie uspokaja-

jące dźwięki i po chwili maluchy ucichły.

W innej sytuacji Mroczny Wiatr umarłby ze śmiechu, gdyby zobaczył taką scenę. Przerazonymi dziećmi będzie się zajmował później, teraz należało sprowadzić uzdrowiciela. Zostawił Treyvana i Vree na zewnątrz, a sam wprowadził Hydona do gniazda i zajął się jej raną. Strzała przeszła na wylot; ranę trzeba było porządnie oczyścić i opatrzyć, bo ciągle krwawiła, mimo prymitywnej opaski uciskowej, jaką założył. Hydona próbowała nie jęczeć, ale drżała przy każdym ruchu i Mrocznemu Wiatrowi trzęsły się ręce. Kiedy skończył, wrócił do Treyvana.

— Idę po uzdrowiciela. Mam zostawić tu Vree?

— Tak — westchnął gryf — jeśli to cię nie narazi na niebezpieczeństwo. Barrrrdzo pomaga. Chyba pozwolę mu w końcu upolować mój grzebień.

„Wszystko w swoim czasie. Najpierw gryfy, potem małe, potem dowiem się kto, dlaczego i co to znaczy. Jedno jest pewne — spokój się skończył. I będzie gorzej, czuję to”.

Wyczuwał kłopoty tak, jak czuje się burzę: przez dziwne łamanie w kościach. I tak jak burza, kłopoty spadną bez ostrzeżenia. Nie wiedział tylko, że ugodzą go prosto w serce.

Wyjaśnił krótko sytuację Nerze i reszcie hertasi — Nyara przysłuchiwała się, siedząc w kącie. Gęsta, uzdrowiciel, wyruszył, zanim skończył mówić, nie pytając nawet o pozwolenie. Wszyscy uzdrowiciele byli tacy: rządzą się własnymi zasadami. Vree przyleciał na mokradło krótko po tym, jak skończył odpowiadać na pytania jaszczurek, dotyczące głównie ich własnego bezpieczeństwa.

Skoro ptak wrócił, nie widział powodu, dla którego miałby odkładać powrót na patrol. Poza tym, mógł znaleźć inne ślady intruzów, może przebywali oni jeszcze na terytorium Tayledras, chociaż osobiście raczej w to wątpił. Napastnicy zazwyczaj wpadali, robili, co mieli do zrobienia, i znikali. I ciągle nie wiedział, czy atak na gryfy był tylko dumnym polowaniem, czy też stanowił zagrożenie dla Doliny. A kiedy ma się wątpliwości, należy oczekiwać najgorszego, taka była jego podstawowa zasada.

Nie znalazł wielu śladów: w kilku miejscach na pewno ktoś przechodził, ale ziemia była zbyt wysuszona, aby coś z niej odczytać. Być może, szli tędy kusznik i jego towarzysz: ten ostatni zostawił na kolcach strzęp materiału i rysiego futra.

Skończył o zachodzie słońca i zmienił się z Gwiezdną Pieśnią, aktualną kobietą Zimowego Księżyca. Spojrzała na niego dziwnie, kiedy się mijali. Miała oczy pełne żalu, jednak zaraz zniknęła. Zdziwił się nieco i ruszył do swego ekele, myśląc tylko o świeżym ubraniu, jedzeniu dla siebie i Vree i powrocie do gryfów.

Nagle Vree, lecący przed nim, wydał ostrzegawczy okrzyk. Mroczny Wiatr zamarł z ręką na sztylcie, kiedy spośród cieni wyłonił się człowiek; leciała nad nim cicho biała sowa i zwiadowca rozpoznał więź-ptaka Zimowego Księżyca.

— Bracie, co cię tu sprowadza? — zapytał. — Myślałem, że polujesz.
Zimowy Księżyc nie odpowiedział; podszedł bliżej i spojrzał Mrocznemu Wiatrowi prosto w oczy.

— Nie słyszałeś?

Potrząsnął głową zaniepokojony.

— Słyszałem? Nie, żadnych wieści z Doliny, w każdym razie. Dlaczego? Co...?

Brat objął go i przytulił.

— Braciszku... och, braciszku, tak bardzo bym chciał... tak mi żal, sheyna. Jutrzenka... Jutrzenka nie żyje.

Mroczny Wiatr spojrzał w jego twarz... i zobaczył tylko żal. Był przygotowany na wszystko, tylko nie na to; stał tak, chroniony w ramionach brata i próbował zrozumieć słowa, które właśnie usłyszał.

— Jutrzenka? Ależ ona dzisiaj miała wolne! Nie chciała nawet wychodzić z ekele, tak mi mówiła, na pewno się mylisz!

— Nie — w głosie Zimowego Księżyca zabrzmiało współczucie — nie myślę się. Znaleźliśmy ją w ekele...

I wtedy zrozumiał w nagłym, straszliwym przebłysku.

— Nie! — krzyknął, wyrrywając się bratu. — Nie! Niemożliwe! Nie wierzę ci!

Wiedział jednak, że to prawda. Zbyt dobrze wyszkolony, żeby się załamać, zbyt zaszokowany, by się ruszyć, czuł, jak uginają się pod nim kolana. Zimowy Księżyc objął go i delikatnie posadził na pniu leżącym przy ścieżce. Vree wylądował obok, gwiżdżąc cichutko.

— Co się stało? — zapytał ochryple. Mrugnął i poczuł dwie łzy spływające po policzkach.

— Nie wiemy. Śnieżny Grom znalazł ją po południu; mieli iść na polowanie. Była... — umilkł na chwilę. — Braciszku, czy ona często stosowała pełną więź ze swoim ptakiem?

— Czasami. — Mroczny Wiatr oparł się ciężko na łokciach, a łzy spływały mu po twarzy. — Nie mogła... nie mogła jej nawiązać bez transu, ale Kyrr rozumiała ją bez tego. — „Jak to: nie żyje? Jak mogli ją zabić w jej własnym domu?”

— Wygląda na to, braciszku, że weszła w trans, tak ją znalazł Śnieżny Grom. Nie było śladów walki czy choroby. — Zimowy Księżyc westchnął. — Myślę, że związała się z ptakiem i coś złego się wydarzyło. Nigdy nie należała do najostrożniejszych. Może wysłała Kyrr na tamtą stronę i spotkała coś, czemu nie mogła uciec... Braciszku... — położył mu rękę na ramieniu — wiesz, że nie mówię dużo, ale jeśli mogę ci pomóc...

Mroczny Wiatr oparł głowę na jego ramieniu i rozplakał się, a Zimowy Księ-

życ siedział i obejmował go.

Nyara przewracała się na macie w swej grocie, pełna sprzecznych uczuć. Kiedy Mroczny Wiatr opowiedział o ataku, była równie zaniepokojona, jak hertasi. Teraz miała czas, aby pomyśleć, szczególnie o ostatniej rozmowie z ojcem.

Mornelithe Zmora Sokołów zawsze nienawidził gryfów, ot tak, dla zasady, chociaż nie wiedziała, czy kiedykolwiek je spotkał. Sposób, w jaki wyciągał z niej wiadomości o gryfach, wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, podsunął jej myśl, iż atak był jego dziełem. Jednak taka bezpośrednia napaść nie leżała w jego naturze. Wolał sekretnie knuć spiski, rozwijać nici i wciskać wszędzie swoje maczki; w jego sieci pogubiłyby się nawet pająki. Dlaczego miałby wysyłać kusznika? I dlaczego wyposażył go w najgorszy z możliwych amuletów, który mógł tylko zawieść? To nie miało sensu. . .

Do jej jaskini wszedł uzdrowiciel hertasi.

— Nyara? — powiedział łagodnie. — Jesteś tu? Nie śpisz?

— Nie — odparła zaskoczona. — Nie. . . nie mogę spać. Czy mogę w czymś pomóc?

— Myślę, że tak. Uskrzydleni mają się lepiej, ale potrzebują snu, a nie chcą zasnąć, bo boją się kolejnego ataku. Ty widzisz w ciemności, prawda?

— Tak, oczywiście. — Nyara zdobyła się na uśmiech pomimo tego, co zaprzętało jej głowę. „Ufają mi; w każdym razie Gęsta mi ufa, na tyle, że chce, żebym coś dla nich zrobiła”. — Chyba wiem, do czego zmierzasz. Chcesz, żebym była ich strażnikiem?

— Tak — Gęsta odetchnął z ulgą. — Nie musisz ich bronić, tylko stać na straży i obudzić ich w razie niebezpieczeństwa. Myślę, iż możesz to zrobić bez szkody dla zdrowia, a poza tym prosili o to. Mówili, że jesteś przyjacielem. Oczywiście, my chętnie byśmy to zrobili, ale. . . — Figurka wsparta na lasce wzruszyła ramionami.

— Ale nie widzicie dobrze w ciemności, wiem. Będę bardzo rada, mogąc im pomóc.

Kiedy wstała z maty, Gęsta cofnął się o krok.

— Będziesz szła przez bagno? — spytał. Nyara zdała sobie sprawę, że hertasi nigdy nie widział jej stojącej; jej szczupłość musiała dać mu błędne przekonanie o jej wzroście. Tak naprawdę Nyara była najwyżej o pół głowy niższa od Mrocznego Wiatru.

— Nie. — Sama myśl o brodzeniu w szlamie napawała ją odrazą. — Nie. Pójdę brzegiem.

— To zajmie ci więcej czasu.

— Ale jest wygodniejsze — Nyara zaśmiała się. — Idę. Dziękuję za zadanie.

Wyszła na ścieżkę, zanim uzdrowiciel odpowiedział, a kiedy była pewna, że

nikt z wioski jej nie dojrzy, zaczęła biec szybkim i długim krokiem, do jakiego ją stworzono, krokiem, który przypominał sposób poruszania się wielkich kotów z Równiny. Kiedy biegła, mogła myśleć; dziwne, ale bieg zawsze uwalniał jej myśli, jakby praca ciała wznosiła pracę umysłu. Myślała głównie o tym, że ojciec mógł być zamieszany w atak na gryfy. A jeśli tak, co mogła zrobić? „Treyyan i Hydona to moi przyjaciele, pewnie jedyni prawdziwi, jakich kiedykolwiek miałam. I Mroczny Wiatr... Och, gdyby ojciec nie kazał mi go uwieść! Krew się we mnie burzy, kiedy go widzę. Nigdy nie pragnęłam nikogo tak, jak jego, nawet ojca. Ojca nienawidzę i pożądam, Mrocznego Wiatru tylko pożądam...” Sama myśl o nim, o jego silnych, delikatnych dłoniach, smutnych oczach i pięknym ciele sprawiła, że zapragnęła rzucić mu się w ramiona, powalić na ziemię i... „Ale Mornelithe kazał mi go uwieść i to jest wystarczający powód, żebym tego nie zrobiła”. Wysunęła wojowniczo podbródek i wydłużyła krok. Jeśli jednak Mornelithe stał za tym wszystkim, co wtedy? „To zależy od tego, czy naśle jeszcze kogoś na gryfy tej nocy albo czy zostawił gdzieś swój znak. Jeśli niczego nie znajdę, będę milczeć, jeśli znajdę, będę mówić. Muszę mówić”. Decyzja przyszła tak łatwo, że nieomal nie zdała sobie sprawy z jej podjęcia. „Dlaczego? Dlaczego tak myślę? Oni są dla mnie obcy, a to, że byli mili... przyjacielscy...” Nikt nigdy nie był dla niej miły czy przyjacielski, odkąd wypędzono jej niańki i kazano bawić się z jakimiś nieudanymi wytworami Zmory Sokołów. „Gdybym ja była nieudanym tworem, spisałby mnie na straty. A jeśli dowie się o moim buncie, zabije mnie”. Tak więc nie może się dowiedzieć...

Dotarła do ruin szybciej, niż tego oczekiwała. Zwolniła i wyostriżyła wzrok, tak aby mogła zobaczyć najmniejszy ślad ciepła: nie wiedziała dokładnie, w której części ruin gryfy mają gniazdo. Zamarła pod zwaloną ścianą, bo oprócz gryfów usłyszała Mroczny Wiatr.

— Krążył nad wami czerwoniopióry jastrząb, kiedy odchodziłem — jego głos był schrypnięty i dziwny. — Kyrr Jutrzenki była właśnie taka. Wiecie, iż kazałem jej obiecać, że nie będzie jej dziś w pobliżu...

— Może to był błąd — przerwał Treyvan. — Była ciekawsska. Barrrrdzo ciekawsska. Możliwe, że całkiem związała się z ptakiem, a ten, kto nassss zaatakował, mógł zaatakować i zabić ją. Jeśśli ginie ptak, ginie człowiek, tak?

— Tak — w głosie Mrocznego Wiatru słychać było niepewność. — Jeśli są w pełni związani w tym momencie... Ale nie widziałem żadnych martwych... ptaków...

— Nie mussiałéśś — w wejściu pojawiła się Hydona z młodymi. — Może nie sssspadł na ziemię. Może dopadli go na drzewie.

Mówiła coś jeszcze, ale Nyara tego nie słyszała. Jej uwagę przykuło to, co zobaczyła w niej i jej dzieciach. Wszyscy mieli na sobie znak jej ojca. Hydona była skażona nim tylko trochę, czerwone, nabrzmiate żyły, które powoli wracały do normalnego stanu, ale gryfiątka... Jęknęła bezgłośnie, jak zwykła to robić

wiele, wiele razy, Teraz wiedziała, dlaczego, jak i po co ojciec zaatakował gryfy.

Nie miał wcale zamiaru ich zabijać. Chciał je tylko na pewien czas pozbawić możliwości działania i zupełnym przypadkiem dostały się w jego zasięg. Próbował otumanić Hydonę i ją sobie podporządkować, ale niewątpliwie okazała się za twarda; być może, po prostu nie zdążył. Tak naprawdę chciał mieć czas na rozprawienie się z młodymi. Wiedziała, że nie potrzebował go zbyt wiele, aby złamać kogoś młodego i nagiąć go do swej woli; może i nie uda się gryfiątek wykorzystać tak dobrze, jak dorosłych, ale o ile mniej z nimi pracy... A poza tym czerpały moc bezpośrednio z węzła pod ruinami. Tego chciał Mornelithe; potrafił tylko wyciągać energię z węzłów, nie miał do nich bezpośredniego dostępu: jeden był bowiem na terytorium k'Treva, drugi pod gniazdem gryfów. A teraz, przez skażone gryfiątka, będzie mógł robić, co chce... Być może, będzie miał nawet dostęp do wszystkich węzłów i linii energetycznych na Równinie. A poza tym, w samych ruinach mogły zostać schowane artefakty z Wojen Magów, a tych Mornelithe poszukiwał, odkąd pamiętała. Zazwyczaj znajdował tylko uszkodzone, bezużyteczne resztki, lecz miał potężne ambicje: na przykład odnaleźć którąś z Bram czy też zdobyć dostęp do starych cytadel.

„Wystarczy, że ma dostęp do węzła!” To, że mógłby zdobyć aż taką władzę, przerażało ją. Gdyby k'Sheyna zdawali sobie sprawę z ważności tego miejsca, zbudowałiby Dolinę wprost na ruinach. Nyara zamknęła oczy i zobaczyła oczy o pionowych źrenicach. Jeśli mu się uda, nigdy się nie uwolni...

Wyprostowała się i ruszyła ku gniazdu. Kopnęła jakiś kamień i wszyscy podezwali się na równe nogi, Mroczny Wiatr z obnażonym sztyletem w dłoni. Odprężyli się, kiedy ją zobaczyli; Treyvan usiadł z westchnieniem.

— Gesssta obiecał przyssłać Nyarrę, żeby objęła nocną sssstrraż — wytłumaczył zwiadowcy. — Widzi w ciemności i ufamy jej...

— Nie powinniście — odparła Nyara. — Nie powinniście byli mi zaufać...

— A to niby co ma znaczyć? — warknął Mroczny Wiatr. Powoli, powstrzymując łzy, powiedziała im wszystko.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ELSPETH

To było najdziwniejsze miejsce, przez jakie kiedykolwiek przejeżdżała. Trawa ciągnęła się po horyzont, nie przecinały jej żadne drogi czy znaki wskazujące kierunek; gdzieniegdzie rosły krzaki i czasami kępy drzew, ale tak naprawdę na Równinie Dhorisha rządziła trawa. Prawdziwe dzikie pustkowia, na którym łatwo było się pobłądzić.

Na Równinie panowało upalne lato, nie najlepsza pora roku na podróżowanie: krótkie noce, długie, gorące dni, trawa wypalona na jasnożółty kolor, wszędzie pełno owadów, czy to w dzień, czy w nocy. Oprócz nich nie dostrzegali innych śladów życia: żadnych ptaków czy zwierząt. Oczywiście, Elspeth zastanawiała się, czy przypadkiem w trawie nie chowa się cały zwierzyńiec, którego po prostu nie potrafią wypatrzeć.

Całymi dniami i nocami wiał gorący wiatr z południa, zamierający tylko o wschodzie i zachodzie słońca. Nie tylko gorący: wysuszał ich na wiór i ciągle byli spragnieni. Wydawało się, że nawet pijąc, nie mogli zaspokoić pragnienia. Elspeth cieszyła się, iż mają mapę. Ponieważ wjechali na Równinę w pobliżu źródła, udało jej się odnaleźć glif oznaczający „wodę”, najcenniejszą rzecz tutaj w pełni lata. Równina nie była pustynią, ale aż do jesiennych deszczy nie można się było dopatrzeć na niej śladu wilgoci. Wysychały im usta i nos, skóra robiła się szorstka, a oczy piekły prawie cały czas. Na mapie zaznaczono głównie studnie, a nie źródła czy strumienie, więc musieli je wyszukiwać, rozglądając się uważnie za kamieniami, uschłymi drzewami czy wzniesieniami, naniesionymi jako znaki rozpoznawcze. Elspeth nie mogła się nadziwić zmyślności Shin'a'in i cieszyła się, że nie podróżują przez Równinę zimą. Zimowy wiatr najprawdopodobniej zamroziłby natychmiast nie przygotowanego wędrowca i jego konia, a poza tym nie wyobrażała sobie, aby trawę można było wykorzystać jako opał. Zresztą, nie zauważyła żadnych naturalnych kryjówek przed zimnem: nic dziwnego, że Shin'a'in byli twardym ludem.

Skoro mieli dotrzeć na północ, postanowili trzymać się krawędzi i mieć ją za-

wsze po prawej, ale już trzeciego dnia zaczęła się na głos zastanawiać jak, u licha, Shin'a'in znajdują drogę przez środek Równiny, kiedy nie widać krawędzi? Skif tylko wzruszył ramionami.

— Może kierują się instynktem, jak ptaki? — rzucił. — Albo znakami, których my nie dostrzegamy?

Miecz prychnął z pogardą. — *Kierują się gwiazdami, rzecz jasna, jak żeglarze. Kiedy masz ze sobą kompas, gwiazdy dokładnie powiedzą ci, gdzie jesteś. Podejrzewam, że niektóre gryzmoły na twojej mapie opierają się właśnie na takich wskazówkach. Ty ich nie odczytasz, bo się na tym nie znasz.*

Elsbeth zgodziła się z nim; słyszała o nawigacji, ale nikt w Valdemarze jej nie stosował, bo nie mieli dostępu do morza. Kupiła sobie i Skifowi po kompasie w Kata'shin'a'in, chociaż Skif twierdził, iż sama wiedza o tym, gdzie jest północ, niewiele zmieni. Nie zwracała na niego uwagi. Skoro używali ich Shin'a'in, musiały być przydatne. Nie powiedziała mu, że jeśli będzie wiedział, gdzie jest północ, nie będzie się kręcił w kółko, chociaż miała na to wielką ochotę.

Krawędź wznosiła się tak wysoko nad ich głowami, iż porastające ją potężne drzewa wyglądały jak zapałki, a człowieka można było dostrzec tylko za pomocą lunety. Tę także kupiła w Kata'shin'a'in, Skif tylko odkaslnął, kiedy usłyszał cenę. Jasne, była droga, ale na pewno tańsza niż podobna w Valdemarze, zresztą, tam nigdy by jej nie kupili, bowiem wszystkie lunety należały do strażników. Tutaj były normalnym zjawiskiem: każdy przewodnik karawany miał co najmniej jedną. Soczewki przywożono z dalekiego południa, owinięte w jedwab, i wprawiano w skórzane tuby. Niektóre przewyższały wszystko, co widziała w Valdemarze.

Zignorowała protesty Skifa na temat obu zakupów; oszczędziła całkiem nieźle, nie kupując jedzenia, tylko polując, a poza tym przehandlowała trochę klejnotów. Bursztyny, turkusy, opale i ametysty należały tu do rzadkości, więc za radą Quentena zainwestowała w nie sporo, ale teraz dostała co najmniej podwójną stawkę, mogła więc bez poczucia winy kupować to, na co miała ochotę. Odkryła w sobie prawdziwy talent do handlu klejnotami i, jej zdaniem, Skif nie powinien był narzekać. Dziwna rzecz, miała wrażenie, iż jego pretensje wynikają nie z samego faktu dokonania zakupów, lecz z tego, że się z nim nie naradziła. Gdyby taką samą sumę wydała na pachnidła i ciuchy, usłyszałaby pewnie same komplementy, a to strasznie ją denerwowało. Oczywiście, chciałby kupić stroje i pachnidła, ale nie miałyby z nich żadnego pożytku. Wołała zaopatrzyć się w kompas, lunetę, specjalną odzież na upał i apteczkę, bo na uzdrowicieli nie mogli liczyć; gdyby przywiozła trochę tych leków do domu, valdemarscy uzdrowiciele nosiliby ją na rękach. Kupiła też dwa zestawy noży do rzucania, tak na wszelki wypadek, i dwie peleryny: opuszczali Kata'shin'a'in przed świtem, odziani w Biel i nie chciała, żeby ktoś to zauważył.

Nalegała na noszenie Bieli nie przez przekorę, jak zdawał się uważać jej towarzysz, lecz dlatego, iż Shin'a'in spotykali już heroldów i lepiej było nie ukry-

wać swej tożsamości. Przebrali się, aby uniknąć szpiegów, to prawda, jeśli jednak szpiedzy Ancara dostaliby się w pobliże Równiny, oznaczałoby to, że jest on potężniejszy, niż uważali, i nie noszenie Bieli na wiele by im się nie zdało. A jeśli nie był tak potężny, Biel uchroni ich przed napaścią ze strony Shin'a'in, którzy najpierw strzelali, a potem zadawali pytania. Niezależnie od jej argumentów Skifowi po prostu nie podobał się ten pomysł i w tym tkwił problem.

Mogłaby go na miejscu zamordować. Robił wszystko, żeby udowodnić, jak bardzo jest jej oddany, i za każdym razem, kiedy jej zachowanie stawało się „niekobiece”, zaczynał się dąsać, wyklócać i powtarzać, że jej decyzja była błędem od samego początku i powinni trzymać się pierwotnego planu. Jeśli to było oddanie, zaczynała tęsknić za nienawiścią.

Tej nocy rozbili obóz przy źródle, które można było dostrzec z oddali, bo otaczał je krąg drzew: dlatego zdecydowali się wyruszyć ku niemu, zamiast zostać przy studni, na jaką natknęli się po południu. W końcu mieli jechać najszybciej, jak tylko mogli, prawda? Nawet w nocy nie mogli przeoczyć źródła: gdyby nawet jakimś cudem nie zauważyli drzew, sam zapach im powie, że dotarli na miejsce. Zresztą, Towarzysze na pewno się nie zgubią.

Skif, oczywiście, stwierdził, że zapuszczanie się nocą na nieznaną terytorium nie jest dobrym pomysłem, ale spokorniał, kiedy tylko rozbili obóz. Nie rozumiała, dlaczego w ogóle się sprzeciwiał. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to myśl, iż po prostu nie chce, aby podejmowała decyzje. Kiedy już dotarli na miejsce, zaczęli się unikać: on rozbijał obóz, ona poszła po wodę i drewno na opał. Nie przyniosła go zbyt dużo, bo ogień potrzebny był tylko do zagotowania herbaty. Elspeth bała się pożaru prerii: jedna iskra i cały teren stawał w płomieniach. Według niej, Skif nie zachowywał wystarczającej ostrożności. Gdy wróciła, okazało się, że wykopał palenisko — za małe i za płytkie, żeby się nim bezpiecznie posługiwać, ale czego oczekiwać od kogoś, kto całe życie spędził w mieście? Nigdy nie widział pożaru prerii i trudno mu było nawet wyobrazić sobie jego moc i furję. Pożar miasta, w porządku, ale trawa? Trawa była delikatna, krucha i z pewnością spalała się na popiół w mgnieniu oka.

Elspeth wiedziała jednak swoje. Trawa była łatwopalna i kiedy już się zajęła, wydzielala niesamowite ilości ciepła, a tutaj rozciągała się całymi milami. Nigdy nie zapomniała, jak Kero opisywała patrol z Piorunami Nieba, kiedy to dostała się w sam środek pożaru prerii: „To była ściana ognia, wysoka jak człowiek, pędząca wszystko przed sobą: dzikie bydło, stada owiec, za nimi całe morze królików, tak przerażonych, że wpadały człowiekowi pod nogi. Potem ptaki, myszy i nagle miałaś ogień przed sobą. Jego ryk słyszałaś już przedtem, ale teraz ogłuszał, poruszał się tak szybko, jak biegnący człowiek, a dym wznosił się do nieba gęstą, czarną zasłoną. Nie byłam w stanie przez niego przeskoczyć: trawa paliła się jak drewno, ale było goręcej...” Kero zakryła oczy dłonią. „Puściliśmy nasze konie, bo nawet Shin'a'in wpadły w panikę. Paru młodzików próbowało przebiec przez

ogień, ale zajęło się na nich ubranie, wszystko, co nie było zrobione ze skóry czy metalu, tak było gorąco; nieważne. Reszta oblała się wodą z bukłaków, przykryła plecy tarczami i mokrymi ubraniami, i padła na ziemię. Wyglądali jak żółwie. Jak żółwie z obrusem na grzbiecie, mówili później. Schowali twarze w ziemi i starali się nie oddychać. Wyszli z tego, ale paru miało kłopoty z poparzonym gardłem. Nie pozwól, żeby ktoś ci wmówił, że pożar na prerii to pestka. Straciłam w jednym połowę patrolu, a drugą połowę uzdrowiciele zajmowali się tygodniami. To nie pestka, to piekło. Moi krewni obawiają się ognia jak niczego na świecie”.

Nie miała zamiaru lekceważyć pożaru prerii, jednocześnie jednak nie chciało jej się tłumaczyć Skifowi, jakie zagrożenie ze sobą niesie. Uznałby, że się go czepia. Wobec tego po prostu wyjęła nóż, pogłębiła dziurę w ziemi i otoczyła ją kamieniami, a potem oczyściła teren dookoła. Skif wzdychał, kiedy pośrodku tego ogromnego paleniska rozpałała maleńki ogieniek, ale nie komentował. Zresztą, nie musiał: wyczytała wszystko ze sposobu, w jaki siedział. Nawet kiedy nic nie mówiła, traktował jej posunięcia jako krytykę. No cóż, nie mogła nic na to poradzić — lepiej obejść się bez herbaty, niż się spalić. Podejrzewała, że będzie wzdychał za każdym razem, gdy ona coś zrobi.

Gdy już ugotowali herbatę i zjedli kolację, zgasiła ogień i ułożyła kamienie na miejsce, ignorując dziwne spojrzenia rzucane w jej kierunku.

Myślisz, że to robisz, żeby go unikać — ucieszył się nie wiadomo z czego miecz.

Guzik mnie obchodzi, co on myśli. Chcę, żeby ci, którzy nas obserwują, wiedzieli, że szanuję ich ziemię. Chyba lepiej zatroszczyć się o to, jak nas ocenią, prawda? Wiem, że tam gdzieś są.

Obserwatorzy? — zapytał miecz.

Są tam.

Co najmniej czterech — stwierdziła po chwili Potrzeba. — *Nie wiedziałam, że przenikasz ostony. Jesteś lepsza, niż myślałam.*

Nie jestem, po prostu zgadłam. Shin'a'in nie wpuszczają obcych na swoje terytorium, a nas nie tylko wpuścili, jeszcze dali nam mapę. Nie chcą naruszać pewnych zasad, co nie znaczy, iż puszcza nas wolno, na tyle nam nie ufają. To, że ich nie dostrzegliśmy, oznacza, że się ukrywają, i jeśli coś pójdzie nie tak, wyproszą nas w mgnieniu oka. Jeśli zjedziemy ze szlaku, zagonią nas na niego. — Ta myśl ją rozbawiła. — *Może należałoby zjechać ze szlaku i zobaczyć, jak sobie poradzą z zawróceniem nas. Na pewno nie podjadą i nie powiedzą „Przykro nam, panienko, ale to nie ta droga”.*

Ciekawe rozumowanie — stwierdziła Potrzeba. — *„Jeśli ich nie widzę, to na pewno tu są”.*

Rozumowanie najemnika — odpowiedziała.

Kiedy skończyła z kamieniami, spostrzegła, że Skif ciągle siedzi w tej samej pozycji i obserwuje ją. Tej nocy świeciły tylko gwiazdy, ale Biel odcinała się w ciemności i wydawało się, iż błyszczy swoim własnym blaskiem. Wyglądał jak

stworzenie z bajki. „Albo spełniony sen dziewczycy”, pomyślała cierpko. „Bohater, na którym można polegać. Doskonały, silny, przystojny i gotowy wziąć całą odpowiedzialność na swoje barki”.

Wstała; on też. Przesunęła się trochę. On też. Nie tyle przesunął, co podszedł i objął ją; zeszywniała. Nie mogła nic na to poradzić, po prostu nie chciała, żeby ją dotykał, nie tak. Nie jak kochanek.

— Przestań! — powiedział ostro.

— Przestań co? — spytała równie ostro, próbując się wyswobodzić.

— Przestań być taka zimna, Elspeth — odparł łagodniej. — Nigdy taka nie byłaś.

— Nigdy nie łąziłeś za mną jak zakochany szczeniak — rzuciła, uwalniając się i cofając kawałek. — Zanim to się zaczęło, byłeś jak starszy brat.

— Tak było, zanim zauważyłem, że dorosłaś. W porządku, byłem głupi, nie widziałem, co mam pod nosem, ale. . .

„Bogowie, tylko nie wyświechtane romantyczne frazesy!” Nie wiedziała, czy się rozpłakać, czy roześmiać. Jedno i drugie skończyłoby się wybuchem gniewu.

— Nasłuchałeś się za dużo kretyńskich ballad — przerwała mu — w których bohater musi w końcu dostrzec, jak piękna jest księżniczka, szaleńczo się w niej zakochać, wyrwać ją ze szponów złego czarnoksiężnika i zamknąć w wieży do końca jej dni, dla jej własnego dobra, rzecz jasna. — Wzięła głęboki oddech, ale to nie pomogło, — Też znam te bajki i wcale a wcale w nie nie wierzę. Ty, nie jesteś bohaterem, ja nie jestem zaklętą księżniczką, tylko jedyną kobietą w zasięgu mił, niestety. Nie potrzeba mnie ani ratować, ani chronić!

— Ale.. — zaprotestował słabo.

— Przestań! Byłam miła, udawałam, że tego nie widzę, ale mam dość! Daj mi spokój! Nie potrafisz traktować mnie jak partnerki, świetnie, wracaj do domu. W samym środku Równiny Dhorisha jestem bezpieczna, na litość boską! — Zatoczyła koło ramieniem. — Tam jest z pół tuzina Shin'a'in i raczej nie pozwolą nikomu tu podejść!

— Elspeth, nie o to chodzi — powiedział prosząco. — Chodzi o to, że ja. . .

— Nawet się nie waż! — wrzasnęła. — Nie waż się mówić, że mnie kochasz! Nie kochasz mnie, tylko swoje wyobrażenie, bo gdybyś mnie kochał, nie próbowałbyś udowodnić, że jesteś lepszy, że powinnam cię słuchać, i zgadzać się z każdą twoją decyzją!

— Ale ja nie. . .

— Ależ tak — odparowała. — Kiedy podejmuję decyzję, tobie się ona nie podoba. Jeśli coś robię, ty potrafisz to lepiej. Gdy coś mówię, sprzeciwiasz się. Chyba że zachowuję się jak dobra, grzeczna dziewczynka, która nie zaprzęta swej ślicznej główki wojaczką, robi to, co jej każą i będzie się uczyła magii u dobrego wujka czarodzieja!

— Nie robię tak! Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół to kobiety!

Była bliska uduszenia go.

— Kobieta, na którą nie masz ochoty, może być człowiekiem, tak? — powiedziała. — Ale jeśli chcesz iść z nią do łóżka, to niech lepiej zna swe miejsce? Czy też każda kobieta wyższa od ciebie rangą może robić co chce, ale jeśli to ty dowodzisz, lepiej, żeby się zamknęła i pokornie spełniała rozkazy? Ach, jakie to wspaniałomyślne, jakże szlachetne!

— Co ty sobie w ogóle myślisz, że jesteś kim? — wrzasnął.

— Sobą, oto, kim jestem! Nie jakąś twoją podwładną ani dzieckiem, któremu trzeba wycierać nos! Ani twoją lalą, zabawką, księżniczką, nie jestem twoją własnością!

Obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, wiedząc, że zgubi go natychmiast, jeśli będzie chciała i w razie potrzeby Gwena ją odnajdzie. Zanurkowała w pachnącą trawę i czekała na kroki, ale nie doczekała się.

Gwena?

Siedzi na swoim posianiu — odparła głosem jak brzytwa. — *To było okrutne.*

Elsbeth zamknęła swój umysł, zanim Towarzysz powiedział coś jeszcze; nie miała zamiaru wysłuchiwać niczego więcej na ten temat. Gwena popierała Skifa jak jakaś rajfurka; skoro już się wyrwała spod opiekuńczych skrzydeł matki, nie pozwoli, żeby inni wchodzili jej na głowę.

Wyciągnęła się na zaskakująco miękkiej trawie i patrzyła w nocne niebo. Gwiazdy były znacznie większe niż w domu. Czowała, że bołą ją plecy, kark, zaciśnięte pięści i żołądek; to nie był najlepszy sposób radzenia sobie z problemami. Spróbowała opróżnić umysł z całego gniewu i frustracji, dziwnej potrzeby, która gnała ją w nieznaną, i całego bagażu odpowiedzialności. Po chwili poczuła, jak jej dłonie rozluźniają się, a żołądek uspokaja i zupełnie przestała myśleć: po prostu była. Patrzyła w gwiazdy, pozwalając owiewać się ciepłemu wiatrowi, wdychała suchy zapach traw, na których leżała, i czuła ziemię pod sobą. To miejsce tętniło życiem, jakby ciepła ziemia była żywym stworzeniem. Uspokajała ją; rozluźniała napięte mięśnie i promieniowała spokojem.

„Gwena ma rację, byłam okrutna”. Paliły ją uszy, ale nie żałowała ani jednego wypowiedzianego słowa. „Co się z nami stało? Kiedyś byłabym szczęśliwa, gdyby mi powiedział, że mnie kocha. Może nawet potrafiłabym sama się w nim zakochać. Gwena miała rację, mogłam trafić gorzej”. Łzy napłynęły jej do oczu, nie z powodu tego, co zdarzyło się między nią a Skifem, lecz na myśl o tym, co ją czekało. „Jeśli przeżyję tę wyprawę, pewnie trafię gorzej. Będę musiała wyjść za obleśnego starucha albo młodego dupka, żeby scementować jakiś układ. Potrzebujemy pomocy i może tylko tak uda nam się ją zdobyć. Gdybym się zgodziła, Skif przynajmniej kochałby mnie przez jakiś czas...”

To jednak nie byłoby w porządku wobec niego; nie potrafiłaby odwzajemnić jego uczucia. Nie kochała go i nie chciała udawać, że jest inaczej; prędzej czy później zorientowałby się. A poza tym, gdyby miała wyjść za obleśnego starucha,

i tak musiałaby z nim zerwać, prawda? O co więc chodzi?

O co w ogóle chodzi? I tak była tylko towarem do przehandlowania za bezpieczeństwo Valdemaru i logicznie myśląc, może by się na to zgodziła. Ale jej emocje...

„Dlaczego?” zapytała gwiazd, zamazanych przez łzy. „Dlaczego muszę wszystko poświęcić? Dlaczego nie mogę mieć niczego tylko dla siebie? To nie egoizm, to zwykła ludzka potrzeba... Talia ma Dirka, Kero Eldana, matka Darena... dlaczego tylko ja jestem sama?”

Nie było odpowiedzi; szlochała tak długo, aż rozboleły ją oczy. Może nie była aż taka wyrafinowana, jak myślała, może całe życie wierzyła w ballady, w których spotykało się w końcu miłość swego życia... „Może to i głupie, ale takie rzeczy się zdarzają...” Innym ludziom. Jeśli całe życie będzie czekała na tę wielką miłość, nie zrobi nic dla siebie. Ale tak trudno jest wyrzec się marzeń...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

INTERLUDIUM

Jutrzenka obudziła się nagle z sercem walącym ze strachu, sparaliżowana. Nie mogła niczego dostrzec, czuła jedynie, że z głodu jest jej niemal niedobrze i że stoi dziwnie pochylona. . .

Nie, nie była pochylona, jej pozycja była normalna: — dla Kyrr. Ciągłe tkwiła w ciele ptaka, ale Kyrr zniknęła. Była zupełnie sama. Otworzyła dziób, żeby krzyknąć, ale nie mogła; po chwili jednak paraliż ustąpił i do jej oczu dotarło złote światło. Siedziała na żerdzi. Uchwyciła się jej desperacko, próbując utrzymać równowagę bez pomocy Kyrr i zobaczyła, że na nogach ma troczki, połączone łańcuchem z kółkiem przymocowanym do żerdzi.

Źródło światła uniosło się i usłyszała głęboki, gardłowy śmiech; znajdowała się w pokoju bez okien, pustym, jeśli nie liczyć kanapy, na której ktoś siedział. Przeraziła się tak bardzo, że puściła żerdź i poleciała w dół; nie mogła pofrunąć, nawet gdyby jej nie przykuto — nie kontrolowała ciała ptaka, więc zwisała tylko do góry nogami, szamocząc się i bijąc skrzydłami. „Nie mogę wrócić!” Znów ogarnęła ją panika i zaczęła się miotać. Próbowiła wszystkiego, nawet wspięcia się za pomocą dzioba, ale doprowadziło to tylko do tego, że szybko się wyczerpała. Zwisła na trokach, z sercem walącym tak mocno, iż nieomal nie mogła oddychać, słabnąc z każdą chwilą. Jak każdy drapieżnik, przeszła ze stanu bezrozumnej paniki do ośpienia.

Wisiała głową do ściany. Nie usłyszała kroków, kiedy ten, kto był z nią w pokoju, podchodził. Poczła nagle rękę na karku i pod brzuchem, a potem ustawiono ją z powrotem na żerdzi. Kiedy tylko poczuła drewno pod pazurami, chwyciła się go kurczowo, a Zmiennolicy uśmiechnął się zagadkowo.

— Kłopoty, kochanie? — zamruczał, cofając się krok czy dwa. Nosił tylko rękawiczki, a teraz zdjął je i rzucił na półkę. Nie potrzebował ubrania — cały pokryty był złocistym futrem z wyjątkiem pewnych strategicznych miejsc.

Gdyby mogła, zaczerwieniłaby się. Nie, żeby nie widywała już przedtem nągich mężczyzn, ale ten tutaj obnosił swoją męskość jak jakąś broń. Było to obsce-

niczne; ta obsceniczność wynikała ściśle z jego zachowania. Wyczuł jej zakłopotanie i najwyraźniej bardzo go rozbawiło.

Wyglądał jak kot — jak ryś — i ruszał się jak kot. Wrócił na kanapę, na której go zobaczyła po raz pierwszy, i zwinął się w kłębek na poduszkach z wdziękiem, którego brak było nawet prawdziwym kotom, a potem, z podbródkiem wspartym na dłoni, zaczął ją obserwować.

Czuła, jak drżą jej nogi. Zrozumiała wtedy, jaka jest bezbronna; nie potrzebował jej przykuwać, chyba tylko po to, żeby nie spadła i nie skręciła sobie karku. Bez Kyrr nie potrafiła sobie poradzić; jedynie proste rzeczy, oparte na odruchach bezwarunkowych, wchodziły w grę, o bardziej skomplikowanych nie miała nawet co marzyć. Równie dobrze mogła fruwać w ludzkim ciele. Oblizwał zmysłowo wargi.

— Jestem — powiedział głębokim głosem — Mornelithe Zmora Sokołów. A ty popełniłaś kardynalny błąd: zaatakowałaś mnie. Obawiam się, kochanie, że jesteś moim więźniem. I że zrobisz to, czego zapragnę.

Poczuła, jak unoszą się jej wszystkie pióra. Mornelithe Zmora Sokołów — to na pewno ten adept, od którego uciekła Zmiennolice Mrocznego Wiatru, ten, który uwięził jej dyheli; jego imię nie wzbudzało przesadnego entuzjazmu wśród Tayledras.

— Szkoda, że dałaś się uwięzić w ciele ptaka. Trudno czerpać przyjemność z czegoś takiego, ale może będziesz współpracować... — westchnął i opuścił powieki, obserwując ją przez gęste rzęsy. Nerwowo zacisnęła szpony na żerdzi, czekając na to, co on zrobi.

Podniósł palec. Drzwi za kanapą otworzyły się i wszedł człowiek odziany w złocistą skórę z głębokim koszem w dłoni. Położył go pod jej żerdzią, odpiął łańcuszki od kółka i przypiął do nich długą, skórzaną smycz, a potem odwrócił się i odszedł, nie mówiąc ani słowa.

Spojrzała do kosza: sparaliżowane strachem, kuliły się w nim trzy żywe myszy. Zaburczało jej w brzuchu, a jednocześnie poczuła przyływ mdłości. Gapiła się na myszy, wściekle głodna i czuła się złapana w taki sam potrzask, jak one. Była głodna, mogła je zjeść, ale nie wiedziała, jak je zabić. Kyrr wiedziałaby, lecz Kyrr odeszła. Wtedy zrozumiała. Kyrr odeszła: nie czekała cierpliwie gdzieś w ptasim umyśle, ale odeszła. Umarła. Część jej życia, duszy, serca zniknęła bez śladu. Odkąd skończyła dziesięć lat, nie czuła się tak przeraźliwie samotna, jak teraz. Rozpacz ogarnęła ją bez reszty; przysłoniła nawet głód. „Kyrr...!” Otworzyła dziób, lecz nie wydożyła z niego żadnego dźwięku. Nie mogła płakać, nie była już człowiekiem. Jak płaczą jastrzębie? Nie wiedziała; niemożność rozpaczania nad stratą uczyniła ją tym bardziej bolesną. I ona, i Kyrr, już nigdy nie wrócą do domu. Zamknęła oczy i pogрузzyła się w niemej żałości.

Chichot pełen satysfakcji sprawił, że poderwała głowę. Mornelithe przyglądał jej się z radością. W jednej chwili ogarnęła ją wściekłość. Wrzasnęła, a jej głos

przeszył powietrze. Chichot zmienił się w śmiech.

— Może jednak się tobą nie rozczaruję, dziewczeczko. — Jego oczy pieściły ją, a wściekłość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Powrócił strach.

Spojrzał na przedmiot trzymany na kolanach. Kiedy podążyła za jego spojrzeniem, zobaczyła kawał ciemnego kryształu. Mornelithe patrzył w niego i nagle zmarszczył brwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

MROCZNY WIATR

Gwiazdne Ostrze zostawił tłum uzdrowicieli i magów otaczających ekele Jutrzenki i ruszył ku swojemu. Głupcy — próbowali odkryć przyczynę śmierci dziewczyny, kiedy to było oczywiste, tak oczywiste jak jej skażone ciało, jak jego skażona dusza i zniszczony kamień-serce. Zrozumiał to w tej samej chwili, w której ją zobaczył, i nie mógł powiedzieć ani słowa.

Czuł się stary i wypalony, przytłoczony tajemnicami tak upiornymi, że nie mógł ich nikomu powierzyć, przeżarty ich podłością do szpiku kości. Jak wiele razy przedtem, tak i teraz wspiał się do małej izby na szczycie swego ekele, spojrzął na Dolinę i zaczął się zastanawiać, czy tym razem znajdzie siłę, aby otworzyć okno i rzucić się w dół. Jednak kruk, siedzący na swej żerdce, wwiercał się w niego zimnymi, przenikliwymi oczami i to mówiło mu lepiej niż cokolwiek innego, że Mornelithe Zmora Sokołów ciągle ma władzę nad jego duszą. Nie zostało mu już nic własnego: ani myśli, ani wola, ani umysł. Odwrócił się od okna i rzucił na posłanie, mając nadzieję, że pograży się w litościwym zapomnieniu, ale Zmora Sokołów najwyraźniej postanowił przypomnieć mu pewne fakty. . .

Pomiędzy drzewami wił się dym. Stanął w miejscu, które uznał za bezpieczne, i kaszlał. Ogień rozprzestrzenił się szybciej, niż powinien, i przez chwilę Gwiazdne Ostrze rozważał, czy by nie wezwać kogoś na pomoc, ale Dolina była tego dnia pusta, a poza tym miał swój honor. W końcu był adeptem, więc taki drobiazg jak pożar lasu nie powinien stanowić problemu. Ukrył się przed dymem w płytkiej jaskini, zamknął oczy i skoncentrował na pierwszym zadaniu.

„Nie, idioto!” — wrzasnął Gwiazdne Ostrze na siebie. - „Wracaj po pomoc! Nic normalnego nie jest w stanie przerazić żarptaków!” Ale to już się wydarzyło i jego młodsze „ja” nie słyszało tego okrzyku.

Zaczął szukać przerażonych żarptaków. Dopóki ich nie uspokoi i nie odeśle, nie uda mu się ugasić płomieni. Dotykał kolejno ich umysłów, zmieniając panikę i potrzebę obrony w chęć ucieczki, i wysyłał je w kierunku Doliny. Tam ktoś, kto

potrafił przemawiać do zwierząt, na pewno się nimi zajmie. Jemu został ogień.

Żarptaków było więcej, niż się spodziewał, i w czasie, kiedy się nimi zajmował, ogień strawił otaczającą go roślinność. Kiedy otworzył oczy, ujrzał dookoła płomienie. Liście skręcały się od gorąca i szybko poddawały żywiołowi. Przeszył go lodowaty strach, a kiedy spróbował ugasić ogień, zorientował się, jak bardzo wyczerpał swą energię, pomagając ptakom... i że jest odcięty od najbliższego węzła i prowadzących ku niemu linii. Coś go od nich odgradziło; nie tylko nie mógł poradzić sobie z pożarem, ale nawet uratować samego siebie. Zamknięto go w osłonach groźniejszych od ognia.

Dym wdarł się do jaskini. Coś przebiegło mu koło nogi — oszalały ze strachu królik schował się za jego kostką. Temperatura wzrastała z chwili na chwilę; cała dolinka za moment stanie w płomieniach. Nie był na to przygotowany; nosił zwykajne ubranie, bluzę i spodnie. Mógł zrobić tylko jedno: owinąć się pozostałą mocą jak kocem i biec...

Kiedy płomienie niemal nadpaliły mu włosy, posłał swego więź-ptaka w górę i ruszył najprostsza — jak mu się wydawało — drogą. W sam środek piekła.

Nawet we śnie jego ciało wiło się z bólu, a z ust wydobywał się bezgłośny krzyk.

Ogień oblizwał jego ciało; na początku nie czuł bólu, tylko ciepłe, miękkie dotknięcia, kiedy przebiegał. Ból przyszedł później, rozkwitł jak potworny, czerwony kwiat. Osłonił usta włosami, ale nadal palący dym wdzierał mu się do płuc; czuł tylko ból i strach przed śmiercią, który zmuszał jego nogi do biegu.

Nagle poczuł chłodne, czyste powietrze. Wyrwał się z linii ognia, był wolny. Rzucił się do strumienia, jęcząc, gasząc tłące się ubranie i włosy. Woda ochłodziła go, ale spalona skóra na ramionach nadal potwornie bolała. Nie pamiętał, jak długo leżał w strumieniu. Dym przepływał nad nim, lecz ogień nie podchodził bliżej. Nie wiedział, czy wzrok zaćmiewa mu dym czy ból, ale wiedział, że nagle pojawiła się pomoc, ocalenie: ktoś zamajaczył na brzegu. „Nie! Nie wierz mu! Zabij się, wyciągnij nóż, póki jeszcze możesz, zabij się, kiedy masz szansę!”

Wyciągnął dłoń w stronę owianego mgłą kształtu, kogoś, kogo znał, ale nie mógł rozpoznać. Zobaczył białe włosy — adept Tayledras, na pewno adept Tayledras. Na pewno go znał. Deszczowe Skrzydło? Ognisty Lód? Nieważne. Wychrypiał coś i ten drugi ruszył w kierunku Gwiazdznego Ostrza.

— Wydawało mi się, że ktoś wzywał — powiedział, stając nad nim. — Miałem rację.

— Pomóż mi... — poprosił samymi ustami, bo nie potrafił wydać z siebie głosu. Poświata bijąca od białych włosów zaćmiewała mu wzrok. Srebrne oczy adepta wpatrywały się w niego.

— Będę musiał cię zabrać ze sobą, bo ogień odciął nas od Doliny. Ale nie bój się, poradzę sobie. Dobrze?

Gwiazdne Ostrze skinął głową i odrzucił wszystkie bariery ochronne. Kiedy

nieznajomy uniósł go w zadziwiająco silnych ramionach, wydało mu się, że widzi przedziwny błysk w jego oczach. . .

Kiedy się obudził, okrywało go cienkie, jedwabne prześcieradło. Nadal był obolały, ale poparzenia zniknęły i mógł swobodnie oddychać. Potem spróbował poruszyć ramionami wyciągniętymi za głowę. Nie potrafił. Szarpnął się, próbując pokonać opór materii spowijającej go od stóp po głowę — bez rezultatu. Usłyszał chichot.

— Tak ci spieszo porzucić mą gościnę? — spytał wysoki, koci Zmiennolicy, podchodząc do łóżka Gwiezdnego Ostrza. Przypominał rysia, pokryty głównie własną sierścią, ale nosił też skórzaną przepaskę biodrową. — Jakiś niekulturalny! — Uśmiechnął się zmysłowo, odsłaniając zęby. Gwiezdne Ostrze szarpał się rozpaczliwie.

— Mój klan wie, gdzie jestem — ostrzegł. — Jeśli mnie zabijesz, będą mnie szukać i. . .

— I nic nie zrobią — ziewnął Zmiennolicy, podziwiając swe pazury. — Zgodziłeś się ze mną pójść, więc nie znajdą żadnego śladu przemocy, a teraz ukrywają cię moje zabezpieczenia. Nie usłyszą cię, choćbyś się wściekł.

— Zapominasz, wypaczony, że jestem Tayledras. Mój więź-ptak ich tu przyprowadzi! — Zaczął szukać umysłu Karry, ale Zmiennolicy cofnął się i skłonił:

— Jak chcesz, ale on próbował mnie zaatakować — i wskazał kąt pokoju, gdzie coś szczupłego i prawie ludzkiego spojrzało na niego dzikimi oczami, z ustami pełnymi piór. Piór sokoła. Piór Karry.

Rozpłakał się, a łkanie wstrząsnęło jego ciałem. To nie wróci Karry życia. Kruk zakrakał; zabrzmiało to jak upiorny śmiech.

Zmiennolicy usiadł na łóżku i ściągnął z niego prześcieradło. Gwiezdne Ostrze, pozbawiony osłony cienkiego jedwabiu, wzdrygnął się.

— Jestem Mornelithe, niegrzeczny ptaszniku — powiedział, od niechcenia, przeciągając pazurem po boku mężczyzny — ale teraz przybiorę inne imię. Zmora Sokołów — spojrzał na maga, nadal szamoczącego się w swych więzach z oczami pełnymi łez z powodu Karry. — Lepiej mi uwierz, zakładniku. W krótszym czasie niż myślisz, będziesz mnie zwał jeszcze inaczej. — Przerwał i uśmiechnął się podle. — Będziesz mnie zwał panem. — Pochylił się nad nim; zielone oczy z pionowymi źrenicami rościły i rościły, aż przystończyły cały świat. — Myślę, że naukę zaczniemy od zaraz.

Na szczęście nie pamiętał tej nauki; wiedział tylko, że była bolesna i przyjemna zarazem, aż do skraju wytrzymałości. Nikt lepiej od Mornelithe'a nie potrafił łączyć przyjemności i bólu, a kiedy skończył, znał każdy klucz do duszy Gwiezdnego Ostrza.

Kłęczał przed Zmiennolicym, składając mu hołd i nienawidząc się za to. Wszystko, co mógł dostrzec, to złoto-żyłkowy marmur podłogi i stopę Mornelithe'a. Jeszcze nie musiał jej całować.

— Ach, ptaszniku — roześmiał się Mornelithe — tak wdzięcznie się ponizasz, tak czarująco, że nieomal żał pozwolić ci wstać.

Gwiazdne Ostrze zaczerwienił się ze wstydu, a potem ogarnął go strach. Już wiele razy takie słowa prowadziły prosto do kolejnej „lekcji”.

— Myślę, że już doskonale poznałeś swoje miejsce w hierarchii, więc pozwolę ci wrócić do twego ukochanego domu.

Zamiast radości poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. To, czym się stał, było wystarczająco złe, ale powrócić do Doliny i przynieść ze sobą tę zarazę... Chciał odmówić. Chciał wstać, wyszarpnąć sztylet i zadźgać dręczyciela; chciał tym samym sztyletem poderżnąć sobie gardło. Spróbował to zrobić — zamknął oczy i skoncentrował się na swej ręce sięgającej rękoności. Był adeptem, wyszkolonym, doświadczonym, silnym; jego wola przypominała ostrze, mógł stać się na powrót sobą. Tak... tak, mógł. Mógł czuć, jak jego wola mięknie, a on sam otwiera usta, żeby powiedzieć:

— Tak, panie, jeśli tylko sobie tego życzysz. — Rozciągnął usta w pochlebczym uśmiechu, a oczy spojrzwały z uwielbieniem na Mornelithe'a. Nie podniósł ręki z podłogi. Czuł, że w jego umyśle jest dwóch ludzi: jeden całkowicie oddany Zmorze Sokolów, a drugi, głęboko, głęboko ukryty i bezsilny, był prawdziwym Gwiazdnym Ostrzem. Mornelithe mógł go zniszczyć; nie zrobił tego, bo patrzenie na cierpienia ofiary niezmiernie go bawiło.

— Nie ufam ci całkowicie, przyjacielu — powiedział ciepło i dotknął policzka Gwiazdnego Ostrza. — Byłeś nadzwyczaj uparty i nie wiem, jak się zachowasz, kiedy cię spuszczę z oka. Dlatego dostaniesz strażnika, a jednocześnie nowego ptaka. Proszę bardzo...

Strzelił palcami i zza krzesa wyleciał kruk, identyczny jak te hodowane w Dolinie. Mornelithe nakazał Tayledras uklęknąć, a kruk wylądował mu na ramieniu. To, co zostało z woli Gwiazdnego Ostrza, sparaliżowano.

— Proszę. To powinno rozwiązać nasze problemy, prawda? — Zaśmiał się, a kruk zakrakał kpiąco, wtórując mu...

Uwolniony od wspomnień, leżał drżący i mokry od potu, ciągle słysząc ten śmiech.

Odkąd opuścił fortecę Mornelithe'a, ten ciągle go miał na oku. Był doskonałym adeptem, bez dwóch zdań, a do wzmocnienia siły brakowało mu tylko kontroli nad węzłem. Obu węzłów w okolicy strzegli Tayledras. Mornelithe chciał to zmienić; tylko tyle Gwiazdne Ostrze wiedział na pewno. Kiedy odnaleziono go w samym środku pogorzelska, w jego pamięci nie pozostał nawet ślad tego, że go porwano.

Przypomniał sobie jedynie, iż gdzieś w środku pożaru utracił Karry i że przywaliło go płonące drzewo. Ledwie pamiętał, jak się uwolnił i wpełzł do jakiejś nory, gdzie przeczekał pożar. Wiedział, iż z powodu zaczadzenia cierpiał kilka dni. Potem znalazł kruka, który przynosił mu owoce i wodę, a w końcu próbował

dostać się z powrotem do Doliny.

Nikt nie zorientował się, że to fałszywe wspomnienia, nikt słowem nie zareagował na kruka. Jedynie niespotykana wybuchowość Gwiezdnego Ostrza sprawiła, iż syn i przyjaciele na jakiś czas odsunęli się od niego czekając, aż powróci do normalnego stanu życziwej łagodności. Wszystkie zmiany złożyli na karb szoku i stwierdzili, że na pewno miną z czasem.

I wszystko toczyło się normalnym trybem aż do rytuału przenosin kamienia-serca.

Po katastrofie wróciły prawdziwe wspomnienia, nawet te ukryte; wspomnienia tego, że każdej nocy szedł do kamienia i destabilizował go. Uszkodzeń nie można wykryć, dopóki cała moc Doliny nie zostanie wpompowana do środka, gotowa do pokonania dystansu między starym a nowym kamieniem. Wtedy po raz pierwszy chciał rzucić się z okna ekele.

Mornelithe jednak przewyciężył jego wolę raz jeszcze, używając w tym celu kruka; kruk nigdy nie opuszczał Gwiezdnego Ostrza, więc Zmora Sokołów kontrolował go bezustannie. Kiedy spróbował wyznać, co się stało, jego język paplał od rzeczy; kiedy chciał dopuścić innych do swego umysłu, aby zobaczyli, jak podle ich zdradził, nie potrafił opuścić swych barier. Został uwięziony we własnym umyśle — zabawka Mornelithe'a. Przez co najmniej połowę czasu jego prawdziwe „ja” było pogrzebane tak głęboko, że nawet nie uświadamiał sobie, co nakazywano mu robić. Jedyne, co mógł uczynić w rzadkich chwilach przytomności, to odsunąć od siebie syna, w nadziei, że jeśli Mroczny Wiatr stanie się wrogiem własnego ojca, będzie zaciekle zwalczał wszystko, co popiera Gwiezdne Ostrze. I wyglądało na to, że ta metoda zadziałała... Przynajmniej do śmierci, nie, nie śmierci: morderstwa Jutrzenki. Zmora Sokołów znów wziął to, czego zapragnął, a on nie potrafił mu się przeciwstawić.

Była jeszcze jedna nadzieja. Mroczny Wiatr porzucił magię po katastrofie i żył poza wpływem zniszczonego kamienia-serca, więc jego moc nie powinna zostać skażona przez Mornelithe'a. Gdyby tylko udało mu się nakłonić syna do powrotu do swej mocy, mógłby wtedy wezwać pomoc z najbliższego klanu. Skończyłyby się oszustwa i udałoby im się pokonać Mornelithe'a raz na zawsze. Ale jak przekonać Mroczny Wiatr do magii? Szczególnie kiedy Gwiezdne Ostrze przypominał sobie to wszystko, co zrobił, aby syna do niej zrazić raz na zawsze. Jęknął i zakrył oczy dłońmi; nie widział rozwiązania i wyjścia ani dla siebie, ani dla innych. K'Sheyna zostali skazani, a on się do tego przyczynił; mógł swą winę zmazać tylko przez śmierć, ale ta była dlań niedostępna. „Niech cię piekło pochłonie, Zmoro Sokołów!”, krzyknął w myśli i wydało mu się, że usłyszał cichy, pogardliwy śmiech.

Mroczny Wiatr czuł, jakby go rozrywali na setki kawałków: miotały nim

sprzeczne emocje, poczucie obowiązku i lojalność. Treyvan wyczarował lampę magiczną i zawiesił ją pośrodku gniazda. Kolejne zaskoczenie, nie wiedział, że gryfy również to potrafią.

Zaszył się w kącie gniazda z głową schowaną w dłoniach, podczas gdy Hydona usiłowała zminimalizować zło wyrządzone jej dzieciom przez Zmorę Sokołów. Otoczyła je swoimi barierami, wspieranymi przez bariery Treyvana, a do tych dwóch Mroczny Wiatr dodawał swoje. Tej części magii nie wyrzekł się nigdy, a teraz pozbywał się swej energii, by ocalić przyjaciół.

Nyara zwinęła się w kłębek po drugiej stronie jaskini, zachowując największy dystans, jaki tylko mogła. Po pierwszym wybuchu, kiedy to nieomal udusił ją gołymi rękami, gniew zwiadowcy zelżał; w końcu Nyara nie była niczemu winna. Powinien był nie zostawiać jej z hertasi, które nie przepadały za nocą, i nie pozwalać tervardi i dyheli, również dziennym stworzeniom, obserwować jej z daleka. „Trzeba było znaleźć jakiegoś nocnego zwiadowcę, który by jej strzegł. Ostrożności nigdy za wiele”.

— W porządku — powiedział, przerywając ciszę i strasząc wszystkich. Obrócił się ku Nyarze, która wcisnęła się głębiej w kąt, mierząc go wielkimi, przeżartymi oczami. — Przestań — rzucił, wyzywając się na niej jako na jedynej dostępnej ofierze. — Przecież cię nie zabije!

— Jeszszszcze — mruknął Treyvan. Przyjął wiadomości Nyary znacznie gorzej niż Hydona; ta wychodziła z założenia, że przeszłości zmienić nie można i chciała tylko dowiedzieć się, jak naprawić zło uczynione maluchom. Treyvan czuł się podwójnie winny: nie uchronił jej ani potomstwa. Mroczny Wiatr doskonale go rozumiał.

Nyara usiłowała niemal wtopić się w ścianę, patrząc trwożliwie na gryfa, kiedy Mroczny Wiatr odezwał się do niej.

— Chcę, byś powiedziała wszystko, co ty i on o nas wiecie. Nie tylko to, co przekazałaś oj. . . Zmorze Sokołów, ale też to, czego dowiedział się przedtem.

Wzdrygnęła się, ale wyglądała, jakby nie zrozumiała pytania. Wstał i podszedł do niej.

— Co on wie o Dolinie? — wypowiedział wyraźnie każde słowo. — Zacznij od samego początku.

I Nyara zaczęła, jękając się. Nie dowiedział się niczego nowego, niczego, czego nie można było wynioskować, mając choć trochę rozumu: Zmora Sokołów wiedział, że jedyne węzły leżą na terytorium Tayledras, i próbował kilkakrotnie się do nich dostać. W miarę mówienia wracała jej pewność siebie i powoli zdania układały się w logiczną całość. Mroczny Wiatr wiedział o większości opisanych przez nią prób. Ale potem zupełnie go zaskoczyła.

— Wtedy ojciec zdecydował podejść Dolinę od środka — powiedziała, obnażając pazury. — To było wtedy, kiedy się tak strasznie na mnie rozgniewał i był. . . był. . . był. . . zły na mnie. — Jej zazwyczaj pełna ekspresji twarz przypominała

maskę wykutą w kamieniu i Mroczny Wiatr domyślił się, że wtedy to Zmora Sokołów „tresował” ją, używając metod, na myśl o których robiło się człowiekowi niedobrze.

To było ważne. Powiedziała, że Mornelithe chciał „podejść Dolinę od środka”. Musiał wiedzieć, o co dokładnie chodziło i co się stało.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał ostro. Rzuciła mu przerażone spojrzenie, jakby zupełnie zapomniała o jego obecności.

— Zastawił pułapkę — odparła — bardzo sprytną pułapkę. Wysłał swe służki, żeby narobiły zamieszania i wyciągnęły z Doliny wszystkich adeptów. Oprócz jednego. — Zabrzmiało to przerażająco znajomo, a ona ciągnęła dalej. — Kiedy ów adept został sam, Mornelithe sprawił, że zaistniała sytuacja wymagająca natychmiastowego rozwiązania — oblizwała nerwowo usta i rzuciła mu błagalne spojrzenie. — Naprawdę nie wiem, jaka, byłam wtedy w niełasce. Nie raczył mnie poinformować.

— Rozumiem — rzucił. — Opowiadaj dalej.

— Kiedy ten adept musiał sobie radzić z problemem, Mornelithe zamknął go w pułapce, odcinając od Doliny. Tamten był ranny, a Zmora Sokołów udał, że jest jednym z was, żeby przyjął jego pomoc. A ptaka zabił. Ptak przejrzał iluzję i zaatakował go, ale adept był nieprzytomny i nie wiedział o tym. Ojciec zabrał go do swej fortecy i złamał.

— Czy ty wiesz, kim jest ten adept? — Mroczny Wiatr czuł, jakby stał na skraju przepaści. Jeśli to był jego ojciec, wyjaśniłoby to tak wiele rzeczy... A jednocześnie obawiał się prawdy...

Nyara spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała głośno i wyraźnie:

— Nie wiedziałam aż do tamtego nowiu, kiedy ojciec mnie wezwał. To twój ojciec, Mroczny Wietrze. Ten, któremu na imię Gwiazdne Ostrze. — Oblizwała wargi i prosząco uniosła dłoń. — Mornelithe chciał też ciebie, ojca i syna, więc miałam cię uwieść. Jemu powiedziałam „tak”, ale samej sobie „nie”, i postanowiłam nie podporządkować się jego woli, nie tak, jak twój ojciec.

Cios został zadany. Zdziwił się, że był tak spokojny.

— W takim razie Zmorze Sokołów udało się?

Potwierdziła.

— Kiedy on postanowi kogoś nagiąć do swej woli, nigdy nie przegrywa. Wiedziałam większość z tego, jako część mojej t-t-tresury. Równocześnie doświadczałam tego samego: i bólu, i przyjemności. Opowiem ci część — to, co nakazał Gwiazdnemu Ostrzu zrobić po powrocie do Doliny. Nie chcesz wiedzieć, jak go łamał... Uwierz mi.

Mroczny Wiatr próbował się odezwać i nie mógł. Treyvan wyręczył go.

— Dalej! Wszysstko, co wieszysz!

— Po pierwsze, zapomniał, co się z nim działo. Mornelithe zafałszował jego wspomnienia aż do momentu, kiedy uznał za stosowne je przywrócić. Miał się potajemnie wślizgnąć do środka Doliny. . . nie znam tego słowa. . .

— Do kamienia-serca — powiedział głucho Mroczny Wiatr.

— Tak. Kamienia-serca. Miał go zmienić; w końcu to on go zbudował, więc znał wszystkie jego sekrety. Ojciec nie wiedział, że w jego pułapkę wpadnie ktoś tak potężny i tak się z tego cieszył, że zapomniał mnie ukarać.

— Wrrrć do tematu, Zmiennolice — warknął Treyvan.

— Co Gwiazdne Ostrze miał zrobić z kamieniem? — spytał Mroczny Wiatr łagodniej.

— Miał go osłabić, wybić w nim dziurę, która się objawi dopiero wtedy, kiedy będziecie się przenosić. Potem zwołał wszystkie swoje stwory, byście myśleli, że już tu jest bezpiecznie, a nawet postawił strażę na waszych granicach, żebyście się szybciej przenieśli.

— Ile on wie? Jak kontroluje Gwiazdne Ostrze? Czy zna naszą siłę?

— Nie mam pojęcia, co wie, ale jest cierpliwy i zadowolony z wolnym, ale pewnym postępem. A kontroluje go przez kruka.

— Więź-ptak! — To już była obrzydliwość. Żeby dostać się do Tayledras w najbardziej intymny, po więzi życia, sposób i manipulować nią. . .

— Nie może się ruszyć, przemówić ani ujawnić swych myśli, bo ojciec utrzymuje nad nim władzę przez kruka — ciągnęła — lecz o Dolinie nie może się zbyt wiele dowiedzieć, myślę, bo ciągle chronią ją osłony. Jednak z czymś, co przekazuje jego wolę. . .

— Nie na długo — Mroczny Wiatr ruszył w kierunku wyjścia. — Hydono, wybacz, na razie nie potrafię pomóc maleństwu, ale na to coś mogę poradzić.

— Idź — odparła. — Oczyśśś to miejssssce i może wtedy oczyśśściszzsz małe.

— A ja popilnuję Zmiennolicej — powiedział Treyvan i zanim zwiadowca zapytał jak?”, gryf po prostu na nią spojrział. . .

Dziewczyna padła nieprzytomna. Podszedł do niej — spała, lecz poza tym nic jej się nie stało.

— Nie zrrrobiłem jej krzywdy — westchnął Treyvan. — Ale wrrrroga lepiej mieć na oku.

— To nie jest wróg. . . raczej.

— Przyjaciel też nie. . . rrrraczej. W najlepszszym rrrazie sssłaby punkt. Popilnuję jej, moja magia przewyższsza ją. Idź.

Nie trzeba mu było tego powtarzać. Ruszył biegiem w kierunku Doliny, zanim Treyvan zamknął dziób. Na wschodzie niebo rozjaśniało się, a Vree wystrzelił z gałęzi, na której siedział, wykrzykując powitanie i żądając wyjaśnień. Spróbował mu ich udzielić, biegnąc, w jak najprostszych sformułowaniach. Udało mu się,

bo lecąc przed nim i kontrolując drogę, Vree krzyczał z wściekłości. Na szczęście nawet w gniewie był odpowiedzialnym strażnikiem.

Gdzie? — zapytał, rozgniony.

Dolina — odpowiedział Mroczny Wiatr, przeskakując przez krzak i wpadając na ścieżkę prowadzącą prosto do celu.

Idę. Idę z tobą do środka — powiedział ptak, ku przyjemnemu zaskoczeniu zwiadowcy. — *Idę* — powtórzył raz jeszcze.

To znacznie ułatwiało sprawę: mając przy sobie więź-ptaka, nie będzie musiał się przejmować tym po trzykroć przeklętym krukiem. A teraz należało skupić się na jak najszybszym biegu i zdać swe bezpieczeństwo w odpowiedzialne pazury Vree.

Gdzie teraz będzie Gwiazdne Ostrze? Zazwyczaj wstawał bardzo wcześnie i o wschodzie słońca już konferował z innymi adeptami. Spotykali się podczas nieformalnej ceremonii podsycania ognia w zniczu i nie zdarzało się, by adepci ją opuścili. Pamiętali tych, którzy zginęli, i dzień i noc szukali zmian na lepsze w kamieniu-sercu. „A ojciec już się postarał, żebyście niczego nie znaleźli... Dlatego nie ominął żadnego spotkania”. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze.

Znalazł się na bezpieczniejszym terenie. Minął swoje ekele, potem ekele brata, a na końcu zwiadowców schodzących z patrolu i wybierających się na niego: i jedni, i drudzy gapili się na niego jak na raroga. Po chwili kątem oka dostrzegł nad sobą ptaki i domyślił się, że ich zwiadowcy muszą być gdzieś za nim, ale nie zwracał sobie głowy wyjaśnieniami, bo jakaś myśl wymykająca się spod kontroli mogła tylko zaalarmować Gwiazdne Ostrze, albo, co gorsza, to, co go kontrolowało. W górę, w dół: biegł najprostszymi, wytyczonymi ścieżkami, a w końcu wypadł na drogę, która prowadziła na Równinę Dhorisha, a zaczynała się u wejścia do Doliny i w lepszych czasach była niewątpliwie ruchliwa. Wciągnął powietrze. Jeszcze chwila...

Miedzy wzgórzami migotała bariera; tam zazwyczaj zostawiał go Vree. Zaalarmował go krzyk i więź-ptak runął z góry, opadając ciężko na jego ramię. Uderzenie serca, później przeszli barierę, omieceni wiązką czystej energii, rozpoznani jako swoi i przepuszczeni.

W Dolinie nie należało zwalniać, wręcz przeciwnie. W szaleńczym tempie przedzierał się przez gęstwinę, zostawiając za sobą wydeptany pas. Zbliżał się do kamienia-serca; słyszał głosy, czuł nienormalny, mdlący rytm uderzeń energii. Pazury Vree zwały się na jego ramieniu w niemym proteście. Kiedy wpadł na polanę, wszyscy zwrócili się ku niemu w zaskoczeniu.

Vree nie czekał: miał pewną sprawę do załatwienia. Zanim Mroczny Wiatr powiedział słowo, myszołów zerwał się i rzucił prosto na kruka, który siedział na ramieniu Gwiazdnego Ostrza, jakby szeptał mu coś do ucha. Kruk wrzasnął przerażony i wzbił się w powietrze. Najwidoczniej zmierzał w kierunku drzew, chcąc się tam ukryć; liczył na to, że drapieży nigdy nie ścigali łupu w kryjówkach. Nie

docenił szybkości i nerwów Vree, który runął na niego tuż przy najniższych gałęziach; zderzenie usłyszeli wszyscy. Vree wbił w kruka szpony i wrzasnął radośnie. Gwiazdne Ostrze upadł.

Akcja ptaka zaskoczyła wszystkich, oprócz Chmury Burzowej, który krzyknął coś nieartykułowanego i wyciągnął rękę w stronę Mrocznego Wiatru. Ten poczuł nagle, że nie może się ruszyć ani odezwać i runął ciężko na ziemię. Vree uderzył kruka dziobem i skręcił mu kark. Mroczny Wiatr walczył z otaczającym go zakłębieniem, a wściekli adepci zaczęli się zbliżać w jego kierunku. Jednak zatrzymał ich zupełnie niespodziewany dźwięk.

— Wolność — wymamrotał Gwiazdne Ostrze głosem pełnym rozrywającej serce ulgi. — Nareszcie, nareszcie. . .

Wszyscy zwrócili się ku przywódcy, a Mroczny Wiatr wykorzystał tę chwilową przerwę, żeby się uwolnić. Wyciągnął ręce do ojca; ten ujął je w swoje dłonie, poruszając bezdźwięcznie ustami. Wyglądał, jakby walczył z jakąś potworną siłą, która próbowała narzucić mu swą wolę.

— Jest pod kontrolą! Osłońcie go, do jasnej cholery! — wrzasnął Mroczny Wiatr, otaczając ojca swoją barierą. Inni przyłączyli się w samą porę, aby oprzeć się wściekłemu atakowi, próbującemu przełamać osłony; potrzeba było pół tuzina ludzi, aby wróg wreszcie się poddał, przynajmniej na jakiś czas.

„A teraz znam twoje imię i twarz”, pomyślał Mroczny Wiatr z ponurą satysfakcją. „Wiem, kim jesteś. Teraz to tylko kwestia przemyślanego polowania”.

Gwiazdne Ostrze jęknął, ciągle walcząc z tym, co go obezwładnia.

— Wiem, ojcze — rzekł zwiadowca. — W każdym razie część tego. Dlatego Vree zabił tego przekłętą kruka. Pomożemy ci, przysięgam, pomożemy ci.

Ojciec skinął głową, zamknął oczy i rozplakał się. Łzy spływały mu po policzkach, kiedy Mroczny Wiatr wyjaśniał, czego się dowiedział od Nyary. Reszta nie traciła czasu na kłótnie, bo reakcja Gwiazdnego Ostrza mówiła sama za siebie.

— Ja się nim zajmę — powiedział Lodowy Cień, kiedy Mroczny Wiatr skończył. Ujął głowę Gwiazdnego Ostrza w dłonie i spojrzał mu głęboko w oczy, ale odezwał się do syna, nie do ojca. — Chcę usłyszeć wszystkie szczegóły.

Mroczny Wiatr powtórzył dokładnie opowieść Nyary.

— Myślę, że wiem wystarczająco — stwierdził po chwili Lodowy Cień. — Przyjacielu, muszę znieść twoje osłony. On cię nauczył odpowiadać tylko na ból albo przyjemność. Wybacz, na przyjemności nie mamy czasu.

Gwiazdne Ostrze przytknął oczy, przytakując.

— Weź jego lewą dłoń i połóż płasko na ziemi — nakazał Lodowy Cień Mrocznemu Wiatrowi, a gdy ten się wahał, ojciec przynaglił go oczami. — Wyjmij sztylet i przebij ją. Dalejże, szczeniaku! — parsknął wściekle. — Ta podła bestia uzależniła jego posłuszeństwo od bólu i nie potrafię uwolnić jego umysłu bez doprowadzenia go do szaleństwa! Rób to, co mówię, jeśli chcesz mu pomóc!

Mroczny Wiatr przestał myśleć i po prostu wykonał rozkaz. Krzyk ojca przeszył mu serce, a łzy zaćmiły wzrok. Kiedy znów mógł normalnie widzieć, zobaczył, że Vree stoi wściekły i cichy nad ciałem swojej ofiary, kruka, który narobił tyle złego. Zdziwił się, iż myszołów okazał się na tyle ostrożny, aby nie pożreć trupa ani go nie porzucić; w pierwszym przypadku ryzykował skażeniem przez Zmorę Sokołów, w drugim przywróceniem paskudy do życia. Dla takiego adepta, jak Mornelithe, takie rzeczy nie stanowiły problemu. Nawet gdyby pogrzebali padło, mogłoby nadal utrzymywać z nim kontakt; istniało tylko jedno wyjście. — Całkowite zniszczenie.

W pobliżu kamienia-serca zawsze palił się ogień. Mroczny Wiatr wziął kruka za skrzydło, podszedł do pojemnika z drzewem cedrowym, podpalił je i wrzucił tam ptaka. A potem po raz pierwszy od katastrofy spojrzął na sam kamień. Jego powierzchnia była spękana, ale nie dorównywało to wewnętrznym zniszczeniom. Żadne z nich nie było jego winą; przeraźliwy ciężar, jaki nosił w sercu tak długo, zniknął. Pochylił się nad zniczem i odmówił krótką modlitwę za zmarłych. „Mornelithe Zmoro Sokołów, odpowiesz mi za ich śmierć”. Usłyszał trzask; właśnie pękły albo kości ptaka, albo jakaś grubsza gałąź. Liczył na to pierwsze, a Vree, który usiadł mu na ramieniu, wyrażał głośno swą aprobatę. Począł, aż cały kruk zmieni się w kupkę popiołu, i wrócił do reszty.

Lodowy Cień ciągle trzymał w dłoniach głowę Gwiazdnego Ostrza, z którego dłoni płynęła krew; wyraz jego twarzy zmienił się zupełnie. Mroczny Wiatr zapytał samego siebie, jak mógł być tak głupi, aby nie dostrzec, że ojciec zmienił się pod wpływem jakiegoś strasznego nacisku? Teraz widział go takim, jakiego kochał, gdy był dzieckiem, niezależnie od cierpienia, żalu i bólu wyrytych na jego twarzy.

Gwiazdne Ostrze otworzył na chwilę oczy, spostrzegł go i spróbował przemówić. Nie potrafił; usta ścisnęły się z bólu.

— Próbuje dalej — naciskał Lodowy Cień. — Próbuje, już to prawie mam. — Szukał korzeni wpływu i sposobu jego odwrócenia. Nie było to łatwe zadanie, bo Zmora Sokołów nie zablokował woli Gwiazdnego Ostrza, tylko ją zmienił; trzeba było teraz odnaleźć te zmiany i nastawić je, jak nastawia się zwichnięte stawy.

Mroczny Wiatr padł na kolana przy ojcu i wziął zranioną rękę w dłonie; krew przeciekała przez założony w pośpiechu bandaż, ale ojciec uśmiechnął się lekko.

— Stałeś się moim wrogiem — wyszeptał. — Sprawilem, żebyś mnie nienawidził, byś postępował odwrotnie, niż ci powiem. A potem, kiedy M-M. . .

— Mornelithe — pomógł mu syn.

— Kiedy on zmienił moje myśli tak, że przestały być moimi własnymi, wiedziałem, iż będzie chciał, żebyś wrócił do magii. Gdybyś to zrobił, dopadłby cię w końcu, krew z mojej krwi. . .

— Prawie mu się udało — mruknął Mroczny Wiatr i powtórzył to, co powiedziała Nyara.

— Jedynym sposobem, jaki mogłem wymyślić, było trzymanie cię z daleka ode mnie. Im bardziej pod jego wpływem naciskałem na ciebie, tym bardziej ty odrzucałeś magię. A kiedy już . . . moje myśli nie były moje. . . byłeś bezpieczny. — Spojrzał na niego przez łzy. — Czy mi. . . wybaczysz?

— Oczywiście, że tak. — Mroczny Wiatr mrugnął kilkakrotnie i wziął głęboki oddech. Spojrzał na Lodowy Cień. — Jak ci idzie?

— Dopiero co zacząłem — odparł zapytany. — To potrwa dłużej. Może łajdakowi udało się założyć wszystkie blokady w parę dni, ale miał czas i możliwości. Będziemy musieli ciągle trzymać go pod osłoną.

— Może w dawnych warsztatach? — zasugerował Mroczny Wiatr. — Odkąd nie ma żadnych uczniów, stoją puste, a mają silne bariery. Najlepsze, jakie mamy.

— To dlatego nie mogłem tam chodzić — wyszeptał Gwiazdne Ostrze. — Ptak mi nie pozwalał.

— Czyli nie musimy się przejmować, czy wytrzymają, prawda? — Chciał puścić rękę ojca, ale ten zacisnął palce pomimo bólu, jaki na pewno odczuwał.

— Zaczekaj — wychrypiał — Jutrzenka. . .

Mroczny Wiatr zamarł. Lodowy Cień zadał pytanie, którego on nie mógł wyartykułować.

— Co z Jutrzenką? Przecież nie żyje.

— Nie — powiedział Gwiazdne Ostrze z naciskiem. — Nigdy nie znaleźliśmy więź-ptaka, ale znak M-M. . . jego znak był na jej ciele. Myślę, że. . . że uwięził ją w jego ciele. Żyje, ale jest bezbronna. Kolejna zabawka. To go bardzo. . . — jego twarz zmroczniała od wspomnień -. . . bardzo uraduje — dokończył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ELSPETH

Pod błękitnym niebem Równiny osiem kopyt wybijało szaleńczy rytm; wysokie trawy smagały Towarzyszy po bokach i pęcinach. Elspeth zaryzykowała spojrzenie w tył i zobaczyła, że stado zamazanych brązowych kształtów w oddali zbliżyło się; nie mogła powiedzieć na pewno o ile, bo widziała tylko niewyraźne cienie i poruszaną trawę. Nagle jedna z bestii wyskoczyła w górę i wystawiła łeb. Nie miała już wątpliwości.

— Doganiają nas! — krzyknęła do Skifa. Obrócił się, a potem pochylił bardziej nad karkiem Cymry, próbując zmniejszyć opór powietrza. Zrobiła tak samo.

Towarzysze biegły najszybciej, jak mogły, czyli naprawdę bardzo, bardzo szybko. Ziemia przemykała pod ich kopytami tak, że patrzenie na nią przyprawiało o mdłości. Nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób stwory potrafią dotrzymać im kroku; już sam galop Towarzyszy wydał się niemal nieprawdopodobny.

Co to jest? — spytała Gwene. Ta skuliła uszy.

Nie wiem — odpowiedziała. — *Nigdy o czymś takim nie słyszałam.* — Pot spływał jej strumieniami z boków, a wodze uderzały Elspeth w twarz.

A ja tak — wtrącił się miecz. — *Te cholerstwa to jakieś magiczne wytwory adepta. Pewnie potrafią tylko biegać.*

Elspeth nerwowo się obejrzała. Przywódca stada znów wyskoczył nad trawy i tym razem dokładnie zobaczyła jego głowę — otwartą paszcza z wywieszonym jęzorem, pełna bardzo dużych i bardzo ostrych zębów.

No, biegać i zabijać — przyznała Potrzeba. — *Co nie zmienia faktu, że nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam; to je czyni dwakroć bardziej niebezpiecznymi, bo nie wiem, do czego są zdolne.*

— Wielkie dzięki — mruknęła Elspeth. Wpatrywała się w dal żałując, że nie może użyć lunety. Gdzieś tutaj, w pobliżu, powinna znajdować się ścieżka w górę, taka sama jak ta, którą zjechali na Równinę. Miała być tuż przy wodospadzie

i oczy prawie wychodziły jej z orbit, ale nie dostrzegła nigdzie lśnienia wody. Może udałoby im się wspiać szybciej niż ścigające ich zwierzęta i znaleźć miejsce, z którego mogliby bronić się przed atakiem. A poza tym ścieżka wiodła prosto do miejsca zakreślonego na mapie; jeśli tam nie znajdą pomocy. . .

Bieg męczył Towarzysze; jak długo jeszcze wytrzymają? Poczula nagle zapach wody i jednocześnie zobaczyła przed sobą linię zieleni, na samym końcu pochyłości, z której teraz zjeżdżali. Ze zbocza spadał wodospad.

Zamknęła na moment oczy, dostosowując wzrok i szukając miejsca, w którym mogliby odeprzeć atak; trzymała się przy tym kurczowo Gwenty, żeby nie zlecieć z siodła. Nie zobaczyła niczego u podnóża skał. Ścieżka zaczynała się dokładnie tam, gdzie spadała woda, kamienie były śliskie i zwodnicze i dla ludzi, i dla zwierząt. Wyżej nie było wcale lepiej, bo ścieżka wiła się wokół wodospadu, który nie spadał równą kaskadą, a rozdzielał się na baseniki i niecki, jakby go specjalnie wyrzeźbiono. Prawdopodobnie na pomysł drogi prowadzącej w górę ktoś wpadł wtedy, kiedy zobaczył, że naturalne ukształtowanie terenu doskonale się do tego nadaje.

Dróżka była wąska, za wąska dla dwóch jeźdźców posuwających się obok siebie. Prześledziła całą jej długość i nie znalazła żadnego miejsca, w którym mogliby odeprzeć napastników. Jeśli już musieli walczyć, to tylko na górze. Zwróciła tam oczy i zobaczyła coś, czego szukała — ruiny. Domyśliła się, że to ruiny, bo kamienie były ociosane w regularne kształty i jeszcze przypominały ściany. Świetne miejsce, żeby się schronić.

Tam jest magia — stwierdziła nagle Potrzeba, patrząc oczami Elspeth. — Widzisz to migotanie? To energia magiczna. Jak będziemy mieć szczęście, uda mi się użyć jej do obrony.

Nie mam najmniejszego zamiaru podchodzić do tych stworów na długość miecza — odparła Elspeth.

A czy ja mówiłam o walce? Mówiłam o przekazywaniu mojej magii przez ciebie. W końcu byłam naprawdę dobrym magiem, a ty przynajmniej się czegoś nauczysz.

Myślałam, że tylko chronisz!

Wtedy, kiedy spałam, tak. A gdybyś zastrzeliła któregoś z tych potworków, co? Reszta może stanąć, żeby go zjeść — zasugerowała Potrzeba.

Mogła spróbować; bieg z górki dawał Towarzysom trochę wytchnienia. Gwena, wciąż mokra od potu, oddychała nieco lżej. Elspeth sięgnęła po łuk, wydobyła strzałę z kołczanu, ścisnęła Gwene kolanami i odwróciła się w siodle.

Przywódca stada biegł w dziwny sposób, przypominał jej skaczącego zająca. Robiła to tyle razy, że straciła rachubę: na polowaniach mogła uciec od pałacowych nakazów i zakazów. „Chciałabym mieć ze sobą sokoła, takiego z bardzo, ale to bardzo ostrymi szponami. . .”, pomyślała, obserwując wyskakującego nad trawę stwora i posyłając mu strzałę prosto w pysk.

Upadł równie cicho, jak biegł, pod nogi swego stada. Niezależnie od tego, czy go pożąra czy nie, na pewno się zatrzymają; połowa już powpadała na siebie, a reszta stanęła, aby okrążyć kłębowisko ciał. Napięła cięciwę i spuściła kolejną strzałę i następną; obie trafiły do celu, zanim Gwena nie wyniosła jej za daleko, żeby strzał był pewny. Nie usłyszała żadnego dźwięku.

Dobra robota — powiedział Towarzysz. — Powinniśmy zyskać na czasie.

Jeśli nic innego nie zajmie ich miejsca albo się do nich nie przyłączy — pocieszył ją miecz. — Nie chcę być złym prorokiem, ale czuję jakieś zamieszanie i poruszenie energii, jakby się porozumiewały między sobą. Obawiam się, że niedługo będziemy mieć coś innego na karku. Przyszło jej na myśl, że to Potrzeba ściga na ich trop te stwory. — Czy dostaniemy się na ścieżkę, zanim nas dopadną?

Myślę, że zdążymy dotrzeć do szczytu, lecz tam będą nowe kłopoty. To granica złego terenu i jego własna energia oddziałuje na inne. Takie zakłócenia ściągają drapieżców i padlinożerców.

No cóż, normalne prawa natury. Schowała łuk i obejrzała się ponownie: nie dostrzegła żadnego bezpośredniego zagrożenia, ale na horyzoncie poruszały się złociste punkciki, coś tak dużego, że wystawało ponad trawę i przybliżało się z każdą chwilą. I nie było to stado kóz Shin'a'in...

Zapach wody stawał się silniejszy; widziała już pojedyncze drzewa i krzaki, a wodospad szemrał tak radośnie i beztrąsko, że żałowała, iż nie może podzielać jego dobrego nastroju. Poczekwała, aż Skif ją wyprzedzi; skoro tak lubi dowodzić, niech się trochę pomęczy. Cymry zwolniła, kiedy jej kopyta trafiły na śliskie kamienie. Elspeth poczuła, jak Gwena napina wszystkie mięśnie, przygotowując się do wspinaczki.

Ta okazała się najczystszy koszmarem. Gdyby nie to, że Towarzysze stapały znacznie pewniej niż ludzie i nawet w takich warunkach były o wiele szybsze, zsiadłaby i ruszyła na piechotę. Trzymała się siodła obiema rękami i mocno ścisnęła kolanami boki Gweny czując, jak pot spływa jej po plecach. Gdyby tylko miała dość odwagi, zamknęłaby oczy. Gwena potykała się i ślizgała na mokrych kamieniach, padała na kolana nieomal na każdym zakręcie, a kiedy kołysała się na boki, Elspeth kołysała się wraz z nią, wcale nie polepszając sprawy. Jediną zaletą ścieżki było to, że Towarzysz mógł trochę odetchnąć po morderczym wyścigu.

Cymry i Skifowi nie szło ani trochę lepiej, co stanowiło kolejne zagrożenie, bo gdyby Cymry potknęła się i spadła, pociągnęłaby je obie za sobą i zginęliby wszyscy czworo. Gwena stanęła na chwilę, jakby odczytała tę myśl, i poczekwała, aż drugi Towarzysz oddali się. Zwiesiła głowę i ciężko oddychała, korzystając z każdej sekundy odpoczynku, a Elspeth rzuciła okiem w dół.

Z miejsca, w którym stanęły, widziała całą ścieżkę — nikogo oprócz nich na niej nie było. Jeszcze. Na samym dole, gapiąc się na nią — założyłaby się o każdą sumę, że się gapia — stały ciemnozłote zwierzęta, nieomal niewidoczne

na tle traw, ale odcinające się od zieleni przy wodospadzie. Wokół nich kręciły się gibkie, ciemnobrązowe kształty, co powiedziało jej, że stado, które ich ścigało, nie oplakiwało straty przewodnika. Wręcz przeciwnie.

„Teraz wiem, co majaczyło na horyzoncie. Ciekawe tylko, skąd to przylazło...” Pomiędzy nimi podskakiwało coś jeszcze: małe czarne stworzenia. Wynioskowała z ich zachowania, że odbywają coś w rodzaju narady i najwyraźniej te czarne skoczki przejęły dowodzenie. Stwory, które dotychczas ich goniły, rozsiadły się pod zboczem na straży, złociste zwierzęta ruszyły w górę z upiornym uporem, a czarne punkty rozwinęły skrzydła i wzbiły się w powietrze. „Kruki!”, rozpoznała je w końcu. „O matko, jakie olbrzymie!” Ptaki kierowały się prosto na nich i na pewno mogły narobić szkód swoimi potężnymi dziobami i ostrymi szponami.

Wyszarpnęła łuk, modląc się, by cięciwa nie zamokła, naciągnęła ją i posłała w powietrze pół tuzina strzał.

Tylko trzy dotarły do celu, jedna przez czysty przypadek, kiedy kruk znalazł się w jej zasięgu, bo chciał uniknąć innej. Z tych trzech dwie zabiły, a jedna tylko raniła ptaka, który runął w dół, wściekle machając jednym skrzydłem i wrzeszcząc z bólu. To wystarczyło jednak, aby odstraszyć resztę; rozpierzchły się na boki, z dala od jej strzał i zaczęły posuwać się w górę tak szybko, jak tylko mogły.

Gwena ruszyła się i Elspeth zmuszona była schować, łuk, aby utrzymać się w siodle. Znajdowały się nie wyżej niż na jednej trzeciej urwiska, z daleka od schronienia w ruinach. Miała tylko nadzieję, że w ogóle do niego dotrą i nie spotkają tam innych prześladowców.

Dokądkolwiek poleciały kruki, na pewno nie przygoniły do ruin kolejnej bandy wyczarowanych bestii i nie zaatakowały już heroldów. Elspeth westchnęła z ulgą na widok krawędzi zbocza, a Gwena jej zawtórowała; jedynym zagrożeniem, jakie musiały jeszcze pokonać, były ostatnie metry zdradliwej ścieżki. Elspeth nie patrzyła w dół, bo widok Równiny przyprawiał ją o lęk wysokości. Nie mogła też użyć wzroku, żeby zbadać, krainę przed nimi: przeszkadzał jej albo strach, albo coś stamtąd zakłócało jej zdolności. Wydawało jej się, że droga była wolna, ale na wszelki wypadek znów wydobyła łuk.

Wydostali się na szczyt tuż przy ruinach, wysmaganych wiatrem i porośniętych chwastami. Nie było czasu na podziwianie architektury: za nimi szło zagrożenie, przed którym należało się ukryć albo znaleźć miejsce stosowne do odpierniania ataków. Elspeth nie miała szans, aby dosięgnąć z łuku nowych napastników. Wiedziała jedno: są znacznie więksi od tych, którzy ścigali ich na prerii, i okryci rogowymi łuskami. Poza tym miała dziwną pewność, że jej strzały nie zrobią na nich żadnego wrażenia.

Wyprzedziła Skifa i wpadła w ruiny, chcąc ukryć się w zburzonej wieży; stu-

kot kopyt Towarzyszy zabrzmiał jak werbel na kamiennej podłodze. W samą porę: pierwsze ze ścigających ich stworzeń wynurzyło się znad krawędzi dokładnie wtedy, kiedy wcisnęli się we wnękę pomiędzy ścianami, dość długą, aby starczyło miejsca dla wszystkich.

Elspeth zeskoczyła z siodła i sięgnęła po kołczan. Kiedy mocowała się z przytrzymującym go rzemieniem, miecz przy jej boku rozwinął swą moc i uderzył — w nią. Jej dłoń zacisnęła się na rękojeści, zanim zdołała sobie uświadomić, co robi. Gdy Potrzeba usiłowała przejąć kontrolę nad resztą jej ciała, zaczęła walczyć. To było krótkie starcie i skończyło się niespodziewaną kapitulacją miecza.

Do diabła, dziewczyno, o co chodzi? — syknęła Potrzeba. — Myślałam, że pozwolisz mi walczyć magią z tymi stworami!

Owszem, ale z moim udziałem, a nie wykorzystując mnie jako narzędzie! — odpaliła natychmiast. — Próbujesz kontrolować moje ciało! Nawet nie zapytałaś, czy możesz!

Potrzeba najwyraźniej poczuła się bardzo urażona. Elspeth zignorowała ją, chwyciła kołczan i policzyła strzały: było ich zdecydowanie za mało. Musiała ich teraz używać bardzo uważnie.

Masz silny dar magii — odezwała się Potrzeba, kiedy Elspeth wyjrzała ostrożnie zza pleców Skifa, z łukiem gotowym do strzału. — Jeśli cię poprowadzę, powinniśmy przytrzymać te paskudztwa z dala tak długo, by się tu lepiej rozejrzeć. Odpręż się, dobrze?

Podporządkowała się, uważając całą procedurę za stratę czasu, jednak, ku swemu zaskoczeniu, zobaczyła coś — pajęczynę światła, lśniąca jasno w miejscu, gdzie stykały się linie.

To linie energetyczne, a pośrodku leży węzeł. Sięgnij do niego; pomogę ci.

Poczuła, jakby ktoś położył swoje ręce na jej dłoniach. Pozwoliła się im prowadzić i dotknęła, bardzo delikatnie, jasnej poświaty. Chociaż jej własne ręce ledwo się wyciągnęły w kierunku środka ruin, te inne sięgnęły głęboko pod ziemię; głębiej nawet niż Równina pod nimi. To nie była strata czasu: pociła się i drżała, zupełnie jakby właśnie odbywała kolejną wspinaczkę. A potem dotknęła węzła i poraził ją wybuch mocy, jakby znalazła się nagle w samym centrum szalejącej burzy. Gdyby mogła, wrzeszczałaby na całe gardło. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna.

O cholera! Niewidzialne ręce chwyciły ją i uspokoiły. Czuła, jak zostaje ustawiona naprzeciw mocy i otwiera się na nią, zamiast się jej opierać. Miała wrażenie, jakby otworzyły się w niej drzwi, o których istnieniu nie miała pojęcia. Teraz mogła kierować potokiem mocy, który napełniał ją, a nie zalewał.

Dobrze! — powiedział miecz z uznaniem. — Ja nawet w twoim wieku nie byłam taka szybka. I nie radziłam sobie z węzłami, tylko z płytkimi, lokalnymi liniami. Chyba jestem zazdrosna.

Elspeth otworzyła oczy i zobaczyła ścigające ich stwory tuż przed sobą;

śmieszne. Wydawało jej się, że czas stanął w miejscu.

No, mała, pokażmy im teraz, że my też mamy zęby — mruknęła Potrzeba z ponurą satysfakcją.

Podniosła ręce i obróciła się w stronę, którą wskazał miecz. Złączyła na chwilę dłonie, a potem czując, jak przepelnia ją energia, wykonała gest rzucania.

Jak się trochę poduczysz, te głupie wymachy nie będą ci potrzebne i będziesz mogła używać mocy w bardziej wyrafinowany sposób — wyjaśniała Potrzeba, gdy pierwsza włócznia światła wyleciała z rąk Elspeth i trafiła zwierzę w opancerzoną pierś. Potem, ciągle tłumacząc, zdołała przeprowadzić jeszcze trzy takie ataki. Skif i jego Towarzysz patrzyli na Elspeth kompletnie zaskoczeni, jakby nagle przestali ją poznawać.

Ona sama siebie też nie poznawała: oto stała, ciskając gromy jak piłeczki, Elspeth, oczko w głowie matki, nigdy nie wystawiająca nosa poza Valdemar; herold, po której nie spodziewano się niczego specjalnego, bo nie miała specjalnie silnych darów. Moc śpiewała w jej głowie, a z palców tryskały snopy iskier.

Niestety, na napastników to zupełnie nie podziałało.

A niech to! Są chronione przed magią! — parsknął miecz. — *Nie wiedziałam, że to się da zrobić z hybrydami. Ciekawe, co jeszcze im wbudowano...*

Kiedy minęło pierwsze upojenie mocą, Elspeth oparła się o skałę i zamrugła. Po raz pierwszy mogła z bliska obejrzeć stwory, które ich atakowały; zgromadziły się w pewnej odległości, jakby o czymś dyskutowały.

Przypominały bydło, ale zamiast sierści miały rogowe łuski w złocistym kolorze dojrzałych traw. Były gibkie i szybkie, wysokie jak rumaki Ashkevron, a ich łby i nogi nie przypominały krowich. Właściwie nie przypominały nóg i łbów żadnego znanego Elspeth zwierzęcia, a rogi i ostre zęby nie służyły im do jedzenia owoców, to pewne. Nogi kończyły się dziwnym połączeniem kopyta ze szponem.

Połowa zwierząt zniknęła im z pola widzenia, kiedy skończyły naradę. Nie bała się, że spróbują ich zająć od tyłu, bo do wspinaczki po ścianach potrzeba było jednak czegoś bardziej podobnego do dłoni i stóp niż ten kopyto-pazur. Jednakże niewątpliwie poczekają tam na wypadek, gdyby heroldom przyszła do głowy myśl o wspinaczce. Reszta stada usiadła, najwyraźniej zamierzając czekać tak długo, jak to będzie konieczne.

Naprawdę nie chcę ci tego mówić, ale jeśli te paskudy bronią się przed magią, to zostały doskonale zbudowane — powiedział ponuro miecz. — *Mogą nie potrzebować snu, jedzenia ani wody.*

— Najwspanialsza wiadomość dnia — mruknęła, odsuwając z czoła mokre włosy.

— Jaka? — spytał Skif i wtedy uświadomiła sobie, że miecz znów nie raczył włączyć go do rozmowy. Na pewno nie przez przypadek... Wyjaśniła mu.

— Niech to piekło pochłonie — parsknął. — Teraz jesteśmy bezpieczni, ale jak się stąd wydostać? Otrujemy je czy co?

— Muszą mieć gdzieś słaby punkt — odparła, patrząc na bestie zmrużonymi oczami. — Jeśli są tak dobrze chronione w jednym miejscu, coś innego zostało przeoczone.

Nagle jedno ze stworzeń, do tej pory bezgłośnie, wydało z siebie przeszywający wrzask. Siedzące obok wyprostowało się na pełną wysokość, krztusząc się czymś, co mu wystawało z gardła; kiedy szarpnęło głową, zobaczyli, co to było. W jego gardle tkwiła strzała.

Elspeth dostrzegła natychmiast słaby punkt, którego tak szukała: ciało pokryte miękkim futrem, a nie twardymi łuskami; druga strzała przeszła pierś zwierzęcia i przybiła je do ziemi. Jego towarzysze zaczęli rozglądać się wokół, a Skif wyskoczył z kryjówki, zanim zdążyła go powstrzymać. Uchylił się przed trzecią strzałą, wyrwał zza pasa jeden ze swych noży i rzucił: ostrze utkwiło w oku najbliższej bestii. Mimo że maleńkie, noże były ostre jak brzytwa i ciężkie, i spełniały swoje zadanie: kolejne zwierzę zostało wyeliminowane.

Ledwo Skif wrócił do Elspeth, niebo zakryły potężne cienie. Spojrzeli w górę, kiedy powietrze rozdarł krzyk, podobny do orlego, ale znacznie, znacznie głośniejszy.

„O bogowie. . .” Przez moment Elspeth nie była zdolna do myślenia.

Co to jest, do licha? — zapytał miecz.

Trzęsąc się ze strachu, patrzyła, jak potężne gryfy rzucają się na prześladowców. Wiedziała, oczywiście, że gryfy istnieją; heroldowie widywali je na północy Valdemaru, ale nigdy z bliska. Być może, żaden nie dożył złożenia raportu. . . Przez chwilę była święcie przekonana, że gryfy przyłączą się do stada przed ruinami i nie będą miały problemu z wyciągnięciem heroldów z kryjówki, ale wtedy właśnie hybrydy zostały zaatakowane szponami i dziobami; jedna z nich została zrzuciona ze skały, druga rozerwana na strzępy i gryfy odleciały. „Nawet, jeśli nie są po naszej stronie, wrogom też nie sprzyjają”. Reszta bestii utworzyła okrąg, aby się bronić, i jasne się stało, że teraz nikomu nie pójdzie z nimi tak łatwo. Jednak ani gryfy, ani ich ukryty sprzymierzeniec nie zamierzali dać za wygraną.

„Niech mnie zjedzą, jeśli im nie pomogę. W końcu wróg mojego wroga jest moim przyjacielem!” Rzuciła się wprzód, zanim Skif zdążył ją zatrzymać.

— Dalej! — krzyknęła na niego. — Będziesz czekał do wiosny?

Elspeth padła tam, gdzie stała, i oparła się o skałę. Skif poszedł w jej ślady, siadając niedaleko z rękami na kolanach i zwieszoną głową. Stwierdziła, że na udzie ma długą, płytką ranę, ale nie pamiętała, kiedy ją zadano. To, że została ugryziona w ramię, też jakoś uszło jej uwadze. Na szczęście zabrała ze sobą jakieś ubranie, żeby się przebrać, oczywiście Biel, bo ciuchy najemnika wymagały gruntownego prania. Wiedziała, iż obie rany zostały zadane wtedy, kiedy zabrakło jej noży i strzał i rzuciła się na zwierzęta z obnażonym mieczem w ręku. Żadna

z nich ani nie krwawiła, ani nie bolała. . .

Mówiłam ci, że to potrafię — powiedziała Potrzeba, którą ciągle trzymała w ręce. Ostrze pokryte było ciemną, lepką krwią, ale Elspeth jeszcze nie czuła się na siłach, żeby je oczyścić. Miała, co prawda, wrażenie, iż Potrzebie brud zupełnie nie przeszkadza, ale gdyby Kero czy Alberich dowiedzieli się, że schowała do pochwy nie oczyszczone ostrze, urwaliby jej głowę. Razem z płucami. Gdyby nie była taka zmęczona, satysfakcja w głosie miecza zaczęłaby ją drażnić.

Pozwoliłam im krwawić tak długo, aż się oczyścili, i wtedy się nimi zajęłam.

I tak powinno być, bo przez ciebie zostałam ranna! — parsknęła obserwując, jak rany zblizniają się z chwili na chwilę; ostrze mruknęło coś o niewdzięczności.

Gryfy i — prawdopodobnie — łucznicz ruszyli w pościg za hybridami; ani heroldowie, ani Towarzysze nie czuli się na siłach, aby im towarzyszyć.

Gwena zaszła ją od tyłu i trąciła nosem w ramię.

Przynajmniej raz ten kawałek ołowiu na coś się przydał — stwierdziła. — *Chyba powinniśmy poszukać jakiegoś spokojnego i bezpiecznego miejsca na odpoczynek, jak myślisz? Mogłabym spać przez tydzień.*

— Pewnie tak, chyba że gryfy planują nas zjeść — odpowiedziała, ale perspektywa posłużenia za ewentualny posiłek nie zaprzętała zbytnio jej głowy. Przekonała się, że Quenten miał rację — używanie mocy wymagało energii, a ona swojej zdecydowanie nadużyła. Jeszcze chwila, a po prostu zemdleje.

Podniosła oczy, kiedy tuż nad nią wrzasnął myszołów. Olbrzymi drapieжник przeleciał nad nimi, nieomal szorując brzuchem po szczycie ruin, i zniknął w lesie. Omen? Akurat tego jej było trzeba. . . I wtedy pomyślała, że wzrok zaczął odmawiać jej posłuszeństwa, bo część lasu oddzieliła się i ruszyła w ich kierunku, ale po chwili okazało się, że to był człowiek.

Syknęła na Skifa i oboje wstali ciężko, a Towarzysze wycofały się szybko w cień za ich plecami. Schowała Potrzebę za siebie, żeby nie trzymać jej na widoku, co mogło zostać poczytane za wrogość.

Mężczyzna był szczupły i wysoki, wyższy od Skifa, miał uderzająco przystojną, lecz ponurą twarz i giętkie ciało. Przewiesił łuk przez plecy, Elspeth nigdy w życiu nie widziała tak pięknej broni. Zielono-brązowo-szary strój sprawiał, że kiedy przystawał, wtapiał się całkowicie w tło; włosy miały dziwny, brudnobrunatny odcień. Kiedy się zbliżył, zobaczyła, iż bardzo przypomina Shin'a'in — te same przeszywające, niebieskie oczy i budowa ciała. Tylko skórę miał znacznie jaśniejszą. Myszołów zawrócił i obcy wyciągnął przed siebie dłoń w rękawicy. Myszołów — o wiele większy niż jakikolwiek znany jej ptak, chyba nawet większy od orła — zniżył się i usiadł, wdzięcznie składając skrzydła.

Wtedy w końcu ją olśniło. „Na bogów, to musi być jeden z Sokolich Braci”. Poczuli się naprawdę jak w bajce: najpierw odwiedziły Kal'enedrin, potem ucieczka przed potworami, gryfy, a teraz on, postać z legend tak starych, że znalazła je tylko w kronikach z czasów Vanyela. „Księżycowy Taniec i Gwiezdny

Wiatr, przyjaciele Vanyela, adepci z klanu k'Treva. . .”

Mężczyzna zatrzymał się w należytej odległości i zmarszczył brwi, jakby nie był pewien, w jaki sposób się do nich zwracać, i do kogo przemówić na początku. Może powinna mu pomóc? Zanim jednak otworzyła usta, zdecydował się.

— Kim jesteście? — zapytał arogancko w języku kupieckim. — Co robicie na ziemiach Tayledras? Dlaczego tu jesteście?

„A ty niby kim jesteś, żeby nas o to pytać? Nie widziałam słupów granicznych!” Zrobiła krok w przód, przeciwstawiając jego arogancji swoją dumę.

— Herold Elspeth i herold Skif z Valdemaru. Gdybyś przypadkiem nie zauważył, zagnały nas tu hybrydy — odparła w tym samym języku — Nie mieliśmy czasu stanąć i zapytać o drogę. Jeszcze jakieś pytania?

Zdziwiona zobaczyła, że zaczyna się uśmiechać, ale wtedy Gwena wyjrzała zza jej ramienia i spojrzała na niego z mieszaniną ciekawości i aprobaty. Jego oczy rozszerzyły się i zbladł — ku zaskoczeniu Elspeth. Cofnęła się i niechcący machnęła Potrzebą. Spojrzał na miecz i jego twarz przybrała barwę papieru.

Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak Shin'a'in, lecz nie zdołała złapać sensu; miała jednak wrażenie, że wiąże się to z czynnościami fizjologicznymi. Skoro jednak nie wziął widoku miecza za jawną wrogość, mogła w końcu schować Potrzebę. Wyjęła z sakwy przy siodle kawałek szmatki i zaczęła czyścić ostrze. Mężczyzna znów coś wymamrotał patrząc, jak chowa miecz do pochwy.

— Mówiłeś coś? — spytała grzecznie, wycierając ręce. Potrząsnął głową i nieco się rozluźnił.

— Nieważne — odparł. — Wygląda na to, że powiększę o was moją kolekcję cudzoziemców.

— A jeśli nie mamy na to ochoty? — rzuciła, urażona tym, iż pomyślał, że natychmiast mu się podporządkują. — W końcu nas jest czworo, a ty jeden.

— Wtargnęliście na nasz teren. A poza tym nas też jest czworo — dodał łagodnie. Gryfy wylądowały tuż za nim, podnosząc skrzydłami pył i kurz. — I jesteśmy więksi.

Wysunęła wojowniczo podbródek.

— Grozisz nam? — spytała — Bo jeśli tak, przygotuj się na niespodzianki.

— Nie, nie grozę wam — westchnął — jeśli chcecie wracać na Równinę, proszę bardzo. Musisz jednak wiedzieć, że nasza czwórka jest tu strażnikami, nie pozwolę wam przejść przez ziemię Tayledras, a na dole czeka na was towarzystwo. Nasi przyjaciele Shin'a'in nie wygubili go, a my nie udajemy się na Równinę bez zaproszenia.

— Och — mruknęła. — *Co wiesz o tych ludziach?* — spytała miecz.

Nic a nic. Nigdy o nich nie słyszałam ani nie znam ich języka. Albo nigdy się na nich nie natknęłam, albo pojawili się po moich czasach.

Mężczyzna odkasznął, zwracając na siebie jej uwagę. Wskazał miecz.

— Muszę dodać, że z tym czymś przy boku w ogóle nie będziesz bezpieczna.

Podniosła brew i popatrzyła na Skifa.

— Chyba nie mamy wyboru — powiedział cicho.

— Twój przyjaciel mądrze mówi. Wasze towarzystwo zostało zwabione albo przez ciebie, albo przez twoją broń; magia przyciąga magię. Myślę, że z dwoma magami będziesz bezpieczniejsza.

— Dwoma magami? — wtrącił się nowy głos i tylko obecność Gwenty za plecami uratowała pośladki Elspeth od zetknięcia się z ziemią, tak bardzo była zaskoczona i przerażona.

— Dwoma magami? — powtórzył mniejszy z gryfów. — Mrrroczny Wietrze, czy mnie sssłuch zawodzi?

„On mówi!”

Mroczny Wiatr, o ile tak miał na imię, wzruszył ramionami.

— To nie czas ani miejsce na spory — odpowiedział i spojrzał na heroldów. — Źle się wyraziłem. Myślę, że nie macie wyboru, musicie przyjąć moją gościnę dla własnego dobra i bezpieczeństwa tego, co macie ze sobą. Niezależnie od zdania Rady — dodał, rzucając okiem na gryfa. — Nad tym pomyślę później.

Takie zachowanie bardziej pasowało do księcia jakiejś egzotycznej krainy, lecz czy oni wiedzieli, kim naprawdę był? Chciała zaprotestować przeciw jakiegokolwiek opiece, a już szczególnie z jego strony, ale musiała przyznać, że nie miała ochoty na walkę z kolejnymi dziwnymi potworami. W każdym razie nie teraz.

Lepiej chodźmy z nim, Elspeth — powiedział Skif łagodnie, jakby się spodziewał, że wyładuje na nim swój gniew. — *Nie wiem jak tobie, ale nam potrzeba odpoczynku. A poza tym chciałbym się dowiedzieć, co tu się dzieje, zanim ruszymy w dalszą drogę.*

„To jakiś strażnik graniczny”, pomyślała. „To jego kraj. Ale mimo wszystko...” Miała ochotę powiedzieć mu bardzo dokładnie, co może zrobić ze swoją „ochroną” i poinformować, że cokolwiek sobie myślał, to jego „przyjaciele Shin’a’in” ją tu przysłali i miała szczerzy zamiar na nich zaczekać. Z drugiej strony jednak nie miała pojęcia, dlaczego ją tu przysłano. Może właśnie po to, aby spotkała Sokolich Braci...

Co o tym myślisz? — zapytała Gwene.

Że ma rację: nie mamy wyboru — odparł Towarzysz. — *Może to i lepiej? Przecież szukasz magów, a na pewno i on, i gryf nimi są. Kroniki mówią, że większość Tayledras to magowie. Uczyli Vanyela, prawda?*

Najpierw muszę się przekonać, czy w ogóle ktokolwiek zechce ze mną rozmawiać — powiedziała kwaśno.

— Ma rację — rzuciła Skifowi po valdemarsku — ty też. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, a dopóki nie zostaniemy uwiecznieni...

— Nie zostaniemy. Myślę, że pozwoli nam odejść, jeśli będziemy chcieli. Chyba mu nieco przeszkadzamy i gdyby mógł, pozbyłby się nas w mgnieniu oka.

To akurat jej nie odpowiadało.

— Dobrze — powiedziała w języku kupieckim, próbując ukryć rozdrażnienie.
— Dokąd mamy iść?

Zamiast odpowiedzieć, odwrócił się plecami i skinął na nich; ten brak wychowania sprawił, że zgrzytnęła zębami. Poczekała, aż Skif i Cymry ją wyminą, bo obawiała się, iż jest gotowa do zrobienia koszmarnej awantury. Przyzwyczaiła się, że to ona decyduje, a teraz miała się komuś podporządkować. To ją denerwowało tak bardzo, jak arogancja tego Mrocznego Wiatru. Chociaż szczerze mówiąc, on denerwował ją bardziej. . .

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Mroczny Wiatr skierował się na ścieżkę, która prowadziła prosto do gniazda gryfów. Cieszył się teraz, że powiększyły one swoją siedzibę, inaczej dwoje ludzi, ich konie-duchy i Nyara wpadliby na siebie przy najmniejszym ruchu. I tak nie będą mieli dużo miejsca... Oddałby duszę za coś, co złagodziłoby ból głowy albo pozwoliło zapomnieć o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. No, może nie o wszystkim... „Odzyskałem ojca”.

Skoncentrował się na uważnym stawianiu stóp, szczęśliwy, że ten atak oznaczał spokój przez resztę dnia. Gdyby tylko mógł się znaleźć w swoim ekele... Dzień zaczął całkowicie wyprany z sił, a potem nie znalazł nikogo, kto zgodziłby się przejąć jego patrol i musiał pognać na granicę. Nie spał od dwóch dni.

Na szczęście, patrol przebiegał spokojnie, dopóki nie wyczuł potężnej magii płynącej, oczywiście, z miejsca najbardziej oddalonego od tego, w którym wtedy przebywał; ktoś używał jej w pobliżu grotu gryfów.

Najpierw pomyślał, że to Treyyan, który próbuje oczyścić gryfiątka z wpływu Zmory Sokołów, ale nadzieje na to rozwiął zew myślowy gryfa. Całe stado wypaczonych bestii stworzonych przez Zmorę Sokołów ścigało dwójkę ludzi i jeden z tych ludzi użył magii, aby je odpędzić. Nie udało mu się, więc gryfy ruszyły na pomoc. Ponieważ wszystko działo się na jego terenie, nie miał wyjścia, musiał się przyłączyć.

Przybyli jednocześnie na miejsce wypadków i odegrali rolę zbawców, co Mroczny Wiatr nad wyraz zirytowało. Nie miał najmniejszego zamiaru ratować głupców, którzy z własnej woli wpakowali się w kłopoty. Miał szczerzy zamiar posłać ich dokładnie tam, skąd przyszli, niezależnie od tego, czy groziło im niebezpieczeństwo, dopóki nie przyjrzał się dokładnie kogo, a raczej co uratował.

Spojrzał na nich przez ramię udając, że wcale nie patrzy. Najłagodniejszym określeniem stanu, w jakim się teraz znajdował, było „niespokojny”. Osobiście użyłby słowa „wstrząśnięty”; wstrząśnięty do głębi. „W końcu para Duchów Opiekuńczych i artefakt sprzed Wojen Magów nie pukają codziennie do moich drzwi...” A jeśli do tego dodało się fakt, że osoba, do której ten artefakt należał

— i dosiadająca potężniejszego Ducha Opiekuńczego — była kompletnie zielonym magiem o możliwościach adepta... „Jeśli to jakaś próba, bogowie mnie zdecydowanie przecenili”.

Był wyczerpany, oszołomiony i na skraju omdlenia: mógł myśleć tylko o upchnięciu obcych w jaskini gryfów. Pozwolenie tej dwójce — czwórce — piątce na wałęsanie się bez celu, kiedy wszystko waliło się na głowę, zakrawało na czystą bezmyślność. Mroczny Wiatr nawet nie próbował myśleć o tym, co by się stało, gdyby Zmora Sokołów dostał ich w swoje ręce, a najwyraźniej do tego zmierzał. Przy odrobinie szczęścia Starsi, pochłonięci sprawą Gwiezdnego Ostrza, nie dowiedzą się o przybyszach, dopóki ci nie odjadą, a w tym czasie będzie mógł przemyśleć, dokąd ich posłać. Do Shin’a’in? Nie, oni nie używają magii...

A może ta dwójka ukradła miecz z Równiny? Zachwiał się z przerażenia na tę myśl, lecz przypomniał sobie, że przecież ostrze nie roztaczało wokół siebie aury długiego nieużywania, jaką miały wszystkie artefakty z Równiny. Oczywiście, było w nim coś obcego, ale w odmienny sposób. Magia kobieca, tak, to było to; tego ostrza nie stworzył żaden z Milczących Magów ani nikt z Shin’a’in, bo ich miecze były kompletnie bezpłciowe. Jak Kal’enedral. A ten miecz roztaczał aurę kobiecości jak... jak... jak Nyara.

Uspokoił się, zanim ktokolwiek mógł coś zauważyć — w końcu obcy powinni go uznać za silnego. Gdyby powzięli najmniejsze podejrzenie, że jest niekompetentny... Wolał nie myśleć o konsekwencjach. Oczywiście, na pewno nie zamierzali nic złego, skoro towarzyszyły im Duchy Opiekuńcze, ale i tak mogliby wprowadzić niezłe zamieszanie. A ponoć gorzej już być nie mogło... „Że też to nie są Shin’a’in, miałbym dwóch sprzymierzeńców”. Treyvan czekał na nich u wejścia.

— Tędy — powiedział. — Jeśli macie ze sobą jakieś bagaże, Hydona wam pokaże, gdzie je złożyć.

Młody mężczyzna wąpiąco popatrzył na konia i Mroczny Wiatr dodał:

— One też. Jeśli nie macie dla nich jedzenia, znajdziemy coś. — Skłonił się lekko w kierunku klaczy. — Zhai’hillewa, pani. Twa obecność to zaszczyt dla k’Sheyna.

Klacz wyglądała na zdumioną i ucieszoną. Mężczyzna zresztą też.

Nie wyglądasz najlepiej — zauważył Treyvan.

Bo nie czuję się najlepiej, ale jakoś przetrwam — odpowiedział. Posłał Vree na gałąź przed jaskinią i nonszalancko oparł się o ścianę; przynajmniej liczył na to, że wygląda nonszalancko. Mężczyzna wszedł do jaskini, dziewczyna podążyła za nim. Kiedy go mijiała, poczuł, jak kolana mu się uginają i osuwa się po ścianie.

Dziewczyna szybko przykłęknęła obok i obnażyła miecz.

Spokojnie, bracie, nie robi ci krzywdy — uspokoił go Treyvan. Nie był tego taki pewien, ale w jego wyciągniętą dłoń została wepchnięta rękojeść miecza

i usłyszał w głowie dziwny, mroczny głos.

Mówi, że jeśli cię nie uzdrowię, utopi mnie w najbliższej studni — powiedział miecz z rozbawieniem pomieszanym ze złością. — Chyba brała lekcje u mojej poprzedniej właścicielki, a znając Jej Wysokość, przykladała się do nauki... — Prawie upuścił ostrze i tylko długi trening — nigdy, przenigdy nie wypuszczaj broni z ręki — sprawił, że ciągle zaciskał na nim palce.

E, nic wielkiego, przepracowanie, wyczerpanie i... — Poczul, że delikatnie penetruje mu pamięć i nagle się cofa, a potem dodaje kompletnie innym tonem: — Oj, młodzieńcze, przeszedłeś więcej, niż powinieneś, a ja nie ulecę złamanego serca. Ale zrobisz, co mogę. Opuść ostony...

Tak bardzo przypominała mu jedną z jego nauczycielek, że natychmiast usłuchał. Ogarnęło go delikatne ciepło, więc odprężył się, zamknął oczy i pozwolił jej działać. Po ciepłe przyszła nowa energia i siła, fala zielono-żółtego światła, które otaczało go jasnymi skrzydłami chroniąc, jak dawno nikt go nie chronił. Jego długo nie używane kanały magiczne zostały napełnione nową mocą i przez moment poczuł się urażony, ale potem przypomniał sobie, że przecież powiedział, iż jest magiem. Miał wszelkie powody, aby na nowo podjąć tę sztukę...

Dziękuję — powiedział.

Podziękuj Elspeth. Ja byłam adeptem, ale nigdy nie miałam jej możliwości. Ona i jej nauczycielka były pierwszymi od bardzo dawna, którym udało się mnie pokonać. A cała ta moc, cóż, przechodzi przez nią, więc oszczędź podziękowań dla mnie. Zaraz kończę.

I rzeczywiście, zawroty głowy zniknęły i poczuł się tak, jakby przez ostatnich pięć dni tylko spał. Wstał i oddał miecz dziewczynie.

— To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony — powiedział z całą uprzejmością, na jaką go było stać, zdając sobie sprawę z tego, że do tej pory nie zachowywał się najlepiej. — „Dziękuję” to za mało, ale nie mogę, niestety, służyć niczym więcej.

Zaskoczył ją; zarumieniła się i odwróciła oczy.

— Nie szkodzi. Wyglądałeś na kogoś, komu potrzebna pomoc. Co prawda ona nie przepada za mężczyznanami, ale chyba udało mi się ją przekonać...

Skinął ponuro głową.

— Mieliliśmy kłopoty — rzekł, patrząc na nią i jej klacz. — Nadal mamy, a wy wpakowaliście się prosto w ich środek. Mam mało czasu, ograniczone siły, a cierpliwością nigdy nie grzeszyłem, więc proszę, wykonujcie natychmiast polecenia moje albo Treyvana, nawet jeśli was urazimy. Od tego zależy nie tylko wasze życie. — Widział, że ma ochotę odmówić, ale zwyciężył szacunek.

— Dobrze — odparła, a z jej tonu wywnioskował, że nie przywykła do tego, aby ktokolwiek nią rządził, a na pewno nie obcy. — Myślę, że masz rację. Nie jesteśmy stąd i nie wiemy, co się dzieje.

„Mówi jak władczyni. Miecz nazwał ją Jej Wysokością i niekoniecznie musiał to być sarkazm. . .”

— Jestem Mroczny Wiatr k’Sheyna — przedstawił się. — Te ruiny należą do terytorium k’Sheyna, a Treyvan i Hydon są strażnikami. Niewielu chciałoby się wdawać w spory z nimi.

Chciał, aby zabrzmiało to jak delikatne ostrzeżenie, ale ona rzuciła okiem na gryfa i stwierdziła oskarżycielsko:

— Tu dzieje się coś bardzo złego. Mówisz, że nie rozumiemy, w co się wpa-kowaliśmy, lecz jedno widzę na pewno: macie kłopoty.

— O? A dlaczego tak twierdzisz? — spytał, mrużąc oczy.

— Po pierwsze, wnioskuje to z twojego stanu. Potrzeba powiedziała, że od wielu dni nie odpoczywałeś. Normalnie się tego nie praktykuje, prawda? Poza tym wszystko wkoło wygląda, jakbyście się szykowali do wojny. Jeżeli tak, chcę wiedzieć więcej, aby przemyśleć, czy nie lepiej próbować szczęścia z tymi be-stiami, które odgoniliście. Wolałabym nie znaleźć się w środku kolejnej wojny, szczególnie takiej z użyciem magii.

— A co niby możesz wiedzieć o wojnach? — parsknął, zanim zdążył pomy-sleć i ugryźć się w język.

— Zaliczyłam kilka bitew — warknęła. — A ty? A poza tym nie uzyskałam odpowiedzi na moje pytanie.

— A niby dlaczego mam odpowiadać? — zdziwił się. Podniósł głowę i poło-żył dłonie na biodrach. — Nic o was nie wiem, oprócz tego, że przekroczyliście Równinę, zapewne bez zgody Shin’a’in. . .

— Mam ci pokazać listy uwierzytelniające? — rzuciła, najwidoczniej bardzo wściekła, ale nadal nie dawała się wyprowadzić z równowagi. Sięgnęła do sa-kwy i wydobyła z niej pergamin i coś jeszcze. — Proszę bardzo. Nauczycielką mojej nauczycielki była Tarma shena Tale’sedrin. Moja nauczycielka nazywa się Kerowyn i jest kapitanem Piorunów Nieba i krewną większości Tale’sedrin. Jej klacz bojowa zawsze miała na imię Hellsbane, a ja przybyłam do Kata’shin’a’in w poszukiwaniu Tale’sedrin. Odnalazł czy odnalazła mnie Kal’enedral i dostałam to.

Rzuciła mu pergamin i miedziany krążek, który natychmiast rozpoznał: sym-bol jednego z klanów. Kiedy przejeżdżali przez ziemie Tayledras, używali ich do identyfikacji. Jeśli dali go obcej, znaczyło to, że mogła przejeżdżać bez przeszkód przez Równinę i należało zagwarantować jej bezpieczeństwo. Także na ziemiach Tayledras.

Kiedy rozwinął pergamin, przeżył kolejny szok. Miał przed sobą mapę Rów-niny. Wiedział, że takie rzeczy istnieją, ale nigdy ich nie widział, bo Shin’a’in nie pokazywali ich nikomu, nawet Kerowyn, która w końcu była ich krewną. Na tej mapie zaznaczono każde źródło, studnię, znaki orientacyjne i odległości między nimi. Już to stanowiło o jej bezcenności, a jeśli dodało się obozowiska czterech

głównych klanów i tych pomniejszych... Zaznaczono też ruiny na krawędzi; co więcej, obrysowano je świeżym, czerwonym atramentem.

— Dlatego sądziłam, że mamy się tu udać — powiedziała, wskazując znak palcem. — Nie wiem, co miałam znaleźć, ale chyba ktoś nas tu przysłał z rozmysłem. Chociaż może ty wiesz lepiej, gdzie w tej chwili powinniśmy być?

— Nie — odparł tępo, gapiąc się na tak oczywisty dowód współpracy Shin'a'in. — Chyba dotarłaś we właściwe miejsce.

Znów wszystko wywracało się do góry nogami: nie dość, że musiał ich ratować przed Zmorą Sokołów, to na dodatek okazywało się, że Shin'a'in celowo ich tu przysłał.

— Gdybyś mogła dołączyć do swojego przyjaciela, byłbym wdzięczny — powiedział, oddając jej mapę. — Muszę porozmawiać z Treyvanem.

Wysunęła podbródek, lecz tym razem trafiła na równie upartego przeciwnika. Mroczny Wiatr skrzyżował ręce na piersiach, stanął w przejściu i nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca. W końcu westchnęła, wpychając mapę za pasek i ruszyła w głąb jaskini.

Jednak jej klacz nie zrobiła nawet kroku. Patrzyła na niego tak długo, że poczuł się bardzo, ale to bardzo głupio, jakby oceniano go według własnej zupełnie mu nie znanej miary. Czegóż się można spodziewać po Duchach?

Nie wiedział o nich zbyt wiele; Gwiezdne Ostrze spotkał kiedyś leshya'e Kal'enedral, lecz nie opowiadał o tym zbyt wiele. Miał nadzieję, że na swojej drodze nigdy się na żadnego nie natknie, ale najwidoczniej bogowie postanowili inaczej.

Słoweczko — powiedziała klacz, a potem dodała, patrząc na Treyvana: — *Z tobą też.* Ten odkaszlnął i odparł w myślomwie: — *Pani, mamy tu naprawdę wiele kłopotów; nie chcę umniejszać waszych, ale nie mamy czasu się nimi zająć.*

O tym właśnie chciałam z wami pomówić. — Przeszła z kopyta na kopyto i podrzuciła głową. — *O waszych kłopotach. Trzeba być głupcem, żeby odrzucać naszą pomoc. Potrzebujecie nas i przysięgam, możecie nam ufać!* — Z każdym słowem lśniła silniej i w końcu musiał się przed nią osłonić.

Pani, wiem, że możemy wam ufać, ale nie jesteście z naszego ludu, inaczej działacie i to, co jest ważne dla was, może nic nie znaczyć dla nas — upierał się.

I gdybyś mogła się nieco wygasić — dodał Treyvan. — *Nie musisz podpalać lasu, aby udowodnić, że nie kłamiesz.*

Blask zniknął.

To prawda, że jesteśmy różni, ale powiem wam, co nas tu sprowadza. To dziecko potrzebuje nauki magii, to jest naszym najważniejszym celem. Nie mamy żadnego innego. Poza tym stanowimy dodatkową czwórkę po waszej stronie. I tak zjechaliśmy już z planowanej dla niej drogi, więc nic nam już nie zaszkodzi.

„Z planowanej dla niej drogi?” Interesujące słowa. „Jakby mnie tak rzucał tu i tam wiatr przeznaczenia, też bym się wściekł”. Zaczynał współczuć dziewczycy-

nie.

Pani, możemy się nie zgadzać co do tego, co tu należy zrobić — ostrzegł. — To ziemia Tayledras, służymy naszej Pani i nic nie może tego zakłócić.

A czy liczy się, w imię jakiego boga działamy? Zło wyrządzone w imię dobra jest złem, dobro w imieniu zła pozostanie dobrem. Liczą się czyny. Walczycie ze złem, więc pomożemy wam, jeśli nas przyjmiecie. A potem, być może, będziecie mogli nam pomóc.

To miało sens. Gryf przechylił głowę i popatrzył na zwiadowcę.

Ma rację. Jest kimś, kto nie kłamie, a k'Sheyne nie mogą sobie pozwolić na odrzucenie pomocy, Mroczny Wietrze. Szczególnie jeśli chcemy uwolnić Jutrzenkę i moje dzieci.

Jeśli tak uważasz, zgoda. — Odwrócił się do klaczy. — Pani, przyjmujemy twą propozycję.

Dobrze! Czy przedyskutujemy, co należy zrobić?

Co należy zrobić? Na przykład uratować Jutrzenkę. Był pewien, że wpadła w łapy Zmory Sokołów. Nie mógł jej tak zostawić, dla dobra klanu, któremu wystarczał jeden Gwiezdne Ostrze i dla dobra jego samego. Ciągłe dręczył się myślą, że gdyby tylko bardziej jej ufał, gdyby wytłumaczył, dlaczego nie chce, aby zbliżała się do gryfów, nic by się jej nie stało. Kamień-serce nie rozpadł się z jego winy, ale za to ponosił odpowiedzialność. Pozwolił uśpić swoją czujność i prośbę, jaki był wynik.

Przyprowadź tu swoich ludzi, kiedy będą w stanie rozmawiać. Mam nadzieję, że wytłumaczę wam wszystko przed zmrokiem.

Ku jego zaskoczeniu zrozumieli wszystko bardzo szybko. Młodzieniec powiedział:

— To jest dokładnie to, co u nas, tylko na mniejszą skalę.

— Dlaczego Zmora Sokołów nie zaatakował was bezpośrednio? — zapytała Elspeth — Wie, że macie kłopoty. Mógłby was bez problemu pokonać.

Teraz, kiedy schowała ostrze i odłożyła je, wyglądała na znacznie spokojniejszą. „Potrzeba”, czy jak się zwał duch je zamieszkujący, oświadczyła, że nie jest strategiem, jej rady na wiele się nie zdadzą i nie ma zamiaru wtrącać się do rozmowy. Zajął się więc ochranianiem gryfiątek przed dalszym złym wpływem i szło jej bardzo dobrze.

Za to Elspeth była znakomitym strategiem, a nauk udzielała jej legendarna Kerowyn, o której słyszeli w Dolinie od kilku bardów bawiących przejazdem. Zdecydowanie należało słuchać jej uczennicy.

— Nie wiem — odpowiedział szczerze. — Jestem nieomal pewien, że mógłby na nas uderzyć. Być może, po prostu nie myśli takimi kategoriami: woli osłabiać od wewnątrz i gnębić od zewnątrz, aż w końcu szkody przez niego poczynione

będą tak wielkie, że nie będzie się musiał zanadto wysilać, aby ostatecznie zwyciężyć.

— Jednak takie postępowanie może odnieść tylko wtedy skutek, gdy nie zdajesz sobie sprawy z jego sposobu działania — wytknęła — a kiedy już wiesz. . .

— Może być za późno — wtrącił się Treyvan. — Myśsiłem, że dotychczassss szszszło mu barrrrdzo dobrze.

— Prawdopodobnie takie działanie sprawia mu przyjemność — rzucił Skif; Mroczny Wiatr uznał to imię za co najmniej dziwaczne. — Chodzi mi o to, że kocia dama mówiła, że on uwielbia ranić innych. Gdyby uderzył bezpośrednio, straciłby co najmniej połowę przyjemności.

— Dokładnie! — Elspeth klasnęła w podnieceniu. — Dokładnie! Mamy jego słaby punkt! Jeśli zobaczy, że coś planujemy, nie przyjdzie mu do głowy, iż możemy go zaatakować bezpośrednio! Mroczny Wietrze, gdybym była tobą, udałabym, że chcę negocjować, a gdy poczułby się już pewnie, ruszyłabym na niego, żeby uwolnić Jutrzenkę, wpadłabym do fortecy i narobiła jak najwięcej szkód. Ale — dodała w zamyśleniu — jak powszechnie wiadomo, jestem mściwą suką.

Rzuciła okiem na Skifa, a ten się zmieszał. Najwidoczniej użyła jego własnych słów. Mroczny Wiatr poczuł się lekko zaskoczony, ponieważ dotychczas uważał ich za kochanków, a teraz okazało się, że był w błędzie. To nawet lepiej: kochanków nie należy rozdzielać, a koledzy czy przyjaciele nie obrażą się, jeśli pośle się ich w dwie różne strony świata.

— Świetny pomysł. Jest tylko jeden szkopuł: mamy udawać, że nie wiemy o jego istnieniu i o tym, że schwytał Jutrzenkę.

— A niech to! — stwierdziła. — Zapomniałam. A co z tą jego córką, Nyarą? Można jej jakoś użyć?

— Obudzę ją — odparł Treyvan, podnosząc się. — Skorro twierrrdzi, że jesssst przyjacielem, a nie wrrrrogiem. . .

Mroczny Wiatr zgadzał się z nim — Nyara powinna pokazać, po której stronie naprawdę stoi. Mogła wiele im powiedzieć o swym ojcu i jego fortecy. I być może obnażyć jego słabości. A jeśli odmówi? Cóż., obejrzy sobie Dolinę od środka, jak tego pragnęła, sądzona przez adeptów. Ciekawe, co pomyślą o stworzeniu, które pożarło ptaka Gwiazdowego Ostrza? Nie sądził, aby potraktowali je łagodnie. . .

Jutrzenka stanęła na myszy, zabiła ją i zaczęła połykać od głowy, próbując nie myśleć. „Przynajmniej wiem, od której strony zacząć”, pomyślała żałośnie. „Na szczęście wiem, że nie jada się żywych zwierząt. A jak zabijać, wiedziałam przynajmniej teoretycznie. . .”

Tak naprawdę, nauczyła się już znacznie więcej, niż okazywała. Błogosławiła chwile, które spędzała złączona z Kyrr, i błogosławiła pamięć jastrzębia. Nie, nie była ptakiem, ale pamiętała, jak to jest w ciele drapieżnika, i te wspomnienia

okazały się bardzo pomocne. Jednak nie pokonały strachu. Strach przed Zmorą Sokołów to nie wszystko; bała się ciągle — jedząc, śpiąc, fruując — że im dłużej pozostanie w ciele Kyrr, tym bardziej zmieni się w jastrzębia, a w końcu nic nie zostanie z dawnej Jutrzenki. Fakt, że tak szybko zaadaptowała się do nowego ciała, cieszył ją i przerażał jednocześnie.

Próbowała pamiętać wszystko ze swego ludzkiego życia: zwiadowców, Dolinę, Mroczny Wiatr, a kiedy odkrywała nagłą dziurę w pamięci, wpadała w panikę. Nie wiedziała, czy zaczyna tracić siebie, czy jeszcze nie. Nie wiedziała, co się stało z jej ciałem w Dolinie. A jeśli Zmora Sokołów zabił je tak, jak duszę Kyrr? Co wtedy?

Dwa dni wlokły się jak dwa miesiące. Kiedy poczuła, że jeszcze chwila, a oszaleje, zaczęła planować ucieczkę. Tylko to ratowało ją od popadnięcia w obłąd. Zabierano ją na dwór tyle razy, że poznała już miejsca, z których udałoby się jej zbiec. Gdyby — nie, nie gdyby, kiedy — kiedy już się wydostanie, polecą tak wysoko, jak to tylko możliwe, rozejrzy się za jakimiś znanymi drogowskazami, a jeśli ich nie znajdzie, będzie krążyć tak długo, aż jakieś dostrzeże. A Zmora Sokołów nie będzie w stanie jej tknąć.

Kiedy Zmora Sokołów nie było w pokoju, ćwiczyła tak, jak pisklęta: zlatywała z żerdki i ponownie na nią wlatywała, trzepotała skrzydłami, aż uniosła się na odpowiednią wysokość. Zabijała swe posiłki z coraz większą wprawą i często z gniewem atakowała bezbronne myszy, rozrywając je szponami i dziobem. Ale nadal jedzenie ich przychodziło jej z trudem.

Jej prześladowca nie zwracał na nią zbyt wiele uwagi, lecz ciągle odgrywała przed nim kompletnie bezradną. Czyszcząc dziób i szpony, obserwowała go uważnie: najwyraźniej był bardzo zajęty tego dnia. Najprawdopodobniej zapomniał o jej szerokim polu widzenia, a może nigdy o nim nie wiedział.

Patrzył w kryształ, spięty i już nie tak pewny siebie. Domyśliła się, że nie mógł z kryształu korzystać poza tym pokojem. Spędzał w nim coraz więcej czasu, zajęty gapieniem się w kamień i coraz bardziej czymś zaniepokojony. Podśluchała, jak mruczał do siebie. O tym, że ma ostry słuch, też zapewne zapomniał. Usłyszała coś o „heroldach”, „Valdemarze” i „królowej”; nie miało to dla niej żadnego sensu. Potem doszły ją słowa „Ancar” i „Hardorn”. Zmora Sokołów zajmował się dwiema grupami ludzi; jedna z tych grup miała coś, czego chciał. Chciał? To tak, jakby powiedzieć, że ona chciała wolności. On tej rzeczy pożądał z intensywnością, jakiej nigdy nie widziała. Druga grupa powiązana była z tym „Ancarem”, najwidoczniej wrogiem pierwszej; Zmora Sokołów najwyraźniej bawił się myślą sprzymierzenia z nim. To było coś nowego. Pragnął przymierza, a jednocześnie nie chciał utracić ani odrobiny swej władzy.

Tego popołudnia wszystko się zmieniło: nie powiodło się zastawienie doskonałej pułapki, rzecz, której pragnął, wymknęła mu się z rąk. Ogarnęła go furia i cisnął kryształem o ścianę tak silnie, że rozpadł się na tysiące kawałków, a na

ścianie zostało wgłębienie. Jutrzenka na swojej żerdzi usiłowała stać się niewidzialna, ale nie zwrócił na nią uwagi. Wezwał służącego i kazał mu posprzątać bałagan, a potem stał nad trzęsącym się chłopcem z żądzą mordy w oczach. Drżała też Jutrzenka oczekując, że za chwilę zobaczy rozrywane członki. Jednak zanim Mornelithe dotknął chłopca pazurami, drzwi się otworzyły i wpadło przez nie dwóch mężczyzn odzianych w coś na kształt ornatów. Padli na podłogę i jeden przez drugiego wykrzykiwali coś o „błędzie” i „litości”. Dla pokrycia zaskoczenia Zmora Sokołów chwycił dziecko za włosy i wyrzucił za drzwi, a potem wrócił do leżących na podłodze postaci. Uciął ich wynurzenia jednym gestem.

— Starczy! — ryknął, obnażając pazury. — Nie udało wam się zdobyć tego przedmiotu. Nie udało wam się ich uwięzić. Pozwoliliście, aby znaleźli pomoc. Powinienem was zabić. Powinienem was czegoś nauczyć. . .

Twarze obu mężczyzn pobladły.

— Nic, co powiecie, nie umniejszy waszej bezdennej głupoty. Drakan zajmie się ukaraniem was. Mój czas jest zbyt cenny, aby go na was marnować.

Zaczęli się podnosić; parsknięcie wbiło ich twarze z powrotem w posadzkę.

— Ale mam czas, aby z waszych nędznych ciał odzyskać choć trochę utraczonej mocy — powiedział i rozpostarł nad nimi prawą dłoń.

Jutrzenka nie była pewna, co robił, ale na efekty nie musiała długo czekać.

Obaj mężczyźni nagle usiedli jak dwie marionetki pociągnięte za sznurki. Ich twarze zmroził ból, ciała zaczęły wic się w paroksyzmach, z otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Zmora Sokołów wyglądał, jakby przeżywał największy orgazm w swoim życiu: odrzucił w tył głowę i trwał z półprzymkniętymi oczami. Jego dłoń rozkurczała się powoli, za każdym razem przydając nowego bólu ofiarom. W końcu zwinął ją w pięść, a mężczyźni upadli.

— Możecie iść — rzekł, otwierając oczy i patrząc na nich w zamyśleniu. — Już.

Zaczęli się wyczołgiwać, bo na nic innego już nie było ich stać, a „kara” dopiero ich oczekiwała. On im tylko przypomniał, gdzie było ich miejsce.

— I przyślijcie mi tu Daelona — dorzucił.

Po chwili do pokoju wszedł kolejny człowiek, starszy, szczupły i wysoki, odziany w luźne szaty.

— Panie? — powiedział z szacunkiem, czekając poza zasięgiem rąk Zmory Sokołów, tak na wszelki wypadek. Został zignorowany; adept wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, intensywnie nad czymś myśląc. Najwidoczniej służący musieli mieć rozwinięte dwie cechy: cierpliwość i daleko posuniętą ostrożność.

— Zaproponuję układ księciu Ancarowi z Hardornu — stwierdził w końcu Mornelithe, wyciągając się na kanapie.

— Doskonale, panie — Daelon skłonił się głęboko. — Układy to pożądana rzecz.

— Jak wiesz, utrzymuję z nim kontakt od pewnego czasu, z nim i innymi władcami Wschodu. Zgodził się na spotkanie w cztery oczy, ale nie naznaczył terminu — uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, znikł jak starty gąbką. — Wobec tego ja nalegałem, aby przybył tutaj w trzy miesiące od pierwszej rozmowy.

— Czy już ustalił datę, panie?

— W końcu mu się udało. Tuż przed tym zamieszaniami, jakiego narobił Greden, poinformował mnie, że przybędzie tu za trzy dni.

— Doskonale. Bramą, panie?

Zmora Sokołów parsknął z pogardą.

— Nie. Ten głupiec twierdzi, że jest magiem, a nie umie nawet zbudować Bramy. Musiał przewędrować wszystkie rozdzielające nas kraje i dlatego nie wyznaczył dokładnej daty. Podróżował incognito, oczywiście.

— Mam więc przygotować pokoje gościnne, panie?

— Oczywiście. Myślę, że przekonam go do skorzystania z mej gościnności po tygodniach objazdu się po karczmach i gospodach.

Daelon uniósł brew.

— Czy on nie przybędzie bezpośrednio tutaj, panie?

— Twierdzi, że woli pozostać na neutralnym gruncie — parsknął ponownie mag. — Skierowałem go do doliny, którą niedawno wypełniłem trującym dymem. Cóż za problem zrobić to ponownie?

— Doskonale, panie — skłonił się Daelon — lepiej wyeliminować zagrożenie, niż popaść w konflikt.

Zmora Sokołów roześmiał się.

— Twoja filozofia jest szczególna, Daelonie. Idź — machnął na niego ręką — albo nie, zaczekaj — rzucił mu coś, co okazało się być rękawicą sokolnika. — Zabierz ze sobą tego ptaka, już mnie nie bawi. Rzuć go kotom na pożarcie albo co; niech zna swoje miejsce.

— Oczywiście, panie. — Podszedł do Jutrzenki, która napięła wszystkie mięśnie, ale najwidoczniej nie miał pojęcia o ptakach i nawet nie spróbował założyć jej kaptura. Niezdarnie chwycił końce troczków i wyciągnął w jej stronę okrytą rękawicą dłoń.

Jeśli nie znał się na ptakach wystarczająco, aby porządnie uchwycić troki, była nadzieja, że nie trzyma ich zbyt pewnie. Skoczyła na jego dłoń jak dobrze ułożony kanarek, a gdy opuścili pokój, przekonała się, iż jej nadzieje nie były płonne. Oczywiście, zadała sobie trud, aby nieco nadwreżyć troki, chociaż skóra smakowała ohydnie. Daelon trzymał ją na sztywnej, oddalonej od ciała ręce, prawdopodobnie po to, aby nie zapaskudziła jego szat. Gdyby kontrolowała te funkcje ciała ptaka, na pewno spróbowałaby je nieco podniszczyć.

Na korytarzu, którym przechodzili, nie widziała żadnego służącego; Daelon będzie musiał sam wynieść ją na zewnątrz. Kiedy otwierał masywne, okute drzwi,

puścił troki, licząc na to, że się nie ruszy. Nie zawiodła go; zwykły jastrząb natychmiast by się wyrwał, ale ona nie była zbyt pewna swych umiejętności. „Proszę, Gwiazdna Pani, niech nigdzie nie będzie żadnego służącego...” Nie było; podwórko opustoszało podobnie jak korytarze. Obrócił się i zaczął zamykać za sobą drzwi.

„TAK!” Odbiła się i rzuciła w powietrze, bijąc z całej siły skrzydłami; Daelon krzyknął i wyciągnął dłoń, próbując ją schwycić, ale spóźnił się. Wystrzeliła w błękitne niebo, pełna energii i nieomal oszalała z szczęścia patrząc, jak na dole Daelon skacze po dziedzińcu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Skif usiadł cichutko w rogu jaskini gryfów i precyzyjnie zwijał swoje posłanie. Parę dni temu Elspeth narzekała, że czuje się jak postać z jakiejś kiepskiej powieści i teraz doskonale ją rozumiał — zobaczyć gryfy to już jest przeżycie, lecz zostać przez nie uratowanym, a potem z nimi rozmawiać... „Nikt mi w to nigdy nie uwierzy”. Widział wystarczająco wiele wypaczonych stworzeń w szeregach armii Ancara, żeby się dziwić, iż coś takiego wysłano przeciw nim, ale gryfy i Sokoli Bracia zdecydowanie nadwerzęzyli jego nerwy. „Na pewno powiedzą, że wszystko zmyśliliśmy”.

Starął się nie okazywać strachu przed gryfami, ponieważ miał przyjaciela, zapalonego sokolnika, i zdawał sobie sprawę ze szkód, jakie mogłyby wyrządzić szpony tej wielkości. O dziobie nie wspominając.

Kiedy wszedł w zadaszoną część ruin, spotkał tam większego z gryfów.

— Przepraszam, pani — powiedział, mając nadzieję, że głos mu się nie załamał — ale gdzie mam się udać?

— Hydona — odparł gryf.

— Słucham?

— Mam na imię Hydona, młodzieńcze — najwidoczniej bardzo ją rozbawił — co oznacza „łagodność”. Złóż swoje rzeczy w tamtej izbie. Zmiennolica ci pokaże.

Wtedy właśnie dostrzegł dziewczynę, wysuwającą głowę z drugiej izby; posłusznie ruszył tam ze swoim siodłem i zrolowanym posłaniem, zastanawiając się czym na bogów, była „Zmiennolica”? Dziewczyna odsunęła się, aby zrobić mu przejście, stanęła w świetle i poczuł, jak oczy wychodzą mu z orbit.

Nie miała futra ani nie chodziła na czterech łapach, ale jej szczupłe ciało, oczy o pionowych źrenicach i sposób poruszania się nie różniły się zbytnio od znanych mu kotów. Zdołał jakoś wykrztusić pytanie o miejsce dla swoich rzeczy i kiedy mu pomagała ułożyć je na podłodze, dostrzegł, że jest atrakcyjna. A gdy minął pierwszy szok, uznał ją za bardzo ładną. Obserwował kątem oka, jak kładzie miękkie liście pomiędzy skały i jego posłanie, i doszedł do wniosku, iż „ładna” to

za mało: dziewczyna była piękna. Szczególnie gdy się uśmiechała.

— Dziękuję — powiedział tylko po to, żeby się znów uśmiechnęła; nie widywał ostatnio zbyt wielu uśmiechów. . . Zwłaszcza tak pięknie rozświetlających miodowożłote oczy.

— Pomogę ci — i przyklęknęła przy nim, pomagając mu ułożyć jego rzeczy.

„Elspeth ostatnio wcale mi nie pomagała”, pomyślał cierpko. Szczerze mówiąc, dziewczyna była dokładnym przeciwieństwem Elspeth — cicha, spokojna, nie rzucająca się na człowieka z pazurami za to, że ośmielił się oddychać.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Nyara — odpowiedziała, nieśmiało odwracając oczy. Niestety, jakkolwiek dalszą rozmowę uniemożliwiło wejście Elspeth, która zajęła się przygotowywaniem swojego postania; Nyara wróciła do swojego kąta.

„Jest taka. . . idealna. Niczym dzieło rąk doskonałego rzemieślnika. Zatraciła człowieczeństwo”.

Pomimo całej swej egzotyczności Nyara była jednak bardziej ludzka niż Elspeth.

Zsunął przepoconą tunikę, obserwując kątem oka przebijającą się dziewczynę. Elspeth zdjęła podarte spodnie i koszulę, a potem włożyła świeże ubranie, zwracając na niego czy Nyarę tyle uwagi, co na kamienie. „Ani serca, ani uczuć, ani emocji, ani cierpliwości dla ludzi, którzy nie są doskonali. Zimna jak. . . a Nyara jest pełna ciepła”.

Nagły dźwięk sprawił, że podskoczył — w drzwiach stanął Mroczny Wiatr, człowiek, który ich uratował. Skif nie usłyszał go, dopóki ten nie kopnął kamienia. Facet gadał z gryfami, poruszał się jak myśl, chował w cieniu i był bardziej obcy niż Nyara, a zimniejszy niż Elspeth. Spojrzał kolejno wszystkim w oczy.

— Chodźcie — powiedział. — Pora porozmawiać.

— Dlaczego wydaje mi się, że od dzisiejszego poranka minął tydzień, a od dnia, kiedy wjechaliśmy na Równinę, rok? — zapytała Elspeth w zadumie, wpatrując się w zachodzące słońce. Jej towarzysz, Skif, nad podziwianie natury przedkładał kontemplację Nyary.

Mroczny Wiatr natomiast wolał obserwować Elspeth niż piękne widoki. Umyła się i przebrała w jeden z tych oślepiająco białych uniformów. Zastanawiał się leniwie, jak wyglądałaby w jednej z wyszukanych szat, jakie nosili adepci Tayledras. W lepszych czasach projektował ubrania dla swych przyjaciół i to z całkiem niezłym wynikiem; co prawda, nie zyskały popularności masek Kruczego Skrzydła, ale z jej wyrobami nic nie mogło się równać. Największą dumą dla niego było to, że ojciec nosił szaty, które dla niego wykonał. — Krótco po tym, jak przyłączył się do zwiadowców, znalazł je jednak wśród ubrań przeznaczonych do przeróbki na odzież kamuflującą. Teraz już wiedział, dlaczego ojciec tak postąpił: chciał go chronić, ale wtedy. . . Wtedy to bolało.

Spoglądał na Elspeth i wyobrażał sobie, co by dla niej zaprojektował: coś opinającego pierś, a od bioder rozszerzającego się w powiewną spódnicę, odpowiednio rozciętą, aby pokazać nogi, zdecydowanie szmaragdowozieloną. A może coś, w czym mogłaby się poruszać i walczyć bez przeszkód: obcisłe bordowe spodnie, czerwona jedwabna koszula i czarna kamizela. . .

„Co ja robię, do cholery? Jak mogę teraz myśleć o strojach?” Może po prostu dlatego, że Elspeth rozpaczliwie potrzebowała odpowiedniej oprawy: w Bieli wyglądała zdecydowanie źle, a prosty krój ubrania upodabniał ją do ostrza bez ozdób. Po rozmowie z nią wiedział, że jest dobrym wojownikiem i że jest to ważna część jej życia, ale wyczuwał w niej o wiele więcej. Ubranie powinno to podkreślać. Jej twarda uroda potrzebowała oprawy. Nyara, cóż. . . nawet w worku wyglądałaby na zmysłową, egzotyczną i łagodną.

Nyara siedziała obok Skifa i od czasu do czasu rzucała na niego okiem; on nie mógł oderwać od niej spojrzenia. Kiedy się obudziła, była bardzo wdzięczna, że Treyvan tylko ją uspił; jej reakcja nieco zawstydziła Mroczny Wiatr. Jednakże potwierdziła w jakiś sposób obawy Treyvana: była niebezpieczna. Wyznała, iż ojciec mógł ją swobodnie kierować i poszłaby wszędzie na jego wezwanie, chyba że przykuliiby ją łańcuchem. Nie wiedziała tylko, czy Zmora Sokołów potrafi odczytywać jej myśli na odległość; wołała nie mówić „nie”.

— Jeśli będziecie mieć wątpliwości, uspijcie mnie znów i zwiążcie — powiedziała pokornie. — Nie marnujcie na mnie osłon, które przydadzą się gryfiątkom.

To przekonało Treyvana. Mroczny Wiatr nadal się wahał. Udzieliła im zadziwiająco wielu informacji o fortecy Mornelithe’a: problem polegał na tym, że miejsce zdawało się być doskonale chronione. Nyara przyznała gorzko, że jej ucieczka udała się tylko dlatego, iż ojciec ją zaplanował. Uwolnienie Jutrzenki wyglądało na znacznie, znacznie trudniejsze. Pomysły wyczerpały im się z ostatnimi promieniami słońca.

Jednak Elspeth ciągle myślała nad sprawą.

— Mroczny Wietrze, ona jest ptakiem, tak? A jeśli dostaniemy się tam, uwolnimy ją, a w jej miejsce podstawimy podobnego ptaka? Jedna czy dwie osoby powinny sobie z tym poradzić.

Nareszcie coś, na czym się znam — stwierdziła Potrzeba.

Mroczny Wiatr spojrział na Nyarę; ta odkaszlnęła.

— Myślę, że powinnam pójść na mały spacer — mruknęła. - Czy ktoś pójdzie ze mną? — dodała, patrząc znacząco na Skifa, który się co prawda zaczerwienił, ale nie miał zamiaru odmówić.

Mroczny Wiatr nagle stwierdził, że miotają nim sprzeczne uczucia. Wiedział doskonale, co się wydarzy, kiedy ta dwójka oddali się spoza zasięgu słuchu; jednocześnie cieszył się, że Zmiennolica przeniosła swe uczucia z niego na kogoś innego i był wściekle zazdrosny. Nie ufał sobie w jej obecności; nie ufał również jej, w końcu miała go uwieść. Wołał, żeby pozostali przy wymienianiu uprzejmo-

ści. Mimo to jednak czuł ucisk w dołku, gdy na nią patrzył, i... zazdrość.

— Wiem co nieco o włamywaniu się — zawahał się Skif, zezując na Zmienolica — ale mam wrażenie, że uwzględnianie magię w swoich planach i to mnie z nich wyklucza. Pójdziemy gdzieś, gdzie nie będzie was słychać. Jeśli zdecydujecie się posłać tam tylko jedną osobę, to raczej nie herolda, więc moja wiedza nie na wiele się przyda.

Mroczny Wiatr spojrział na Elspeth i wydało mu się, iż w kącikach jej ust widzi delikatny uśmiech, lecz nie był tego pewien. Pomyślał, że gdyby wiedziała o Nyarze tyle, co on, sytuacja wcale by jej tak nie bawiła. Ale w końcu nie widział powodów do sprzeciwu... .

— Zostańcie w ruinach — rzucił krótko. — Skif, jesteś za nią odpowiedzialny. Pamiętaj, że ona nie ufa samej sobie.

Skif kiwnął głową i wyciągnął rękę do Nyary, pomagając jej wstać. Potrzebowała tego jak pies piątej nogi, ale nie odmówiła.

„On sam nie wie, w co się pakuje. Przecież ona równie dobrze może go pożreć żywcem”. Ugryzł się w język, zanim wygłosił jakiś sarkastyczny komentarz. „W końcu ona nie należy do mnie i jest zbyt niebezpieczna, bym mógł jej dotknąć. To, czego ja chcę, zupełnie się nie liczy. W końcu nie jestem dzieckiem”.

Patrzył, jak oddalają się w kierunku ruin, starannie zachowując dystans. Jasne. Powietrze między nimi było tak gęste od seksu, że można je było kroić.

— Wiem, że to wstrętne pytać o takie rzeczy — usłyszał Elspeth — ale czy wy dwoje byliście kochankami?

— Nie, pani — odpowiedział, starając się poskromić zazdrość. — Nie, nie byliśmy. Potrafiła się na tyle kontrolować, iż pomimo nakazu ojca nie uwiodła mnie. W innych okolicznościach... — przerwał, a potem podjął wątek wyczuwając, że ta młoda kobieta nie odczyta opacznie jego słów — ...prawdopodobnie zostalibyśmy nimi. Stworzono ją dla przyjemności, czego się zapewne domyśliłaś. To ona nią powoduje, nie głód czy ból. I prawdopodobnie jest biegła w tych sprawach. Poświęciła im niemal całe życie.

Elspeth przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

— Mam nadzieję, że nie gniewasz się na Skifa — rzekła.

— Nie, nie gniewam się — roześmiał się sucho. — Przecież nic nie poradzę na to, czym ona jest. Jestem jednak zazdrosny, chociaż głupio się do tego przyznać. Zazdrość to brzydkie uczucie. A ty?

— Ja? Cieszę się, że wreszcie znalazł kogoś, z kim może... no...

— Pójść w ruiny?

— Właśnie. Nawet nie wiesz, jaka to ulga — powiedziała, siadając ze skrzyżowanymi nogami. — Tyle lat był dobrym przyjacielem, a ostatnio miał wiele problemów.

— A czy wy byliście kochankami? — Ton, jakim zadał pytanie, zdziwił jego samego. „A co mnie to obchodzi? To obcy. Dostaną, czego chcą, i odejdą. Są

przelotnym wrażeniem jak wiatr nad stawem”.

Ona nawet nie zwróciła na niego uwagi.

— Nie byłam z tobą całkowicie szczerą, Mroczny Wietrze, głównie dlatego, że tytuły nie zrobiłyby na tobie wrażenia, przeciwnie, mógłbyś nas od razu stąd wyrzucić. . .

„Aha, miałem rację”.

— Jestem dziedziczką tronu — powiedziała szybko. — Wcale nie jestem z tego zadowolona, co mnie samą zadziwia, bo kiedy byłam mała, myślałam, że bycie królową to najlepsza rzecz na świecie. Ale teraz, kiedy to jest tak realne, wolałabym być zwykłą dziewczyną. Skif to dla mnie bardziej starszy brat, chociaż zawsze o nas plotkowali.

— A mieli powody? — dociekał i zrobiło mu się nieswojo: znów był zazdrosny i tym razem kompletnie bez powodu! „Zostało mi po Nyarze. Na bogów, gdzie moja samokontrola?”

— Nie — odparła łagodnie i zazdrość zniknęła. — Nie, bo dla niego byłam zawsze młodszą siostrą. Aż do tej podróży, kiedy to nagle zdecydował, że się we mnie zakochał. — W jej głosie brzmiało rozdrażnienie. Podobało mu się to. — Naprawdę nie wiem, dlaczego, ale tak postanowił i już. Może kiedyś oszalałabym ze szczęścia, lecz teraz to niemożliwe, Mroczny Wietrze. Mam obowiązki jako następczyni tronu, jeśli, oczywiście, uda mi się wrócić cało do domu. Wszelkie związki muszą być rozważane pod kątem dobra królestwa. Miłość stoi daleko za nim. Kiedy moja matka wychodziła po raz pierwszy za mąż, myślała, że robi to z miłości, i skończyło się katastrofą. A Skif jest tak zaślepiiony swoimi uczuciami, że nie dostrzega otoczenia.

— Aha. Czyli uważasz, że on nie jest w tobie zakochany?

— Co najwyżej mocno zafascynowany — parsknęła. — Od wyjazdu z Valdemaru staram się naśladować Kero, moją nauczycielkę, a ona jest dla niego czymś na kształt bogini. W tym tkwi problem.

„A więc ten cały Skif to tylko przyjaciel”, pomyślał z zadowoleniem. „Doskonale; jeśli ma zamiar uczyć się magii, nie będzie miała czasu na nic poza nauką”.

— Tak, myślę, że masz rację. Dlaczego więc jesteś na niego taka zła? Jeśli istnieje jeszcze jakiś problem, muszę go znać.

— Żaden, poza tym, że najchętniej zawiązałby mnie w jedwab i włożył do szkatułki. Mam nadzieję, iż się wyleczy z zauroczenia, ale jeśli nie. . . cóż.

Mroczny Wiatr skinął głową zapominając, że jest już za ciemno, aby Elspeth ten gest dostrzegła. Zreflektował się.

— Dziękuję. Wezmę to pod uwagę. Chyba nie zdenerwowałem cię pytaniami?

— Nie, wcale nie — stwierdziła zaskoczona. — Bardzo łatwo ci zaufać. Dziękuję, że pozwoliłeś mi się wygadać. Mój Towarzysz uważa Skifa za doskonałą partię, a Potrzeba za totalną pomyłkę, więc obie chętnie mnie pouczają.

„Towarzysz? A, koń-duch. Ale powiedziała to tak, jakby to było imię. . .”

— Towarzysz? — zapytał.
— Mój nie-koń. — Nawet przez ciemność wyczuł jej ciepły uśmiech. — Ten, którego tak wspaniale potraktowałaś. Nazywamy je Towarzyszami; każdy herold w Valdemarze ma jednego, to one nas wybierają.
— One... co? Czy mogłabyś to wyjaśnić?
— Jasne, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że się bliżej przysunę. — Rzucił jej szybkie spojrzenie, ale najwidoczniej nie miała zamiaru flirtować. Otrzepywała coś z nóg. — Po tej skale łązą jakieś nocne żyjątka i chcą spróbować herolda.
— Oczywiście, siadaj obok — zgodził się, po raz pierwszy błogosławiąc nocne mrówki. — Tutaj ich nie ma. A co do Towarzyszy...
— Czy nie powinniśmy rozmawiać o tym, jak uwolnić Jutrzenkę? — zapytała, przysiadając się. — Łatwo możemy zapomnieć, o co nam naprawdę chodzi.
— Rozmawiamy o Jutrzence i twój Towarzysz może się lepiej nadać do tego niż ja. Muszę wiedzieć o tobie jak najwięcej.
— Ale Skif...
— Nie wróci przez jakiś czas — zapewnił ją. — Mam tylko nadzieję, że po pierwsze, jej ojcu nie zechce się przywołać jej właśnie teraz...
— A po drugie?
— Że Skif będzie potem zdatny do użytku.
Zachichotała.
— Ale wracając do Towarzyszy...

Gdyby mogła, krzyczałyby z radości, że Mroczny Wiatr pozwolił im odejść; Skif mógł być brzydki, gruby, łysy, garbaty, śmierdzący i stary, nie miałoby to znaczenia, bo był bezpieczny, tylko to się liczyło. Mornelithe nie kazał jej go uwodzić, nie wiedział nawet o jego istnieniu. Mogła spokojnie dać się ponieść swoim potrzebom bez poczucia winy, tylko dla czystej przyjemności.

A że był przystojny, dobrze ułożony i inteligentny — zwykła potrzeba zamieniła się w czyste pożądanie. Pożądała go tak, jak Mrocznego Wiatru, ale bez poczucia winy; on też jej pragnął, ale był nieśmiały, inaczej zaproponowałby coś od razu, w jaskini gryfów. Wszystko zależało od niej.

Miała koci słuch i koci wzrok, więc kiedy zaczął delikatnie wyciągać rękę w jej stronę, wiedziała, że nikt ich nie usłyszy i że pomiędzy skałami jest zakątek, który może im się przydać. Dzięki bogom, nie Mornelithe'owi, iż знаła na tyle język kupiecki, aby się z nim porozumieć.

— Nyara — powiedział Skif nieśmiało, kiedy nie wyrwała ręki z jego dłoni — Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale nigdy nie spotkałem nikogo podobnego do ciebie.

— Nie macie u siebie Zmiennolicych? — zdziwiła się, stając wystarczająco blisko, aby jej piersi ocierały się o jego ramię.

— Nie — odparł — ani Z-Zmiennolicych, ani magii.

— Ach — zamruczała, przysuwając się bliżej — wiesz, po co stworzył mnie mój ojciec? Mroczny Wiatr ci powiedział?

— T-tak.

— Dobrze — stwierdziła i pocałowała go.

Szarpnął się, zaskoczony i przerażony, że zaraz odskoczy i ucieknie od niego; nie miała takiego zamiaru i dała mu to do zrozumienia każdym ciałem swego ciała. Przywarła do niego, czując, jak każdy nerw ożywa i drży. Skif zaczął powoli odpowiadać na jej bezgłośnie wezwanie i dał się poprowadzić za skały.

Pożądanie rozplómiętało ją, podobnie jak jego i po raz pierwszy w życiu czuła potok emocji drugiej osoby stopiony w jedno z jej uczuciami. Tak ją to oszołomiło, że nieomal zapomniała o własnym pożądaniu: zatopiła się w nim, pociągnęła za sobą, zauroczona nowym darem który pojawił się znikąd. Czuć jego przyjemność, jego żądze. . . To przewyższało wszystkie uprzednie doznania.

„Czy jestem empatką? Nigdy o tym nie marzyłam. . . Musiał mnie powstrzymać strach. I nienawiść”. Jednak teraz nie miało to żadnego znaczenia, liczyło się jedynie uwolnienie Skifa z ubrania. Choćby tylko po części.

Cofnął się, kiedy szarpnęła jego koszulę. Dlaczego? Przecież czuła, jak bardzo jej pożąda.

— Skały! — zdołał wyszeptać. — Poranisz sobie. . . Szybko udowodniła mu, że nie jest to w ogóle istotne.

Przygryzła dłoń, aby nie krzyknąć na cały głos, kiedy połączyły się ich ciała i umysły. Mornelithe znał jej ciało jak nikt inny, ale z nim przyjemność mieszała się z nienawiścią do samej siebie, do niego, z gniewem.

Leżeli złączeni, oddychając ciężko, spoceni i wyczerpani. Gładził jej włosy i szeptał rzeczy, które słyszała tylko w połowie: jaka była zadziwiająca, piękna, ucieleśnione marzenie. Rzeczy, w które nie wierzy się, kiedy ktoś je mówi przedtem — ale potem? Delikatnie sprawdziła jego uczucia: mówił prawdę. To było coś więcej niż tylko fascynacja; uważał ją za dzielną, gdyż przeciwstawiła się ojcu, za godną podziwu, bo im pomagała. I za najpiękniejszą, najwspanialszą, wymarzoną. Nie pogardzał nią za sposób, w jaki wykorzystywała swoje ciało, ani nawet za to — wstrzymała oddech — że sypiała z własnym ojcem. Sądził jednak, że zmuszono ją do uwiedzenia go. Nie mógł zrozumieć sił, które ją stworzyły. Nie pojmował, że poszłaby na wezwanie swego ojca, pożądając go tak, jak każdego. . .

Postanowiła o tym nie myśleć. Mogła go przecież stracić za kilka dni i nigdy więcej nie zobaczyć. Jeśli uwolniliby Jutrzenkę, wykorzystaliby wdzięczność Tayledras, aby oddalić się od ojca na jak największą odległość. A jeśli nie uwolniliby jej. . .

Nie. Nie teraz. Teraz ma inne zajęcia. Przytuliła się do Skifa, który objął ją

myśląc, że szuka wygody. A ona miała dla niego tak wspinałą niespodziankę...

Rozmowa z Elspeth zaskakiwała Mroczny Wiatr coraz bardziej. Kiedy Nyara i Skif wrócili, pachnąc potem i seksem, wiedział już, że księżniczka jest znacznie bardziej skomplikowaną osobowością, niż mu się wydawało.

Miała wady: zbyt cięty język, nawyk mówienia prawdy prosto w oczy, bez owijania w bawełnę i często boleśnie; niewątpliwie przysporzyło jej to wrogów. Była popędliwa. Była pamiętliwa...

„Pamiętliwa? Dobrzy bogowie, ona pamięta najdrobniejsze zniewagi długo po tym, jak wszyscy inni o nich zapomnieli!”

Niewątpliwie ścigałaby wroga do końca jego dni, a potem zrobiłaby sobie parkiet z jego grobu i od czasu do czasu wracała, aby odtańczyć gigę — ot tak, dla przyjemności. Wtrącała się w kłótnie, których nie rozumiała, i wyciągała pochopne wnioski; nie miała cierpliwości do głupców i ludzi powodujących się emocjami, a nie logiką. Nie zadawała sobie trudu, aby ukryć niecierpliwość czy pogardę — to też nie zjednywało jej przyjaciół.

Ale była też lojalna, wierna i zależało jej na ludziach; jej inteligencja nieomal zwalała z nóg i nie bała się jej używać. Próbowwała ze wszystkich sił brać pod uwagę innych. Zatrważało go jej poczucie obowiązku, bo miała je równie wielkie, jak on. Podobnie jak poczucie sprawiedliwości.

W porównaniu z nią Jutrzenka była samą prostotą. Cóż, dzieci królów nie wyrastają w nieskomplikowanym świecie: zastanawiają się, czy przyjaciel to naprawdę przyjaciel, czy też czegoś chce; czy uśmiech jest prawdziwy. Wyrastają potem na gorzkich królów bez przyjaciół. Całe szczęście, że mieli swoich heroldów. Całe szczęście, że monarcha był heroldem — miał wokół siebie garstkę zaufanych ludzi.

Nie do końca rozumiał, czym oni naprawdę byli, lecz rozumiał, po co byli. Przypominali Kal'enedral: podobnie jak oni wybrani przez bogów, bo jeśli Towarzyszy nie zsyłali bogowie, zje swój kołczan i łuk na dokładkę. Prowadzono ich, ale delikatnie: mieli spory margines wolnej woli i mogli się czasami pomylić. Bezpośrednia próba narzucenia Elspeth wyższej woli była wyjątkiem i zakończyła się całkowitą porażką. Gwena musiała dać za wygraną.

Było jeszcze inne podobieństwo — każdy herold miał Towarzysza, tak jak każdy Kal'enedral miał swego leshya'e Kal'enedral, nauczyciela i przewodnika. Jednak heroldowie nie zdawali sobie z tego sprawy, a on nie miał zamiaru ich oświecać. „Niemądrze jest mieszać się do wyroków boskich. Nie uciekniesz przed nimi”. Przypomniało mu się przysłowie Shin'a'in, odpowiadające sytuacji Elspeth: „Plany zawsze się zmieniają”.

Podjął decyzję: kiedy to wszystko się uspokoi, zacznie ją uczyć. Najpierw odszuka w innym klanie adepta, który się nią zajmie, a kiedy przypomni sobie

to, co kiedyś umiał, przejmie pałeczkę. Miał wrażenie, iż Elspeth uszanowała jego decyzję, i zrozumie, że będzie chciał zacząć wszystko od nowa. A poza tym, uczniowie często odkrywali nowe sposoby na rozwiązanie nierozwiązywalnych, zdawałoby się, problemów. Może razem coś odkryją. . . Na razie musieli zająć się uratowaniem Jutrzenki.

— Podjęliśmy decyzję — powiedział Skifowi i Nyarze, którzy usiedli bardzo blisko siebie. — Mamy pewien plan, który może się powieść.

— Będzie nam trzeba pewnego zgrania — dodała Elspeth — i pomocy. Skif, czy Cymry może nas słuchać? Już wezwałam Gwenę.

— Cymry? — zdziwił się. — A, tak, jasne.

— Nie muszą tu być, żeby słyszeć rozmowę — wyjaśniła Mrocznemu Wiatrowi. — Więź między heroldem i Towarzyszem jest silniejsza od więzi życia. Pod wieloma względami. Towarzysz zawsze cię usłyszy i jeśli chcesz, może przysłuchiwać się rozmowom. Może zaczniesz? To był twój pomysł.

— A co ze mną? — spytała cichutko Nyara. - Czy ja. . .

— Będziesz w Dolinie przed południem — powiedział jej Mroczny Wiatr. — Powiem Lodowemu Cieniowi o twojej przeszłości i oddam pod jego skrzydła. Pewnie umieści cię w warsztatach razem z moim ojcem. Jeśli twój ojciec potrafi przełamać osłony Doliny i warsztatów, nie zdołamy go pokonać. Chcę, żebyś odpowiedziała na wszystkie pytania dotyczące uwięzienia mojego ojca, niezależnie od tego, jak bolesne będzie to dla ciebie.

— Dlaczego?

— Bo to pomoże przełamać bariery, jakie Zmora Sokołów stworzył w umyśle mego ojca. Jesteś mu to winna.

Skif poruszył się, jakby chciał się rzucić na niego, ale rozważnie pozostał na swoim miejscu.

— Zwołam nie ludzi, z którymi pracowała Jutrzenka — ciągnął — posłużą nam za zasłonę dymną. Zgromadzą się wokół was, heroldów, na neutralnym terenie na zachód stąd; będzie wyglądało, jakby przyciągnął je miecz.

— To magia, Skif, on wie, że Potrzeba jest magiczna — wyjaśniła Elspeth. — Tego jesteśmy pewni. Dlatego byliśmy ścigani przez te stwory na Równinie. Chce ją dostać, ale nie wie, że nie może jej użyć.

Myślę, że mógłby spróbować — powiedział sucho miecz. — *Ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że prędzej mnie zniszczy, niż użyje.*

— Podejrzewam, że wziął ją za pozostałość z czasów Wojen, coś, co kontrolowało nie ludzi — Mroczny Wiatr potarł grzbiet nosa — i mówię wam, on stanie na głowie, żeby ją zdobyć. I nie zleci zadania nikomu innemu.

— Czyli stawi się osobiście — podsumował Skif, najwyraźniej niezbyt tym ucieszony. — Co więc mamy uczynić?

— Musicie stanąć w samym środku Doliny — Mroczny Wiatr żałował, że nie widział twarzy herolda. — Na neutralnym terenie zostaną stworzone iluzje. Nie

rzucamy często tego zaklęcia, bo zawodzi, kiedy ktoś odejdzie z wyznaczonego miejsca dalej niż pięć kroków. To był pomysł Potrzeby i ona się nim zajmie.

Dzięki za zaufanie, ale oklaski zachowaj na później. A poza tym rzuci je Elspeth, ja jej tylko pokażę, jak ma to zrobić.

— Ja zostanę poza Doliną i spróbuję uwolnić Jutrzenkę. Jeśli będę miał czas, umieszczę innego ptaka i zastosuję iluzję. Zmora Sokołów pomyśli, że osobowość Jutrzenki zniknęła. Mam w każdym razie taką nadzieję. Myśl o tym, że będzie musiał użyć niewinnego ptaka, nie dawała mu spokoju, ale przy odrobinie szczęścia uda mu się z jakąś paskudą Mornelithe'a. — A jeśli nie będę miał czasu, po prostu uwolnię ją i spróbujemy uciec. Nie powinien wrócić zbyt szybko.

Skif gwizdnął przeciągle.

— Będziesz musiał się nieźle zwijać — zauważył. — I podejmujesz nieliczne ryzyko.

— Nie zrobiłbym tego bez was. Nie mogę przecież prosić, żeby ktoś z was je podejmował, prawda? Ale bez was na pewno mi się nie powiedzie.

— A potem? — spytała Elspeth. — Kiedy ją już uwolnisz? Ciągle będzie w ciele sokoła. Nie mówięś, co zamierzasz zrobić.

Nie odpowiedział, bo sam nie wiedział, co ma uczynić, i wzdragał się przed roztrząsaniem tego problemu. Nie chciał patrzeć, jak Jutrzenka walczy o samą siebie i przegrywa.

Ciszę przerwał miecz.

Będziemy się martwić, kiedy ją uwolnisz. Znam się na zaklęciach transformujących, może przerzucę ją w coś z odpowiednio dużym mózgiem, żeby mogła pozostać sobą. Albo w miecz.

— Z deszczu pod rynnę — skomentowała Nyara, jakby odczytując myśli Mrocznego Wiatru.

Przynajmniej zostanie sobą! — parsknął miecz. — *Znam gorsze rzeczy niż niełamlivość.*

— Wystarczy! — przerwał im Mroczny Wiatr. — Mamy przed sobą dużo...

— I niewiele czasu — dokończyła Elspeth. — Prześpijmy się z tym, proponuję.

Wrócili do jaskini i powiedzieli gryfom, co postanowili. Treyvan nie zapytał o młode, ale Mroczny Wiatr wiedział, że bardzo się nimi martwi. Gryf wyglądał na wyczerpanego, zapewne odpieraniem ataku Zmory Sokołów, więc nie rozmawiali zbyt długo. Nyara, Skif i Elspeth zajęli wspólne pomieszczenie, a Mroczny Wiatr położył się w progu, tak na wszelki wypadek. Nie mógł zasnąć i wpatrywał się w ciemność, gdzie niewyraźnie majaczyły sylwetki śpiących gryfów, oświetlane księżycem. W głowie kołatało mu jedno pytanie: „Co mam zrobić, kiedy ją uwolnię?”

Nigdy już nie będzie tą dziewczyną, z którą wymieniał pióra: w najgorszym wypadku rozmyje się w osobowości jastrzębia. Jeśli dusza ptaka została zabita

w ciele Jutrzenki, koniec nastąpi później. Niezależnie od tego, czy Potrzebie uda się zakłęcie transformujące, nie spotka już Jutrzenki takiej, jaką ją znał. Już nigdy jej nie dotknie. . . „Na bogów, co mam zrobić, kiedy ją uwolnię?”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

O świcie obudził go ostrzegawczy krzyk myszołowa, a potem usłyszał jastrzębia. Zerwał się na nogi, nie otwierając oczu, położył dłoń na rękojeści noża i usiłował sobie rozpaczliwie przypomnieć, gdzie jest i dlaczego nie nocuje w swoim ekele. „Jaskinia Treyvana”, doszło do niego, zanim myszołów znów krzyknął; znalazł jakoś drzwi. „To Vree, ale ten jastrząb. . . ?”

Wyjść! — myślmowa ptaka prześwidrowała mu mózg. — *Wyjść już! Szybko! Pomocy!*

Nie „pomóż mi”, tylko „potrzebuję twojej pomocy”. Mroczny Wiatr potknął się o Treyvana i obudził go.

— Grrruh? — zdziwił się gryf — Czego?

Nad ruinami unosiły się dwa ptaki, jeden z nich trzepotał skrzydłami jak stara wrona, drugim był Vree, zataczający kręgi wokół pierwszego. Czerwonoskrzydłego jastrzębia. To była. . . „Jutrzenka!”

Pomóż mi — usłyszał. — *Pomóż.*

„Nie wie, jak wylądować”, uświadomił sobie. Treyvan odbił się i wystartował w jej stronę, chwytając ptaka w szpony; wylądował łagodnie, zanim Mroczny Wiatr zdążył doliczyć do trzech.

Jutrzenka była całkowicie wyczerpana. Gdy wziął ją w ramiona, czuł, że drży; odchyliła głowę i oddychała ciężko. Ktoś pomógł mu ją podtrzymać — kobieca, silna dłoń. Obok stała Elspeth, tylko w koszuli, ale za to z obnażonym mieczem w ręce. Kiedy tylko położyła na niej palce, ptak zaczął odżywać.

Podniosła głowę i rozpoznała go.

Mroczny Wiatr? To ty, czy jakaś uluda, żeby mnie dręczyć? Jestem wolna? W domu?

— Jesteś wolna, ke'chara — odpowiedział z trudnością, bo gniew i żal ścisnęły mu gardło. Wiedzieć, że uwięziono ją w ptaku, to jedno; widzieć ją, wyczuwać jej cierpienie, to zupełnie inna sprawa.

Zobaczyłam Vree albo on zobaczył mnie, nie pamiętam — powiedziała, odwracając głowę, jakby nie chciała go widzieć oczami ptaka. — *Przywiódł mnie*

tutaj, ale byłam taka zmęczona. . .

— Miecz lepiej sobie radzi w bezpośrednim kontakcie — szepnęła Elspeth.
— Jeśli położysz ją na moim posłaniu i umieszczę Potrzebę obok. . .

Zrobili to. Jutrzenka szybko odzyskiwała siły, poprosiła o wodę i jedzenie. Mroczny Wiatr karmił ją jak pisklaka kawałkami królika, którego upolował Vree. Jadła łapczywie i jasne się stało, że Zmora Sokołów ją głodził.

Zachowywał pozory spokoju, ale szalała w nim burza sprzecznych uczuć: jak jej powiedzieć, że jej ciało umarło? Że nadal znajdowała się w pułapce? W jej umyśle nie znalazł śladu Kyrr, więc przypuszczenie, że ptak zginął razem z jej ludzką powłoką, było słuszne. Mieli trochę więcej czasu, ale czasu na co? Na patrzywanie, jak powoli odchodzi?

Radość z jej powrotu, wściekłość na tego, kto ją doprowadził do tego stanu, wina — to wszystko odebrało mu głos. Karmił ją w ciszy, zastanawiając się, co powiedzieć najpierw.

— Jut. . . — zaczął.

Mroczny Wietrze, jesteś w niebezpieczeństwie — przerwała. — *Wszyscy jesteście w straszliwym niebezpieczeństwie!* Powiedziała im szybko, czego się dowiedziała, kładąc szczególny nacisk na plany Zmory Sokołów.

„Układy? Bogowie przenajświętsi!” Zapomniał o innych problemach; jakby Zmora Sokołów sam im nie starczał! Sprzymierzeńcy dysponowaliby i magią, i armią: już jedno albo drugie rozniosłoby k’Sheyna w pył, a wykorzystanie przeciw nim obu sił naraz — bo Ancar niewątpliwie mógł to uczynić — stawiało ich z góry na przegranej pozycji. „Jeśli się Zmora Sokołów sprzymierzy z Ancarem, nic go nie powstrzyma. . .”

Heroldowie i Towarzysze wypytywali Jutrzenkę o szczegóły, a on usiłował znaleźć wyjście z sytuacji. Ich reakcja nie zaskoczyła go. Nie miał wątpliwości, że właśnie ten Ancar, o którym mówiła Jutrzenka, starał się ze wszystkich sił położyć łapę na ich kraju. Co prawda, miał długą drogę do przebycia, ale układ z tak potężnym magiem jak Mornelithe był wart wszelkich nakładów. Król Hardornu potrzebował magów, ale najprawdopodobniej nie zwerbował jeszcze żadnego adepta. Poza tym, Elspeth i Skif przebyli równie długą drogę w dokładnie tym samym celu.

Spotka się z nim za trzy dni — powiedziała Jutrzenka. Mroczny Wiatr ocknął się i badawczo przyjrzał się pozostałym. Siedem par oczu wpatrywało się w wyczerpanego jastrzębia, a Nyara wyglądała na najbardziej zdenerwowaną ze wszystkich.

— Ancar nie przejedzie takiego szmatu drogi, żeby odejść z kwitkiem — Elspeth nie miała złudzeń. — Rozpaczliwie potrzebuje tego układu, inaczej nie wystawiłby nosa poza kraj. Niezależnie od tego, co mu Hulda wbijała do głowy, nie zostawiłby jej zwierzchności nad królestwem. Bogowie, potęga Zmory Sokołów i armie Ancara. . . ! Nie mielibyśmy szans. Trzeba temu zapobiec.

— Mamy możliwość dopaść obu naszych wrogów. — Mroczny Wiatr zacisnął pięści. I nie tylko możemy zapobiec układowi, możemy ich wykończyć. Porozmawiam ze Starszymi.

Kiedy zaczął się podnosić, Skif chwycił go za ramię.

— Lepiej uwzględnij Elspeth w swoich planach — szepnął — bo pokaże, na co ją stać.

„Kobieta, która nigdy nie zapomina. . .” Podziękował Skifowi skinieniem głowy; gryfy też miały swoje powody żeby pragnąć zemsty i wątpliwe, czy powstrzymałyby Elspeth.

Spokój, bando! — ryknęła nagle Potrzeba. — *Nie wiemy dlaczego nagle przestaliście myśleć i latacie jak z pieprzem, ale ja się przestałam na takie numery nabierać jakiś tysiąc lat temu i nie dam się zapędzić w pułapkę. Chociaż nadal twierdzę, że nie byłby mnie w stanie użyć, nie mam ochoty konfrontować teorii z praktyką. Chyba nie macie mi tego za złe?*

Gapili się na siebie z otwartymi ustami.

— Co? — powiedział w końcu Mroczny Wiatr.

Przeliteruję ci, chcesz? Jutrzence pozwolono uciec, żeby mogła wam naopowiadać tych bzdur. A wy od razu rzucilibyście się wprost w miłośnie wyciągnięte ramiona Zmory Sokołów.

Nyara zrozumiała pierwsza.

— O, nie — jęknęła. — Nie, nie, nie. To za bardzo przypomina moją własną ucieczkę. Miecz ma rację!

Elspeth wysunęła podbródek i złe błyski zamigotały jej w oczach, ale po chwili machnęła ręką.

— Dobrzy bogowie, chcę w to wierzyć, bo miałabym taką cudowną możliwość dostania drania w swoje ręce, teraz, kiedy nie ma armii za plecami. Ale macie rację, takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Kiedy wyjeżdżaliśmy, wiadom donosił, że Ancar siedzi w swoim zamku, a musiałby ruszyć przed nami, biorąc poprawkę na szybkość Towarzyszy. Chyba że zmieniałyby konie, jednak poza swoim krajem raczej nie mógł mieć ich tak dobrze rozstawionych, prawda? A poza tym musiałby podróżować dłuższą drogą niż my. Niby jak miałyby się tu znaleźć równo z nami?

— I dlaczego pozwolił Jutrzence to wszszyszssstko ussłyszszszść? — dodał Treyvan. — I dlaczego powierzył ją komuśśś tak nieodpowiedzialnemu? Chciał, żeby uciekła, i powtórzyła nam, co wie.

— A potem co mielibyśmy zrobić? — zastanawiała się głośno Elpeth. — On niczego nie planuje z jednego powodu. Chce nie tylko, byśmy starali się nie dopuścić do spotkania, do którego w rzeczywistości nie dojdzie, ale też, żebyśmy się przemieścili. Dlaczego? Co jest takiego specjalnego w tym neutralnym terenie? Łatwiej tam zastawić pułapkę?

— Nie mam pojęcia — przyznał Mroczny Wiatr, marszcząc brwi.

Nie może was schwytac tak jak dyheli, prawda? — spytała Jutrzenka, która też zaczęła myśleć, że jej ucieczka była za prosta. — *Wspominał o tym przy mnie.*

— Czyli chodzi mu o to, żebyśmy się na tym skoncentrowali — stwierdził Skif. — Wiemy, że chce dostać miecz w swoje łapy. I Elspeth, jeśli dobrze pamiętam, co mówił Quenten.

— O, tak — Nyara pokiwała głową — tak. Mag, któremu brak wykszolenia? Doskonała zabawka. Gdybyś wpadła mu w ręce, pani, byłby nad wyraz zadowolony.

— Dobrze, ale czy pragnie czegoś jeszcze? Czegoś, co zostawilibyśmy bez opieki? Czego nie dogładałby nawet cały klan, gdyby zgodził się nam pomóc? — ciągnął Skif.

— Dolina? — zaryzykowała Elspeth. — Ojciec Mrocznego Wiatru?

— Nie ma mowy — stanowczo powiedział Mroczny Wiatr. — Nie złamię statycznej osłony. A nawet jeśli, nie złamałby pozostałych. Wrócilibyśmy i dorwali go.

— Kamień-ssserrrce? — spróbował Treyvan i zaraz sam sobie odpowiedział: — Nie, z nim tak sssamo, jak z Doliną.

Dalsze spekulacje przerwały gniewne okrzyki głodnych gryfiątek. Wszystkie oczy zwróciły się w ich stronę.

— Nie! — szepnął Treyvan.

— Tak! — krzyknęła Nyara. — Tak! Tego chce! Tak, jak miecza, maga, Gwiazdowego Ostrza i jego syna! Zemsty i duszy gryfiątek!

— A ja... — oczy Treyvana rozszerzyły się — prrrawie sssam mu to dałem... znów.

Mroczny Wiatr nie poświęcił wiele czasu na stworzenie modelu terenu wokół jaskini, używając kamieni, gałęzi i piasku. Elspeth otrząsnęła się ze wspomnień długich nocy spędzanych z Kero nad makietami i zaczęła uważnie przysłuchiwać się Mrocznemu Wiatrowi. Ciekawe, jak jej się udało pomylić przemęczenie z arogancją? „Nie myślałyśmy ostatnio, co? I zmysł obserwacji nam szwankował. Gdy to się skończy, mogłabym wziąć kilka dni wolnego i po prostu pomyśleć. O wielu rzeczach”.

— Ty będziesz tu — powiedział Mroczny Wiatr do Skifa, umieszczając kamyczek po lewej stronie jaskini.

— I jeśli nie będę mógł strzelić albo rzucić nożem, będę się przemieszczał.

— O to właśnie chodzi. Masz się ruszać jak najwięcej. Dobrze, tutaj zostawimy gryfiątka, miecz i Jutrzenkę, tuż przed jaskinią. — Umieścił gałązki, ziarenka i liść wierzby w odpowiednim miejscu. — Jesteś pewna, że nie chcesz używać ostrza?

— To była decyzja Potrzeby — Elspeth wzruszyła ramionami. — Musimy ich jakoś chronić, a dwoje z tej trójki to kobiety.

Do licha, młodym gryfem też się zaopiekuję! Za kogo ty mnie masz, za morderczynię dzieci? Gnojek zmieniłby go tak, jak Nyarę, gdyby położył na nim swoje pazury!

— Przypominani, pani, że ty dla niego też stanowisz wysoce pożądany łup — odpowiedział jej Mroczny Wiatr.

To zrób wszystko, żeby mnie nie dostał.

— Żadnej pomocy z Doliny? — Hydona przechyliła głowę nad ramieniem Skifa.

— Nie. Boją się całkiem słusznie, że może nastąpić podwójny atak: tutaj tylko zasadzka, a naprawdę uderzą na Dolinę. To, co się stało mojemu ojcu sprawiło, iż stracili zaufanie do osłony. Wezwali wszystkich zwiadowców i sposobią się do obrony.

— Pierrrrwszszsza mądrrrra decyzja od wieków — zrzędził Treyvan — chociaż musimy sssami sssobie rrradzić. Jesssteśśśmy tu i tu? Gryf postukał szponem w piasek obok dwóch piór naprzeciw początkowej pozycji Skifa, za ścianą jaskini.

— Właśnie — przytaknął zwiadowca. — A tutaj Elspeth i ja — i rzucił dwa kryształy naprzeciw pozycji gryfów, bliżej jaskini niż kamyk Skifa. — Teraz Towarzysze, które będą strzegły naszych pleców — umieścił na makiecie dwie storkrotki. — Spróbujemy przygwoździć go magią, wówczas nie będzie się spodziewał normalnego ataku. Skif, wtedy ty wchodzisz. Jesteś punktem kluczowym. Kiedy dojrzysz szansę, wykorzystaj ją — ten facet nie jest nieśmiertelny, załatwi go strzała albo dobrze rzucony nóż. Jesteś naszym asem ukrytym w rękawie.

— A ja? — spytała pokornie Nyara. — Nie masz dla mnie żadnego zadania?

Elspeth ugryzła się w język, zanim powiedziała, co tak naprawdę myśli: że nie mogą zaufać Zmiennolicej na tyle, żeby włączyć ją do akcji. A ani gryfy, ani Mroczny Wiatr nie mieli do niej dość zaufania, żeby pozwolić jej zostać z gryfiatkami. Gdyby jej ojciec odzyskał nad nią kontrolę...

— Zmora Sokołów nie ma pojęcia, że nadal tu jesteś — powiedział w końcu Mroczny Wiatr — i lepiej, żeby się nie dowiedział.

— Przyłącz się do mnie, nie zostaję na widoku — zaproponował Skif.

Czy to rozsądne? — zapytał Mroczny Wiatr Elspeth. Potrząsnęła delikatnie głową.

Jest wyszkolonym zabójcą — odparła, marząc o miejscu, w którym mogliby umieścić Nyarę na czas konfrontacji. — *Cymry będzie pilnować jego pleców, więc ona nie ma szans na niespodziewany atak. Mam tylko nadzieję, że nie zostanie zmuszony do tego, żeby kazać Cymry ją zabić.*

Albo zrobić to własnorecznie. — Jeśli chciał coś dodać, nie zdążył, bo właśnie wtedy z góry rozwrzeszczał się Vree.

Idzie! Idzie!

Rzucili się na swoje miejsca.

Zmora Sokołów przemierzał lasy uznawane przez Sokolich Braci za własne tak łatwo, że wpadliby w furję, gdyby go zobaczyli. Zauważył wzmocnioną ochronę Doliny z mieszaniną złości i pogardy; nie wątpił, że wszyscy adepci czekają na najmniejszą oznakę zagrożenia. Jakiegokolwiek plany uzyskania ponownie wpływu na Gwiazdne Ostrze należało na jakiś czas zawiesić na kołku.

Zatrzymał się i poszukał słabego punktu: nie znalazł. Ponieważ nikt go nie widział, mógł sobie pozwolić na wściekłe parsknięcie. Cała praca, cierpliwość, planowanie, energia włożona w przeistoczenie Gwiazdnego Ostrza w marionetkę, stworzenie hybrydy, która go kontrolowała — wszystko na marne!

Żałował, że nie widział oczami hybrydy, ale ochrona Doliny uniemożliwiała takie sztuczki. Nie wiedział, co się naprawdę wydarzyło, kiedy stracił kontakt z ptakiem. Gwiazdne Ostrze znajdował się wtedy przy kamieniu-sercu, to wszystko. Pewnie odprawiał swoje codzienne rytuały. A potem, nagle, kruk wpadł w panikę... I chwilę później poczuł rykoszet mocy, kiedy go zniszczono. Nie miał pojęcia, kto i dlaczego to zrobił.

Wpadł we wściekłość i zabił jednego ze służących, tego paskudnego sekretarza, Daelona, który miał nieszczęście nawinąć się pod rękę. Niewielka strata; mag był z niego żaden, a sekretarz też nie lepszy. Natychmiast wzmocnił zakłęcie, tak aby nikt nie osłonił Gwiazdnego Ostrza. Może głupie ptaszyczo po prostu wleciało na coś i rozwaliło sobie łeb, albo przestraszyło oswojonego żar-ptaka. Cokolwiek mogło zabić hybrydę.

Jego zakłęcie uderzyło o nowe osłony i nie miał już złudzeń — ptaka zabito rozmyślnie. Odkryto jego plany. Późniejsze próby też się nie powiodły: Gwiazdne Ostrze osłaniały ochrony nie do przejścia i nie mógł już zabawiać się kamieniem-sercem.

Zbliżył się w pole rażenia Doliny. — Gdyby zawarł układ z Ancarem, miałby armię do dyspozycji, i wtedy byłoby to prawdziwe „pole rażenia”. — Klął swoją bezsilność, patrząc na lśniącą osłonę. Ktoś z k'Sheyna dowiedział się o tym, że mógł kontrolować Gwiazdne Ostrze i w jaki sposób to robił; pewnie któraś z byłych kochanek adepta. Popęłił błąd, zmuszając go do prowadzenia życia pustelnika, bał się jednak, by ludzie nie odkryli, że ktoś narzuca magowi swoją wolę. „Powinienem pozwolić mu zatrzymać kochanki; powinienem był mu pozwolić wykorzystać to, czego się ode mnie nauczył. Nikt nie zadawałby pytań: nic ich tak dobrze nie powstrzymuje, jak porządny seks”.

Było już za późno: stracił i Gwiazdne Ostrze, i Dolinę. Ptasznicy zdwoili czujność i nie potrafił znaleźć sposobu, aby obejść ich zabezpieczenia.

Jeśli miał szczęście, obcy i syn Gwiazdnego Ostrza szli prosto w zastawioną pułapkę. W dolince zostawił swoich służących odzianych w barwy Ancara z Har-

dornu, a ich dowódca mógłby być bliźniakiem monarchy. Żadnej iluzji, czyste, naturalne podobieństwo. No, może nie do końca naturalne — Zmora Sokołów użył tych samych zaklęć, jakimi ukształtował swoje ciało i zmienił twarz. Śladowa dawka magii, ale tego obcy oczekują. W końcu Ancar jest magiem.

A kiedy tam dotrą, reszta jego armii zajdzie ich od tyłu.

„Nie mogę mieć Gwiezdnego Ostrza, będę miał jego syna. Nie mogę zemścić się na Dolinie, zemścę się na nim”.

No i jest jeszcze ten drugi, dający równie dużo możliwości. Niewątpliwie interesująca rozrywka. I dziewczyna. Ach, dziewczyna. . . Miała duże możliwości i niekiedy zdradzała zaskakującą naiwność. Tak, widział w niej wiele słabych punktów do wykorzystania. . . Już dawno nie łamał żadnej adeptki. Nie będzie się spieszył; nie popełni błędów. A przyjemność będzie o tyle dłuższa. . .

Przemykał się między drzewami niczym ryś, do którego się upodabniał: równie szybki, zwinny, niebezpieczny. . . Zwiadowcy nigdy go nie złapali, a ich bystre ptaki nie znalazły najmniejszego śladu. Chodził po tych lasach, odkąd k'Sheyna się w nich osiedlili, i nigdy nikt nie odkrył jego obecności.

„Moi wojownicy złapią syna Gwiezdnego Ostrza i obcych, a potem wezmą się za gryfy i albo je uwiężą, albo zabiją. Mam nadzieję, że uwiężą. Chcę je zabić własnymi rękami”.

Kiedy myślał o gryfach, wzbierała w nim nienawiść. Spośród wszystkich wspomnień z poprzednich żywotów to jedno wracało zawsze z taką samą wyrazistością. Gryfy. To one udaremniły mu przejście władzy w Wojnach Magów, zniszczyły jego moc, zrujnowały plany, obróciły w perzynę królestwo. . . Gryfy. Podłe bestie, po prostu hybrydy. Jak śmiać uważać się za równe ludziom, niezależne i dumne z wolności? Jak śmiać używać magii, jakby miały do niej prawo? Jak one w ogóle śmiać się rozmnażać? Są tylko zwierzętami, a on przywróci im ich właściwe miejsce: zwykłego bydła. To będzie jego najśłodsza zemsta, bowiem odwróci każdą najdrobniejszą nawet zmianę, jakiej dokonano w tych zwierzętach. I dostanie wreszcie swego najdawniejszego wroga. . . I będzie wspominał Skandarona, Czarnego Gryfa, z czystą, nie skażoną niczym przyjemnością.

„Dostanę rodziców”, myślał, przemyskając się bezszelestnie, „a przede wszystkim dostanę młode. Nie tylko będę kontrolował węzeł, ale sprawię, że cała rasa wyginie. Zatruję je tak, aby zniszczyły umysł każdego gryfa, którego napotkają, i wszystkie zmienią się w padlino-żerne stado. Moje stado, którego będę używał, jak zechcę i kiedy zechcę. Co to będzie za przyjemność. . .”

Wszedł w ruiny ciągle pod osłoną drzew. Grotę kryły cienie poranka. Nigdy nie podchodził bliżej, z wyjątkiem tej jednej chwili, kiedy dostał młode w pazury.

„Nie mogli zostawić dzieci samych, bez jakiegokolwiek ochrony. Mogą mieć osłony albo jakiegoś psa łańcuchowego”. Zatrzymał się na chwilę, wtapiając się w tło: nosił strój podobny do tego, w jakim chodzili zwiadowcy, i jeśli kiedykolwiek ktoś go dostrzegł, na pewno wziął go za jednego z ptaszników Szybkie

spojrzenie w górę upewniło go, że miał rację — nad jaskinią kołowały dwa punkciki. Czekały. Tylko tyle.

Rozejrzał się, czy nie pozostawiono czegoś jeszcze. Owszem, osłona jarzyła się tęczowo, ale pod nią coś lśniło mocniej. „Ha, wiedziałem, że nie poprzestaną na osłonie...” Zatrzymał się; spojrzął, spojrzął znowu i nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Zostawili artefakt na straży młodych! Niewątpliwie był to doskonały pomysł, lecz obudził jego czujność. „Wiek, moc, kobieca moc, ale mogę ją pokonać i użyć do własnych celów. Muszę to mieć. Muszę! A oni to zostawili!”

Euforia opadła równie szybko, jak się pojawiła. Obcy mogli być takimi durniami, gryfy też, ale Mroczny Wiatr? Chłopaczek miał tupet i na pewno zabezpieczył się jeszcze jakoś.

Zmora Sokołów przyjrzał się ruinom w poszukiwaniu pułapek, starej magii, pasywnych zaklęć: Mógł tu przecież przebywać jakiś starożytny strażnik, któremu zlecono opiekę. Nic. Jednak nadal się rozglądał. Domyślał się, że już wiedzą, co zrobił gryfiątkom. A jeśli nie? Jeśli jednak nie mają pojęcia o znaku, jaki na nich złożył? Czyżby aż tak ich wszystkich przecenił? Czyżby naprawdę zajęli się tylko Jutrzenką i Gwiezdnym Ostrzem, zupełnie ignorując gryfiątka? A może przybycie obcych tak ich zdenerwowało?

„Nie, wtedy nie zostawiliby artefaktu. Ma chronić młode przede mną. Osłony ustawiono przeciw mnie w sposób tak oczywisty...” I kiedy postanowił zakończyć próżne poszukiwania, dostrzegł delikatną aurę energii magicznej, drżenie mocy. Starej mocy. Bardzo starej mocy. Nie wykazywała aktywności, ale sama jej obecność rozpałała jego ciekawość. Miał czas, a takie rzeczy należało spokojnie obejrzeć. Najprawdopodobniej był to jakiś porzucony relikwiarz albo starożytny talizman, zakopany w ziemi. Ale może jednak warto go zdobyć, ot, dla zaspokojenia ciekawości...

Kiedy się koncentrował, aby przyjrzeć się jeszcze bliżej temu przedmiotowi, jego pazury rwały korę na drzewie, pod którym stał. Jego dłoń zacisnęła się konwulsyjnie. „Brama!” Nie... Tak. Niemożliwe. Nie jakaś tam tymczasowa Brama, ale potężna, rzadka, absolutnie stała...

W czasach Wojen Magów niewielu adeptów było zdolnych do skonstruowania stałej Bramy; wymagało to nieskończonej cierpliwości oraz energii, jaką można było włożyć w broń i armię. Ci, którzy byli do tego zdolni, stworzyli całą sieć Bram, krzyżujących się wzajemnie i obejmujących całe królestwa. Jednym z nich był Urtho; dzięki temu Kaled'a'in przetrwali upadek jego królestwa — uciekli przez Bramę w sercu cytadeli. Może nawet przez tę tutaj... Zmora Sokołów nie zbudował podobnej w żadnym ze swych wcieleń. Rzecz jasna, wiedział o sieci, lecz w najśmielszych snach nie podejrzewał, że jakaś jej część nadal istniała.

Taka Brama nie mogła przetrwać Wojen, prawda? To było niemożliwe...

A jednak. Zmysły go nie zawodziły. To było możliwe. Brama przetrwała.

Chęć posiadania jej nieomal doprowadzała go do szaleństwa. Węzeł, gryfy,

artefakt i ona... Musiał ją mieć. Będzie ją miał. A potem przebada ją cal po calu, ustawi i użyje, aby spenetrować to, co pozostało z fortecy Urtha gdzieś w sercu Równiny. Nie będzie sobie zawracał głowy zabezpieczeniami tych przeklętych miłośników koni, znajdzie to, czego chce, i wróci do siebie. Będzie mógł się przemieścić wszędzie tam, gdzie istnieją inne stałe Bramy. Będzie mógł konstruować tymczasowe i łączyć je z tą tutaj. Dzięki temu nie będzie musiał używać swej energii; najmniej wygodną rzeczą w Bramach było to, że do ich skonstruowania mag musiał wykorzystać własną energię albo energię kogoś związanego z nim, dajmy na to, więzią życia. Ale o tym niewiele wiedziało... A jeszcze mniej ludzi zdawało sobie sprawę z tego, że równie silna jak więź życia jest więź między katem i ofiarą. Zbudowana na mieszaninie przyjemności i bólu, wykorzystująca najniższe instynkty; służący Zmory Sokołów pragnęli go bardziej niż wody i powietrza. To sprawiało, że mógł z nich czerpać, ile tylko chciał; mógł dzięki nim otworzyć tę Bramę.

Najpierw jednak musiał zdobyć ten teren, a to oznaczało zniewolenie gryfiątek, aby otworzyły mu dostęp do węzła. I nic nie stało mu na przeszkodzie... Puścił pień i wyszedł na słońce, nadal zachowując ostrożność — głupotą byłoby dać się teraz złapać. Istniało duże prawdopodobieństwo, że gdzieś w pobliżu czaił się któryś ze zwiadowców, a Zmora Sokołów nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z nim oko w oko.

Bez przeszkód zbliżał się do gniazda. W końcu wyprostował się i wyszedł na otwarty teren, zrobił jeden czy dwa kroki, zanim młode go dostrzegły. Popatrzyły na niego z ciekawością, przechylając głowy, jakby nigdy przedtem go nie widziały. Uśmiechnął się z satysfakcją. „Dobrze. Zakłęcie, które zaćmiewa im umysły, działa. Nie boją się mnie, więc nie wezwą pomocy... a potem będzie już za późno”.

— Cześć, maluchy — zamruczał. Kiedy podszedł do nich, coś przykuło jego uwagę i stanął zaniepokojony.

Kwiaty. Pióra. Kamienie leżące w szczególny sposób; usiłował sobie przypomnieć, gdzie już widział podobne rzeczy. „Ach, taki macie plan?”, zauważył rzuconą szyszkę. „Chyba jednak nie”. Stał nieruchomo i nasłuchiwał. Do jego uszu dotarł szelest skóry na kamieniu, dźwięk drewna pocieranego o drewno.

„Jednak nie, głupcze”.

Obrócił się z rozpostartymi rękoma i magicznym piorunem ugodził prosto w pierś odzianego w biel młodzieńca, zanim ten zwolnił strzałę z cięciwy. Drugie uderzenie nastąpiło zaraz po pierwszym, ale tym razem celował w konia; „konია” świeącego jak ci cholerni wędrowni szamani.

Mężczyzna wypuścił strzałę, która chybiła, i upadł nieprzytomny; koń runął jak podcięte drzewo.

Mornelithe uśmiechnął się. Kiedy rozpoznał ubranie obcego, użył tylko części swej mocy; chciał z nim przedyskutować parę rzeczy. Jednak nagle powietrze

rozdarł koci wrzask czystej wściekłości i rzuciła się na niego Nyara — Nyara? — z obnażonymi kłami i pazurami, gotowa rozedrzeć mu gardło. Miał czas tylko na czysto odruchową reakcję — uderzył ją z całej siły, wyrzucając w powietrze i posyłając łukiem w stronę gryfiątek. Przygniotła większego, który zapiszczał cienko. Lecz oto nadchodził kolejny atak. Uniósł ramiona, osłaniając się przed piorunami, które ugodziły go z dwóch stron jednocześnie.

— Co on robi? — zaszeptała Elspeth do ucha Mrocznemu Wiatrowi, kiedy adept zwany „Mornelithe Zmora Sokołów” stanął tuż przed zasadzką. Opowieści o nim nie były przesadzone. . .

Kiedy go zobaczyła, przerażyła się, mimo że widziała już Nyarę i te stwory nazywane „wypaczonymi”; nie wiedziała, dlaczego. Może sprawiło to tak ewidentne wyrzeczenie się człowieczeństwa, może zimny wzrok, a może po prostu to, co o nim wiedziała. Mroczny Wiatr powie dział jej — i tylko jej, bo obdarzył ją zaufaniem i uznał, że powinna to usłyszeć — o tym, co przeszedł Gwiazdne Ostrze. Udręczone oczy Nyary upewniły Elspeth, iż swej córce Zmora Sokołów nie oszczędził podobnych doznań. Jednak Ancar dopuszczał się takich samych, jeśli nie gorszych, rzeczy. . . i obaj mogli się przyśnić. Tyle że do Ancara nigdy nie podeszła tak blisko. . . „Gdybym go kiedyś zobaczyła, na pewno czułabym to samo”.

Zmorą Sokołów można było straszyć dzieci; zostało w nim niewiele z człowieka i nie zmienił się na lepsze. Gdyby ktoś wziął rysia, dał mu ludzkie ciało i półludzką twarz, a potem otoczył aurą potężnej mocy, nadał nie uzyskałby nawet w połowie tego, co wywarło takie wrażenie na Elspeth na widok Mornelithe’a. Był jednocześnie zatrważający i piękny.

Pojawił się bez ostrzeżenia kilka chwil po alarmie Vree. Nie widziała, jak się zbliżał — po prostu nagle tam był, pomiędzy skałami i patrzył na ziemię. — Na co on patrzy? — spytała. Mroczny Wiatr zmarszczył brwi. — Nie wiem. . . shaeka!

Nie zdążyła zadać kolejnego pytania, bo w momencie, kiedy zwiadowca się podniósł, Mornelithe obrócił się, padł na kolano i wyrzucił przed siebie ręce z rozcapierzonymi palcami; żołądek podjechał jej do gardła.

Mroczny Wiatr krzyknął, wyciągając dłoń w kierunku Skifa. Za późno. Uderzenie Zmory Sokołów trafiło Skifa prosto w pierś i rzuciło na ziemię, a chwilę potem drugie dosięgło Cymry.

— Nie! — krzyknęła Elspeth, ale zagłuszył ją wrzask czystej nienawiści. Nyara przesadziła ciało Skifa i rzuciła się na ojca z gołymi rękami; jej twarz zmieniła się w maskę bólu, strachu i nienawiści. Zmora Sokołów uderzył ją i posłał prosto na gryfiątka.

Nie mieli czasu na zastanawianie się, co stało się ze Skifem i Cymry; nie mieli czasu na myślenie. Zdławiła strach i gniew, które nakazywały jej albo biec do

przyjaciela, albo się kryć, i połączyła swe siły z siłami Mrocznego Wiatru, gdy ten ruszył do walki ze Zmiennolicym. Ciągnęła czystą energię z węzła, a zwiadowca wiedział, jak jej użyć. Mogła tylko patrzeć i uczyć się jak najszybciej, bo gdy on się zmęczy, zmieni go. Z drugiej strony Treyvan atakował ognistymi strzałami, a Hydona wspierała go tak, jak Elspeth Mroczny Wiatr.

Na mgnienie adept zupełnie zniknął im z oczu i poczuła przeblysł nadziei, ale pośród lśnienia mocy zamajaczył cień, potem coś więcej, a potem... Ogarnął ją ból. Wydawało jej się, że krzyknęła; na pewno odskoczyła do tyłu, zakrywając oczy, kiedy uderzenie Mrocznego Wiatru rykoszetem uderzyło prosto w nich. Kiedy odzyskała wzrok, zobaczyła nietkniętego Zmorę Sokołów w kręgu zrytej ziemi.

Cały impet przyjęli na siebie Mroczny Wiatr i Treyvan. Gryf zwiesił głowę i oddychał ciężko, Mroczny Wiatr klęczał tuż obok niej, niezdolny do wymówienia słowa i ciągle oślepiony. Zmora Sokołów zignorował obydwu i spojrzał prosto na nią; strach ścisnął jej gardło. Uśmiechnął się. Przesunęła się jeszcze dalej i sięgnęła po miecz... Nie miała go przy sobie.

— Cóż — powiedział rozradowany — ciągle chcesz walczyć? Cudownie będzie cię łamać, obca. — Zmrużył oczy i zamruczał kusząco: — Wezmę twój umysł i twoje ciało...

— Nie dzisiaj! — krzyknął ktoś głośno w czystym shin'a'in spomiędzy ruin za plecami Zmory Sokołów. Elspeth skupiła resztkę swej mocy na wypadek, gdyby tylko się przestęsziała.

Na skałach za adeptem zobaczyła ludzi; wychylali się spomiędzy ruin, mała armia. Wszyscy odziani w czerni niektórzy zawoalowani, z tym samym zimnym spojrzeniem w stalowoniebieskich oczach. I wszyscy mieli łuki, — z których celowali prosto w serce Zmory Sokołów.

— Ani dziś, ani żadnego innego dnia — wychrypiał Mroczny Wiatr, dźwigając się na nogi. Elspeth pomogła mu utrzymać równowagę; nie wyglądał na kogoś, kto tak buńczuczne słowa jest w stanie wprowadzić w czyn. Jednak te wszystkie wycelowane strzały oznaczały, że go w końcu dostali, prawda? Prawda?!

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, adept roześmiał się.

— Myślicie, że jestem tak słabym graczem — zapytał — że nie mam już żadnych atutów?

Nawet nie miała czasu, by się zastanowić, o co mu chodzi. Nagle prosto z nieba opadło wielkie, czarne stworzenie o skrzydłach nietoperza, które mogło za jednym zamachem połknąć Gwenę razem z Elspeth. Zbiło ją z nóg jednym uderzeniem i odrzuciło na skały; padając uderzyła się w głowę i zobaczyła wszystkie gwiazdy. Na mgnienie straciła przytomność; kiedy ją odzyskała, usłyszała śmiech Zmory Sokołów.

Drugi potwór złapał Hydona i przygwoździł ją do ziemi, gotów rozerwać jej gardło, gdyby się ruszyła. Gdy Elspeth rozejrzała się za tym, który ją powalił,

zobaczyła, że... dopadł on Gwene. Tuż obok niej leżał bez ruchu

Mroczny Wiatr, zaś Treyvan wpatrywał się w napastnika z nastroszonymi piórami, powstrzymując się od zaatakowania go. Jego napięte mięśnie drżały z wysiłku.

Gwena...

Nie! Nie ruszaj się, nie złość go! — Jej myślgłós nieomal zamarł, kiedy bestia wzmocniła chwyt; białą sierść splamiła krew. — *Nic nie rób. Proszę.*

— Sytuacja patowa, prawda? — stwierdził Mornelithe. Strzały Shin'a'in pozostały na cięciwach. — Wobec tego wezmę to, po co przyszedłem.

Hydona szarpnęła się bezradnie; oczy Treyvana zapłonęły furia.

To nie twoje, Zmiennolicy — odezwał się jeden z Shin'a'in niskim głosem, brzmiącym, jakby dochodził ze studni. — *Nie stworzyłeś tego, nie słucha cię; to nie twoje.*

Zmora Sokołów uniósł brew i wypuścił z dłoni błyskawicę krwawoczerwonego światła, kierując ją prosto w gryfiątka.

— Nie!!! — wrzasnęła Elspeth.

Jedyną osobą, która miała swobodę ruchów, była Nyara. Skoczyła na równe nogi z Potrzebą w ręce; błyskawica uderzyła w ostrze z ogłuszającym trzaskiem... I zmieniła się. Czerwień zapłonęła złoto, a Elspeth usłyszała, jak Mroczny Wiatr mruczy coś o „transmutacji” i kończy potokiem przekleństw Tayledras. Potrzeba rozdzieliła światło, otaczając gryfiątka złocistą sferą, a Zmora Sokołów wrzasnął wściekle, nie mogąc w żaden sposób jej powstrzymać. Światło wypalało powoli cień z młodych gryfów, uwalniając je od skażenia.

Błysk i krzyk zdezorientowały dwie bestie; Mroczny Wiatr poruszył się. Szybciej niż atakujący wąż wyszarpnął z pochwy na plecach kij i wbił jego zakończony hakiem koniec prosto w gardło potwora. Gwena uwolniła się i rzuciła wściekle na napastnika, tratując go i kopiąc, a potem stanęła, zachwiała się i runęła u stóp Elspeth, krwawiąc z tuzina ran. Potwór przestał się nią interesować, skupiony na walce z Mrocznym Wiatrem.

Elspeth przypadła do Towarzysza, który drżał jak liść, ale jego rany już się zamykały, więc skoczyła na pomoc Mrocznemu Wiatrowi. Nareszcie miała okazję zobaczyć, jak używa tej przedziwnej broni, z którą się nigdy nie rozstawał.

Twarz zwiadowcy ściągnęły gniew i wysiłek; zmusił potwora do wycofania się i wbił mu koniec kija w oko. Potwór upadł, oślepiony, a Mroczny Wiatr wy dobył sztylet i rozplątał mu brzuch, potem poprawił chwyt, wyszarpnął kij i przebił pysk. Stwór próbował pełznąć, krwawiąc z oka i pyska; Mroczny Wiatr rozerwał mu skrzydła, a potem wyczekiwał dogodnego momentu i uderzał w każde możliwe miejsce; żadna z zadanych ran nie była śmiertelna, ale na pewno wszystkie były bardzo bolesne. Z przeciwnej strony usłyszała zwierzęcy wrzask bólu i obróciła się. Hydona, zakrwawiona, ale pełna żądzy walki, stała między Zmorą Sokołów i swoimi dziećmi, rozkładając skrzydła. Treyvan przygwałdzał do ziemi drugiego

potwora, próbując złamać mu kark i wyrywając wielkie kawały mięsa. Stworzenie nie mogło się uwolnić; chociaż było dwa razy większe od gryfa, nie miało żadnych szans. Treyvan zatapiał swe pazury w jego ciele, drapiąc i rwąc, nie pozwalając się zrzucić. Elspeth przełknęła nerwowo ślinę. Co innego zdawać sobie sprawę z tego, że gryfy są niebezpieczne, co innego widzieć je w akcji.

Zmora Sokołów nie zwracał sobie głowy swoimi hybrydami; chwilę później posypał się na niego grad strzał Shin'a'in, jednak wszystkie chybiły celu. Wrzask z boku przypominał Elspeth o zagrożeniu — bestia walcząca z Mrocznym Wiatrem zdawała się powracać do sił. Jeśli odzyska je na tyle, żeby zabić zwiadowcę... „Ma tylko jedno oko...” Zadziałała instynktownie, wyszarpięła z pochwy nóż, wycelowwała i rzuciła; chybiła, nóż odbił się od twardej skóry na głowie. Stwór nawet tego nie zauważył. Zakłęła, wyciągnęła kolejny nóż i w tym momencie Mroczny Wiatr poślizgnął się na zakrwawionym kamieniu. „Cholera!”

Bestia rozdziawiła paszczę, próbując odgryźć mu nogę. Wrzasnął i rąbnął ją na odlew kijem, celując w oko. Elspeth nagle poczuła ogromny spokój. Kiedy tylko cel pojawił się w jej zasięgu, rzuciła nóż.

Hybryda puściła mężczyznę, który zamiast odczołgać się, jak to przewidywała Elspeth, uderzył kijem prosto w odsłonięte, miękkie podgardle; przygwoździł potwora i naparł mocniej na kij.

Po chwili bezowocnej szamotaniny stwór zdechł, krwawiąc obficie. Treyvan dosięgnął wreszcie kręgosłupa swego przeciwnika i przerwał go jednym uderzeniem dzioba. Jego okrzyk został zagłuszony przez wrzask Zmory Sokołów.

Zanim ktokolwiek się poruszył, adept znów zawył, szarpiąc powietrze zakrzywionymi palcami. Dopóki z ziemi, na której stał, nie zaczął się wydobywać zielony dym, Elspeth nie zdawała sobie sprawy, że wykonuje jakieś magiczne gesty. Dym wypełnił przestrzeń między nim a ruinami, pogrążając wszystko w mroku.

„Trucizna”, pomyślała w panice, kiedy chmura do niej dotarła. Usłyszała świst spuszcanych z cięciw strzał. Dym wdarł się jej do gardła i oczu, ale poza kaszlem i łzami nie zauważyła żadnych innych efektów; wyciągnęła rękę do Gwenty.

Nic mi nie jest. Nie ruszaj się, nomadowie ciągle strzelają.

— Mroczny Wietrze, żyjesz? — zawołała.

— Jak najbardziej, pani — odpowiedział głosem pełnym bólu i odkaslnął. — Wstawaj, rozpędzę to, tyle jeszcze potrafię.

Chwilę później Elspeth wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza i otarła łzy. Zmora Sokołów też zniknął. W miejscu, gdzie stał, tkwiła kopa strzał i odchodził od niego krwawy szlak. Nie miała czasu na rozglądanie się, bo nagła fala energii nieomal ścięła ją z nóg. Gdy odzyskała równowagę, Mroczny Wiatr wpał w ruiny z zaciśniętymi ustami.

— Użył resztek mocy, żeby zbudować Bramę do swej fortecy. Shaeka. Zwiął nam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

„To jeszcze nie koniec”. Nadal czuła potężne napięcie. Coś się stanie. Czegoś tu nie dokończono, ale kto miał tu rachunki do wyrównania, nie wiedziała.

Krwawa ścieżka kończyła się kałużą tuż przed portalem w zrujnowanej ścianie, tak przynajmniej twierdzili Shin'a'in, którzy poszli jej śladem. Nie widziała powodów, żeby im nie wierzyć, choć na jej gust byli zdecydowanie za spokojni. Zaufała im jednak, bowiem Mroczny Wiatr nie zadał sobie trudu podążenia tym tropem, tylko pozwolił uzdrowicielowi zająć się swoimi ranami, chociaż przeklinał pod nosem.

Elspeth też klęła, oglądając nogi Cymry; Towarzysz Skifa była w szoku, ale nie stało jej się nic poważniejszego. W jakiś sposób zdołała połączyć swe siły z Mrocznym Wiatrem i osłonić Skifa. Istny cud. Rany po pazurach na gardle Gwenty zostały opatrzone i niedługo zabliznią się całkowicie, a ból nie był taki okropny.

Skifem zajmował się Shin'a'in, który przedstawił się jako Kra'heera, szaman. Elspeth miała dziwne wrażenie, że już go gdzieś widziała. Skif miał odbitą czaszkę i połamane żebra, był nieprzytomny i niewątpliwie przez jakiś czas nie wsiadzie na konia. Nyara siedziała obok niego z Potrzebą w dłoniach; jeśli ostrze leczyło rany kobiety-kota, mogło równie dobrze popracować nad obrażeniami herolda, i Elspeth nie widziała powodu, dla którego miałyby zajmować miejsce Nyary.

Sama wywinęła się kilkoma siniakami i zadrapaniami, ale Mroczny Wiatr i Treyvan wyglądali, jakby uciekli wyjątkowo sadystycznemu rzeźnikowi. Kiedy Hydona poleciała do Doliny po pomoc, uzdrowiciel przybiegł natychmiast, opatrzył wszystkich i wrócił do Doliny jak przestraszona mysz. Elspeth nie miała wysokiego mniemania o uzdrowicielu, który opuszcza swych pacjentów, ale Mroczny Wiatr obiecał, że jej to wytłumaczy. „Mam nadzieję, że znajdzie dobrą wymówkę”.

Shin'a'in ciągle przeszukiwali ruiny, ale nikt nie liczył na to, że znajdą ślad Zmory Sokołów; na pewno oddalił się już wystarczająco daleko. Jedyne gryfy były naprawdę szczęśliwe: Potrzeba zdołała przekształcić zakłęcie Zmory Sokołów i wypalić jego skażenie z młodych. Może i miecz nie uważał się za mistrzynię

w porównaniu z możliwościami Elspeth, ale Mroczny Wiatr był pod wrażeniem. Gryfy zamknęły się w jaskini i powiedziały, że nie wyjdą, o ile nie nastąpi kolejny atak.

Zwiadowca na poły leżał, na poły siedział, opierając się o skałę, i patrzył na czerwonopiórego jastrzębia, siedzącego nad wejściem do grotty; wyglądał przy tym na człowieka nawiedzanego przez duchy. Elspeth wydawało się, że dostrzega w jego twarzy ból i zdenerwowanie, lecz nie wiedziała, co naprawdę czuje Sokoli Brat. Kiedy jednak popatrzyła na Jutrzenkę, jej niepokój wzrósł. „Chodzi o nią. To nie zostało dokończzone. Nie może tak zostać. . .” Owinęła przednią pięćnę Cymry, zastanawiając się, co zrobią z Jutrzenką? Nawet Shin’a’in jej współczuli.

Shin’a’in wracali ze swego polowania i gromadzili się pod gałęzią, na której siedział ptak, nie mówiąc ani słowa. Najwyraźniej nie śpieszyło im się i Elspeth ignorowała ich obecność, pomimo wzrastającego napięcia. Nawet jeżeli coś nadchodziło, nie mogła na to nic poradzić.

Nerwowe parsknięcie Cymry sprawiło, że poderwała głowę. Shin’a’in stali w kręgu wokół Jutrzenki. Szaman opuścił Skifa i klęczał przy Mrocznym Wietrze, jakby czekał na coś. . .

„To jest to. To powoduje napięcie, to wyczuwam. . .”

Czy oni naprawdę delikatnie świecili, czy zmysły ją oszukiwały? Okrywała ich kopuła lekkiego światła. W końcu jedno z nich, kobieta, poruszyło się. Kra’heera przytrzymał Mroczny Wiatr, nie pozwalając mu wstać, kiedy kobieta uniosła dłoń w stronę Jutrzenki. Ptak mierzył ją chwilę uważnym wzrokiem, a potem zeskoczył na jej nadgarstek. Kobieta obróciła się; jak inni, odziana była w czerń, od włosów przez zbroję do butów, ale coś było nie tak z jej oczami.

Mroczny Wiatr znów się szarpnął.

— Spokój, chłopcze! — syknął szaman. — Jakie życie możesz jej ofiarować? Będziesz patrzył, jak znika?

Elspeth wpatrywała się w czarno odzianą kobietę; promieniowała ogromną, skoncentrowaną mocą. Dziewczyna nigdy nie czuła czegoś takiego i wstrzymała oddech. Jutrzenka została uniesiona wysoko nad głowę kobiety, a Shin’a’in zanu-cili. Najpierw cichutko, potem głośniejsz, a Jutrzenka zaczęła świecić.

Elspeth myślała, że to sztuczki zachodzącego słońca, ale światło rozjaśniało się, a Jutrzenka rozpostarła skrzydła i zaczęła rosnać. Po chwili lśniła tak oślepiająco, że nie można było na nią patrzeć; Mroczny Wiatr nie odwracał jednak oczu, z desperacją wypisaną na twarzy. Shin’a’in zmienili się w cienie, nad którymi zawisł ptak. Spojrzała na szamana, który spoglądał w światło bez lęku.

— Jutrzenka została wybrana przez Wojowniczkę — powiedział, jakby usłyszał nie zadane pytanie.

„Dzięki, teraz wszystko rozumiem. Rozumiem, dlaczego jastrząb świeci jak żarptak i dlaczego Mroczny Wiatr wygląda, jakby patrzył na egzekucję. Co tu się dzieje, na bogów?”

Gwena popatrzyła na nią groźnie. — *To ich sprawa, nie nasza* — ucięła.
„I to ma mi wszystko wytłumaczyć”.

Mroczny Wiatr płakał; chciała go pocieszyć, ale nie śmiała; nie w tej chwili. Światło powoli przygasało, a nucenie cichło. Odwróciła się w stronę kręgu. Ptak na ramieniu kobiety był największym jastrzębiem, jakiego w życiu widziała; jego pióra nadal delikatnie lśniły, a oczy miały dziwny, pozaziemski wyraz. Zrozumiała po chwili, że takie same oczy ma Wojowniczką, która trzyma Jutrzenkę — nie było w nich białek czy tęczówek, tylko ciemność usiana punkcikami, jak rozgwieżdzone niebo o północy.

I nareszcie przypomniała sobie: Roald tak opisywał Boginię Shin'a'in.

Usta jej wyschły, a serce zaczęło walić. Jeśli tak — jeśli to była Bogini, Jutrzenka została jej wybranym wcieleniem. Nie mogła się poruszyć. Przykuta do miejsca, obserwowała, jak z ciemności wynurzają się nie osiodłane czarne konie, podchodzą do Shin'a'in, ci dosiadają ich i odjeżdżają. Na końcu jechała kobieta z jastrzębiem: zatrzymały się na chwilę i spojrzały do tyłu.

Mroczny Wiatr wyszeptał coś, co mogło być imieniem Jutrzenki. Dwie postaci odcinały się ostro od czerwonego nieba; potem kobieta przynagliła konia.

I zniknęły.

Mroczny Wiatr i Treyvan zapalili kilka lamp magicznych w jaskini, nie mieli ochoty spędzać tej nocy w ciemności. „Mroczny Wiatr wygląda, jakby świat się skończył. Nie winie go, był... był blisko z Jutrzenką. Cokolwiek się z nią stało, zniknęła z jego życia”.

— Gdzie jest Nyara? — spytał Skif, próbując usiąść.

— Tu — mruknęła Elspeth, wskazując kamień przy drzwiach, na którym Nyara siedziała, odkąd walka się skończyła, trzymając Potrzebę na kolanach: nie było jej tam. A nie przypominała sobie, żeby dziewczyna się ruszała.

Mroczny Wiatr spojrział w to samo miejsce; ich oczy spotkały się.

— Nie widziałem, żeby wychodziła — zaczął.

— Ja też nie. I ma mój miecz — dodała Elspeth ponuro.

Twój miecz? Co przez to rozumiesz? — zapytała Potrzeba ciszej, niż zwykle, jakby odzywała się z oddali. Elspeth, która już wstawała, opadła na swoje miejsce; wyraz twarzy Mrocznego Wiatru świadczył o tym, że też ją usłyszał.

Nie jestem twoim mieczem, Elspeth, nie jestem niczym mieczem, jestem z tym, kogo wybieram. Szczerze mówiąc, już mnie nie potrzebujesz. Jesteś urodzoną wojowniczką i będziesz lepszym magiem niż ja. Twoje ciało i umysł są zdrowe do obrzydliwości. A Nyara... Powiedzmy że jest wyzwaniem dla każdego uzdrowiciela. Jeśli nie chce mieć nic wspólnego z ojcem, lepiej, żeby mnie miała u boku. Potrzebuje mnie bardziej niż ty. Do zobaczenia, mała. Jeszcze się spotkamy.

I głos umilkł. Elspeth patrzyła na Mroczny Wiatr z mieszanymi uczuciami ulgi

i rozdrażnienia. Będzie musiała sprzeciwiać się jednej osobie mniej, ale przyzwyczaiła się do miecza.

„Przyzwyczaiłam się. Cóż, może miała rację, nikt nigdy nie powinien na niej polegać...”

— Myślisz, że ochroni Nyarę przed wpadnięciem w jego łapy? — zastanawiał się zwiadowca.

— Nie wiem. Była wystarczająco silna, aby odwrócić jego zakłęcie.

Skinął głową. Nie widziała jego twarzy, ale czuła, że walczy ze sobą, jakby zniknięcie Nyary wiązało się i z ulgą, i z zalem. A potem przesunął się i zobaczyła w jego twarzy samotność i udrękę spowodowaną stratą. Odwróciła głowę, nie mogąc tego znieść.

Skif nadal próbował się podnieść.

— Nyara — powiedział, patrząc na nią; na pewno widział podwójnie, a głowę rozsadał mu ból. — Gdzie jest Nyara? Wszystko z nią w porządku?

Elsbeth postanowiła nie owijać niczego w bawełnę.

— Tak. Potrzeba się nią zajmuje.

Skif uspokojony opadł na pośłanie i pozwolił napoić się jednym z ziołowych leków, jakie kupiła w Kata'shin'a'in. Wkrótce zasnął, a Elspeth odkryła, że Mroczny Wiatr też zniknął. Poczekała na niego parę chwili, ale nie wracał, więc poszła spać, słuchając pochrapywania Skifa i gryfiątek. To była długa noc.

Mroczny Wiatr wrócił krótko przed południem; noc zakończyła się dla niego porannym posiedzeniem Rady Starszych.

Znalazł się na dziwnej pozycji przewodniczącego Rady i wcale nie był pewien, czy mu się to podoba. Uznają wszystko, co wymyśli, tak bardzo mu ufali po ostatnich wydarzeniach, ale skąd miał wiedzieć, czy jego pomysły nie okażą się szkodliwe dla Doliny? Szczególnie te dotyczące obcych. Chciał, żeby zostali. Tego jednego był pewien.

Przed jaskinią czekała Elspeth, wystawiając twarz na chłodne podmuchy wiatru i po raz pierwszy od wielu dni nie obawiając się ataku. Wstała na jego widok i przez kilka minut rozmawiali o niczym, zanim przeszedł do sedna sprawy.

— Zmora Sokołów już nam nie zagraża, nie masz miecza. Mogę cię skierować do nauczyciela w innej Dolinie i pewnie to zrobię, bo w k'Sheyna przez pewien czas nie będzie najspokojniej. Co wybierasz? — spytał, unikając patrzenia jej w oczy. — Nie masz powodów, żeby tu zostać.

— Obiecałeś uczyć mnie magii — odparła, wysuwając podbródek. — Wycofujesz się?

— Nie — powiedział powoli. „Czy to rozsądne? Pewnie nie, ale mam dosyć bycia rozsądnym”. — Ale...

— Rada chce, żebyśmy odeszli, tak? — Wyglądała na rozczarowaną. Przetarł oczy; czyżby bała się pojechać do innej Doliny bez kogoś, kto by się za nią wstawił?

— Nie, wcale nie. Tylko myślałem, że może... Że ty i Skif...

— Żeby wywieźć stąd Skifa, należałoby go związać. Na razie nie jest w stanie podróżować, a potem... — wzruszyła ramionami — może wróci, może zostanie, to zależy od niego. Nyara jest gdzieś tutaj i może chcieć ją odnaleźć. I szczerze mówiąc, założę się, że tak zrobi. Ale ja tu zostaję, jeśli nadal chcesz mnie uczyć.

— Chcę — odparł — ale uprzedzam, że nigdy przedtem tego nie robiłem, a z ciebie jest bardzo niebezpieczna uczennica.

— No cóż, nie miałam możliwości doskonalenia moich zdolności. Nie jestem jednak ani leniwa, ani głupia.

— Przypominam tylko, że ja też będę się uczył. Od dawna nie używałem mocy i będę musiał wszystko powtórzyć. „Ale łatwiej to robić w dwójkę. Nie mam wielu przyjaciół, ale ona na pewno zalicza się do ich grona”.

— Mnie to nie przeszkadza — uśmiechnęła się. — Jedyne, co mnie obchodzi, to szybkość. Nie mogę tu spędzić całego życia.

Jej twarz zmroczniała. Domyślił się, że wspomina dom i to, co może się tam dziać. Rozumiał ją aż za dobrze.

— Dam z siebie wszystko, o ile ty zrobisz to samo.

Spojrzała mu w oczy.

— Zawsze daję z siebie wszystko. Rzucił okiem na śpiącego Skifa.

— Nawet jemu? — zapytał z naciskiem. „Musisz znać wszystkie swoje słabe punkty, zanim zaczniesz poznawać magię”.

— Dałam mu wszystko, co mogłam — odparła bez wahania. — On myślał, że chce czegoś innego. Ciągłe jest moim przyjacielem.

Skinął głową, usatysfakcjonowany, wstał i wyciągnął do niej rękę.

— W takim razie, pani, pakuj manatki.

— Po co? Zmieniłeś zdanie i jednak nas wyrzucisz? — zdenerwowała się.

— Nie — popatrzył na las, zastanawiając się po raz setny, czy postępuje słusznie. Serce mówiło mu, że tak. A poza tym... wszystko jest lepsze od beczynności. — Nie... nie, Elspeth — powtórzył po chwili, smakując obce imię; podobało mu się. — Nie zmieniłem zdania. Kiedy tylko będziesz gotowa, zabiorę was do Doliny — uśmiechnął się, widząc jej kompletne zaskoczenie. — Znajdziesz się tam, gdzie od pokoleń nie wkroczył żaden obcy. Wziął jej dłoń w swoje, patrząc w oczy. — Jako przewodniczący Rady Doliny k’Sheyna ofiarowuję ci schronienie i pokój w Dolinie; ofiarowuję ci godność i odpowiedzialność klanu. Jeśli je przyjmiesz, nadam ci imię Elspeth k’Sheyna k’Valdemar...

Gdzieś w górze myszołów głośno wyraził swą aprobatę — młodzieniec zbra-

tany więzią z Vree nareszcie rozpoczął leczenie swych ran.